

Marek Górnicki

Misyjne wspomnienia (wydanie II rozszerzone)



RZECZPOSPOLITA POLSKA
THE REPUBLIC OF POLAND
MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH
MINISTRY OF INTERNAL AFFAIRS

**LEGITYMACJA WETERANA-
- FUNKCJONARIUSZA**
OFFICER VETERAN'S IDENTITY CARD



Warszawa 2015

Postscriptum autora do wydania drugiego (2015)

W drugim wydaniu podjąłem próbę zakończenia tego, co dla podtrzymania pamięci o nieżyjącym przyjacielu zrobiłem. Dobrą do tego okazją była uroczystość umieszczenia tabliczki epitafijnej na Tablicy Pamięci w Komendzie Głównej Policji.

To, co miałem do napisania, przelałem na papier i niech tak zostanie.

Dodałem też kilkanaście zdjęć, do czego mnie namawiano po pierwszym wydaniu książki.

I tu miałem kłopot. Ze zrozumiałych względów nie mogłem użyć „misyjnych” – wykonanych „na gorąco”. Wymienialiśmy się nimi i ustalenie/odnalezienie autora nie zawsze jest możliwe.

Zdjęcia, to także okazja do wyrażenia wdzięczności Serbom, Chorwatom i Bośniakom za pomoc i przyjaźń. Tłumaczenia książki nie podejmuję się, a tak...

Warszawa, 25 maja 2015 r.

Marek Górnicki

Wydawca: Komenda Główna Policji

Projekt okładki: Sylwia Sieńko

Skład: Justyna Kiljan-Walerzak

ISBN: 978-83-941252-0-2



Szanowni Państwo,

Gdy autor nieśmiało zapytał, czy nie zerknąłbym na jego „wypociny” bez wahania poprosiłem o wersję elektroniczną książki. Czekał mnie lot do Hagi, pomyślałem więc, że to dobry moment na przejrzenie tych kilkudziesięciu stron. Teraz, z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że do sprawy podszedłem tak trochę... z obowiązku wobec podwładnego.

Tymczasem...

Książka wciągała z każdą chwilą. Połykałem stronę po stronie... Gdy usłyszałem - proszę zapiąć pasy – lądujemy, jeszcze przez dobrą chwilę przed oczami miałem Holendrów na polu minowym i pierwsze dni naszych policjantów w Iraku. Jadąc do hotelu myślałem o udziale policjantów w misjach i o tym, że chociaż temat jest mi bliski od paru lat, po raz pierwszy miałem przed oczami świat misji barwnie opisany przez uczestnika... dowódcę kilku kontyngentów policyjnych... niezwykle doświadczonego policjanta...

Umknąłem do pokoju wcześniej niż pozwalał na to dyplomatyczny savoir vivre – na co dzień czytam szybko... dokumenty są przecież treściwe do bólu. Czytając nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jestem gdzieś tam w kurdyjskich górach razem z naszymi, że w Chorwacji byłem z chłopakami gdy słuchając polskich wiadomości usłyszeli o śmierci dziewczyny. Już wolniej zagłębiałem się w kolejne strony. Skończyłem przed północą, zmęczony i chyba zdziwiony, że te... „wypociny” tak mnie wciągnęły. Sięgnąłem po komórkę i napisałem do Marka SMSa – „choć nigdy wcześniej nie czytałem takich książek – ta podoba mi się”. Chwilę później przeczytałem - „cieszę się”.

Wracając do kraju myślałem o tym co przeczytałem. Jeden człowiek... tyle cierpienia, tyle radości i znowu... ból i cierpienie a Bodeczek... to prawdziwa męska przyjaźń.

Drogi czytelniku. Gdybyś miał wątpliwości czy taka przyjaźń istnieje, sięgnij po tę książkę.

Kolego z „branży” – gdybyś miał wątpliwości czy jechać na misję, ta książka wiele wyjaśni i pomoże w dokonaniu właściwego wyboru – polecam.

Rafał Łysakowski

Marek Górnicki

Misyjne wspomnienia...

(wydanie II rozszerzone)

„Byłeś jedynym kumplem, któremu ufałem bezgranicznie i w którego towarzystwie czułem się bezpiecznie. To, że odszedłeś jest zaprzeczeniem wiary w sprawiedliwość i sens istnienia. Nie mogę się z tym pogodzić i jest mi ciężko”.

Wstęp

Potrzeba opowiedzenia o tym, co stało się moim udziałem, co widziałem i czego doświadczyłem dojrzewała we mnie od dawna, ale jakoś nie mogłem znaleźć w sobie tego, co pozwala postawić pierwszy, realny krok. Szukałem energii, która da mi przystawienie kopaka do działania. Owa niezaspokojona potrzeba powodowała, że narastała we mnie irytacja, a każda kolejna publikacja wydawana pod nazwiskiem celebryty - jakoby wielkiego podróżnika - a pisana przez zupełnie kogoś innego była dla mnie rosnącym wyrzutem sumienia. Wiedziałem bowiem, że moja historia - choć pisana językiem amatora - ma tę przewagę, że jest prawdziwa. Widziałem, czułem i przeżyłem to, o czym piszę.

To była katapulta. Zarys książki powstał w dwa miesiące, później już było tylko usuwanie szczerzej prawdy, bo... nie chciałem nikogo urazić, ani tym bardziej uczynić krzywdy. Wszystko, o czym piszę działo się naprawdę. Nie upiększam, nie cuduję z narracją, bo i po co? Tak było, tak to wszystko czułem i tak odbieram dzisiaj. Ta książka to też wspomnienie o tych, którzy w imię tego, w co wierzyli oddali to, co mieli najcenniejszego - życie... Jesteśmy przeświadczeni, że kostucha swoim tchnieniem dotknie innych, nie nas. Wiemy, że jest nieustrudzona w swojej gotowości „niesienia pomocy” i tylko czeka na zaproszenie do ostatniego tanga. Jurek, Andrzej, Ela, drugi Andrzej i Bodek nie prosili się. A może się mylę? Jeśli tak jest i jeżeli samo zaangażowanie się w misję nie jest jednoznaczne z wystąpieniem jej zaproszenia, to dopominaniem się o guza - na pewno...

Siły Ochronne ONZ w byłej Jugosławii (UNPROFOR) (1993 - 1994)

Impuls do wyjazdu

Ze strzelnicy wróciliśmy przed szesnastą. Można by rzec - dzień, jak co dzień - gdyby nie „olimpijka”. Strzelała w kadrze młodzieżowej Polski i - jak niby mogłem przewidzieć, że to właśnie ona mi taki numer odwali? Waluś, nasz kierownik, tyle razy powtarzał - za strzelającą babą stań w gotowości do reakcji, żeby sobie i innym krzywdy nie zrobiła. Na linii otwarcia ognia stało dziewięciu strzelców, w tym trzy dziewczyny. Strzelanie szybkie na czas. Stanąłem akurat za tą. Rysiek, drugi instruktor, stał po lewej stronie. Przygotować się do strzelania! - sprawnie dołączyli magazynki, broń wróciła do futerałów. Cel: tarcza, odległość 10 metrów. Ognia!

Wyjęcie pistoletu, przeładowanie, przyjęcie postawy - to sekundy. Pierwsi już prowadzą ogień. Stojąc jak cień za „olimpijką”, kątem oka kontroluję pozostałych. *Panie inspektorze, nie strzela* - widzę bladą twarz i czuję lufę dociśniętą do mojego brzucha. *Proszę się odwrócić* - mówię łagodnie - wykonuje posłusznie polecenie. Mając ponownie jej plecy przed sobą, słyszę strzał i widzę podskakujący piasek trzy metry przed nią.

Przerwij ogień! - *Rozładuj broń!* - *Do przejrzania broń!* Wszyscy zakończyli strzelanie oprócz mojej. *Ja pierdolę, ja pierdolę, ale numer* - słyszę za plecami - tak, to Waluś i widzę, jak tłukąc czapką po udzie pośpiesznie się oddala - no tak, jest chory na serce, przyszedł chyba zerknąć, jak leci - i zobaczył, niech idzie. Rysiek zdążył już przejrzeć broń pozostałym i przygląda się nam z zaciekawieniem - jeszcze nie wie.

Proszę rozładować broń - sprawnie odłącza magazynek, przeładowuje opróżniając komorę nabożową i trzęsie się coraz bardziej. *Czy Pani wie, co Pani zrobiła?* Drżącym głosem coś tam „babuli” przeprasza. Ściągam całą zmianę do siebie i omawiam, co się stało. Widzę twarz Ryśka coraz bardziej bladą. Warunki bezpieczeństwa to mantra... *nie odwracać się, nie kierować broni w kierunku ludzi i zwierząt...* Bez ich omówienia nie można rozpocząć zajęć. *Ja..., ja..., ja nie wiem, jak to mogło się stać.* Przed każdym strzelaniem z P-64 przypominaliśmy o możliwości wystąpienia tego zacięcia. Parę milimetrów, które zamkowi brakowało do pełnego przeładowania, skutkowało wyłączeniem automatyki broni - *gdy to nastąpi, należy „dobić” zamek nasadą dłoni.* Nie wiem, ile razy to powtarzałem, ale czy to teraz ma jakiegokolwiek znaczenie? Nie chciałem dziewczyny bardziej gnębić, bo - jak mówią - *gdzie drwa rąbią...*

Do pokoju wszedł Waluś, usiadł i popalając patrzył na mnie. *Wiecie co, chłopcy? Idźcie sobie już do domu,* gdy się przebierałem usłyszałem jeszcze: *ale numer, ale numer...* Kiedy szedłem do domu, wreszcie dotarło do mnie, że trójka „Uszastych” - tak zwykłem nazywać swoje dzieci - dzisiaj nie miałyby ojca. Kurczę, miałem szczęście, znowu miałem szczęście. Nie mówiłem nic Zośce - ich matce - bo i po co...? Stałe narażanie życia jest w oczywisty sposób wpisane w czynną służbę policjanta. To cień kładący się na każdym związku, w którym jedno z partnerów podejmuje takie wyzwanie. O tym się wie. Ale o tym bardzo niechętnie się mówi.

Wydarzenie na strzelnicy wydatnie pomogło mi w podjęciu innej decyzji, zgłosiłem swoją skromną kandydaturę na wyjazd do Jugosławii w ramach policyjnego komponentu

międzynarodowych sił pokojowych ONZ. Właśnie zbliżał się termin rotacji pierwszego polskiego kontyngentu i procedura kwalifikacyjna miała się wkrótce rozpocząć - czemu nie, tu też nie jest bezpiecznie. W tym zawodzie właściwie nigdy nie jest.

Egzamin z języka angielskiego jakoś zdałem. Wiedziałem, że w dwa tygodnie jestem w stanie sobie przypomnieć... W ogólniaku, legionowskiej „Konopie” nie mieliśmy szczęścia do anglistów. Rosyjski - owszem, ale angielski... Nasza „psorka” - jak już w końcu taka się znalazła - szybko poszła na macierzyński, a następca był niewiele od nas starszy. My byliśmy jego pierwszą klasą. Na lekcjach przysłówiowe jaja jak arbuzy, a nie nauka i... jakoś tak szło. Na pisemnym siedziałem obok wysokiego faceta, z miejsca nazwałem go „Długim”. Sprawdzian z WF-u był pestką - biegałem długie dystanse, a i maraton warszawski zaliczyłem, słowem - znalazłem się na kursie przygotowującym do wyjazdu. Policja nie miała w tej materii doświadczenia, szkoliliśmy się więc w Kielcach, razem z wojskiem.

Szkolenie to wbiło mi się w pamięć z jednego powodu. Cała grupa ryła słówka, gramatykę i do późnej nocy próbowaliśmy do siebie mówić po angielsku, a jeden z nas, „Rodzynek” zakładał krawat, garnitur i szedł do cioci - kurczę, ten to musi być dobry. Szczerze mu zazdrościłem, oczywiście znajomości angielskiego.

Wyjazd na misję

W byłej Jugostawii polski kontyngent policyjny liczył około 50. policjantów. Jego rotacja miała nastąpić w dwóch grupach - druga miała wyjechać trzy miesiące po pierwszej. Znalazłem się w pierwszej. Wylądowaliśmy w Zagrzebiu i prosto z lotniska przewieziono nas do hotelu. To była bajka, nie hotel. Jakaś mała prywatna inicjatywa, ale standard, który tam zastaliśmy... wysoka półka, mówię wam - wysooooooka. Wyciągnięty w łóżu z baldachimem niczym basza zadzwoniłem do domu, że już jestem, że wylądowałem szczęśliwie i ogólnie jest ok. Nie odczułem, aby Zośka miała ochotę na dłuższą konwersację. Zastanowiłem się - po co, kurczę, ja dzwoniłem? Nie umiałem wtedy zrozumieć jej emocji. Drugiego dnia po przyjeździe mieliśmy egzamin z angielskiego. „Kanadole” rozmawiali z nami po swojemu - nie wszystkie słówka i zwroty wymawiane przez nich były dla nas zrozumiałe. Jakiś *wikl* zamiast *vehicle*, *jerry can* zamiast *can* lub *canister* tworzyły przedsmak tego, co nas miało czekać. Mój egzaminator był instruktorem strzeleckim, więc rozmawialiśmy „długo i namiętnie”. Był ciekaw, z czego strzelamy, jakie kalibry, techniki strzeleckie i - gdy brakowało mi słówek podpowiadał - niejako automatycznie. Wyszedłem na luzie, zauważając w oczach oczekujących wyraźne współczucie. Późnym wieczorem znaliśmy wyniki. Przeszli wszyscy oprócz dwóch. Dla nich rozmowa kwalifikacyjna ostatniej szansy za dwa tygodnie - no cóż, dwa tygodnie w takim hotelu, na koszt ONZ? - to naprawdę demokratyczna organizacja i człowiek się tu liczy... chłopcy mogli być przecież zestresowani... niech spróbują jeszcze raz - chłopcy spróbowali i dojechali za nami do sektorów.

Podział na sektory. Nasza piątka jedzie do sektora West. Kwiecień 1993 r., samochód „Toyota Coaster”, za oknami smutny deszczowy krajobraz, ale... gdzie ta wojna? Mam fioła na punkcie angielskiego. Widząc nad kierowcą zegar i jakieś *a.m.* dopytuję się, czy ktoś wie, o co z tym chodzi. No, bo wiesz *a.m.* i *p.m.* - przyglądam się chłopakowi, nie miałem z nim wcześniej kontaktu. Dojeżdżamy do Daruvaru. Przed budynkiem do pojazdu wbiega chyba Peruwianczyk i komenderuje *quick, quick*. Co, kuźwa, *quick, quick, rather quickly, quickly please*, uprzejmie proszę, odzywa się mój anglista - facet z miejsca zaczyna mi się podobać. Gdy zwracam się do niego po imieniu, poprawia - *mów mi Bodek*. Okulary Peruwianczyka płaczą w deszczu. Stajemy przed obliczem dowódcy sektora. *Bo wiecie...* - zaczyna i od razu widać, że to wojskowy, - *Zagrzeb przysłała mi tu monitorów, a ja nie wiem, co z nimi zrobić, bo nie znają angielskiego*. Przepytuje nas. Sytuacja klaruje się. Z Bodkiem dostajemy przydział do stacji policyjnej w miejscowości Pakrac - tam przebiega linia rozgraniczenia pomiędzy Chorwatami a Serbami. *Macie sobie wynająć lokum w Daruvarze, do Pakraca będziecie dowożeni, tam nie ma szans na wynajem - nie ma gdzie. Teraz do hotelu, jutro odbiorą was ludzie z waszej stacji*. Tak znaleźliśmy się w hotelu Termal. Temperatura wody w basenie z oczywiście „termalną” wodą pozwalała na korzystanie z części basenu znajdującego się pod chmurką. Padający deszcz dodawał uroku temu miejscu. Byłoby idyllicznie, gdyby nie ludzie poruszający się na wózkach i o kulach. Widok inwalidów pozbawionych rąk i nóg, czekających w kolejce do windy, niejako wymuszał opcję: „schody”. Jak dowiedzieliśmy się, hotel pełnił funkcje centrum rehabilitacyjnego dla ofiar wojny. W nocy nie spałem. Ciekawość miejsca, w którym przez rok miałem pracować, nieustannie mnie nakręcała.

Doljani i Stacja

Przyjechali po nas Szwed i Nepalczyk. Szwed był dowódcą stacji Pakrac i przy drobnym Nepalczyku wyglądał, jak Goliat. Ze zdziwieniem przyjęli wiadomość, że jeszcze nie mamy mieszkania. „Chandra” podrapał się po głowie i - przeżuując tytoń - mówił coś o mającym się zwolnić domu po Szwedzie, który już „zjechał” z misji. *To w czym problem?* - zapytał Bodek - *no bo on zostawił tam swoją szwedzką przyjaciółkę.* Dom był w Doljani, kilometr od Daruvaru po drodze do Pakraca - do obejrzenia od ręki. Wstąpiliśmy. Urok tego miejsca zapierał dech. Drzwi otworzyła Szwedka - *wyjeżdżam za tydzień i jeśli wam odpowiada, możecie już tu zostać, miejsca jest pod dostatkiem.* Coś tam marudziłem, że może trzeba by obejrzeć inne domy - *ja tu zostaję* - rzucił Bodek - zostałem i ja. Życzliwa dziewczyna obiecała zorganizować na wieczór spotkanie z właścicielami - *dogadacie się co do ceny itd.* Kurczę, wszystko szło tak dobrze, że aż za dobrze. Moja nieufność wystawiona została na ciężką próbę - niepotrzebnie. Zostawiliśmy nasze worki z wyposażeniem i pojechaliśmy do Pakraca. Wąska asfaltowa droga wiła się pośród nielicznych wiosek. Widok pojedynczych domów w ruinie sugerował, że zostały wysadzone. Na uboczu sterta gruzu i asfaltowy podjazd - to na pewno jakiś były zajazd. Przyglądam się charakterystycznym tulipanom na asfalcie - chyba granaty mózdzierzowe. Ile tych wybuchów musiało być, skoro na drodze tyle śladów pozostało?

Ale oto i Pakrac. Przejeżdżamy przez linię kolejową, zakręt w lewo, przez mostek na rzece. Widać zniszczony dom towarowy. Dojeżdżamy do placu otoczonego domami - wszystkie noszą ślady walk. Z prawej strony szare gmazysko - to nie tu - my podjeżdżamy z drugiej strony. Dom z przeszklonym parterem. Flagi ONZ w oknach, na podjeździe kilka białych peugeotów i cherokee. Witamy się z kolegami - towarzystwo międzynarodowe. Duńczycy, Norwegowie, Finowie, Portugalczycy, kurczę, trochę dużo tych imion jak na jeden raz. Olaf zabiera nas do samochodu - *pokażę wam okolicę.* Szary gmach jest siedzibą lokalnych władz. Tuż za nim Hrvatska Policija, będziemy współpracować. Jedziemy jakimś skrótem do Lipika. Przed rozległym polem - *zaminowane*, informuje Olaf. Skracamy w prawo. Tydzień temu ojciec z synem jechali tu traktorem. Obu zastrzelono - *mieliśmy kejsa* (kurczę, co to ten kejs?) - *od tej pory nazywamy tę drogę „aleją snajperów”* - siedzę w „drugiej klasie” i słucham, jak rozmawiają z Bodkiem. Wjeżdżamy w rozwidlenie dróg w betonowym wykopie, ostry zakręt w lewo. Asfalt ciągnie się prosto, widzę to samo pole z innej perspektywy, ma około kilometra i kształt ogórka - *to linia rozgraniczenia, z drugiej strony są Serbowie. Widzicie ten samotny, biały budynek tam daleko na szczycie?* - *to Omanovac hotel, to też nasz rejon.* Próbuję to wszystko zapamiętać, ale nie daję rady. Po prawej stronie wzdłuż drogi ciąg zniszczonych domów.

Ale oto Lipik, skręcamy w lewo, po prawej stronie widać ruiny i potrzaskane budynki - *to baseny termalne uzdrowiska - musiało tu być pięknie.* Przejeżdżamy przez tory kolejowe. Mijamy dom, worki z piaskiem, ludzie z lornetkami patrzą przed siebie - *będziemy na ziemi niczyjej, wjeżdżamy na serbską stronę.* Mostek na... rzeczce? Widzę podobny budynek, lornetki i ludzi patrzących dokładnie tam, skąd przyjechaliśmy. Jesteśmy na serbskiej stronie. Przed stacją benzynową, a raczej przed tym, co z niej pozostało, ostro w lewo. Widok metodycznie

wysadzonych domów po obu stronach wąskiego asfaltu jest przygnębiający. Cegła wygląda, jak nowa. Musiały zostać zbudowane tuż przed wojną. *Japaga* - wyciągnąłem notatnik i zapisałem nazwę mijanej wioski, trzeba było zapisywać od początku, sam na siebie jestem wkurzony. Parterowe domki ciągną się po obu stronach, po lewej mignie czasem „ogórek” i chorwacka strona, gdzie przed chwilą byliśmy. Po prawej cmentarz, zakręt, silnie uszkodzony kościół - *wokół zaminowane, nie łażcie tu nigdzie*. Przejeżdżamy przez punkt kontrolny - *to Whisky Charlie*. Jeszcze 100 metrów i widzę naszą stację. Jest po szesnastej. Tłumek niebieskich beretów wsiada do pojazdów - *jest szesnasta, na dzisiaj koniec, pozostaje służba dyżurna - znajdźcie sobie podwózkę do Daruvaru*.

Za pół godziny jesteście „u siebie”. Z ulicy do nas mamy trzy minuty polną drogą. Wzdłuż niej rozrzuconych kilka domów. Nasz wygląda niepozornie, ale to mylące. Projektant do maksimum wykorzystał opadające w dolinę zbocze. Od frontu dom sprawia wrażenie parterowego z mieszkalnym poddaszem. Jest też zadaszony podjazd. Patrząc z drugiej strony, widzimy niewidoczną od frontu, w pełni funkcjonalną, część podziemną. Nad nią olbrzymi taras z widokiem na dolinę i zalesione zbocze. Ingrid pokazuje nam dom. Na parterze jest *living room* połączony z kuchnią oraz łazienka. Zaraz przy wejściu schody na górę do dwóch pokoiów. Przez tydzień mamy spać z Bodkiem w tym z widokiem na dolinę. Tu też jest mały tarasik. Ktoś, kto wybierał meble, miał dobry gust. Przyjeżdżają właściciele. Przyglądamy się sobie z zaciekawieniem. Vaso jest wysokim i szczupłym facetem. Wygląda dystyngowanie. Ivanka to uśmiechnięta brunetka ze śmiejącymi się oczami. Wyglądają na kochającą i dobrze rozumiejącą się parę. Kobieta pyta, czy może do kuchni, ależ oczywiście, przecież to twoja kuchnia... *nie, nie, teraz to wasza*. Ciekawie przyglądam się, jak przyrządza kawę. Rozlewa do filiżanek, dodając z tygielka do każdej łyżeczkę pianki. Siadamy wokół ławy. Nie odzywam się, konwersuje Bodek. Szybko ustalamy warunki, to znaczy zgadzamy się na pierwszą zaproponowaną kwotę, plus opłaty za prąd, gaz, itd. Vaso przynosi z samochodu butelkę wina. Po raz pierwszy piję gemiszt z miejscowego rieslinga z wodą mineralną z Lipika - *lipički studenac najbolji na vrućinu*, wyjaśnia mój gospodarz. Za chwilę próbujemy rakii. Z ciekawością słucham nowego dla mnie języka - jest śpiewny i przyjemny dla ucha. Odkrywam, że w ograniczonym zakresie rozumiem sens rozmowy - jakby na to nie patrzeć, to słowiańska grupa językowa. Odprowadzamy naszych gospodarzy do samochodu - białego yugo. Prowadzi Ivanka.



Na tarasie w Doljani. Od lewej: Bodek, Vaso i Stepane - zdjęcie autora



Stacja policyjna w miejscowości Pakrac. W środku Bodek - zdjęcie ze zbiorów autora

Pierwsze patrole

Całe dnie w samochodzie szybko pozwoliły na poznanie okolicy. Początkowo unikaliśmy polnych dróg, później zapuszczaliśmy się w prawdziwe ostępy, odnajdując ludzi w potrzebie i nawiązując przyjaźnie. Nasza stacja policyjna, ulokowana po chorwackiej stronie, wykonywała zadania po obu stronach linii przerwania ognia. Mogliśmy ją przekraczać bez kontroli o każdej porze. Unikaliśmy nocy. „Po stronie serbskiej” zdarzało się, że samochody ONZ były zatrzymywane i przez „nieznanych” osobników rekwirowane. Gdy ktoś próbował cwaniakować i uciec, czasem dostawał serią. Z tego powodu wprowadzono zalecenie, by w podobnych przypadkach „oddawać” pojazd bez dyskusji. Czasem takim niedbale przemalowanym „cherokee” serbski dowódca przyjeżdżał na odprawy organizowane przez ONZ. Do tego typu zdarzeń dochodziło z powodu braku u Serbów wystarczającej ilości pojazdów i paliwa.

Dysproporcja pomiędzy standardami życia mieszkańców po obu stronach była olbrzymia. Gavrenica to część Pakraca po stronie serbskiej. Widok dzieci i ludzi używających obuwia z opon samochodowych nie był tu rzadki, a sporo rodzin mieszkało w piwnicach na wpół zburzonych lub niedokończonych domów. Byli to ludzie, których wojna zmusiła do opuszczenia domów rodzinnych leżących teraz po „wrogiej” stronie. Zajmowali więc wszelkie możliwe do zamieszkania miejsca, co w przyszłości miało się stać powodem sporów własnościowych. Właśnie jesteśmy u takiej rodziny. Zmarł dziadek. W piwnicy kilka kobiet, czereda dzieci i on... „dziadek”. Bieda, aż piszczy. Proszą o pomoc w pogrzebie. Wracamy na stację. Informujemy Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Jedziemy do hotelu Omanovac - taką nazwę ma też wieś w drodze do Daruvaru. W Gavrenicy skręcamy w lewo. Wąska asfaltowa jezdnia pnie się ostro w górę. Mijamy Kraguji i dalej w górę. Gęsty las rzednie po prawej stronie, widać że wspinamy się po krawędzi zbocza. Na miejscu dziadek z karabinem - nie mylić z tym z piwnicy. Rozmawiamy ciekawi siebie nawzajem. To posterunek obserwacyjny. Zmieniają się według grafiku, to zwykli chłopi, od których wojsko wymaga świadczenia obowiązku wobec ojczyzny. Nie widać sprzętu łączności. Patrzymy w dół. Wspaniały widok. Tłumacz informuje, że przed wojną było to popularne miejsce wypoczynku słynące ze świetnej kuchni. Budynek nie jest specjalnie zniszczony. Zjeżdżamy już inną drogą, przez Šeovicę. Zatrzymujemy się, żeby pogadać z ludźmi. Trafiamy na Serbów, mieszkających tu z dziada pradziada. Zapraszają do środka. Na stole pojawia się domowa szynka wędzona - *pršut*, potężny bochen chleba domowego wypieku i rakija. Nie odmawiamy, żeby nie obrazić - nie znam jeszcze wszystkich zwyczajów. Obserwuję tłumacza, to Chorwat - czuje się swobodnie. Właścicielka ma na imię Ivanka - to już druga, którą znam. Żegnamy się dziękując. Proszą, żeby ich odwiedzać - obiecujemy. Wracamy na stację. Pisemny raport. Droga do Daruvaru z przystankiem przed tablicą upamiętniającą pierwszego chorwackiego policjanta zabitego na skrzyżowaniu dróg w dniu rozpoczęcia wojny. Przyjaźni ludzie, wspaniała przyroda i świadomość, że wszystko to w ułamku sekundy może zamienić się w pożogę i ludzkie tragedie. Jak to możliwe...?



Protest w serbskiej części m. Pakrac – zdjęcie autora



Protest w serbskiej części m. Pakrac – Bodek z argentyńską sanitariuszką – zdjęcie autora

Malarka

Ingrid opowiada o mającej się pojawić kobiecie. Patrząc na Bodka, czy coś z tego rozumie - *to miejscowa pejzażystka, ma dokończyć obraz, który zamówiła Ingrid*. Niedługo potem pojawia się malarka. Na sztaludze, uwieczniony na płótnie „widok” rozpościerający się z tarasu. Nie wiem, czemu kojarzy mi się natychmiast z „moją Konopnicką” i pracą domową z polskiego - *na następną lekcję proszę o rozprawkę pt. „Widok z okna” - z którego?* - dopytywał się Mietek, ale odpowiedzią był tylko uśmiech. Nie przeszkadzałem artystce rozumiejąc, że natchnienie twórcze nie powinno być rozpraszane. Po godzinie, gdy nie odmówiła kawy, siedliśmy we czwórkę na tarasie i obserwowaliśmy parę jastrzębi, wsłuchując się w ich kwilenie. *Pewnie mają ochotę na kurę sąsiadów, przechadzającą się poniżej* - rzuciłem po polsku do Bodka. Malarka coś tam zatrzepała rękoma i popatrzyła na mnie chyba groźnie - tak mi się przynajmniej wydawało. *Gdzieś tu musi być snajper, który nam się przygląda, raczej twierdząco niż pytająco* zapytałem Szwedki. *Tu nie ma snajperów, okolica jest cicha i spokojna*, mówiąc to Ingrid coś szybko tłumaczyła po angielsku i chorwacku malarce i najwyraźniej dotyczyło to mnie. Bodek wzruszył ramionami, też nie mógł załapać. Panie przerwały wymianę zdań. Malarka podeszła do sztalugi, Ingrid poszła do siebie na górę. W tym czasie kura grzebiąc podeszła bliżej. Ryła w ziemi, gdy zwracając się do Bodka powiedziałem - *a może by tak tę kurę do gara?* Na mój żart Bodek nie zdążył odpowiedzieć, gdy malarka-pejzażystka stanęła wściekła przede mną, zwracając się do mnie równie wściekle. Machała przy tym pędzlem. Wyglądała pięknie, ale skąd ta reakcja? Ingrid zbiegła z góry, minę też miała nietęgą. Znowu zaczęły rozmawiać, teraz już wolniej. Widać było, że Szwedka ma dość całej tej sytuacji. Odkręcił ją Bodek... na szczęście zajarzył. Zaczął się tak śmiać, że kobiety umilkły. Widzę, że jest lepiej. Nawet Chorwatka zaczęła się uśmiechać, ukazując na twarzy dwa dołeczki... Pokazała swoją dłoń i przykryła miejsce zwane cipilindą, mówiąc - *to je kura, to je kura*. Następnie dotknęła mojej dłoni i ją opuściła na moje „klejnoty” - *u muśkarca je kurac, u tebe je kurac, u mene kura - razumeś?* No cóż, mogła od razu zapytać, dlaczego tak brzydko o niej, w jej mniemaniu, się wyrażałem. To była niezła nauczka na przyszłość, ale im lepiej poznawaliśmy miejscowy język i im śmieiej z niego korzystałem, tym podobne historie zdarzały się częściej. Po prostu w chorwackim i serbskim są identyczne, jak w polskim słowa, ale znaczenie mają niekoniecznie to samo.

Bezstronność a ludzkie serce

Pomagając czy to Serbom, czy Chorwatom, musieliśmy być bezstronni, to zrozumiałe. Nie mogliśmy swoim postępowaniem w jakikolwiek sposób faworyzować jednej ze stron. Zdarzały się jednak sytuacje, w których odruch serca przegrywał z przepisami. Tak było w przypadkach przekazywania listów. Uciekając z domów przed pożogą wojenną, do ich pilnowania pozostawiano najstarszych członków rodzin, licząc zapewne, że będą w miarę bezpieczni. To był błąd. Często byli mordowani. Polityka czystek etnicznych miała priorytet. Bardzo się starano, aby ta „druga strona” nie miała do czego wracać. Zdarzało się, że wysadzano domy, a pozostawionych w nich dziadków i babcie zabijano. Jeśli jednak przeżyli, szukali kontaktu z bliskimi. Jak takiej osobie odmówić przekazania „pisma” do Zagrzebia, albo bardzo blisko - na wyciągnięcie ręki - do Filipovaca? Tego dnia zgodziłem się na przewiezienie listu. Jeździłem z nim teraz po Gavrenicy, szukając numeru 66. Już „nasty” raz przejeżdżałem w tym samym miejscu, nie mogąc odnaleźć domu o tym numerze. Wróciłem na stację i po południu ponowiłem próbę odnalezienia adresu z koperty. Gdy w końcu zatrzymałem się, podszedł do mnie starszy mężczyzna i zapytał, czy może mi pomóc, zaryzykowałem... *tražim kuću koja ima broj 66*, rozejrzał się i zapytał - *moгу да pogledam pismo?* No cóż, niech sobie popatrzy pomyślałem... i pokazałem kopertę - uśmiechnął się od ucha do ucha - *to nije 66, to je bb, bez broja*. Ważniejsze było nazwisko odbiorcy, a adres? A któż go mógł znać, gdy chodziło o uciekinierów i przesiedleńców - tak to funkcjonowało.

Bogdan zapytał, czy bym nie pomógł - *pewnie* - odpowiedziałem dziarsko nie wiedząc, o co chodzi. Poproszono mnie o przewóz prosiąt - *czego?* - zapytałem niedowierzająco. *Prosiąt* - powtórzył paląc nerwowo. *No wiesz, robiąc „kejsa” poznałem ludzi. Tu nic nie mają. Nie mają zboża na siew, wszelkiej maści nasion i zwierząt hodowlanych. Druga część rodziny mieszka po chorwackiej stronie.* Dogadali się z nimi, dostaną prosięta, tylko nie ma ich jak przewieźć przez linię rozgraniczenia. *I to niby my mamy zrobić?* - *Tak* - odpowiedział już ciszej. W piątek było jakoś spokojniej na stacji - może dzisiaj? - może być, niech się dzieje co ma się dzieć, też już chciałem mieć to z głowy. Pojechaliśmy peugeotem do wsi, nazywała się chyba Majur, czy jakoś tak. Prosiaczki były różowe i wyglądały milutko. To była cisza przed burzą. Przedsmak tego, co miało nas czekać, swoistego koncertu, który dały drąc się wniebogłosy pakowane do dwóch worków, po dwa do każdego. Gdy minęliśmy tory kolejowe w Lipiku, naszym oczom ukazał się niezwykle tutaj widok. Jechaliśmy w coraz gęstszym szpalerze chorwackich policjantów i ludności. *Skąd oni się tutaj wzięli?* - *pewnie coś się stało. Tylko nie zwalnijaj - i tak już słyszą, co wieziemy.* Sytuacja wyjaśniła się błyskawicznie. Naszym oczom ukazał się mostek opuszczany nad potokiem przez dźwig słowackich saperów. *Kuźwa, musieli właśnie dzisiaj go wymieniać* - nie zdążyłem Bodkowi odpowiedzieć, gdy podbiegł do nas Słowak. *Zawracajcie, dalej nie można jechać.* - *Kuźwa, nie zawracajcie, nie zawracajcie, tylko opuszczaj ten cholerny most, nie możemy się wrócić* - Bodek darł się na gościa, a i ja dołożyłem parę „dosadności”, widząc

w lusterku podchodzących policjantów. Puścił nas zrezygnowany. Podjechaliśmy, gdy odczepiane były liny dźwigu. *Chryste Panie* - jęknąłem widząc potężny próg przed nami. Pod samochodem potężnie chrupnęło i zazgrzytało. Gdy już prawie się zatrzymaliśmy, stojący żołnierze zaczęli nas pchać. Byliśmy na wierzchu - jeszcze żeby tylko udało się zjechać. Tym razem zazgrzytało z tyłu. Pomachaliśmy saperom na pożegnanie. Patrzyli na nas, jak na wariatów.

Zatrzymaliśmy się przed samą Japagą w spokojnym - jak się wydawało - miejscu. Bodek zaciągał się potężnymi machami, a ja klęcząc oglądałem zawieszenie. Nic nie ciekło - jak ten samochód to wytrzymał? - *kończ tego cygareta, bo te świniaki ściągną nam na głowę kłopoty*. Teraz ja prowadziłem - jeden papieros to było dla niego za mało. Nowi właściciele prosił podjęli próbę odwzajemnienia się rodzinie za prezent. Ze zdumieniem patrzyłem, jak ciągną do samochodu worki - chyba z jabłkami. Ich zapał ostudził Bodek, warcząc mało przyjemnie - *nigdy więcej, kuźwa, nigdy więcej. Ty wiesz, co ja przeżyłem? A co ja mam powiedzieć?*

Na drugi dzień do domu po służbie „pikapował” nas Francuz. Jak tylko ruszyliśmy spod stacji, zaczął krzyczeć - *czujecie ten smród, no czy czujecie ten smród?* Dopiero teraz spostrzegłem opuszczone szyby i wyłączoną klimę. *Nie myją się, no jak się nie myją, to powinni chodzić na piechotę* (jaką nację miał na myśli?) - popatrzyliśmy z Bodeczkiem na siebie - to przecież „nasz” peugeot. Z kufra jechało moczem jak I50. Biedne, przerażone „blondynki”...

Ekshumacja

Na odprawie porannej zostałem wyznaczony do asysty Kanadyjczykom w ekshumacji, która miała się odbyć po południu. Podjechali punktualnie. Ich dowódca popatrzył na mnie i zapytał: *masz ubiór do brudnej roboty?* - *To jest mój ubiór do brudnej roboty* - odpowiedziałem wskazując na mój czarny mundur polowy - *Ok*.

Ruszyliśmy w kilka samochodów, niezbyt daleko od stacji. Na miejscu czekało kilka osób z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i chorwacka rodzina, która zgłosiła, iż wynikiem prywatnych poszukiwań zaginionej matki była informacja, że została zabita i zakopana na skraju własnego ogrodu. Żołnierze najpierw sprawdzili teren wykrywaczem metalu, później zaczęli kopać. Po kilkukrotnej zmianie miejsca natknęli się na płytko zakopane ciało. Założyli papierowe kombinezony - ja miałem swój mundur. Córka zabitej była nad wyraz dzielna - łączyła kapoty bezgłośnie, gdy rozpoznawała matkę. Nie był to przyjemny widok. Ciało ułożono w plastikowym pojemniku transportowym i obfotografowano - ot zwykle w tym przypadku czynności. Sięgając po kolejnego już papierosa, zauważyłem żołnierza trzymającego na łopacie jakieś resztki z wystającą kością. Ostrożnie zaczęto pogłębiać wykop. Patolog pochylił się nad dołem i obserwował znalezisko - *to świnia, to jest świnia*. Kuźwa, czy ja tu czegoś nie rozumiem? Jaka świnia, skąd tu świnia? Chyba wszyscy zgromadziliśmy się nad miejscem kaźni, nie zważając na nieprzyjemny zapach. Prace przebiegały teraz dużo wolniej. Po pół godzinie resztki zwierzęcia leżały obok. Nikt nie robił przerwy. Pomyśleliśmy chyba o tym samym, co dwaj żołnierze kopiący nadal w wykopie. Jeden z nich delikatnie zagłębiał łopatę, teraz już w całkiem głębokim dole. Mieli nosa. Ujrzelśmy resztki materiału - nogę, potem drugą. Odwróciłem się i dowlokłem do ławki. Nie byłem nałogowym palaczem, tak mi się przynajmniej wydawało i nie wiem, czy to od tych cholernych fajek tak mnie drapało w gardle, czy wymiękłem. To papierosy, na pewno papierosy, przecież jestem twardzielem. Wydobyto zwłoki. *To je moja majka, sigurno, to majka moja* - córka ze stanowczością, jakiej nie zauważyłem za pierwszym razem rozpoznała już prawdziwą matkę. Kim była więc ta pierwsza? Dowieziono drugi pojemnik. Fotografie zabitych, a może zmarłych? Fotografie zwierzęcia, szkice sytuacyjne - materiał dowodowy do tezy, że tu popełniono zbrodnię wojenną i w tym wszystkim ja - obserwator „z ramienia” policji ONZ. „Kanadole”, młodzi chłopcy stali ze ściśniętymi gardłami, mówili mało. Obserwowałem, jak powoli zdejmowali swoje jednorazowe ciuchy. Ułożyli je na kupce i podpalili.

Do domu wracaliśmy z Bodkiem we dwóch - *tylko żebyś nie wpadł na pomysł wrzucania tego syfu do pralki* - czyta w moich myślach, czy jak? - *I nie próbuj w tym wchodzić do domu* - niebezpieczny facet, pomyślałem, niebezpieczny facet, no czyta... ogarnęła mnie głupawka. Ten stan utrzymywał się również wtedy, gdy stałem w majtkach przed ogniskiem z palącym się mundurem - dobrze, że dostaliśmy dwa komplety.

Kip

Rozmawiając w Gavrenicy z szefem serbskiej milicji zostałem zapytany, czy wiem co Chorwaci zrobili z mieszkańcami wioski Kip - popatrzyłem nie rozumiejąc - *no wymordowali całą wioskę* - kiedy? - *rok temu*. Jak to wymordowali? *No tak, przyjeżdżały w nocy autobusy, ładowali ludzi i wywozili do Marino Selo* - patrzyłem niedowierzająco. - *Są tam stawy hodowlane* - kontynuował. *Zakopali ich w czyszczonym, bez wody, po czym ją napuścili no... i jest problem* - jaki problem? *No bo jak ich teraz odkopać?* - *w lecie się nie da, w zimie też nie bardzo*. *A tak w ogóle, to czy z tym coś robicie?* - co masz na myśli? - *no czy prowadzone jest jakieś dochodzenie w tej sprawie przez UN?* - nie wiem, odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Do tej „rewelacji” podszedłem z dużym dystansem, bo... nie mieściło mi się po prostu w głowie, że mówił prawdę.

Któregoś dnia, będąc na patrolu, wdrapałem się samochodem na górę do hotelu Omanovac. Na posterunku obserwacyjnym, starszy Serb, niepytany, pokazując palcem w dal rzekł - *tamo je Marino Selo* - nic więcej nie powiedział. Szukałem wzrokiem tego czegoś i nie mogłem znaleźć. Po chwili doznałem olśnienia. Pewnie ma na myśli błyszczące na horyzoncie płaszczyzny - to pewnie stawy hodowlane. Coś jednak musi „być na rzeczy” - pomyślałem. Nie byłem więc już zdziwiony, kiedy usłyszałem na stacji rozmowę naszych oficerów dochodzeniowych. Mówili o Marino Selo. Na stacji nie było w zwyczaju przepytывania siebie nawzajem o prowadzone dochodzenia - każdy robił swoją robotę, jak umiał najlepiej. Jednak wkrótce w Daruvarze miałem okazję luźno porozmawiać z policjantem, Chorwatem - *jak to było z Kipem i Marino Selo?* - zapytałem bez ogródek - *wiesz coś o tym?* Odpowiedział po dobrej chwili pytaniem - *a co mieliśmy robić?* - *jak JNA (armia jugosłowiańska) wycofała się z Daruvaru, w Kipie pozostała jej baza - magazyny broni. Zanim wkroczyliśmy, Serbowie przez kilka dni wywozili broń, czym się dało: furmankami, traktorami z przyczepami - i co, na co mieliśmy czekać... aż uzbrojeni serbsey cywile...* A ta setka ludzi wywiezionych do Marino Selo? - *jaka setka, o czym ty mówisz?* - *może w całym tym zamieszanu ktoś zginął, zaginął, może kilka, kilkanaście osób - to były działania wojenne, ale nie setki...* Mój rozmówca się „zaciął”.

Przez Kip przejeżdżaliśmy co najmniej dwa razy dziennie, wyjeżdżając z „naszego” Doljani na służbę do Pakraca - wioskę mijaliśmy już po dwóch kilometrach. Wieś jak każda inna - nic szczególnego - z za szyb samochodu widać było kilkanaście domów rozłożonych po lewej stronie drogi. Czy to wszystko naprawdę się tu wydarzyło?

Urodzić kamień

Doktor miał grubo ponad osiemdziesiątkę i emanowała z niego niezwykła żywotność. Każde słowo, każdy gest były zaprzeczeniem starości. Poznałem go w Šeovicy. Po prostu wyskoczył mi przed maskę samochodu i zmusił do zatrzymania. *Jestem doktorem. Potrzebuję pilnie...* i tu zaczął wymieniać nazwy nic niemówiących mi lekarstw. Prosząc o recepty już wiedziałem, że palnąłem głupotę, przecież nie będą honorowane w Chorwacji - tu apteki nie ma. Widząc moją rozterkę, poprosił, żeby za nim pójść. Od progu domu woń moczu drażniła nos. W pościeli leżał może dwudziestoletni chłopak, wijący się z bólu. Jego twarz wyrażała niesamowite cierpienie. Matka i ojciec chłopaka patrzyli prosząco. Kobieta podniosła ze stolika talerzyk i pokazała małe kamyczki. Eureka! Zrozumiałem, że on je rodzi i ma z tym kłopoty. Nie było na co czekać. Doktor zapisał mi w notatniku, co trzeba i pojechałem na „drugą stronę”. Pierwsza apteka w Pakracu - takich leków nie mamy. Apteka w Lipiku - kobieta w bieli tak zaczęła na mnie krzyczeć, że *bandytom...*, że *mordercom...* Zmyłem się z poczuciem winy i chyba zawstydylenia. Może faktycznie nie powinienem się w to angażować?... Wracam na stację. Rozmawiam z tłumaczką, mówię, co się dzieje i proszę o pomoc, radę, cokolwiek. Dziewczyna przygląda mi się... - *Marek, tu potrzebna jest recepta, bez niej nic się nie da załatwić*. Kurczę, sprawa się komplikuje.

Wracam do Šeovicy, chłopak już nie jęczy - wyje. Lekarza nie ma, poszedł odebrać poród. Tłumaczę, żeby załatwili receptę, pojedę do Okučani, to większe miasto po serbskiej stronie - na oko niecałe 20 kilometrów, może tam dostanę, ale nie można znaleźć lekarza, nie wiedzą, gdzie ten poród. Wychodzimy przed dom. Ojciec chorego częstuje rakiją. Widzi, że zauważam pływające muszki - *ništa, prirodno*. Muszę wracać na stację, dochodzi szesnasta, dla mnie dzień się kończy, pora zdać samochód. Opowiadam Bodkowi całą tę historię. Jest mi głupio. Dla mnie koniec „szychty”. Pewnie tam czekają, że może ktoś od nas przyjedzie, że pomoże, no bo kto inny to może zrobić? W drodze do Doljani patrzę na migające za oknami znajome widoki. Mam coraz większego moralniaka... Następnego dnia rano jadę do chorego. Przyglądam się jego matce, czyż nie uśmiechnęła się? - e tam, chyba mi się wydało. Stoi ze staruszką. Obie kobiety w czerni, od stóp do głów. *To je baka, moja majka*. Chłopak śpi. Kobieta pokazuje kamień „z nocy”. Nic dziwnego, że mu ulżyło, oby na dłużej. W przedpokoju skrzynka piwa, połowa butelek pustych - lekarz kazał. Faktycznie, to lekarstwo jest w miarę dostępne. W drzwiach wejściowych staje młoda kobieta. Rozmawiają z moimi znajomymi. Nevenka - już wiem, jak ma na imię matka chłopaka, referuje - sąsiadka ma problem. Szybko dociera do mnie, że „problem” jest tutaj, po tej stronie, słowem kluczowym. Późniejsze doświadczenie wskaże również jego międzynarodowe znaczenie. Będąc w Peću „na antystresie”, zasypiając zmęczony, usłyszałem - „problem”? Ta kobieta chciała dla małego dziecka koperku do picia, domyśliłem się raczej niż zrozumiałem, bo znaczenia słowa *komorač za male djete* nie znałem.

Daruvar

Zaproszenie na kolację przekazał Vaso. Domek w Doljani to *vikendica* - domek weekendowy naszych gospodarzy, ten właściwy mieli w Daruvarze. Jak się później dowiedzieliśmy, domy do letniego wypoczynku - szczególnie nad morzem - były bardzo modne w Jugosławii. Stanowiły wyznacznik statusu i nierzadko posiadano więcej niż jeden. Wojna pogmatwała wszystko. W sytuacji, gdy prawowity właściciel stał się nagle obywatelem innego państwa, akty własności stały się bezwartościowe. Wyszliśmy z domu około siedemnastej i do miasta zeszliśmy w dół krętą, asfaltową drogą. Zajęło nam to około pół godziny. Schodząc myślałem o czekającej nas drodze powrotnej - pod górę. Miasto wyglądało jakby na dłuższą chwilę ktoś zapomniał o odkurzaniu. No cóż, w czasie wojny są inne priorytety. Mieliśmy chwilę czasu, przysiedliśmy więc zasapani przy stoliku kawiarenki i zamówiliśmy piwo. *Koje pivo? A jakie jest? Imamo Karlovačko i Staročeško iz Daruvara* - oczywiście, że daruvarskie. Napój byłby świetny, ale jak na mój gust, został zbyt mocno schłodzony.

Widok tylu ludzi siedzących przy kawie w kawiarenkach był dla mnie czymś nowym. Jak się później zorientowałem, to taka bałkańska tradycja. W centrum dom towarowy, w uliczce obok poczta, kwiaciarnia na rogu i kino. Idąc wzdłuż rzeczki, minęliśmy budynki uzdrowiska. Jeden uszkodzony bombą lotniczą. Już wiedzieliśmy, że przed wojną leczono tu choroby kobiece, szczególnie niepłodność. Weszliśmy do parku uzdrowskiego. Z sadzawki przed hotelem Termal do lotu próbuje się poderwać odlany z metalu kormoran. Według męskiej populacji miasta, ptak odfrunie w chwili zakończenia turnusu przez choćby jedną kuracjuszkę nieusatysfakcjonowaną pobytem. No cóż panowie, moje gratulacje. Skręcamy w lewo, kolejny mostek i jesteśmy na miejscu. Świetna lokalizacja. Park, rzeczka, termalne baseny, wszystko na wyciągnięcie ręki. Przyniesione kwiaty robią wrażenie. Ivanka promienieje. Na początek po szklaneczce gemisztu, potem rakija - jest świetna. *Pršut* i domowa kiełbasa paprykowa (*kulen*) wręcz wymagają zapijania. Oglądamy dom. Przyglądają nam się nieufnie perskie koty - Ari, olbrzymi owczarek węgierski, domaga się pieszczot. Po małej godzinie przestaję się kontrolować językowo - po prostu się rozumiemy. Zauważam, że posmakowały mi skwarki „na sucho”, posypane delikatnie papryką - kurde, ile to musi mieć kalorii?

W dobrych nastrojach wracamy do siebie. Na rogu Daruvarska Pivovara - to tu produkują ten smaczny napój. Założycielami browaru byli Czesi, którzy są tu liczną populacją - może to tłumaczy piwne tradycje. Po kilkunastu minutach jesteśmy na wylotówce z miasta gotowi do wspinaczki. Machamy przejeżdżającym „Kanadolom” naszymi ID. Zatrzymują się. Na ich jeepie dwie osoby więcej nie robią wrażenia. Oto i nasze Doljani. Siedząc na tarasie, sączymy podarowane wino. Czy pisałem już, że mamy tu niesamowity widok? Z podwórka obok słychać kaszel sąsiada. Nie wiedziałem, że ten starszy już mężczyzna zostanie naszym przyjacielem, ojcem, dobrym duchem i opiekunem, ale najpierw trzeba było go poznać...

Sąsiedzi

Zrobiliśmy party dla sąsiadów. Była najwyższa pora, żeby zakończyć wzajemne podglądanie się. Zaprosiliśmy też Ivankę i Vaso - zawsze to rażniej mieć „wprowadzających”. Sąsiedzi okazali się mili i bardzo nas ciekawi. Przyszli Vlado i Emilija z dziećmi oraz Stepane, oczywiście z Ivanką - swoją żoną. Z niejakim zdziwieniem odkryłem, że nas Polaków postrzega się tutaj przez pryzmat handlarzy, przemytników, itp. Używano słowa, Polak - *švercer*. Dowiedzieliśmy się, że przed wojną Jugosławia stanowiła dla naszych rodaków eldorado. Różnice kursowe walut powodowały napływ tak zwanej turystyki handlowej na masową skalę. Odpoczynek nad morzem musiał się zwrócić i jeszcze można było na tym zarobić. Ivanka śmiejąc się powiedziała, że wszystkie jej biustonosze pochodzą z Polski, a w domu kryształów z Krosna ma bez liku (wyjeżdżając po roku do Polski otrzymałem w prezencie komplet polskich szampanek). Było nam przykro tego wszystkiego słuchać, gdyż każdy z naszych gości dokładał do tego przysłowiowego garnuszka dziegiu coś od siebie. Szkoda, że dopiero rozchodząc się powiedzieli o ich wyjazdach do Polski po garnitury, które kupowano po kilkanaście sztuk, nawet nie przymierzając. Wiedza o tym przydała nam się szybko jako kontrargument przy innych okazjach, gdy dowiadrywaliśmy się, jakimi to my Polacy jesteśmy handlarzami.

Rodzina Vlado była wegetariańska, co ostentacyjnie okazywały dzieci. Chłopiec podnosił do nosa przygotowane przez nas mięsne specjały, mówiąc: *smrdi*. Stepane był Czechem z pochodzenia, podobnie jak jego Ivanka. Naszym gościom nie przeszkadzały napitki. Bardzo szybko obaj panowie zostali naszymi przyjaciółmi, a ich żony... Emilija była piękną i młodą brunetką, nie wypada więc użyć wobec niej słowa „przyjaciółka”, stała się raczej sąsiadką, z którą byliśmy na „ty”, a Stepanowa Ivanka została po prostu Ivką, chociaż z racji jej już dojrzałego wieku „tykanie” przychodziło mi początkowo z trudem. Już wiedzieliśmy, że kaszel poranny Stepane szybko mija, gdy ten zejdzie do piwniczki i wypije dwa kieliszeczki rakii - zawsze miał świetną, a odgłosy jego rozmowy z psem Medo (niedźwiedź) cichły około siódmej. Nie było potrzeby nastawiać budzika. Te i inne doświadczenia bardzo nam pomagały w codziennym życiu. Nasza znajomość zaowocowała zdecydowanym zanikiem sztywnych, sąsiedzkich relacji na rzecz bezpośrednich, niezapowiedzianych i miłych, na przykład dla podniebienia. Gdy po służbie wchodziliśmy do domu, często za nami pojawiała się Ivka z dymiącą jajecznicą. Ale cóż to była za jajecznica...? No miodzio, miodzio i raj w gębie. Moje doświadczenia ze słodką cebulą były w tym czasie mizerne, a z papryką żadne. Kombinacja nowych dla mnie smaków zniewalała. Podobnie było z innymi potrawami, do których używano papryki. Emilija podsylała nam przez córkę słodkości. Wyobraźcie sobie *palacinke*. To naleśniki z czekoladą posypaną orzechami włoskimi. Gdy dziecko przynosi paterę z takim przysmakiem, pozostaje tylko zaparzyć kawę, rozsiąść się wygodnie i rozpocząć biesiadę. Jedną z niewielu potraw, która na Bałkanach mi „nie podchodzi” są *ćevapčići*, zapewne przez specyficzny zapach. Jadłem je mnóstwo

razy w różnych kombinacjach, w tym w miejscu uważanym za najlepsze - w budce na Ilidži w Sarajewie. Przyznaję, że tam, popijane kefirem, smakowały mi najlepiej. Wracając do Stepane i jego piwniczki - oprócz beczek z rakiją miał też pięć beczek wina swojego wyrobu. Rytuał przebiegał następująco: widząc mnie lub Bodka, Stepane chrząkał tak długo, aż został zauważony. Machał wtedy do nas. To było zaproszenie do piwniczki. Beczki z winem stały na drewnianych stelażach, a z rakiją - na glinianej polepie. Był tu wspaniały klimat do przechowywania trunków. Biesiadowaliśmy do północy, a panie kilkakrotnie donosiły swoje specjały. Kończyliśmy imprezę ze smutkiem. Służbę pełniliśmy non stop, również w soboty i niedziele. Wolne oznaczały urlop, który staraliśmy się spędzić w kraju. Tak więc towarzyskie spotkania musiały kończyć się grzecznie i w miarę szybko, żebyśmy mogli zdążyć odpocząć. Nasza znajomość zaowocowała przyjaźnią, która mimo upływu lat dzielnie się trzyma i tak już pozostanie.



Emilija z dziećmi - zdjęcie autora

Nocna akcja

To był już koniec dnia pracy. Z samochodu mającego nas odwieźć do domu „wyciągnął” mnie w ostatniej chwili Olaf. *Pojedziesz z Kanadyjczykami na przeszukanie. Ruszają o 21. Wcześniej podjadą po ciebie.* - *Jakieś szczegóły?* - zapytałem. *Zorientujesz się na miejscu, sam niewiele wiem. Być może to coś na styku z chorwacką policją, dlatego poprosili nas o pomoc.*

Była godzina 16, miałem więc sporo czasu. Aby oszukać głód, poszedłem na *burek*. Popijając kefirem smaczny, nadziewany mięsem placek myślałem o czekającym mnie wieczorze. Pojawili się punktualnie. W poświacie rzucanej przez nieliczne lampy uliczne dostrzegłem przemykające w kierunku stacji patroli piesze - wiedziałem, że to po mnie. Procedura zabezpieczenia placu przed przybyciem „sił głównych” wcale mnie nie zdziwiła. Często obserwowałem kanadyjskie patroli w dzień. Zawsze przestrzegali sobie wiadomych procedur, które czasem wyglądały na przesadzone - nieadekwatne do realiów w miarę „pokojowego” już Pakraca. Chyba dowódcy patroli zameldowali co trzeba, bo wkrótce usłyszałem silniki zbliżających się transporterów opancerzonych - pojawiły się trzy i sporo samochodów terenowych.

Kanadyjski dowódca krótko wprowadził mnie w temat. Szkoła w miejscowości Bučje - kierunek Požega. Mamy informację, że znajduje się tam chorwacki posterunek wojskowy, a kilkunastu przebywających tam ludzi jest uzbrojonych - to sprzeczne z warunkami porozumienia o przerwaniu działań wojennych. Nasze zadanie to przeszukanie budynku... W transporterze było ciasno. Obserwując w słabym świetle milczących żołnierzy zdałem sobie sprawę, że jako jedyny nie mam kamizelki kuloodpornej i hełmu - a to ciekawe. Nie jechaliśmy długo. Pozbawiony dostępu do radia usiłowałem „wydedukować”, co się dzieje. Poczułem, że transporter zjechał z asfaltu. Otworzono drzwi i wojsko pospiesznie tworzyło tyralierę (ja za nimi). Sytuacja rozwijała się dynamicznie. W blasku rakiet oświetlających dostrzegłem, że jesteśmy częścią plutonu posuwającego się gdzieś pod górę. Potykając się w wysokiej trawie, myślałem już tylko o jednym - nie szurać, stąpać z góry - może nie trafię na odciąg? Do budynku wszedłem tuż za pierwszymi żołnierzami, którzy z marszu przystąpili do przeszukania. Już po chwili znaleźli skrzynkę granatów, za moment drugą. Do trzech karabinków AK dołączyły następne. Mężczyzn było siedmiu czy też ośmiu - nie stwarzali żadnych problemów - wyglądali na lekko zdziwionych całą tą sytuacją. Idąc za trójką żołnierzy dostrzegłem, że stanęli przed drzwiami bez klamki, patrząc na nie jakby „bez pomysłu”. Nie namyślając się, sięgnąłem do kieszeni po niezbędnik, z którym nie rozstawałem się i końcówką chwytu łyżki przekręciłem otwór w zamku. W sekundzie spłynęło na mnie otrzeźwienie - ogarnął mnie strach - przypomniały się wszystkie ostrzeżenia i szkolenia o sposobach podkładania wybuchowych „niespodzianek”. Trzymając zamknięte (przyciąganych do siebie łyżką) drzwi, zastanawiałem się, co począć. Spojrzałem kątem oka na żołnierzy - chyba na to nie wpadli - stali tuż za mną. Wyjąłem łyżkę, oczekując... Drzwi otworzyły się, ale najgorsze nie nastąpiło... znowu mi się upiekło.

Po kilkunastu minutach było po wszystkim. W jednej z sal lekcyjnych dowodzący przyjmował raporty dowódców drużyn. Liczono skonfiskowane uzbrojenie itp. Usiłowałem zrozumieć, co mówił do swoich podwładnych. Gdy zwrócił się do mnie dziękując za wsparcie, czułem się jednym z nich - zebrałem oklaski... to klaskanie... to jakaś moda. Gdy ucichło, zorientowałem się, że wszyscy patrzą na mnie oczekując... no tak chłopie, teraz twoja kolej. Patrząc na zmęczone, ale też zaciekawione twarze nie układałem „mowy” - powiedziałem to, co czułem... *It's first time I've participated in the Canadian army operation. I've seen your commitment and professionalism. It was a good job. I wish all of us a safe return to base...*

I co nastąpiło?... nie mylicie się... oklaski.

Przyjazd „Długiego” i Mariusza

Od paru dni wiedzieliśmy, że kolejna grupa z Polski wylądowała i jest „trzepana” w Zagrzebiu. Po porannej odprawie poszliśmy z Bodeczkiem do kafejki na kawę. Zauważyliśmy, że rytuał jej picia tak się już utrwalił na stacji, że właściciel chyba specjalnie dla nas dostawił stoliki. Jak zwykle wysepiłem od Bodka papierosa. Mieliśmy rozmawiać o nowych Polakach, którzy - jak już wiedzieliśmy - mieli przydział do Pakraca, nie było jednak jeszcze decyzji personalnej, którzy to będą, nie wiedzieliśmy też, czy ich znamy. Nasza ciekawość miała być zaspokojona w południe. Teraz rozglądaliśmy się po lokalu. Właściciel, jak głosiła fama, był niezłym „fajterem” w czasie wojny. Zdjęcia jego i wielu innych chorwackich żołnierzy wisały na ścianach. Podobno wstawił się zestrzeleniem tu w miasteczku serbskiego śmigłowca - ich baza była w niedalekiej Banja Luce. Jak zwykle z zaciekawieniem obserwowałem ceremoniał parzenia kawy, a raczej usuwania pozostałości po procesie parzenia. Facet odłączał od ekspresu pojemnik z fusami i tłukł nim zapamiętane o szufladę wytrzepując zawartość. Nie wiem dlaczego, ale bardzo mi się ta chwila podobała. Do kawy podawano szklankę wody. Jak zauważyliśmy, nasi koledzy z Afryki czasem odwiedzający lokal zamawiali tylko wodę, co nie bardzo podobało się kelnerom. No cóż, chcąc obsłużyć licznych gości, musieli robić coś, z czego nie było kasy - mogło to być frustrujące, przyznaję. Nie zauważyłem jednak nigdy, żeby tej wody odmówiono. Ktoś, nie pamiętam już kto, wbił mi do głowy zamówienie - *dupla sa šlagom* - podwójna ze śmietanką i tak już mi pozostało. Filiżanka kawy w tym zestawieniu dawała niezłego kopa, tym bardziej że nie zapijałem wodą. Posiedzieliśmy tam godzinę, nie mieliśmy bowiem ochoty wychodzić na zewnątrz, gdzie panował upał, ale w końcu się ruszyliśmy.

W grafiku miałem patrol do Šumetlicy, a Bodek jakieś sprawy administracyjne na stacji. To spory dystans do przejechania. Były dwie opcje: po górach w warunkach terenowych - lubiłem ten wariant - lub po asfalcie, całkiem „lajtowo”. Dzisiaj wybrałem drugą opcję, wszak ciekawość nowego kolegi i jego właściwe przyjęcie przez „ziomali” było priorytetem. Šumetlice są dwie, Dolnija i Gornija. Gdy wyjeżdżało się od strony górskiego kompleksu leśnego - wariantem terenowym, oczom ukazywała się wieś rozciągnięta wzdłuż drogi i strumienia. Bieda i trudne warunki życia były widoczne na każdym kroku. Komunikacja prywatna praktycznie nie istniała z powodu braku paliwa i tylko z rzadka kursowały użyczone cywilom wojskowe pojazdy. Oprócz uśmiechów i ciepłych rozmów niewiele mogliśmy pomóc, a pomoc by się przydała. Dzisiaj widziałem młodą dziewczynę z dzieckiem przy piersi. Prosiła o mleko dla małego - zapisaliśmy namiary, ale kiedy i czy w ogóle Międzynarodowy Czerwony Krzyż tu dotrze, tego nie mogliśmy powiedzieć. Ludzie zdawali sobie z tego sprawę i nie oczekiwali od nas wiele.

Po powrocie na stację nie zdążyłem zamienić nawet paru słów, gdy z podjeżdżającego samochodu wysiadł kto?... No oczywiście - „Długi”, a za nim... - *Mariusz jestem - chorągiem sieradzka*. Spojrzałem zdziwiony - *no, z Sieradza jestem* - i już mi się podobał. Wyglądali imponująco w czarnych mundurach polowych. Nawiasem mówiąc nasze czarne mundury kojarzyły się miejscowym z siłami specjalnymi swoich wojsk i często pytano mnie - *vi ste specjalac?* Moje tłumaczenia, że nie, że to mój mundur polowy przynosiły odwrotny skutek - utwierdzali się w przekonaniu, że kłamię.

„Długi” podzielił się nowinami. W Zagrzebiu angielskiego nie zdało dwóch naszych. Któż był wśród nich? - tego bym nigdy nie zgadł. Wymieniłbym wszystkich tylko nie „Rodzynka”. Pamiętacie go z Kielc? No nic, przejdzie za dwa tygodnie, pewnie stres, każdego mogło to spotkać, ale jego? Nasza pewność jego płynnego angielskiego przerodziła się w wątpliwości skierowane pod adresem zespołu egzaminacyjnego. Doszukiwaliśmy się spisku dziejowego przeciwko nam - Polakom. Pytaliśmy o skład komisji, może jakaś nacja nienawidząca nas w szczególny sposób itd. - żeby nie przynudzać, po dwóch tygodniach z dwóch naszych przeszedł jeden. Odpadł kto? - „Rodzynek”. Podobno komisja bardzo się starała wyciągnąć z niego w naszym rozumieniu świetny angielski, ale nie mogła nawet tego podstawowego. Kurczę jak to można się pomylić. Do dzisiaj zazdroszczę mojemu koledze tej pewności siebie i wiary, że nikt nie zauważy, że „nie wiem, nie znam się”. Ale jak on się wśród nas znalazł? Tego typu wiadomości rozchodziły się po misji błyskawicznie - nam pozostał wstyd.

Chłopaki mieszkania znaleźli w Daruvarze. W sektorze było nas już siedmiu.

Standby

Ten dyżur wprowadzono na stacji od niedawna. Zasada była prosta. Oprócz normalnych służb, rotacyjnie wpadaliśmy na dwa tygodnie w grafik kandydatów do wyjazdu w zapalne rejon - słowem tam, gdzie nikt o zdrowych zmysłach jechać nie powinien i nie powinien wysyłać cywili, a my byliśmy Cywilną Policją ONZ. Policja powinna przystąpić do pracy w rejonach, gdzie wojsko zaprowadziło już - mówiąc wcale nieżartobliwie - „ład, porządek i dyscyplinę”. Żeby wspomóc międzynarodowe siły wojskowe i polepszyć samopoczucie siedzących na ciepłych posadkach zawodowych urzędników ONZ, któryś z nich wymyślił skierowanie do Sarajewa, Mostaru i w inne „ciekawe” miejsca policjantów. Było na to stanowczo za wcześnie, tam ciągle strzelali do siebie. Potrzeba pokazania międzynarodowej opinii skutecznego działania ONZ na Bałkanach okazała się ważniejsza od zdrowego rozsądku. Zapomniałem już o tej liście, gdy fortuna odwróciła się ode mnie ostatniego dnia. Rano na odprawie usłyszałem... - *Marek, it's your turn, Mostar is waiting for you. Departing time 10.00 hrs.* Byłem pierwszym policjantem z naszej stacji, który dostał tego „zaszczytu”. Do domu Bodek odwiózł mnie nowiutkim cherokee. Oflagowany samochód robił wrażenie. Sąsiedzi przyglądali się krzątaniu. Pakowałem tylko niezbędne rzeczy, ale i tak sporo się uzbierało. Z takim wyjazdem zawsze był problem. Chociaż mi powiedziano, że jadę na dwa tygodnie, podejrzewaliśmy z Bodkiem ściemę i - jak się okazało - mieliśmy rację. Nasz sektor wystawiał jeden patrol. Z naszej stacji ja z pojazdem i trzech patrolowych z Okučani. Miałem ich zabrać w drodze do Zagrzebia. Przed stacją w Okučani stali ludzie raczej ciemnej karnacji: dwóch Hindusów i Nepalczyk. Jak mi powiedzieli, żaden nie miał prawa jazdy. Szykowała się niezła jazda. W Zagrzebiu pobraliśmy suche racje żywnościowe, krótka odprawa z naszym nowym szefem. Duńczyk był wojskowym, to było widać i słychać. Chociaż się starał, nie mógł zapomnieć przez lata wpajanego drylu i komend. Wyglądało na to, że jesteśmy przykrywką dla wszelkiej maści międzynarodowych szpiegów poprzebieranych w policyjne mundury. To wrażenie nie opuściło mnie do końca, a fakt, że na patrole jeździli bez nas, tylko mnie w tym utwierdzał.

Ruszyliśmy z Zagrzebia czterema pojazdami późnym popołudniem, aby przez Karlovac dotrzeć do Zadaru, gdzie nocowaliśmy. Po drodze poznawałem moich nowych kolegów. Wszyscy byli wysokimi rangą oficerami policji, a Nepalczyka podejrzewaliśmy (nie tylko my), że jest generałem. Miał potężne złote epolety, ale z racji znikomej znajomości języka misyjnego prawie się nie odzywał. Miał dobry sposób. Jak widział, że się do niego podchodzi - od razu sięgał po papierosy i częstował. Szybko odkryłem, że załogę naszego jeepa można by porównać do żołnierzy z filmu „C.K. Dezerterzy”. To łaziki w każdym calu i do tego niesłychanie inteligentni. Zaczynało mi się to coraz bardziej podobać, zwłaszcza że z każdym kilometrem bezpiecznie przewiezionych tyłków ich szacunek do mnie wzrastał. Drugiego dnia dojechaliśmy do Splitu, omijając Šibenik na pokładzie promu, bo „tam strzelają”. Pamiętam, że słono płaciliśmy z własnych kieszeni za morską przygodę i ten wyjazd szczególnie. Pierwszy zaczął narzekać Chandra. Temat pozostawionych wynajętych domów to jedno, a płacenie za hotele to drugie. Praktycznie to my sponsorowaliśmy ONZ. W hotelach nie było litości, mimo braku turystów. Łoili nam skóry, aż miło. Chandra, rzucając od tak sobie od niechcienia „tezy” związane z utratą kasy,

sprawił - co gdy się zorientowałem, wprawiło mnie w osłupienie - że na pokładzie zapanował wrzask trudny do opisania. Każdy z nas wydierał się, protestując przeciwko niesłychanemu wyzyskowi, nie zważając na innych. Nawet generał krzyczał: yes, yes - dalej nikt go nie rozumiał. Ze zdenerwowania sięgnął po papierosa. Dym zakończył dyskusję, bo teraz obaj niepalący Hindusi wsiedli na niego, że to niby im szkodzi. Szybko wyrzucił papierosa przez okno, a ja na zakrętach długo w lusterkach wypatrywałem, czy nie zapalił suchej trawy. Przed hotelem mieliśmy krótką odprawę. Zapamiętałem, że w Mostarze snajperzy obu stron strzelają, żeby zabić (okazało się, że też mają poczucie humoru) i że w związku z tym będziemy tam jeździli tylko na patrole. Mieszkaliśmy w Medjugorje. Nie przespałem tej nocy. Rano siedząc na pustym moście napisałem list do domu i było mi bardzo nijako - list nigdy nie dotarł.

Droga wiała się wybrzeżem tworząc niesamowite serpentyny. Otaczały nas urwiska, dzika przyroda, urokliwe zatoczki z palmami i lazurową wodą. Wspaniałe widoki pozwalały na chwilę zapomnieć o celu podróży. W jednej z takich zatoczek na chwilę się zatrzymaliśmy. Woda zachęcała do kąpieli. Niewiele myśląc, tak jak stałem, w butach, wszedłem do wody po kolana, żeby się ochłodzić - zrzuciłem tylko kurtkę. Obmywając tors słyszałem, jak pozostali odpalali silniki. Już w samochodzie poczułem się dziwnie. Zaczęło mnie swędzieć i szczypać. Na rękach odkryłem skorupę soli. To było nowe doświadczenie. Na szczęście wkrótce zatrzymaliśmy się na kawę. Wszyscy do stolików, a ja do łazienki. W małej umywalce jeszcze mniejszy kran z ledwo cieknącą wodą, słodką wodą, musiał wystarczyć - chlapałem się bez opamiętania. Widok Makarskiej Riwieri był kwintesencją tego, co dotąd widzieliśmy. Piękno tego miejsca wzbudzało zachwyt. To był kurort przez wielkie „K” położony pomiędzy lazurowym morzem a potężnym zboczem górskim. I tylko ta uderzająca pustka. Gdzie są ludzie? Gdzie ten zgiełk? Gdzie samochody turystów? Nikogo tu nie było. W uszach dzwoniła cisza. Do Medjugorje przebijaliśmy się równie pustą wąską asfaltową drogą. Ze dwa razy pomyliliśmy drogę, by w końcu dotrzeć na miejsce. Pierwsze dwa dni spędziliśmy w świeżo zbudowanym domu, który właściciel przystosował na potrzeby hotelu dla przybywających do świętego miejsca pątników. Ponure wąskie kłitki mogły wpędzić w klaustrofobię. Spędzaliśmy więc czas na dachu. Później przenieśliśmy się do innego hotelu o nieporównywalnie lepszym standardzie. Wydawało się, że całe miasteczko żyło tu z ludzi pragnących obejrzeć miejsce cudu.

Dwa tygodnie spędziliśmy w hotelu nie robiąc nic. Do Mostaru nie można było jechać ze względu na ciężki ostrzał. Gdy powoli zaczęliśmy się przyzwyczajać do nieróbstwa, padło hasło - jutro pierwszy patrol. Wśród mojej załogi zauważyłem podniecenie, sytuacja wyjaśniła się, gdy Prem - niby to oglądając moją kamizelkę - zauważył, że jest kuloodporna, a oni mają tylko przeciwodłamkowe. Tak kombinowali, tak urabiali Duńczyka, że w patrolu znaleźli się tylko posiadacze kuloodpornych. Do Mostaru pojechaliśmy w dwa samochody. W każdym kierowca i jeden oficer - więcej kuloodpornych kamizelek nie było. Ostatni odcinek stanowiła droga - zygzak wybudowany chyba przez spychacze w zboczu góry. Tędy wjeżdżano do miasta unikając ostrzału z muzułmańskiej strony. Pamiętam, że gdy później jeździliśmy w pełnym składzie, cherokee z najwyższym wysiłkiem na jedyńce wdrapywał się w drodze powrotnej pod górę - upał i stromizna robiły swoje. Tego dnia byliśmy tylko po chorwackiej stronie - miasto było wymarłe. Jeździliśmy pustymi ulicami, wsłuchując się w odgłosy wystrzałów dobiegających

z dachów. Doceniłem teraz uzgodnienia naszego dowódcy z walczącymi. Wiedzieli, że jesteśmy. Jeżdżąc kombinowałem, żeby flaga ONZ była w pełnej krasie, co nie zawsze się udawało. Podjechaliśmy nad rzekę. Staliśmy w terenie otwartym. Wystrzały ucichły. Dotarło do mnie, że jesteśmy oglądani w celownikach optycznych - ciarki przechodziły po plecach. Pojechaliśmy oglądać budynek, w którym mieliśmy otworzyć pierwszą stację policyjną ONZ w Mostarze. Nasz wódz zniknął wewnątrz. Z wieżowca obok poszła seria - huk świadczył o dużym kalibrze - musieli to cholerstwo wtaszczyć na górę w częściach. Powrót był ulgą. Rezultatem rekonesansu była decyzja o odstąpieniu od otwarcia stacji. Było na to za wcześnie. Teraz jeździliśmy do Mostaru *to be visible*. Wjeżdżając do miasta od strony muzułmańskiej trzeba było poczekać, aż ktoś z posterunku usunie miny przeciwpancerne ustawione w poprzek drogi. Mieli fajny patent. Miny były przywiązane do liny i gościu ciągnąc za jej koniec ściągał na bok wszystkie naraz. Widać było, że mają tu ciężko. Droga wiodła między domami. Za tymi po lewej stronie można się było ukryć przed ostrzałem z chorwackiej strony - przylegały do rzeki. Te po prawej stronie już takiego bezpieczeństwa nie zapewniały. Nasz przewodnik na małym cmentarzyku pokazywał świeże mogiły. Na nagrobkach zdjęcia młodych ludzi. Z bramy zrujnowanego domu podeszła do mnie młoda kobieta. Gdybym to ja ją wcześniej zauważył, z pewnością wzbudziłaby moje zainteresowanie. Krótka ostrzyżona, w czarnej kamizelce kuloodpornej była jedyną oprócz nas posiadaczką takiego sprzętu i to na dodatek typu ciężkiego. Przedstawiła się - Maria, Maria Wiernikowska, jestem reporterką... ktoś by nie znał tej postaci?. Patrzyłem na tę odważną kobietę z zaciekawieniem. Przyjechała do Mostaru dużym fiatem zrobić reportaż. Samochód się psuł po drodze, ale jakoś dojechała. Pytała, co tu robimy, i ogólnie - o nas. Usiłowała dowiedzieć się, ile tak naprawdę zarabiamy. Moje wyjaśnienia, że to tylko dieta, że musimy za to się utrzymać - hotele, wyżywienie itd., nie przekonywały. Widzieliśmy się jeszcze przez chwilę następnego dnia.

Nasz przewodnik pokazał nam z daleka studnię - była na otwartej przestrzeni. Według niego to jedyne miejsce, z którego mogą czerpać wodę pitną - *zaczęliśmy wysyłać dzieci, bo dorosłych zabijają, zresztą do dzieci też czasem strzelają*. Sytuacja muzułmańskiej części miasta była nie do pozazdroszczenia. Otoczeni, w kleszczach Serbów i Chorwatów, mieli marne szanse. Pojazdy międzynarodowe były przeszukiwane przez jednych i drugich. Były próby wwiezienia broni, o żywności nie słyszałem, jak więc żyją? Kolejnego dnia jedziemy do więzienia. Jest po chorwackiej stronie. Zostaję w samochodzie z Nepalczykiem. Upał zmorzył mojego kolegę. Ostrożnie podchodzą dzieci. Są ciekawskie, jak wszędzie na świecie. W lusterku widzę jak chłopiec wspina się na palcach, wskazuje Nepalczyka i mówi - *general, tamo je general*. I niech mi kto powie, że myliliśmy się.

Po południu Perm wszedł do pokoju z informacją, że na dole czeka na mnie kobieta. Pomyślałem o Marii, ale nie, była dużo młodsza... mieszkam w Mostarze, mąż jest Chorwatem. Jest mi ciężko, małe dziecko, kłopoty z żywnością - nie czekam dalej, zapraszam do pokoju, zamawiam kawę. Dziewczyna snuje przygnębiającą opowieść. *Chciałabym wrócić do Polski, ale nie mogę, poza tym...* same przeciwieństwa losu. Słyszac, że „biją naszych”, pozbywam się zapasów. Oddaję wszystkie polskie konserwy, jakie przywiozłem. *Jestem z Tarnowskich Gór,*

rodzina kolejarska... Zapraszam dziewczynę, aby wpadła z mężem następnego dnia. Zbieram wśród chłopaków, co się da. Przyszli. Nie dokończę tej historii, bo nie chcę nikomu wyrządzić krzywdy, a pamięć akurat w tym przypadku trochę mnie zawodzi. Mario, czy to Ty pomogłaś wyjechać jej i dziecku do Polski?

Następnego dnia w hotelu odwiedza nas Francuz. Przedstawia się krótko - *Pierre, strzelec wyborowy*. Kurde, gdzie ja jestem? Pytam o Polaków - tak, mamy jednego, ale powiedział, że do rodaków nie przyjdzie. Nie mówi nic o swojej „robocie”. Dowiadujemy się, że jeżdżą białym transporterem. Dlaczego białym? - przecież to kolor ONZ - *no właśnie* - rzucił porozumiewawczo.

Obiady i kolacje jedliśmy w *campie* hiszpańskiego batalionu rozlokowanego w bungalowach ośrodka, chyba hotelowego, na skraju miejscowości. Były to moje pierwsze doświadczenia z hiszpańską kuchnią - same pozytywy. Z zaciekawieniem obserwowałem organizację czasu wolnego żołnierzy. W sali telewizyjnej można było obejrzeć filmy z uroczystości pułkowych. Obok sztandaru maszerowała koza, maskotka jednostki. Nie było tygodnia, żeby nie zapraszali nas na jakieś imprezy. Trafiło się też święto batalionu. Spóźniłem się na początek przyjęcia w sali bankietowej, gdyż przyglądałem się, jak przyrządzali na zewnątrz potrawy. Sangrię trudno było wówczas dostać w Polsce, ale nie było to niemożliwe. Tutaj, do olbrzymiej kadzi wlano wino i stopniowo dodawano świeże owoce. Wierzcie mi, tak przyrządzona jest o niebo lepsza od tej sklepowej z pękatych butelek. Ale jak już mowa o winie - oficerom należał się ten szlachetny trunek do obiadu i kolacji. Potężnych rozmiarów kubas nie robił na mnie wrażenia, ale od czego inwencja? A było to tak. Moi Hindusi bardzo przestrzegali, aby nie mieć najmniejszego kontaktu z mięsem wieprzowym. Asystowali mi przy posiłkach, czekając na sygnał - jeść lub nie. Odkryli bowiem, że parę razy, pewnie przez przypadek, wprowadzono ich w błąd. Pilnowali się mnie wierni niczym Kiemlicze i bolało ich bardzo, gdy nie jechałem na kolację. Zjeść dobrze lubili, a tu ten Marek, jedyny kierowca się odchudza. Zasygnalizowałem, że dla jednego kubka wina to szkoda fatygi - mówię Wam, to byli bardzo, ale to bardzo inteligentni oficerowie. Im nie wolno też było pić alkoholu, ale zakaz nie obejmował transportu wina na tacy. Brali więc przydział i oddawali mi przy stoliku. Robili to ostentacyjnie, żeby nikt nie powziął nawet najmniejszego podejrzenia, że sami kosztują, bo przecież, kto tu mówi o picciu. Wracając do święta batalionu. Gdy już się przedarłem do środka, obserwując w tak zwanym międzyczasie, jak żołnierze petują butami papierosy na lśniących marmurowych posadzkach (a fuj), zobaczyłem taki oto obrazek.

Z kuchni na wysoko uniesionych tacach kelnerzy wnosili mięso, kierując się do pustych stołów stojących przy dowódcy batalionu. Ale po paru krokach kelnera tace były puste. Wiara czerpała garściami. Tace wnoszono jedną po drugiej i pomimo „szabru” w końcu zaczęły zbliżać się do mnie. Gdy i ja zgarnąłem to coś z tacy, a był to jakiś kościsty mały kawałeczek, mięso stanęło mi w gardle. Smakowało jakoś tak, nie wiem jak, ale konsystencja była mi obca. Szturchnąłem Hiszpana pytając, co to jest, ale nie władał jedynie słusznym językiem misji. Dostrzegłem jednak uśmiechniętych Hindusów. W dłoniach trzymali kawałki mięsa i nie pytając mnie, czy mogą, pałaszowali. Było to tak zadziwiające, że torując łokciami drogę znalazłem się przy nich, pytając: *what are you eating my friends?* - *Marek you really don't know?* - *this is goat!, goat!* Chryste

Panie, Jezusie Nazareński, wpięprzają koźlinę i poznali ją po zapachu - ot i koneserzy.

Jeden z mostarskich patroli utkwiał mi w pamięci szczególnie. Z ramienia ONZ zabezpieczaliśmy rozmowy pomiędzy przedstawicielem Bośniaków a niejakim Juką, również Bośniakiem, który przeszedł na stronę Chorwatów i stworzył oddział składający się z przestępców, zwyrodnialców itp. czarnych charakterów. Bardzo skutecznie „oczyszczał” ze swoich rodaków chorwacką część miasta. Mordy, gwałty i grabieże były na porządku dziennym, a okaleczenia w postaci obcięcia uszu były najłagodniejszym ostrzeżeniem przed tym, co miało nastąpić w przypadku niewyniesienia się na drugą stronę rzeki. Już sam widok tego watażki budził grozę. Na miejsce spotkania obaj panowie przybyli niemal jednocześnie. Ochronę Juki stanowiły skąpo ubrane, uzbrojone po zęby młode kobiety o nieprzeciętnej urodzie. Było ich kilkanaście. Jedna stała tuż przy mnie, patrząc z politowaniem na moją kuloodporną kamizelkę. Mercedes klasy S Juki był wielki jak czołg, tak mi się wtedy wydawało - ktoś z przekąsem zauważył - „pewnie właściciel nie żyje”. Bośniak - patriota - był mężczyzną w średnim wieku i chyba przyszedł pieszo. Już w wejściu Juka dał się na niego niesamowicie, wymachując przy tym rękoma. Zrobił ruch jakby chciał uderzyć - panowie zniknęli w budynku. Przyglądałem się ochronie próbując odgadnąć, według jakiego klucza uzbrojono panienki, ale nic mi nie przyszło do głowy - dziewczyna miała na pasie dwa granaty. Jeden czarny, drugi zielony. Spotkanie nie trwało długo. Gdy wychodzili, Juka cały czas krzyczał gestykulując. Definitywne rozstanie przypieczętował opluwając swojego rozmówcę. Pojechaliśmy za nim do innego budynku, już bez „patrioty”. Nie pamiętam już, kto z tym bydlakiem dalej rozmawiał, ale w oczach mam ciągle widok wyjeżdżającej po spotkaniu S-ki rozdzierającej swoje bebechy na wystającym z betonu elemencie bramy. Pojazd zniknął za zakrętem, pozostawiając na asfalcie smugę oleju z rozdartej miski olejowej. Rozmowy nic nie dały.

Minął już miesiąc i moje łażiki burczały coraz głośniejsze o potrzebie powrotu - bez najmniejszego odzewu ze strony Duńczyka, wodza naszego umiłowanego, który w niebie króluje... Wybaczcie mi to pobożne natchnienie. Wiadomość, że ma nas odwiedzić *Commissioner* wzbudziła zainteresowanie. Szef misji przyjeżdża do nas - chudopachołków - i to już jutro. Było mi przyjemnie, że nasza praca miała zostać doceniona - *może da nam medale?* - nieśmiało zapytał Prem. Rano mieliśmy Mostar, nie było więc sposobności, wieczorem już odpoczywał. Następnego dnia podobnie - pojechał z żoną na górę, gdzie Matka Boska się objawiła - *co? To on jest z żoną?* - my patrolmeni jęknęliśmy niemal jednocześnie. Spotkaliśmy się trzeciego dnia na śniadaniu. Kanadyjczyk przedstawił nam swoją żonę i wyjawiał tajemnicę, no nie - bez żartów nie fatimską, ale wynikało z niej, że zaraz po śniadaniu wraca do Zagrzebia. Zapadła śmiertelna cisza, tak niespodziewana była ta wiadomość. Nasz główny szef brnął dalej - niestety mój urlop się kończy... *co? To on był tutaj na urlopie?* - chyba wszyscy zdaliśmy sobie sprawę z naszej naiwności i bzdurnych oczekiwań. Pierwszy zaatakował Chandra. Wstał i w pozycji na baczność zameldował - *wyjechałem na dwa tygodnie - w wynajętym domu pod podłogą mam schowane wszystkie moje pieniądze i jak je stracę, to... i łapiąc powietrze zakończył - oskarżę o to Pana.* Nie zdążył dokończyć, gdy generał zaczął krzyczeć: *yes! yes! me to! me to!* - on mówi, on mówi - dotarło do mnie, gdy już Perm rozpoczął o swoich pieniądzach, też ukrytych pod podłogą.

Duńczyk nie wytrzymał, zapewne przypomniał sobie o swojej funkcji. Próbował nas uciszać, ale niewiele to dało. Wszyscy, jeden przez drugiego mówiliśmy. Harmider przyciągnął właściciela hotelu i jego żonę. Mieli niezły ubaw. Gdy wyglądali zza zastony, między uchyloną materią zauważyłem zielone skrzynie. To oni tu trzymają broń? No cyrk to mało i ta broń na parterze. To by się zgadzało z plotką, że właściciel naszego hotelu jest dowódcą miejscowej samoobrony czy czegoś podobnego. Jaja, jaja jak arbuzy. Całą tą sytuacją najbardziej zaskoczona była małżonka szefa. Eksplozja naszych emocji nastąpiła w chwili, gdy otworzyła kartonik z miodem. Zastygła patrząc na męża... miód spływał obok talerzyka.

Historia miała swój finał parę dni później. W Kwaterze Głównej Misji zdecydowano o naszym powrocie do macierzystych stacji. Wracaliśmy tą samą trasą. Jadąc z Zagrzebia do Daruvaru, zauważyłem, że nawet cherokee jakby rażniej ciągnął. Bodek zorganizował wystawne party powitalne, na które przyszli sąsiedzi. Postrzępioną flagę UN z mojego samochodu mam w domu do dziś. Jej historii nikomu nie opowiadałem, a sporo widziała. W czasie mojej nieobecności na stacji zaszły zmiany. Cieszyły zwłaszcza te dotyczące Polaków. „Długi” został team leaderem, a Mariusz szefem transportu - MTO (Moto Transport Officer) - nasza czwórka nie była już żółtodziobami - okrzepliśmy.

Nowi monitorzy

Na stacji byli Kenijczycy, dzisiaj przyjechali trzej Nigeryjczycy. Od swoich afrykańskich kolegów różnili się bardzo - przede wszystkim byli czarni, jak smoła i potężnie zbudowani. Nie byli to również zwykli policjanci. Na każdym kroku podkreślali swoją wyjątkowość - *we came from our ministry*. Przed udaniem się na poszukiwanie miejsca zakwaterowania, tradycyjnie Olaf zdecydował o zapoznaniu nowo przybyłych z rejonem pełnionej służby - padło na mnie. Pamiętając o moich początkach, nie chciałem przedobrzyć, nie za dużo na raz. Myślałem o wjeździe do hotelu Omanovac, skąd rozciągał się wspaniały widok lub na wzgórze za Lipikiem, obok wytwórni wody mineralnej, skąd panorama była równie wspaniała. Ubrani w swoje szaro-czarne mundury ze sznurami, trzymając w dłoniach wielkie skórzane teczki (gdzie oni zdążyli je kupić?), czekali obok cherokee. Gdy już pierwsze lody zostały przełamane, nieoczekiwanie poprosili o pokazanie pól uprawnych. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby pokazać im, jak wyglądają te nieuprawiane, na których wojna odcisnęła piętno. W zasadzie to jedna droga - pomyślałem i pojechałem do Donjego Čaglića, gdzie można było z głównej drogi skręcić w prawo. Były tam olbrzymie połacie pól zarośniętych chaszczami wysokimi na 2 - 3 metry z drogą wijącą się wąskim asfaltem. Żadnych ludzi, miejsce wymarłe. Tylko żmije i czasem posterunki żołnierzy jordańskich, którzy przyjacielsko częstowali herbatą z *mirra miją*. Wkrótce byliśmy wśród zapuszczonych pól. *Bush, bush* - skomentowali chłopcy. No faktycznie, mogło to wyglądać jak busz. Prowadziłem powoli, w każdej chwili gotowy zahamować, gdyby zza zakrętu wyskoczył pojazd Jordańczyków nieprzyzwyczajonych do innych samochodów w tym miejscu. Po pół godzinie „zwiedzania” zatrzymałem się na małym mostku. Czasem obserwowałem z niego wylegające się na kamieniach strumyka żmije. Przypominałem, żeby nie schodzili z asfaltu, „bo miny” i częstowałem się śliwkami, po które można było sięgnąć z asfaltu. Chłopaki pałaszowali również, gdy się zorientowałem, że jednego brakuje. Gdzie on do diabła się podział? Przeszliśmy kilkanaście metrów wołając, ale bez odzewu. Jeszcze chwila niepokoju i widzę go - jest, stoi, tak na oko z 10 metrów w zieleni po lewej stronie. Coś krzyczy i znika - chyba kucnął. No tak, wlaź tam za potrzebą. Ogarnia mnie takie wkurw...e, że zaczynam krzyczeć. *Don't move, don't move - stay there without moving - Why?* - no nie, jeszcze pyta dlaczego - *I told you this area is heavily mined - now, you have to stay and wait for help if you want to see beautiful Nigeria*. Do pozostałej dwójki dotarło, co się stało. Zaczęli mnie wspierać już niekoniecznie po angielsku, a gość stał z opuszczonymi spodniami i bezradnie patrzył. Wywołałem stację. Chyba tam się zakotłowało, bo zaraz miałem Olafa na linii - *what do you suggest?* - *The safest is lift option - Canadians have such a lift, what do you think?* Jak mi Bodek później opowiadał, nasz dowódca, początkowo szarpał wąsa wkurzony, po rozmowie z „Kanadolami” (bardzo poważnie potraktowali prośbę o pomoc) uznał mój pomysł za oryginalny i dla wszystkich bezpieczny. Gdy w końcu uczepony ramienia dźwigu nieszczęśnik został postawiony na asfalcie, oklaskom i wiwatom nie było końca. Wydarzenie było komentowane przez kolejne dni podczas porannych *coffee time* - z upływem czasu coraz mniej poważnie. Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby Kanadyjczycy zaliczyli akcję do tych z gatunku bojowych. Tak to zwykły rekonesans przerodził się w historię, która zapewne nie tylko mi pozostała w pamięci.

Urlop

Przygotowując się do urlopu, już parę tygodni wcześniej kreśliłymi możliwe trasy, zliczałem kilometry - nastrój podkręcał się jakby sam. Wiedzieliśmy już, że krótsza trasa wcale nie oznacza szybszej. Nasze błędzenie w Czechach czy Słowacji, gdzie przystawiony diabeł mówi dobranoc, wyleczyły nas ze skrótów. Ostatnio jak dotrzeć do głównej drogi tłumaczyli nam dobrzy ludzie opuszczający Dom Smutku. Dlaczego u nas jest to dom pogrzebowy? Jakże to ponure słowo, a Dom Smutku? - mnie się podoba, Bodeczkowi też. Trasę można było zliczać na wiele sposobów, ale czasu nie dało się oszukać. Do granicy węgierskiej było 2 godziny, Węgry pokonywaliśmy w 4 godziny, na Czechy i Słowację też trzeba było liczyć czwórkę. Jakby nie ciąć - a Bodek prowadził pewnie i szybko, w Bielsku-Białej (dalej często nazywam to miasto BB) byliśmy nie wcześniej niż po dziewięciu godzinach. Jasia (żona Bodeczka) przygotowywała dla mnie szatana i rozpoczynałem samotną podróż „katowicką” do Warszawy. Najczęściej ruszałem po północy. Nigdy, ale to nigdy, nie przejechałem nie widząc wypadku. Te poważniejsze z udziałem przeładowanych tirów z węglem lub stalą i innych - związanych z ciągłą przebudową drogi. Niespodziewane zwężenia, koleiny, jednokierunkowa - dwukierunkowa, można się było pogubić - a co miał powiedzieć obcokrajowiec? Po pokonaniu Częstochowy poranne mgły i jazda w nich „na pociąg”. Na myśl o tym szaleństwie resztki moich włosów stają dęba. Potem już tylko, aby zdążyć minąć Raszyn przed korkami. Na giełdzie kwiatowej kupowałem pęk róż i tak wyposażony docierałem do Legionowa ciut przed świtem. „Uszaści” jeszcze spali, a my z Zośką mieliśmy trochę czasu na przypomnienie sobie siebie nawzajem. Mimo że oczy miałem na zapałki, o śnie nie było mowy. Wizyta u Rodziców, kontakt z siostrą i tak ciągle na podróżnym rauszu do wieczora.

Pobyt na misji, w terenie objętym działaniami wojennymi, zawsze odciska na człowieku piętno, o którym nie tak łatwo zapomnieć, nawet kiedy jest się już w domu. Jak już zasnąłem, spałem jak zając. Nieustannie czujny - budził mnie najmniejszy ruch. Gdy obudzony ujrzałem światła w bloku obok, krzychałem - przecież bezpodstawnie - *close the windows, close the windows*. Podróżując samochodem do rodziny i zatrzymując się na siusiach bacznie patrzyłem, żeby stopy trzymać na asfalcie. Moje zachowanie zmieniało się na bardziej „ludzkie” pod koniec urlopu, a tu trzeba było wracać. Ostatnie zakupy, pakowanie zebranych przez Zośkę butów dla potrzebujących dzieci i w drogę. Jak to mówią „mam mokre oczy”, każdy wyjazd z domu był przeżyciem. Wyobrażałem sobie, że coś się stanie „Uszastym”, że mogę temu zapobiec np. nie przełykając śliny, nie drapiąc się po łysinie, nie... Po kilometrach trasy to mijało i wracało otrzeźwienie. Zaczynałem być znowu zwierzęciem, którego instynkt nastawiony był na przeżycie. W BB szybkie pakowanie, małe co nieco na gorąco, szatan i w drogę. Na granicy tankowanie i cała naprzód. Początkowo samochody wynajmowaliśmy u Hertza, potem pożyczaliśmy prywatnie od Serbów i Chorwatów, by pod koniec jeździć polonezem kolegi. Nad Balatonem zatrzymywaliśmy się w stałym miejscu. Cel był szczytny - siusiach i rozprostowanie kości. To pierwsze - wiadomo, na zew natury nie ma rady, ale to drugie? Już po chwili włączał się ciąg - naprzód. Parliśmy niestrudzenie. Myśląc o tym z perspektywy czasu wiem, że młodość ma swoje prawa. Niby wie się, że odpocząć trzeba, ale... no właśnie.

Trumna

W Pakracu są dwa cmentarze. I chyba szczęśliwie złożyło się tak, że każda z walczących stron miała po jednym. Leżały po przeciwnych stronach linii przerywania ognia lub - jak kto woli - linii rozgraniczenia. Problem z pochówkiem pojawiał się wówczas, gdy grobowiec rodzinny znajdował się po stronie „wroga”. Na porannej odprawie otrzymałem polecenie dokończenia operacji przerzutu trumny z ciałem na serbską stronę. Nic skomplikowanego, raptem 500 metrów do cmentarza. Chorwacka rodzina dostarczyła trumnę pod naszą stację i pomogła mi ją załadować do cherokee - była godzina 13. Jeszcze tylko zgoda szefa serbskiej milicji z Okučani i przyjazd przedstawiciela UNHCR monitorującego przedsięwzięcie (był w drodze z Zagrzebia).

Tak gdzieś koło godziny 15 zauważyłem, że moi koledzy z coraz większej odległości „monitorują” przebieg wydarzeń. Bodek przyjechał z „drugiej strony” z informacją, że na cmentarzu czeka tłum ludzi. Zacząłem się niecierpliwić. Z nieba lał się żar. Nasz oficer od praw człowieka przekazał, że Serbowie mnie puszczą bez zgody Okučani. Decyzję wziął na siebie szef serbskiej milicji z Gavrenicy. Trudno, ruszam. Do szlabanu mam 50 metrów. Chorwacki policjant przepuszcza bez słowa. Serbowie polecają otworzyć trumnę. Nieco zaskoczony łajam siebie, że powinienem to przewidzieć. Otworzyć - jak? Do odkręcenia śrub używam mojego za małego do tej czynności Lathermana, ale to i tak szczęście, że go mam. Idzie mi opornie. Jestem spocony i wykończony upałem i ten zapach... Przy ostatniej śrubie pomagają mi. Podnosimy wieko. Drobne obawy, że znajdą jakiś przemyt okazują się bezpodstawne. Na zakręcenie wieka nie mam już sił - palce odmówiły posłuszeństwa. Przykładamy tylko wieko - kurczę, żeby potem nie spadło. Jeszcze kilka minut i jestem na miejscu. Nie czekam końca, manewruję, chcę przewietrzyć pojazd, gdy podjeżdża samochód UNHCR. Ze środka gramoli się Hindus w turbanie. Gdzie byłeś? dlaczego się spóźniłeś? - my tu czekamy od... - *I've stopped on the highway for a rest, I had to take a nap, so you know, in such a hot air...*

Winobranie (*berba*)

Stepane rozpoczął zbiór winogron wcześniej rano. Po południu, gdy przyjechaliśmy po służbie, mogliśmy już tylko pomóc przy wyciskaniu soku - to *rampaž* - o wspaniałym zapachu i smaku słońca. Jego winnica nie była duża, ot na własne potrzeby, stąd dawali sobie z Ivką sami radę. Co innego winnica Ilji. Ładnych parę hektarów wzorowej uprawy. Stepane miał pojedyncze krzaki, a tu widziałem równe rzędy winorośli na stalowych linkach rozpiętych na stelażach i podporach. Nie pamiętam, kto rzucił hasło, że trzeba pomóc. Czy był to nasz argentyński kolega, zastępca dowódcy sektora? Faktem jest, że pojawiliśmy się tam z Bodeczkiem wtedy, gdy każda ręka zdolna do pracy była cenna. Dostaliśmy nosidła i „robiąc” początkowo za tragarzy donoszących winogrona do prasy, a później sami je zbierając, z zaciekawieniem obserwowaliśmy pozostałych. Nikt nikogo nie poganiał. Humor tryskał wokół. Starłem się zrozumieć przyśpiewki kobiet. Były w różnym wieku i domyślałem się, że były nas ciekawe i przy tym łacha nieźle z nas darty. Atmosfera przypominała polskie darcie pierza, nastrój przy tworzeniu pisanek, wycinanek, słowem radość na całego. Mniej więcej co pół godziny była przerwa na ciasta, soki i czegoś tylko dusza zapagnie na słodko. Ja popijałem *rampaž*. Sok z dużej prasy był zasysany prosto do potężnych beczek stojących w piwnicy. Miały po parę tysięcy litrów. Jedna chyba z pięć. W rozmowie z właścicielem dowiedziałem się, że do ich odkażania używa polskiej siarki. Jej zapalone paski wkłada się do beczek. *Poljska je najbolja, poljska je najbolja* - powtarzał kilkakrotnie. Wiadomo, że nasza siarka jest najlepsza, tak jak węgiel, ziemniaki, pomidory, ogórki i wszystko, co z Polski - tak bym odpowiedział, gdyby ktoś mnie o to zapytał. Ale usłyszawszy to bez pytania, na obczyźnie, z ust bądź co bądź najwyższej klasy specjalisty w dziedzinie... i to na pewno światowej klasy specjalisty, poczułem jak ta siarka przemienia się w miód i leje na serce moje, a ogarniająca mnie błogość... Moje patriotyczne uniesienie brnęło w kierunku kolejnego polskiego złota - gotowy byłem zacząć już o bursztynie, gdy do nozdrzy moich dotarł zapach grillowanych mięs - tak, nie mięsa, a mięs. Jak tu przyjechaliśmy, zastanawiałem się, czy ta spora budowla to nie grill przypadkiem, ale jej wielkość uspiła moją czujność. Teraz już wiedziałem - jak się ma tylu ludzi na zbiorach, to nie ma co się bawić w drobiazgi, trzeba po całości. Pojemniki pełne przyprawionych mięs, czekających na swoją kolej do zamienienia się w soczyste pieczone, były gwarancją dostatku i spełnienia ewentualnych kulinarnych zachcianek. Zauważyłem steki wołowe, wieprzowe, wątróbki, ćevapi i jagnięcinę. O kurczakach nie wspomnę, bo wzrok już nurzał się w półmiskach pełnych pomidorów, cebuli, czosnku i czegoś tam. Kuźwa, jęknął Bodek, to jak u nich na weselu? Ilja objaśnia - *rakija od kruške, od jabuke, od obične šljive i od žute šljive. To je loza. To je Daruvarski Rizling i moje vino iz prošle godine*. Kana Galilejska to mało. Żeby wszystkiego tylko spróbować i czasu było mało, i możliwości. Podpytaliśmy właściciela, czy nie potrzebuje więcej rąk do pracy - ależ oczywiście. Z winogronem jest tak, że gdy już dojrzeje, to trzeba zbierać. Są sposoby na opóźnienie dojrzewania - opryski roztworem wapna, ale jak już zawartość cukru jest właściwa, to trzeba pracować non stop.

Rano porozmawialiśmy z Olafem. W południe puścił nas i wszystkich ochotników. Pracowaliśmy do zmroku. Zbiory trwały cztery dni. Na atmosferę *berby* składa się wiele czynników. Dla nas wszystko było nowe - przyroda i widok zachodzącego słońca, smaki potraw, nowe przyjaźnie i ciekawi ludzie. Bawiłem się wtedy moim świeżym nabytkiem - kamerą Sony i nagrywałem zawzięcie. Pijąc wino, czasem wspominam z sentymentem moją *berbę*. Ten sentyment przełożył się na chęć posiadania własnego wina w Polsce. Mam rocznie kilkadziesiąt butelek „krajeczyńskiego klepacza” - tak nazwałem produkt mojej winniczki i jestem z niego dumny.

Jelena, jej pies i peugeot

Siostrę Ili, starszą panią, poznaliśmy w trakcie *berby*. Mieszkała w winnicy i opiekowała się nią. Nieodłącznie towarzyszył jej potężny pies, o którego charakterze można by powiedzieć wszystko, tylko nie to, że był łagodny. Gdy Ilija powiedział nam, że piwniczka stoi otworem i zakupy bezpośrednio „od producenta” są tu zwyczajowe, korzystaliśmy często z tej sposobności. Zorientowaliśmy się z Bodkiem, że ile by wina nie kupił, litr, pięć czy więcej, dostawało się potężną szklanicę na spróbowanie i drugą na odchodne. Żartowaliśmy w rozmowach z Jeleną, że „najekonomiczniejsza” dla nas opcja to jak najmniejsza butelka. Śmiała się mówiąc, że wina ma dostatek. Przychodziliśmy tu więc z Bodeczkiem początkowo z jednym pięciolitrowym baniaczkiem, później z dwoma - *żeby sprawiedliwiej było nieść*. Jelena, ubrana zwyczajowo na czarno, wyglądała bardzo poważnie. Chłoneła wszelkie wiadomości ze świata, a my opowieści z czasów jej młodości. Czytając, korzystała ze starych, zepsutych okularów. Błysk w jej oczach świadczył o szczególnym zainteresowaniu tematem. Jej wypowiedzi były mądre i wyważone. W paru zdaniach potrafiła wyrazić sedno sprawy. Wizyty spowodowały, że pies trochę przyzwyczaił się do nas. Bodek za każdym razem włąził do kojca, zagadując go po chorwacku. Robiłem to znacznie rzadziej - problemem było wyjść. Bestia czekała, żeby się rzucić.

Olaf zakończył misję - nowym szefem stacji został Duńczyk, Hans. Po paru tygodniach wprowadzania swoich rządów, gdy już okrzepł na stanowisku, okazało się, że jego nordyckie korzenie maskowały człowieka o wielkim sercu. Wprowadził zwyczaj „narodowych wtorków”. Wtedy to na porannej odprawie, każda nacja miała możliwość opowiedzenia o swoim kraju (na Dzień Polski z Bodkiem przywieźliśmy mapy, foldery, prospekty). Tego dnia było jakieś duńskie święto - nie pamiętam już jakie. Hans po południu zaprosił nas do siebie na świąteczny obiad. Razem z Henrikiem mieszkali w centrum Daruvaru. Gdy opowiedzieliśmy o Jelenie i winnicy, zapragnęli poznać to miejsce i zrobić stosowne zakupy - gospodyni przywitała nas tradycyjnie szklanicami wina. Nie śpieszyliśmy się. Obserwowałem widok zachodzącego słońca i Bodeczka jak zwykle wskakującego do kojca. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, do kojca wszedł też Hans i zagadał do psa... po duńsku. I stało się. Szarpiąca dłoń bestia, wrzeszczący Hans, Jelena i my - Hans z psem na sobie wypada na zewnątrz - Jelena odciąga psa - Hans z poszarpaną dłońią biegnie w dół winnicy - przewraca się o linki - wstającego łapię - próbujemy uspokajać - jest w szoku, a dłoń wygląda okropnie - tak to zapamiętałem. Henrik odpalił samochód i pogналиśmy do argentyńskiego batalionu. Od lekarza dyżurnego stanowczo zażądałem śmigłowca sanitarnego - MEDEVAC - usiłuję wymóc decyzję. Mały doktor tyknął, oceniając chyba jednoznacznie nasz stan. *Czy wyglądam na głupiego? żadnego śmigłowca nie będzie - uspokój się* - i zajął się pacjentem.

Zakończenie tego dnia utkwilo mi w pamięci z innego powodu. Już w domu, tak gdzieś koło 22 usłyszałem pytanie Bodka - *a samochód wstawiłeś pod wiatę?* Niechętnie opuściłem pościel. Cofając, w lusterku obserwowałem naprowadzającego mnie przyjaciela. Huk i wstrząs nastąpiły jednocześnie. Pojazd zatrzymał się. Sterta cegieł ze słupka, który jeszcze przed chwilą był oparciem dla furtki i bramki wbiła się w klapę bagażnika. *Idziemy spać, zostaw, pomyślimy rano* - zgodziłem się potulnie. Obudził mnie natrętny promień słońca. Wiedziałem, że coś się

stało, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Ten stan dręczył moje sumienie - chrapanie Bodka nie uspokajało. Parząc kawę doznałem olśnienia - to „coś niepokojącego” musiało być na zewnątrz. Z obawą otworzyłem drzwi. Widok zniszczenia w pierwszej chwili mnie poraził. Pogruchotana bramka i furtka robiły przygnębiające wrażenie - *dobrze, że nadkola są całe* - usłyszałem stojącego za sobą przyjaciela.

W Pakracu staraliśmy się zaparkować na skraju stojących pojazdów. Musieliśmy wyczekać, aż przyjadą wszyscy. Nasze manewry nie umknęły uwadze Mariusza. MTO fachowo rzucił okiem „na szkodę”, poprosił o kluczyki i odjeżdżając uspokajająco poinformował - *powinien być gotowy po południu*. Wierzcie mi - służba tego dnia dłużyła mi się niesamowicie. Gdy w końcu pojawili się - Mariusz i peugeot - zauważyłem, że zaparkowali przed frontem stacji - chyba jest dobrze, pomyślałem podchodząc. Mój podziw rósł z każdym krokiem. Ani śladu - zauważyłem - to już nawet lakier wysechł? - nie kryłem podziwu. *Gdzie tam wyschło, pamiętasz krakę peugeota sprzed tygodnia?* - *został z niego tylko tył* - *i to wystarczyło*. I nie ma nawet śladu? - zapytałem, patrząc na cudotwórcę, mojego technicznego guru i zbawcę w jednej osobie. No, aż takich możliwości nie mam. *Zamek jest z poprzedniego samochodu, dołożyłem więc do kompletu kluczyków jeden więcej* - *ten dodatkowy ciężar chyba nie zwiększy spalania?* - zapytał poważnie - w jego oczach dostrzegłem wesołe chochliki, gdy przed stacją pojawił się Hans. Wyglądał bojowo - ta ręka na temblaku z pokaźnym opatrunkiem... Gdy po paru tygodniach zdjęto szwy, była wciąż opuchnięta.

Minęło kilka dni. Siedząc u Jeleny prowadziliśmy dyskusję: „co by było, gdyby”. Gdyby Hans może nic nie mówił w tym kojcu...? - zastanawialiśmy się nad tym z Bodkiem, gdy jak zwykle udało mu się wyskoczyć z niego bez szwanku - oczy Jeleny zaśmiewały się.

Contingent meeting

Nasz dowódca zdecydował. Spotkanie kontyngentu odbędzie się w Opatii pod Rijką. Mieliśmy na to trzy dni. Z sektora dostaliśmy busa. Jechało nas siedmiu. Mieszkaliśmy i pracowaliśmy niedaleko siebie, ale ciągła służba i ograniczenia w przemieszczaniu się kontaktów nie ułatwiały. Zaopatrzeni w zgrzewki piwa wesoło parliśmy do przodu, dzieląc się opowieściami z własnych podwórek. Autostradą do Zagrzebia, skręt na Karlovac. W Rijece spędziliśmy parę godzin włócząc się po mieście. Dla mnie przeżyciem był widok portu i jego specyficzny koloryt - pomieszane zapachy paliwa, ryby i wody - fale bijące o nabrzeże. To, że nie ograniczał nas czas było przyjemną odmianą od ciągłego pośpiechu przewodników wycieczek, np. w Polsce. W Opatii zamieszkaliśmy w przytulnym hoteliku położonym jak wiele sąsiednich na skale, o którą uderzały fale. Od wody dzielił nas tylko taras, z którego w dół, do zacumowanych w skalnych basenach motorówek prowadziły wykute schody. W nocy widok przez zatokę na mrugającą światłami Rijkę był tak piękny, że wypstrykałem rolkę filmu, próbując to utrwalić. Rano pojechaliśmy wzdłuż wybrzeża na małe zwiedzanie. W pobliskim Lovran zatrzymaliśmy się na kawę. W tarasie hoteliku o pastelowych kolorach był otwór. W dole pieniała się woda. Okolica była porośnięta palmami. Odgłos morza, zapach słonej wody i zieleń działała uspokajająco. Pełny relaks. Po co dalej jeździć? - zostajemy.

Sącząc małą czarną bez krępacji komplementowaliśmy niesamowitą urodę pani siedzącej z partnerem tuż obok. Była zjawiskowa. Gdy podniosła się z miejsca, ucichliśmy - każdy jej ruch był cudny - patrzyłem, jak się wyprostowała. To stworzenie miało nogi po samą szyję, a po drodze były jeszcze jej piersi - tej kobiecie niczego, ale to dosłownie niczego nie brakowało. Jej towarzysz niewątpliwie był koneserem, znawcą sztuki. W ciemnych okularach wiódł za nią wzrokiem, gdy wstała... kuźwa, idzie do nas, bo przecież... nikogo więcej tutaj nie ma. *Dzień dobry, słyszę, że panowie rozmawiacie po polsku. Mam na imię Grażyna. Ten pan to mój mąż. Jesteśmy właścicielami tego hotelu. Może macie ochotę na coś do zjedzenia?... proponuję...* „Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie [...] Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy...”^{*} Błogosławieni, którzy tego nie widzieli, a mi uwierzą - tak było.

^{*} A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, w: *Dzieła poetyckie*, Warszawa 1983, t. 4, s. 9.

Holendrzy

Miałem służbę oficera dyżurnego, gdy przyjechali. Pięciu młodych żołnierzy - byli łącznościowcami. Oczywiście (*oczywizda*, jak by powiedział Bodek) moje zainteresowanie wzbudziły ich pistolety maszynowe UZI. Mieli ciągnąć, czy też sprawdzić, linię napowietrzną gdzieś w górach. Na dachu mieli wypisz - wymaluj identyczne tyczki (z rososzką), jak w polskim wojsku (no, bo co tu można wymyślić do zaczepienia lub zdjęcia kabla). Pokręcili się parę minut i odjechali swoim terenowym *merolem*. W południe stacja się wyludniła (pora lunchu). Moją naukę słówek zakłócał Dominik, zaśmiewając się do kogoś przez telefon. Szkoda, że nie znam francuskiego. Jego melodyjność bardzo mi się podobała. Nawiasem mówiąc, na stacji panowała moda na naukę sprośności w obcych językach. Prym wiedli w tym Francuzi, ucząc nas zwrotów niezbędnych - ich zdaniem - w kontaktach z kobietami, na wypadek gdybyśmy pojawili się w Paryżu. Moje przemyślenia przerwał komunikat radiowy z dowództwa sektora, który nakazał ściągnąć na stację wszystkie pojazdy. Od tej chwili obowiązywał zakaz przemieszczania się. Zacząłem wywoływać nasze patrole, polecając powrót na stację możliwie jak najszybciej. Jak zwykle w przypadku kilku nacji nie obyło się bez zapytań typu: *A po co? A dlaczego?* - co zawsze doprowadzało mnie do pasji.

Gdy po godzinie miałem już prawie wszystkich, otrzymaliśmy kolejną informację - szukamy samochodu, jakiego? - nikt nie wiedział. *Czy na pewno wszystkie wasze pojazdy są na stacji? No nie, jeden jest w drodze z Zagrzebia - mam z nim kontakt radiowy - czy mogę go zaliczyć, że jest?* Tego rodzaju konwersację prowadzono również z Okučani. Około 16 przekazano informację, że w naszym regionie na minie wyleciał pojazd, ale wojskowy - odwołuje się zakaz przemieszczania, informował sektor. Ta wiadomość wywołała ulgę. Była już pora końca służby i mogliśmy wracać do domów. Kolejna informacja była precyzyjna. Wojskowy pojazd wyleciał na minie w kompleksie leśnym powyżej Gornjej Šumetlicy, czy możecie to sprawdzić? - Kurczę, Gornja Šumetlica to nasz rejon. W miejsce zdarzenia pojechał osobiście Hans. Przez radio słyszałem, jak informował sektor o szczegółach. Na miejscu byli już saperzy. Polana, na której wjechali na minę Holendrzy - nasi Holendrzy, była rozwidleniem dróg. Gdy zapewne zorientowali się, że pomylili drogę, zamiast cofnąć po śladach i skręcić we właściwą, skrócili sobie trasę po trawie, wszak był to pojazd terenowy i wtedy doszło do wybuchu. Jedyny, który przeżył, z urwaną nogą zszedł z góry po pomoc do wsi. Wieśniacy przekazali, co się stało, komu tylko mogli, ale bez szczegółów, bo ich nie znali. I tak rozpoczęło się poszukiwanie samochodu - komuś musiało go brakować. Dobrze się stało, że nie pojechało tam więcej naszych pojazdów, gdyż na miejscu znaleziono jeszcze 17 min przeciwpancernych, byłaby jatka. Dwa dni później oglądałem to miejsce. Tylko z trudem można było rozpoznać markę pojazdu. Nie przypuszczałem również, że UZI może być aż tak skręcone wybuchem - oglądałem je na stacji. Przez tę nieszczęsną polanę przejeżdżałem wcześniej wielokrotnie. Lubiałem górską wersję jazdy do Šumetlicy. Wiązało się to z pokonywaniem skalno - gliniastych jarów, stromych podjazdów i zjazdów śladami wojskowych ciężarówek, a raczej ich koleinami. Znakomicie się tu sprawdzały stacyjne UAZ-y, które ONZ dostała w prezencie od Niemiec (odziedziczyli po byłej NRD). Możliwość sprawdzenia się w jeździe z „napędami” była atrakcją. Tak teraz myślę, że ta liczba min na położonej wysoko w górach polanie mogła „czekać” nie na samochód, lecz na coś o wiele cenniejszego - na śmigłowiec.

Rakija factory

W części gospodarczej naszego domu stało pięć dwustulitrowych beczek z żółtymi śliwkami - to najlepsze na rakiję, wyjaśniał Vaso. Drobne muszki atakowały zawzięcie zacier, gdy podniósł pokrywę jednej z nich, pokazując fermentujący produkt. Jak ty to wszystko przepędzisz? - dopytywaliśmy się z ciekawości. W sobotę pokazał jak. Jego domowa destylarka „przyjmowała” tak na oko z 10 litrów zacieru - no to trochę pracy ma przed sobą, pomyślałem ze współczuciem. Z węzownicy zaczęło coś ciurkać, miało biały kolor i pachniało niezbyt przyjemnie. To wylewam. Są ludzie, którzy tego nie robią. Po takiej rakii boli głowa - turyści kupią, ale dla swoich potrzeb tego się nie robi - krok po kroku wyjaśniał nam proces produkcji. Gdy biel cieczy zniknęła, spróbowaliśmy gorącego napoju - była to pierwsza, świeża rakija, jaką piłem. Samo *pečenje* nie było skomplikowane, uszczelnianie pokrywy gliną, pilnowanie temperatury... „Produkcja” była chyba zwyczajowo okazją do towarzyskich spotkań. Przyszedł zaciekawiony Stepane i wychyliwszy małą szklaneczkę - ocenił jednym słowem - *prava*. Specjalistów było więcej. Ivanka uwijała się z przekąskami. Pojawiło się wino, piwo i soki. Zajadałem się skwarkami w papryce, przegryzając *turšijom* - to kombinacja marynowanych warzyw. Poszedłem spać mając wyrzuty, że zostawiam tak wspaniałe towarzystwo. To, co zobaczyliśmy następnego dnia po powrocie z pracy, uzmysłowiło mi, jak uboga jest moja wiedza dotycząca Chorwacji, kultury tego regionu i ludzi.

Podjeżdżając pod dom, jęknęliśmy z Bodkiem niemal równocześnie na widok traktora, który manewrował, ustawiając przyczepę z olbrzymią destylarką - rakija factory, ocenił mój przyjaciel. Moje wczorajsze współczucie dla Vaso przerodziło się w podziw. Oni tu mają objazdową fabryczkę rakii, która na raz przyjmuje pewnie z 200 litrów zacieru. Genialność i prostota tego rozwiązania kłóciła się z moją wiedzą o zakazie produkcji alkoholu na swoje potrzeby w Polsce. Podobnie - od domu do domu jeździły chałupniczego wyrobu maszyny do cięcia drewna na zimę - takie małe tartaki. Nasz gospodarz z dumą objaśnił, że jutro po południu „fabryczka” przemieści się już w inne miejsce. Sącząc z Bodkiem *gemišt* doszliśmy do wniosku, że ta domowa destylarka pokazana nam w sobotę była dla nas, gości z Polski, pokazem tradycji. Dzisiejsza „przemysłowa” produkcja nie stwarzała już takiej atmosfery - byliśmy pod wrażeniem naszego odkrycia.

Ból zęba

Co jak co, ale o nie zawsze starałem się dbać. Gdy więc poczułem pierwszy niepokojący objaw, Mirna - nasza tłumaczka - znalazła mi w Daruvarze *doktoricę*. Była to dziecięca stomatolog, ale co za różnica? Pani powierciła, podłubała i założyła lekarstwo. Po chyba dwóch wizytach plomba była gotowa. Gdy ząb odezwał się po miesiącu ze wzmożoną siłą, udałem się do pani doktor, ale jej nie zastałem - ponoć wyjechała. Ból stawał się nie do zniesienia. Jedź do Amerykanów - zdecydował Hans. Kurczę, 150 km do Zagrzebia w sprawie zęba? - *To mój ząb i jest tego wart* - wspierałem się jak mogłem, próbując odsunąć ogarniający mnie strach. Zawsze starałem się zapobiegać borowaniu, ale tym razem się nie dało. Wojskowy szpital polowy ulokowany był w logistycznej części lotniska. Czekać, zainteresowałem się Hummerem - wozem łączności, ale nie dane mi było przyjrzeć mu się z bliska. Podjechał do mnie wózkiem „inwalidzkim” sanitariusz i próbował mnie na nim posadzić. Mój nieśmiały protest, że ja do stomatologa spłynął po nim jak przysłowiowy deszcz. Powtórzyłem, mówiąc najwolniej jak potrafiłem, pewnie to przez mój akcent gość mnie nie rozumie. Odparł równie powoli - *we'got such a procedure* - jak procedury to procedury, więc dopchał mnie na wózku do gabinetu. Młody lekarz zagadał do mnie - chyba chce wiedzieć, czy się ze mną porozumie - i zaczął grzebać w skrzyni, którą otworzył. Nawiasem mówiąc, tu wszystko było w skrzyniach - aby działało, pocieszałem się jak mogłem. Tymczasem sanitariusz stanął nade mną i zaczął wypełniać formularz. Imię, nazwisko, wyznanie... co? wyznanie? po co mu wyznanie? Jakiego księdza wezwać w przypadku... - powoli zaczynałem rozumieć ten system. Te ostrzeżenia na kubeczkach coli, żeby nie wlewać gorącej wody, bo można się poparzyć, żeby nie skakać na głowę do plastikowego o wysokości 30 centymetrów basenu, bo można... To wszystko skądś się wzięło. Lata doświadczeń, ciągnięcia się po sądach. Dmuchać na zimne, w przenośni i dosłownie. Podpisałem się pod formularzem. Lekarz zapytał, jaką muzykę lubię - country - szepnąłem, bo nic innego amerykańskiego nie przyszło mi do głowy - *no problem*. Podał mi słuchawki i za chwilę leciało country. Dobrze, że nie zapytał, jakiego to pieśniarza country preferuję, bo bym miał problem. Znieczulenie było cudownie skuteczne. Gdy już przestałem się pocić i wyciskać soki z drewnianych poręczy fotela, zaskoczony usłyszałem, żeby pojawić się za tydzień. Gratulując sobie niesłychanej odwagi, a także tego, że nie ugryzłem tego dzielnego człowieka, ucisnąłem mu dłoń. Odwzajemnił uśmiechem, pokazując na dwukótkę. Sanitariusz odwiózł mnie do wyjścia ze szpitala. Stałem w słońcu - życie potrafi być piękne.

Medal parada

Medal parada jest okazją do podziękowania uczestnikom misji za ich służbę. Medale można wręczyć żołnierzom i policjantom jednostek specjalnych po trzech miesiącach służby, a ekspertom po sześciu. W uroczystości biorą udział władze misji i przedstawiciele państw. Komendę Główną Policji na naszej uroczystości miał reprezentować zastępca komendanta głównego. Do uroczystości podchodziłem z obawą. Martwiłem się, że mogę nie sprostać oczekiwaniom ze względu na kontuzję - nogę skręciłem w kostce podczas gry w siatkówkę. Mając na niej stabilizator, nie mogłem myśleć o założeniu munduru. Wybawił mnie dowódca kontyngentu. Staniesz po prostu na końcu szyku w cywilkach i tyle. Czym się martwisz? No tak, czym to ja się mogłem martwić? Jeżeli generał w mundurze obsypanym bardzo obficie łupieżem nie martwił się z tego powodu, to przy jego mundurze mój stabilizator musiał wyglądać całkiem „trendy”. Pocieszając się w ten sposób, słuchałem kolegi tłumaczącego generalskie wystąpienie. Mój wzrok omiatał stoły. Wśród fantazyjnie ułożonej błyszczącej materii („Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi...”)* wyławiałem apetycznie wyglądające potrawy. Po części oficjalnej władze misji, zaprawione w bojach reprezentacyjnych, zaatakowały stoły z godną podziwu determinacją. Kuśtykając dołączyłem do grona głodomorów, szybko orientując się, że pracownicy zajazdu na autostradowej obwodnicy Zagrzebia stanęli na wysokości zadania. Za stół od „łeba” stoły się ugiwały. Kiedy zaspokoiliśmy pierwszy głód, mieliśmy czas, żeby przyjrzeć się sobie. Pierwszy raz kontyngent spotkał się w całości. Nawet w kraju nie byliśmy nigdy w tym składzie. Rozmowom nie było końca. Wszyscy zerkaliśmy na Małgosię, dziewczynę Andrzeja. Wysoka blondynka tryskała humorem. Andrzeja widziałem pierwszy raz. Wysoki, ale szczupłej postury chłop. Byli wyraźnie w sobie zakochani.

* A. Mickiewicz, *Stępy Akermalskie, Poezja polska 1800 - 1830*, Warszawa 1984, s. 32l.



**Zagrzeb 1993 r. Od lewej: Bodek, insp. Janusz Wikariak,
nadkom. Janusz Jagielski, kom. Ryszard Bąkowski
i ś.p. podinsp. Andrzej Kaczor - zdjęcie ze zbiorów autora**

Zima

Przyszła nagle. W nocy spadło tyle śniegu, że rano daremnie oczekiwaliśmy na podwózkę - nikt po nas nie przyjechał. To był cudowny poranek. W domu ciepło jak w ulu, a my zaskoczeni takim obrotem sprawy nie bardzo wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić. Drugiego dnia wszystko wróciło do normy - z odśnieżaniem dawali tu sobie radę dużo lepiej niż w Polsce. Nasze pojazdy wyposażono w łańcuchy, a kierowcom z „ciepłych krajów” zorganizowano przyspieszony kurs jazdy w warunkach zimowych - wypadków nie było. Po serbskiej stronie Pakraca, w Gavrenicy, było bardzo źle. Sporo dzieci już w lecie miało problemy z butami - dorośli w większości chodzili w gumowcach z przyciętymi cholewami, których brak teraz w zimie był zapewne dokuczliwy. Dzieci w pierwszym momencie nie pojawiły się, później w kilku przypadkach widziałem je idące do szkoły w „butach” sporządzonych z opon. W ramach *Village Visitation Programme* odwiedzaliśmy wioski, próbując ustalić, jak licznie są zamieszkane, ilu jest w nich uciekinierów i jakiej pomocy potrzebują. Dane te przekazywane były do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Braliśmy udział w dystrybucji pomocy humanitarnej. Była to przeważnie żywność: olej, mąka, cukier oraz konserwy i paczki z ubraniami. Te ostatnie docierały tu licznie z Norwegii. Byłem pełen podziwu dla zaangażowania Norwegów. W paczkach były prawie nowe lub nowe ubrania dla dzieci i dorosłych, kożuchy i kożuski, buty, konserwy - przeważnie sardynki i zawsze jakiś drobiazg „dla pokrzepienia serc”. Wszystko to czyste, wyprasowane i z sensem spakowane. Będąc bliżej potrzebujących, często organizowaliśmy pomoc doraźną, dowożąc co trzeba, jak nam się wydawało „w ostatniej chwili”. Z czasem dało się zauważyć nasycenie „rynku”. Siedząc kiedyś w kurnej chacie, a raczej w pasterskiej zagrodzie dla owiec, gdzie jedno pomieszczenie częściowo zaadaptowano dla ludzi, usłyszałem: *„a co to za pomoc? - tego już nawet kot nie chce jeść”* - mówiąc to starszy mężczyzna otworzył puszkę sardynek i postawił na glinianej podłodze. Zrobiło mi się przykro.

W miejscu zabójstwa, gdzie przeprowadzałem dochodzenie, sąsiad zastrzelił sąsiada, przyłapanego na kradzieży prosiaka. Strzelał z kałacha na oczach trójki „drobiazgu” i żony denata. Cała czwórka stała teraz naprzeciw mnie, patrząc - jak mi się wydawało - obojętnie, bez wyrazu. Oni najzwyczajniej w świecie mieli już dość. Mieli dość głodu, braku butów, zimna. Mieli dość całej tej biedy. Śmierć ojca rodziny była kolejnym nieszczęściem, jakie ich spotkało i trwali w oczekiwaniu na kolejne. Gdy przepytywałem kobietę o szczegóły wydarzenia, ta niespodziewanie poprosiła o parę litrów benzyny *do motorki* - piły spalinowej. Szybko dotarło do mnie, że ona nie ma czasu na ból i cierpienie, to pewnie przyjdzie później - teraz ważne było, że ma kogo prosić o pomoc. Uchyliła folię w oknie pokazując ośnieżone, świeżo ścięte drzewo. Zrozumiałem, że dostali je w ramach pomocy. Jeśli sąsiad nie potnie, nie będą mieli czym palić w piecyku - kozie. Myśląc o tym na plecach czułem chłód.

Wśród nas było dwóch Holendrów. Rene, wiele się od niego nauczyłem, i młodszy „pistolet” Luuk. Ten nie przejmował się zbytnio tym, co robiliśmy. Realizował swój i tylko swój projekt autorski. Orkiestra była oczkiem w jego głowie. Postanowił mianowicie wyposażyć szkołę

w Gavrenicy w instrumenty muzyczne z prawdziwego zdarzenia i stworzyć tam orkiestrę dziecięcą. Na tym padole nieszczęść i też brakowało tylko orkiestry. Widziałem parę tręb, które przywiózł z Holandii - nie wiem, czy swój pomysł zrealizował do końca.

Po zakończeniu służby podczas powrotu już do Pakraca zatrzymała nas kobieta. Nie pozwalała nam dojść do słowa stale gestykulując i mówiąc bezustannie. Moja tłumaczka przekazała, że jej córka jest umierająca - już parę godzin temu przyjęła ostatnią dawkę insuliny. Patrzyłem jak machała receptą, wylewając z siebie bezustannie potok słów. Udzielił mi się jej nastrój. Nie ma czasu, trzeba działać - oeniłem. Mijając stację, poinformowałem o sytuacji i o tym, że pojazd zdam później. Hans dał mi zielone światło. Gdy po ciemku dotarłem do znanego nam argentyńskiego lekarza, ten czekał już z receptą - mieli chyba jakąś umowę z chorwacką apteką. Otrzymałem insulinę i ruszyłem w drogę powrotną. Wlokłem się - było ślisko. Po drodze zabrałem drugiego tłumacza. Nie zastaliśmy kobiety w domu - do pokoju córki dotarliśmy po odgłosie muzyki. Uderzył mnie, rzadki po tej stronie, widok dostatku. Na ścianach plakaty zespołów. Dziewczyna, modnie ubrana, przyjęła pakiecik lekko zdziwiona. *Insulina? - tak, jestem cukrzyczką, ale nie ma pośpiechu, mam co trzeba. Właśnie się pakuję, rano jadę do szkoły w Belgradzie* - wyjaśniła, wcale niespeszona naszą wizytą. Wychodząc w drzwiach, wpadłem na wracającą mamuszkę. *Tak, za insulinę dziękuję, ale jeszcze pralka mi cieknie, potrzebuję tego szkła, no wiecie, przez które widać pranie...* Wróciłem do domu przed północą. Opowiadając rano na stacji o tym, co mi się przytrafiło, usłyszałem od Luuka - *ja jej przywoziłem insulinę z Holandii pocztą kapitańską - jeździłem po nią na lotnisko do Zagrzebia*. Zauważyłem Bodka pukającego się w czoło. Coś mu się stało? A może to ma związek ze mną?

Siedzimy w domu Ilji w Daruvarze. Przyjechaliśmy z nowym dowódcą sektora - szuka domu - pomyśleliśmy z Bodkiem o domu w winnicy - może wynajmie? Sączymy kawę, rozmawiając na niezobowiązujące tematy. Tłumaczką jest córka gospodarza, mamy więc ten komfort, że nie musimy się specjalnie wysilać. Wydawało się, że panowie doszli prawie do porozumienia. Jeszcze tylko... - usłyszeliśmy niezbyt daleko przytłumiony wybuch - to „petarda” - rzuciłem fachowo, przecież miałem w tym doświadczenie. Kanadyjczyk patrzył na mnie i widać było, że nie rozumie. Wydawało mi się, że to międzynarodowe słowo. *Petard* poprawił mnie Argentyńczyk z całkiem innym akcentem - teraz „Kanadol” zajarzył. Nuanse językowe jeszcze przez parę minut stanowiły przedmiot żartów. Jest decyzja - jedziemy obejrzeć dom. Dochodząc do samochodu, zauważyliśmy obok kupę gruzu i poważnie uszkodzony dom. No nie, petarda takich zniszczeń spowodować nie mogła. Sposobem na zniechęcenie osoby obcej etnicznie do mieszkania w określonym rejonie było zniszczenie jej domu. Używano do tego min przeciwpancernych układanych jedna na drugiej. Ta na wierzchu miała prętowy zapalnik, do którego przywiązywano linkę - pociągnięcie z pewnej odległości było już łatwizną - min, nie petard było tutaj pod dostatkiem. Rozmyślając wieczorem o tym wydarzeniu złapałem się na tym, że nie w pełni przestawiłem się na myślenie właściwe do miejsca, w którym przyszło mi żyć - czy to jednak możliwe? Ta petarda... - muszę być bardziej ostrożny.

Przyjazd naszych kobiet

Nie wiem, w którym momencie wpadliśmy na pomysł, żeby nasze żony nas odwiedziły. Pomysł bardzo nam się spodobał. Przystąpiliśmy do urabiania materii. Zośka jak usłyszała, że ma zostawić „Uszastych”, z miejsca odpowiedziała negatywnie. Ale, od czego Jasia? Kropla drąży skałę. Po paru dniach opór zaczął się chwiać, już nie słyszałem zdecydowanego nie. I w końcu stało się - jadą - z kumplem wracającym z urlopu. Mazdeczka 323, podjeżdżając pod dom zatrzepotała powitalnie reflektorami. Jasia z Zośką wyraźnie speszzone nadrabiały minami. Nie zdążyły się dobrze rozpakować, gdy zaproponowałem wizytę w kanadyjskim *campie*, może coś sobie kupią? Dzisiaj mamy peugeota. Na wjeździe kontroluje nas żołnierz - kobieta. W pełnym rynsztunku i uzbrojeniu. Wygląda jak *robocop*. Uśmiecha się przyjaźnie. Jeździmy pomiędzy bunkrami byłego składu broni armii jugosłowiańskiej. Z ziemi wystają tabliczki informujące o polu minowym - nie wszystko rozminowali. Zaczyna mi być nieswojo. Po jaką cholere je tutaj przywieźliśmy, czy już całkowicie mi „wali pod dekiel”? Wracamy do domu, to kilkaset metrów. Ośnieżony dom, biała dolina i las w tle powinny zmiękczyć napięcie. Dociera do mnie w końcu, że moja koleżanka małżonka jest zmęczona. Jechała kilkanaście godzin, a ja tu zarządzam jakieś wycieczki na zakupy i zwiedzanie obozu wojskowego, po co im to? Leżymy wtuleni. Myślę tylko o jednym. Gdy w końcu postanawiam przejąć inicjatywę, słyszę równomierny oddech - odleciała.

Do domu

Rok minął szybko, łatwo to teraz powiedzieć, mając parę tygodni do końca. Myśląc o spędzonych tu chwilach - samotnych, a raczej spędzonych we dwóch - świętach i momentach, w których beznadzieja tak przytłaczała, że chciało się wyć do księżycy, powiem - warto było. Warto było chociażby po to, aby zobaczyć czyjś uśmiech, warto było dla przyjaźni tu związanych i dla poznania siebie. Nie było warto - ze względów rodzinnych. Nie powinno się zostawiać w domu żony z trójką „drobiazgu”, to... mało ludzkie.

Jeszcze jedna podróż do kraju na urlop, z którego na misję wróciliśmy moim nowym nabytkiem - samochodem „VW Polo”. Po powrocie wszystkich nas przygnębiła informacja o kolejnym wjechaniu na minę. Tym razem to argentyński patrol blisko Dolnkiej Šumetlicy. Rano oficer odwiózł żonę z małym dzieckiem na samolot do Zagrzebia. Gdy wrócił, pojechał na patrol. Chyba wszystkim przyszła do głowy ta sama myśl. Ona tam ciągle leci...

Żegnaliśmy się nieco chaotycznie, jakby wiedząc, że czas pędzi i koniec jest tuż-tuż. Chcieli nas gościć nasi przyjaciele poznani po obu stronach. W chorwackiej i serbskiej części Pakraca, w Daruvarze i Doljani - rozpoczęliśmy procedurę *check out'u* - było co robić. Na stacji nie przydzielano nam już nowych zadań. Stare kończyliśmy lub przekazywaliśmy kolegom. Pożegnania to alkohol. Kieliszek rakii nigdy nie powinien zaszkodzić, ale tych żegnających było wielu. Większość nie miała nic prócz rakii, jak więc odmówić? Jadąc na ostatni urlop do kraju, wywieźliśmy prawie wszystko, także dwie dwudziestolitrowe beczki rakii, które kupiliśmy sobie *na uspomenu*, nie wiedząc, że Ivanka i Vaso wpadli na ten sam pomysł. Na prezenty dla nas zamówili u bednarza dziesięciolitrowe beczki i napełnili je oczywiście rakią. Śmiechu było co niemiara, jak opowiadaliśmy o naszej przygodzie w Cieszynie. Celnik, widząc potężnie obciążonego poloneza, zapytał: *ile butelek wódki wieziecie?* - miał chłop nosa, tylko pytanie nie było sformułowane właściwie. Ani jednej - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Może by i dalej szukał, ale jego zapał ostudził strażnik graniczny - „panowie na dyplomatycznych” - gdybym był pawiem, to bym się napuszył.

Pożegnalne party zorganizowaliśmy dla kumpli ze stacji, a dzień później dla naszych przyjaciół z Daruvaru. Już od rana Vaso palił ognisko, a gdy sarta żaru była odpowiednia, świnka (*odojak*) mogła zacząć się „opalać”. Stepane, który już od dawna mienił się naszym ojcem, miał łzy w oczach. Łapałem go na ukradkowym przyglądaniu się nam - tak, jakby chciał nas sobie zapamiętać, utrwalić. Jego Medo na tę wyjątkową okazję został spuszczonego z łańcucha i biegał radośnie po drodze. Vlado i Emilija nie zawiedli. Przyszli z ciastami. Ilija z żoną przywieźli nam w prezencie wino na party i na drogę do domu. Kupiliśmy z Bodeczkiem wszystkim drobne prezenty, sami zostaliśmy nimi wręcz zasypani. Atmosfera pomimo pozornej radości z biegiem czasu zaczęła się przeradzać w stypę. W takich sytuacjach do twardzieli nie należę i jak zobaczyłem łzy w oczach Ivanki, to też popłynąłem. Przyjeżdżajcie, przyjeżdżajcie do nas jak tylko będziecie mogli i mieli ochotę. Czekamy na was. Te i inne zachęty żegnały nas, gdy ruszaliśmy w naszą powrotną drogę. Do węgierskiej granicy robiliśmy rachunek sumienia - czy rozliczyliśmy się ze wszystkimi? - czy nic nikomu nie jesteśmy winni? - czy dom zostawiliśmy w dobrym stanie? Każdy kilometr oddalał nas od Doljani, Daruvaru i od Chorwacji, która przez rok była naszym drugim domem.



Daruvar, pożegnalne party. Od lewej: Mica, Ivanka i Desa w „naszym/Ivanki” domu - zdjęcie autora



Daruvar po latach (2013 r.). Od lewej: Jasiek, Kasia, autor, Vaso, Ivanka i Jasmina - zdjęcie Jana Skibniewskiego

Kontyngent Straży ONZ w Iraku (UNGCI) (1995-1996)

Spotkanie przed wyjazdem

Staliśmy przed budynkiem, gdzie mieścił się Departament Wyjazdów Zagranicznych MON trochę smętnie analizując to, co przed chwilą usłyszeliśmy. Patrzyłem na „Długiego”, „Blondyna”, „Marudę” i Andrzeja - Policja zgłosiła nas do udziału w Kontyngencie Straży (*United Nations Guard Contingent in Iraq*) podobno jako swoich najlepszych ludzi - znaliśmy się z poprzedniej misji. Czerwona lampka zaświeciła się wtedy, gdy energiczny kapitan, który właśnie stamtąd wrócił, ot tak sobie rzucił, że dieta wypłacana przez UN ma zostać obniżona z 350 \$ do 100 dziennie, a jeśli chodzi o zagrożenia, to wiecie... *parę razy strzelali do nas jak do kaczek, ameba, bruceloza - środki ostrożności nie na wiele się zdają. Jesteście pierwszą linią zabezpieczającą warunki pracy dla wszelkich możliwych organizacji międzynarodowych, a zdefiniowanego przeciwnika nie ma. Kontyngent nie jest duży, liczy ok. 100 żołnierzy z kilku krajów pełniących służbę w regionie Kurdystan, który dla potrzeb misji podzielono na sektory: Dohuk, Erbil i Sulejmanija - od nazw głównych miast na pograniczu tureckim i irańskim. Polscy lekarze wojskowi i pielęgniarki zabezpieczają kontyngent medycznie - i to była jedyna w miarę krzepiąca wiadomość - nie będziemy więc sami. Spotkanie trwało nie więcej niż 25 minut. „Maruda” zauważył z przekąsem - jak obniżyli diety, to MON przypomniał sobie o policjantach, wcześniej nawet nie pismeli o tej robocie - to było oczywiste dla wszystkich.*

Byliśmy już po wszystkich możliwych badaniach, szczepieniach, mundurowaniu. Pozostało tylko czekać na datę wylotu. Bilety zabezpieczało warszawskie biuro ONZ (UNDP) Umówiliśmy się, że przed wylotem przyjadą do mnie do domu, skąd pojedziemy na Okęcie. Kiedy się rozstawaliśmy, „Długi” stuknął mnie łokciem w bok - *słyszaleś Andrzeja?* Faktycznie, ale myślałem, że się przestyszałem - to przez tę robotę na strzelnicy. Myślisz o tym, że powiedział - ja stamtąd nie wrócę? *Tak, i otarł tzę.* Chłopaki zjeżdżali się całą noc, a pakowaniu nie było końca. Gdy już wydawało się, że jesteśmy na finiszu, a emblematy zostały przyszyte (chwała Zośce za pomoc), Blondyn zaproponował, żeby nie zabierać szyn Kramera używanych do usztywniania złamań. Faktycznie, to cholerstwo zajmowało tyle miejsca i było tak nieporęczne - po co oni nam to dają? Zniosłem je do piwnicy.

Podróż

Nasza piątka wzbudzała w samolocie wyraźne zainteresowanie. Nie pamiętam już, czy to podczas tego lotu, czy jednego z wielu następnych, o to - gdzie lecimy - zapytał Adaś Michnik. W Wiedniu mieliśmy przesiadkę do Larnaki. Lądując na Cyprze zostaliśmy przejęci przez pracownika MOVCON - to bardzo pożyteczna instytucja. Jej pracownicy organizują w UN wszystko, co wiąże się z transportem. Wiele razy korzystałem z ich życzliwej i profesjonalnej pomocy. Podążając za gościem, pchając wózki z tobołami, po krótkiej odprawie paszportowej znaleźliśmy się na płycie startowej obok białego ONZ-owskiego AN 24. Okazało się, że samolot i załoga są z Ukrainy - jeszcze kilka razy z nimi latałem. Po prawie 10 godzinach podróży, głodni i spragnieni z wdzięcznością przyjęliśmy po trójkątnej kanapce i kartoniku napoju. Przetykając kęsy, zdążyłem nawet pomyśleć, jaka ta ONZ jest opiekuńcza, gdy steward zaczął zbierać pieniądze - po 8 dolców od łba. Zamieszanie było spore, bo oczywiście nie miał wydać, a my mieliśmy studolarowe banknoty. Jak się później okazało, steward to mechanik pokładowy, a ONZ nie miała nic wspólnego z tym biznesem.

Lot do Bagdadu wspominam jako niekończące się pasmo najpierw wody, później piasków pustyni i trwającego długo przyziemienia. Długość pasa startowego i wielkość lotniska były imponujące. Podczas lądowania nie sposób było nie zauważyć mnóstwa zniszczonych samolotów i rozbitych bezpośrednimi trafieniami bunkrów samolotowych. Odprawa była przyjazna. Iracki oficer wkleił do paszportu wizę i prawie płynną polszczyzną zapytał - *jak tam dziewczyny w Warszawie?* Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy drugi zapytał o pogodę. Obaj studiowali w Wojskowej Akademii Technicznej i jak się okazało - mieli miłe wspomnienia - no cóż, będziemy musieli bardzo uważać. Lotnisko było wojskowe i żeby z niego wyjechać, trzeba było trochę czasu. Patrząc przez okna samochodu „Toyota Coaster” na zniszczony sprzęt, skrzynie z samolotami, których nie zdążono nawet rozpakować - można było sobie wyobrazić piekło bombardowań. Na pagórkach rozsianych na obrzeżu lotniska widać było działka ZU-23-2 i ZSU-23-4 oraz żołnierzy obsługi. Miasteczko przy lotnisku nazywało się Habbanija.

Jazda do Bagdadu to pierwsza możliwość przyjrzenia się „cywilnemu” Irakowi. Mijaliśmy zakurzone drzewa palmowe, jakieś kanałki i tylko czasem ktoś w tej wodzie wymachiwał motyką. Liczne przydrożne stragany przykryto folią albo kawałkiem blachy. Jedne puste, na innych jakieś trudne do określenia towary. Wszystko to niemiłosiernie zakurzone - ruch pojazdów na drodze znaczny. Patrząc zaś na wystawiony w mijanych miasteczkach towar, można by zaryzykować stwierdzenie, że wszyscy tu chcą sprzedać plastikowe miski, wiaderka i konewki w różnych kolorach i rozmiarach, arbuzy i papierosy. Po godzinie jazdy dotarliśmy do hotelu Palestyna w Bagdadzie. Przepych tego miejsca robił ogromne wrażenie. Marmury i wielkość pomieszczeń recepcyjnych sugerował, że pokoje to dopiero będzie „coś”. Ale nie - były przeciętne. Rzucał się natomiast w oczy brak gości hotelowych - widziałem może kilku o wyglądzie niepozostawiającym

wątpliwości, co do ich majątkowego statusu. Jeszcze na dole chłopcy skrzyknęli się na basen, później wszyscy mieliśmy zejść, by wrzucić coś na ruszt. Patrzyłem z balkonu ósmego piętra, jak podchodzili do osłoniętego (chyba trzcinowymi matami) obiektu, a następnie zobaczyłem biegnących w ich kierunku mocno gestykulujących „ludków”. Cała ta czereda szybko zawróciła i zniknęła mi z oczu. Zaintrygowany wszedłem pod prysznic, nie zamierzając zbyt szybko rezygnować z orzeźwiającej wody, gdy zadzwonił „Blondyn”, proponując przyspieszenie obiadu. W słuchawce naszej rozmowie towarzyszyły dziwne odgłosy i dźwięki. Na dole zastałem chłopców z zakłopotanymi minami. Okazało się, że jak już szli w szortach na basen spostrzegli, że obsługa recepcji gdzieś wydzwaniała - teraz oczywiście wiedzą, że to była panika w czystej postaci. Dopiero przed samym basenem wytłumaczono im, jakiego przestępstwa się dopuścili. To, że przechadzali się po głównym holu w szortach, co jak powszechnie wiadomo jest nieprzyzwoite i niedopuszczalne, uprzejma obsługa recepcji próbowała jakoś usprawiedliwić, ale jak można chcieć pływać w basenie w dniu, kiedy ten jest tylko dla kobiet? - tego nie mogli pojąć. Poinformowano nas, że to bezprecedensowe zdarzenie zgłoszono już menedżerowi - ten na szczęście nigdy nie zareagował.

Obiad w olbrzymiej sali restauracyjnej, w której byliśmy jedynymi gośćmi, był kolejnym doświadczeniem. Wiedzieliśmy, że tutaj nikt się nie śpieszy, ale byliśmy po prostu głodni. Gdy w końcu zaspokoiliśmy pierwszy głód doskonałymi krewetkami, natychmiast złożyliśmy kolejne zamówienie. Wysokość rachunku była powalająca. Za całość zapłaciliśmy przeliczeniowo coś koło paru dolarów. Wszystko wyjaśnił kurs dolara do dinara. Jak się później dowiedzieliśmy, za dolara można było teoretycznie kupić 10 tysięcy litrów benzyny. To było też powodem, dla którego jeżdżąc pomiędzy Bagdadem a Erbilem za zapłatę za paliwo wystarczała puszka coli, a widok nieśpieszącego się pracownika, gdy „pistolet” nie odbijał, a paliwo się przelewało, był normą. Wieczorem zeszliśmy na kolację, zamawialiśmy tylko wyszukane potrawy. Na koniec ciastka, doskonała kawa i *nargilla*.

W służbie

Rano pojechaliśmy do Canal Hotel, gdzie rozlokowało się nasze dowództwo. Za małe co nieco na śniadanie zapłaciliśmy dużo więcej niż w hotelu - ceny były po prostu normalne. Do południa mieliśmy pobrać umundurowanie. Koszule niebieskie z krótkim i długim rękawem, typowe dla amerykańskiej policji, granatowe spodnie z czarnymi lampasami, kurtka „niby zimowa”, dwie niebieskie bejsbolówki. Zapytałem o buty - *sam sobie kup* - usłyszałem od magazyniera. Jako jedyny zabrałem brązowe sandały, chłopaki przypadkowo mieli czarne półbuty - w moich wyglądałem przy nich przedziwnie. W naszych nowych mundurach poszliśmy zrobić zdjęcia do ID. Na ścianie pomięte, raczej szare, prześcieradło. Wyraźnie „lokałec” zrobił zdjęcia „z ręki” zwykłym aparatem. Fotki i gotowe dokumenty mieliśmy otrzymać jutro. Pierwsze spotkanie z szefem kontyngentu zawsze robi wrażenie. Duńczyk czuł nasze napięcie, ale szybko zauważyliśmy jego przyjazne nastawienie. Przepytował o nasze doświadczenie zawodowe i wcześniejszą służbę na Bałkanach. Mówił o czekających nas zadaniach, zapoznał ze strukturą Kontyngentu Straży. Rozmowa zeszła na luźne tematy, słowem - było dobrze. Brylował „Blondyn”, prowadząc dyskusję w taki sposób, że często pozostawało nam tylko się śmiać. Dowiedzieliśmy się, że rotacyjnie sektory przysyłają do kwatery głównej oficerów „na radio”, no cóż, zobaczymy. Jeszcze dwa dni spędziliśmy w Bagdadzie czekając na transport. Mieliśmy czas - może więc ruszymy na miasto? To doskonała okazja do zwiedzania - taka chwila może się nie powtórzyć. Czekając na taksówkę, skorzystaliśmy z oferty młodego gościa proponującego „prywatnie” podwózkę. Koleś został naszym bagdadzkim kierowcą do końca pobytu. Od początku przeczuwaliśmy, że to nie był przypadek, ale z dwojga złego zawsze to lepiej zdecydować się na kontrolowaną opiekę służb niż wpaść w nie wiadomo czyje sidła. Nasza czujność się wzmogła, gdy po ostatniej kolacji, kończąc *nargillę*, Andrzej pokazał mi karteczkę. Dostał ją od niczego sobie kelnerki, o której mój dobry kolega by powiedział - *organizm by nie odrzucił*. Kręciła się przy nas od początku. Gdy płacił rachunek, szepnęła mu, że gdyby kiedykolwiek wpadł do Bagdadu, to chętnie go przyjmie w swoim domu. Na karteczce był adres, imię i numer telefonu - uff, jak gorąco.

Sektor przysłał po nas swojego coastera, którego historię wkrótce usłyszeliśmy. Droga do Erbilu zajmowała 5-6 godzin. Z zaciekawieniem przyglądałem się przedmieściom metropolii. Szarzyzna przydrożnych palm i góry śmieci. Od czasu do czasu *check pointy* - oczekujące w kolejce samochody mijaliśmy bez kontroli, kolejka nas nie obowiązywała. Mnóstwo starych VW passatów, czasem toyoty crown i pikapy. Wnętrza pojazdów wyłożone owczymi skórami - taki arabski wynalazek na upał. Zieleń powoli się kończyła i natężenie ruchu malało. Byliśmy praktycznie sami na drodze, gdy drogę prostopadle przeciął nam passat jadący z dużą prędkością. Kierowca podpowiedział, że trzeba uważać, bo tu nikt nie przejmuje się przepisami. Dojechaliśmy do Mosulu. Znowu punkt kontrolny. Żołnierze przyglądali nam się z zaciekawieniem, ale kontroli nie było - kierowca stwierdził: *oni tu doskonale wiedzą, kto jedzie, dokąd jedzie i przestrzegł - żadnych aparatów i zdjęć. Ostatnio jak jechaliśmy, to trzymali nas ze cztery godziny, bo jeden z Czechów wyjął aparat - tylko wyjął, zdjęcia nie zdążył zrobić, dochodzenie trwa nadal*,

wszędzie szukają szpiegów i są „crazy” na tym punkcie. Mosul minęliśmy bokiem, po kilkunastu kilometrach olbrzymi kamienno-betonowy kompleks-więzienie, rzuca kierowca. Podobno jeszcze godzina jazdy. Po lewej i prawej stronie drogi kilkadziesiąt okopanych czołgów, typowa obrona okrężna. Zadziwiające jest to, że żołnierzy jak na lekarstwo. Przejeżdżamy przez most, ostatni punkt kontrolny i zostawiamy Saddama za sobą - byliśmy po kurdyjskiej stronie.

Dowództwo sektora Erbil mieściło się w piętrowym domu z tarasem na pierwszym piętrze. Całość była częściowo ogrodzona murem, wewnątrz znajdował się duży parking. Klient w szarawarach, odstawiwszy kałacha nieśpiesznie, sprawdzał podwozie lusterkiem. Zauważyłem tłumek ludzi. Wkrótce nas otoczyli. Poklepywaniom i pytaniom nie było końca. Ale gdzie Polacy - są, podeszli - Jurek, Romek, przedstawili się - jesteśmy lekarzami. Ale między nimi znowu zaczęli przepychać się Czesi i Słowacy. Chyba byli święcie przekonani, że wszystko rozumiemy - nikt nie mówił po angielsku, co spuentował Andrzej - *a tak chciałem poprawić język.* Minęło parę minut, a ci nadawali jeden przez drugiego. W końcu usłyszeliśmy: *do dowódcy.* Prowadził Jurek. Jestem Lars - mały rudy człowieczek nie tracił czasu. W Erbilu zostają Marek i Andrzej. Do Dohuku jadą „Długi”, „Blondyn” i „Maruda”. Coś tam jeszcze mówił, ale nie za długo. Wkrótce pożegnaliśmy się z naszą trójką. *Ze względów bezpieczeństwa chałupę musicie wynająć jak najbliżej dowództwa, może też uda wam się podłączyć do stacyjnego generatora, zawsze to chociaż jedna żarówka w domu. Prąd włączają dwa, czasem trzy razy w tygodniu na parę godzin* - informacje Jerzego łykamy w drodze do pierwszego zaoferowanego nam domu. To połowa bliźniaka - trzy pokoje, kuchnia. Nasz opór budził kibelek, ale - jak się dowiedzieliśmy - europejskiej wersji nigdzie tu nie znajdziemy. Decyzja zapadła natychmiast, weszliśmy „w temat”, nie będziemy szukali dalej, tym bardziej że będziemy mieszkali blisko siebie. Jurek jest lekarzem chorób tropikalnych, a Romek chirurgiem ortopedą. Już wiemy, że chłopaki są spoko. W imieniu właściciela warunki umowy twardo negocjował syn, był tłumaczem na stacji. Byliśmy już gotowi na nie przystać, gdy wtrącił się Jurek, mówiąc, że tu tak nie można. Z jego pomocą zeszliśmy z kosztów prawie o połowę - to była cenna lekcja. Zgodziliśmy się też na *housekeepera* - to Asti, syn właściciela. Na „zagospodarowanie” mieliśmy dwa dni. Wieczór spędziliśmy u lekarzy. Rozmowom nie było końca. Ustaliliśmy z Jurkiem, kto jest kto - oficjalnie, to on będzie dowódcą polskiego kontyngentu, co oznaczało, że będzie reprezentował wszystkich Polaków. Dlaczego takiej sytuacji nikt nie przewidział w kraju? Albo nasze ministerstwa mają ważniejsze sprawy na głowie, albo się czepiam.

Po raz pierwszy piłem arak - może być. Nie mogłem spać, w kuchni zastałem Andrzeja, też nie mógł - do rana prowadzimy nocne Polaków rozmowy. Nowy dzień pozwolił spokojniej przyjrzeć się miejscu pobytu i chłodniej ocenić pewne sprawy. Po porannej odprawie dostaliśmy motorole i nadano nam kody wywoławcze. Jestem teraz Echo Papa - 1, a Andrzej Echo Papa - 2. Do końca naszego tu pobytu dla naszego bezpieczeństwa będziemy wywoływani rano i wieczorem.

Wróciliśmy do domu. Zbudowany z małych betonowych bloczków, ściany cieniutkie, w oknach kraty i cienka siatka. Otoczony murem z pustaków, stalowa brama i drzwi wejściowe. Odkryliśmy obok fabryczkę lodu, przy niej jakieś bajoro i kałuże. Czy to z powodu komarów wylęgających się w nich mamy te siatki w oknach? - czas pokaże. Po południu pierwsza awaria

kanalizacji, potem następna. W końcu dotarło do nas, że papieru toaletowego naprawdę nie można spuszczać. Rurki odprowadzające ścieki nie były do tego przystosowane. Czy naprawdę będziemy zmuszeni do korzystania ze „skoczni” i plastikowych konewek z wodą? Przyszła służba zdrowia. Chłopaki przynieśli zgrzewkę wody i tabletki do uzdatniania wody. Na dachu dwa „tanki”. Wsypaliśmy chemię bacząc, żeby nie dosypać właścicielom. Okazało się, że na nasze toaletowe problemy był sposób - plastikowe wiaderko z pokrywą. Do dzisiaj pamiętam moje opory, gdy podnosiłem tę pokrywkę. ONZ nie zapewniała pomocy w zakupie środków do życia. Ale na to znaleziono sposób. Raz na dwa tygodnie sporządzano listę, a zamówiony towar sprowadzał z Iranu - sobie tylko znanym sposobem - sklepikarz. Asortyment był ograniczony, ale dało się wyżyć. Najważniejsza była woda. Przy pierwszych objawach ze strony przewodu pokarmowego pobierano „kupencję” na badanie w kierunku amebozy. Romek krótko opowiedział o kompetencjach medycznych. Nasi lekarze, podobnie jak pielęgniarki są tutaj i w Dohuku, panią Wiesię poznać jutro. W Sulejmanii pielęgniarką jest Czeszka.

Ankawa, gdzie mieszkaliśmy, była bogatszą częścią miasta. Domy i domki w większości były ogrodzone szarymi murkami - w nich stalowe bramy i furtki. Zabudowa była raczej „ciasna”. W przydomowych ogródkach królowały przykurzone drzewka pomarańczowe i winorośl. Tarasy na piętrach były tak zabudowane, że obserwacja domowników z ulicy nie była możliwa. Złożenie zamówienia było okazją do poznania właściciela sklepiku spożywczego. Kiedy wychodziliśmy na ulicę, zostaliśmy zaproszeni przez sprzedawcę z naprzeciwka - zatrzymaliśmy się tu dłużej. Handlował głównie zegarkami. Oferta była bardzo bogata „katalogowo” i raczej skromna w realu. Jak nas poinformował, Saddam obdarowywał ojców oficerów poległych w wojnie irańsko - irackiej złotymi zegarkami „Tissot” ze swoją podobizną. Niewątpliwie byłaby to fajna pamiątka, ale tak jakoś czułem się dziwnie, trzymając w dłoni bezimienny „certyfikat” czyjejś śmierci. W ofercie były też czasomierze zrabowane przez armię iracką w Kuwejcie - ciekawy początek służby.

Idąc do chłopaków na obiad dowiedzieliśmy się, że Saddam każdemu oficerowi w dniu promocji dawał samochód „VW Passat” - stąd na ulicach takie ich zatrzęsienie i prawie wszystkie pomalowane w pomarańczowe akcenty, białe taksówki pochodzą z tego źródła. *A z tymi zegarkami to... Jeśli już, to trzeba uważać, podróby wszystkiego są na porządku dziennym. Jak się zdecydujecie... To jest taki sklep w Dohuku...* Otwierając furtkę, Jerzy machnął ręką na przejeżdżającego rowerem chłopca. To dostawca pity, przepysznych arabskich chlebików. O każdej porze dnia można liczyć na jeszcze ciepłe pieczywo z domową dostawą...

W przyspieszonym tempie chłoniliśmy z Andrzejem każdy, nawet najdrobniejszy strzęp informacji.

Coaster

Na porannym apelu poznaliśmy pozostałych kolegów. Duńczycy byli w mniejszości i „okupowali” stanowiska, o których wszystko można by powiedzieć, ale nie to, że należą do najniższych w strukturze kontyngentu. Czesi i Słowacy to oficerowie dyżurni, operacyjni i jak my *patrolmeni*. Jako nacja przeważali stanem liczebnym. Czuło się, że humorem, „zawadiactwem” i chęcią niesienia pomocy tworzą pozytywną atmosferę. Nepalczyków, Filipińczyków i Pakistańczyków było po kilku. Gdyby nie nasi lekarze, nasza dwójka stanowiłaby etnograficzną ciekawostkę. Zostaliśmy przydzieleni do osobnych zespołów. Moim, trzyosobowym dowodził Dalibor, a Nepalczyk Raj okazał się być całkiem do rzeczy kompanem. Na parkingu, pokazując mi czynności obsługowe, jakie przed każdym wyjazdem „w teren” trzeba wykonać, kiwnął głową pokazując na stojącego obok coastera - *Marek, popatrz na ślady pocisków* - jakie ślady pocisków? Mrużąc oczy od słońca „włampiałem” się w autobusik, nie mogąc nic dostrzec. - *Z przodu, z przodu obok kierowcy* - liczę otwory, naliczyłem trzy w lewym słupku. Widząc moją zawiedzioną minę kontynuował - *szyby i opony wymieniono na nowe*. Wystłuchałem historii, której nie powstydziliby się film akcji. Otóż, wracając z Sulejmanii dziewięciu naszych jadących nim, wpadło w zasadzkę. Kierowca prowadził zygzakiem do momentu, kiedy przestrzelone opony pozwalały już tylko na jazdę na wprost. Wtedy dostali z granatnika. Przeciwpancerne pociski rakietowe przeleciały przez tylną, następnie przednią szybę i eksplodowały na zboczu. Szczęśliwie dla pasażerów, szyby były zbyt „miękkie” dla broni przeciwpancernej. Kilkanaście kilometrów gnali na felgach.

Cza - Cza, nasza pielęgniarka, była wtedy na pokładzie. Jak się później dowiedziałem, to jej Austriak zawdzięczał życie, które już do końca spędzi na wózku inwalidzkim - dostał w kręgosłup. Myślałem, że historię tego zdarzenia sprzedam po południu Andrzejowi, ale okazało się, że tę i parę innych już znał. No cóż, lubię barwne i ciekawe życie, ale żeby rakiety? Kuźwa, gdzie my jesteśmy?

Klub

Idziemy do klubu „zrobić” powitalne party. Klub to instytucja utworzona przez naszych poprzedników, którzy zapewne zorientowali się, że zapiją się na śmierć, jeżeli sami nie wymyślą sposobu na zagospodarowanie czasu wolnego w cywilizowany sposób, to nikt inny za nich tego nie robi. Na koszt misji wynajmowano dom, w którym ochotnicy pełnili miesięczne dyżury. Trochę niesprawiedliwie byli nazywani barmanami, bo oprócz tej jakże ważnej czynności, zajmowali się stroną finansową przedsięwzięcia i dokonywaniem niezbędnych zakupów. Mieliśmy do dyspozycji dwa stoły bilardowe w stanie używalności, telewizor w roli rekwizytu, bo nikt nie znał irańskiego i tureckiego oraz sprzęt radiowy pozwalający słuchać muzyki z bliższego naszym sercom i uszom obszaru kulturowego. W kuchni zatrudniony był miejscowy kucharz przygotowujący obiady, na które można się było zapisać z jednodniowym wyprzedzeniem. Wpisowe stanowiło 100 zielonych rozliczanych raz w miesiącu. Z powodu niedostatku małych nominałów wspaniale funkcjonowała instytucja zapisywania „na zeszyt”. Z trunków były alkohole i piwo, a z napojów soki i cola. Cały towar pochodził z Turcji lub Iranu. Na przygotowanie prawdziwego „party” nie mieliśmy czasu ani dostatecznej wiedzy w temacie. Ale jak się dowiedzieliśmy, był na to sposób - dzwon, który wisiał nad barem. Każdy, kto go użył, informował wszem i wobec, że stawia wszystkim kolejkę, a barman obciążał jego konto, w tym przypadku moje. Tak było w przypadku imienin, urodzin czy też zwykłej chandry. Czesi przynieśli gitary. Gdzieś tak po godzinie zaczęli śpiewać w kółko tę samą piosenkę, a sala refren. Parę minut przed godziną dwudziestą jakoś wszyscy ucichli wyraźnie czekając na coś. Sytuacja za chwilę się wyjaśniła. Wszystkie motorole zapowiedziały sprawdzenie łączności - stała procedura. Oficer dyżurny wywoływał każdego z nas, a my potwierdzaliśmy obecność. Trochę to trwało, w klubie było ponad dwudziestu chłopów. Integracja przełamala lody i do północy pozwoliła nam zbratać się z prawie wszystkimi, a także sporo się dowiedzieć. W temacie party, Ulrik sprzedał mi informację, że czasem ludzie zamawiają u kucharza pieczoną świnie, *no wiesz taką dziką świnie z pola, bo tu nikt świń nie hoduje*. To jak oni je łapią? - *snajper*. Równie o północy „bez komendy” towarzystwo zaczęło się zwijać i po paru minutach nie było już nikogo - jutro też jest dzień.

Dzień po dniu

Pierwsze tygodnie przeznaczone na zapoznanie się z regionem pamiętam jako niekończący się zachwyt nad wspaniałą przyrodą i ludźmi, którzy - mieszkając często w miejscach oddalonych od większych skupisk ludzkich, ciężko doświadczeni przez iracką armię - mieli jeszcze ochotę na uśmiech. Wysoko w górach kobiety o pięknych twarzach nie były czymś niezwykłym. Ich mężowie wprowadzali mnie w zakłopotanie, częstując najpierw papierosem podawanym „z ręki”, a gdy odmawiałem - na jakiś czas rzuciłem nałóg - wodą w metalowej czarce, za którą też musiałem podziękować, bo przecież ta cholerna ameba. Ja ich najzwyczajniej obrażałem, ale jak miałem przeprosić bez tłumacza? I nigdy, ale to nigdy nie zapomnę uśmiechu kobiety niosącej wiązkę chrustu na głowie, za którą na osiołku podróżował zapewne pan i władca. Jak mam z Zośką na pieńku, to tak czasem sobie myślę...

Patrole, eskorty konwojów z humanitarną pomocą i służba oficera inspekcyjnego na prawie rok stały się moim głównym zajęciem. Zaczynaliśmy od 7 poranną odprawą. Obowiązywała żelazna zasada - do godziny 15.30 wszystkie pojazdy powinny wrócić do bazy i stać zatankowane, gotowe do wyjazdu w dniu następnym. Zadaniem patroli było sprawdzenie przejezdności dróg. Na podstawie naszych radiowych meldunków służba dyżurna ogłaszała dzienny *radio announcement* dla pracowników organizacji międzynarodowych działających w regionie. Józef, czyli „po naszymu” Józek podsumował to tak - *w Somalii lataliśmy wiatrakiem nad drogami, a tu sami musimy na to gówno najechać, żeby sprawdzić tę pierdoloną przejezdność*. Nie mając żadnych technicznych możliwości, czy podłożono ładunki wybuchowe, pytamy czasem miejscowych - *muškila? problem?* - i uzyskujemy odpowiedź *ma fi muškila*, nie ma problemu. Towarzyszy temu rodzaj klaskania, z którego ma wynikać, że jest czysto, zagrożenia nie ma. Minowanie dróg nasiliło się, gdy zaczęto używać japońskich maszynek zaprojektowanych do pobierania próbek asfaltu.

Eskortowanie konwojów było ciężkim kawałkiem chleba. Z kierowcami ciężarówek i ich sprzętem był zawsze problem. W jedną stronę, wioząc z Turcji przez Dohuk i Mosul do Erbilu międzynarodową pomoc humanitarną dla Kurdów, musieli przejechać przez saddamowski Irak. W drodze byli narażeni, jeśli nie na utratę życia, to na bezpowrotne zniszczenie pojazdu, gdyż jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności zdarzało się, że zbiorniki paliwa ciężarówek wybuchały już po stronie kurdyjskiej. W kwaterze znajdowała się wcale niemała kolekcja pozostałości po chemicznych ładunkach zapalających, umieszczonych wcześniej w zbiornikach spalonych pojazdów. W drodze powrotnej, szczególnie po przekroczeniu Dohuku, próbowali urywać się, chcąc być pierwszymi w kolumnie i oczywiście na granicy. Starano się temu zaradzić, konfiskując paszporty, które były wydawane w Dohuku w kolejności, w jakiej pojazdy opuszczały Erbil. Stan techniczny niektórych pojazdów nie pozwalał na utrzymanie stałej prędkości, co doprowadzało do szewskiej pasji kierowców mających sprawne pojazdy, tym bardziej że zawsze znalazł się

zawalidroga, który miał trudności z podjechaniem pod pagórek zalany mazią ropy z pseudocystern przewożących ropę z Iraku do Turcji w ramach programu ropa za żywność.

W Ankawie mieściły się siedziby wielu organizacji niosących pomoc Kurdom. Przyznam, że nigdy nie miałem serca do służby oficera inspekcyjnego, którego rolą było sprawdzenie, czy ochraniający je peszmergowie (kurdyjscy wojownicy śmierci) są obecni w przewidzianym grafikiem składzie. Z daleka widzieli nadjeżdżający pojazd i - mając czas na ogarnięcie się - w większości przypadków nie próbowali nawet ukryć widocznych oznak dopiero co przerwane go. Pomieszczeniami, w których pełnili służbę, były malutkie budki z pustaków. Najczęściej dowódca zmiany wychodził mi na spotkanie, co natychmiast spotykało się z moim uznaniem, dziękowałem więc dłonią za okazany szacunek i jak profesjonaliści rozstawaliśmy się nie zamieniając słowa. Pamiętam, że w jednej z „lokacji”, gdzie mieszkała i miała swoje biuro kobieta, obecność oficera inspekcyjnego była ledwie tolerowana. W drugiej zaś z powodu upodobań rezydenta bardzo pożądana - staraliśmy się więc tego pana unikać jak ognia. Wspomniana pani była zapewne przeświadczona o swoim szczególnym statusie w organizacji, którą reprezentowała i miała niezachwianą pewność, że skierowano ją na to zadanie wyłącznie z powodu wyjątkowej misji do spełnienia. Przed jej domem stał duży namiot, w którym trzymała kilkanaście zwierząt, w tym sarenki - smród ułatwiał lokalizację. W rezydencji zawsze przebywał przystojny, chyba osobisty sekretarz, wyraźnie swoim zachowaniem dający do zrozumienia, że nic tu po mnie. W powszechnym odczuciu i pani, i pan byli na dobrze płatnym zestawieniu.

Kurrak

Aby dotrzeć z Erbilu na szczyt tej góry, trzeba pokonać około 60 kilometrów i minąć miejscowość Salah, do której z jednej strony wiedzie stromy i raczej krótki zygzakowaty podjazd, natomiast z drugiej, zygzak drogi jest niemiłosiernie rozciągnięty. Kolejnym miastem jest Shaqlawah leżące mniej więcej w połowie drogi. Tu jest bardziej zielono, widać pola uprawne i drzewa. Jadąc dalej, droga wyraźnie skręca w lewo. To konieczne, aby ominąć wyglądający potężnie wał masywu górskiego rozciągającego się od prawej do lewej strony. W nim jaskinia widoczna z wielu kilometrów. Można przyspieszyć - na długim odcinku nitka asfaltu jest prosta. Mijamy przydrożne osiedla, aby w końcu znaleźć się z drugiej strony przeszkody. Moją rozmowę z Daliborem od czasu do czasu przerywały dochodzące z drugiej klasy beknięcia Raja. Nie zwracałem na to specjalnej uwagi do momentu, kiedy puścił takiego „bengala”, że gdybym nie słyszał, to bym pomyślał, że mamy jakieś kłopoty z instalacją elektryczną. Co robisz pytam? Jak tak możesz? - popatrzył jakoś tak zdziwiony.

Na szczyt prowadzi nas wąska droga asfaltowa, której ciut gorsza kondycja u podnóża nie stanowiła dla naszego nissana patrola problemu. Nic specjalnego, pomyślałem, patrząc na widoki po prawej stronie, lewą było skaliste zbocze. Minęliśmy jednoosobowy posterunek - pozdrowiliśmy się przyjaźnie. Dojeżdżamy - ostatnia prosta, po lewej przylutone do zbocza budynki, zakręt w lewo i jesteśmy na miejscu. Płaski, chyba celowo ścięty szczyt i kopuły obserwatorium astronomicznego. Skala przedsięwzięcia robi wrażenie. Jak oni to wszystko tu wtargali? Podchodzę do miejsca, skąd widać drugą stronę góry - wspaniały widok wynagradza wspinaczkę. Zwyczajowe „zaparło dech w piersiach” nie może oddać tego, co poczułem patrząc na strome granie i osuwiska w kierunku leżącego daleko w dole miasta Rawanduz. Medytowałem nad grozą surowych skał, gdy pojawili się przy nas peszmergowie. Idziemy na ich stanowisko, skąd jest lepszy widok. Łamaną angielszczyzną opowiadają, że kilka dni temu odparli atak prowadzony pod górę z tego kierunku. Jaki atak? Jak to możliwe, żeby pod taką górę? - Patrzę w dół z niedowierzaniem. Prowadzą nas do budynku największego obserwatorium. Masa równo wylanego betonu, napisy „Zeiss” wszystko wyjaśniają - solidna, niemiecka robota. W olbrzymiej kopule dwie dziury po irańskich rakietach. Nie do końca rozumiemy, mówią też coś o Amerykanach. Obok, dwa mniejsze obserwatoria - nie decydujemy się na zwiedzanie. Dalibor pokazuje mi nasz przekaznik. Mała skrzynka, antena i dwa akumulatory. Dzięki temu małemu urządzeniu mamy nawet tu, na wysokości dwóch tysięcy metrów łączność z bazą. Wchodzimy do małego pomieszczenia.

Wokół beton, koce i piecyk na naftę - w takich warunkach mieszkają peszmergowie, którzy pilnują przekaznika. Prowadzę pojazd z powrotem. Zatrzymuję się przy gościu z kałachem, stojącym na drodze obok stanowiska, które mijaliśmy jadąc pod górę - pozdrawiał nas z daleka i nie wypadało jakoś go tak po prostu ominąć. Widzę mały móździerz i na ziemi trzy granaty.

Zauważa moje zainteresowanie. Podnosi jeden, przykład do wylotu lufy i machając do mnie drugą ręką zachęca bum, bum? - nie, dziękuję. Zjazd w dół trwa moment. Dalibor coś tam opowiada, gdy odgłos potężnego bąka niemal wypycha szyby na zewnątrz. Gwałtowne hamowanie i - nie czekając na fetor wyskakujemy - z samochodu. Raj gramoli się zdecydowanie wolniej i tak, jak poprzednio pyta - *co się stało?* Miałem tego dość. Nie zdążyłem dokończyć kwiecistej frazy, gdy chwycił mnie pod ramię mówiąc - *nie denerwuj się, nie wiedziałem, ale powiedz mi, jak wy możecie się powstrzymywać? przecież to szkodliwe dla zdrowia.* Dotarło do mnie. Całe życie człowiek się uczy. Ale faktycznie... jak można tak sobie szkodzić?

Zakho

Aby zadzwonić do kraju, można było skorzystać z telefonu znajdującego się w pomieszczeniu służby dyżurnej, płacąc siedem dolców za minutę rozmowy lub jechać do Zakho przez Dohuk, gdzie opłata wynosiła dwa dolce. Siłą rzeczy aspekt ekonomiczny wygrywał. Ponieważ wyjazdy służbowe do sektora Dohuk nie były częste, organizowane były wyjazdy ad hoc, jeśli tylko zebrała się grupa chętnych. Podróż w obie strony około 300 kilometrów zajmowała cały dzień. Skorzystałem z pierwszej nadarzającej się okazji i zabrałem się ze Słowakami, zamierzając niejako przy okazji odwiedzić chłopaków. Toyota crown dała naprzód z mocą, jaką fabryka dała, dopóki nie przekroczyliśmy linii rozgraniczenia. Będąc już po stronie saddamowskiej, z zainteresowaniem przyglądałem się obronie okrężnej czołgów. Od czasu, gdy widziałem je okopane po raz pierwszy, nic się nie zmieniło. Znowu poszukiwałem wzrokiem żołnierzy, ale oprócz sprzętu nikogo nie zauważyłem. Mosul to rozległa metropolia. Żeby się przedrzeć przez niesamowicie zatłoczone skrzyżowania, potrzeba czasu i zdecydowanych manewrów. Ważniejsze od kierunkowskazów są ręce zwisające niby ot tak sobie na zewnątrz drzwi i obserwacja dłoni, którymi kierowcy sygnalizują swoje zamiary. Co bardziej nerwowym i niecierpliwym pokazuje się „szteja - szteja” (zaraz, czekaj, uspokój się), czyli powolnie kołyszę ręką z charakterystycznie ściśniętą dłonią. Dochodzę do wniosku, że na ryczące klaksony nie ma co zwracać uwagi, bo używane są bez opamiętania tym bardziej, że nie przeszkadzają ojcu narodu patrzącemu na swoje owieczki z wszechobecnymi portretów.

W końcu opuszczamy Mosul przejeżdżając przez dwa punkty kontrolne. Odcinek do Dohuku pokonujemy szybko. Patrzę na posterunki wojskowe rozmieszczone wzdłuż drogi, jakieś umocnienia i olbrzymi poligon czołgowy - jak rozmach to rozmach. Wrażenie robi osiedle domów oficerskich - widać, że nie liczone się tu z kosztami. Przez radio słyszę „Długiego” - ma dzisiaj dyżur, zapowiadam się, że wpadnę. Ostatnie kilometry do Zakho to mordęga. Tędy wywozi się z Iraku ropę w ramach programu ropa za żywność. Asfalt zlany czarną mazią. Do cystern zalicza się też ciężarówki, w których za zbiorniki „robią” marnie zespawane skrzynie. To z nich wycieka ropa. Mijamy zepchnięte do rowów pojazdy, które nie wytrzymały morderczej pracy i zakończyły tu swój żywot. Jak było widać i czuć, przewożonej ropy nie usunięto ze zbiorników. „Centrala telefoniczna” to kilka zadaszeń na pagórku pod miastem. Na stolikach sprzęt łączności satelitarnej. Jakies kable, słychać generator. W niebo patrzą czasze anten wielkości pokrywek od garnków. Nieliczna obsługa tego biznesu wygląda trochę podejrzanie. Dzwonię do domu, rozmawiając nie dłużej jak 15 minut - co słychać? jak dzieci? - rozmowa wyraźnie się nie klei - Zośka nigdy nie była wylewna.

W Dohuku odwiedzam chłopaków. Dowództwo sektora mieści się w domu przylegającym do wysokiego zbocza, w mniejszym obok mają swój klub. „Długi” prowadzi mnie „na kwaterę”. Schodki na górę, w przedpokoju buty, w środku gazety - standard, przebiegła mi szybka myśl. Pojawiają się „Blondyn” i „Maruda”. Zajadam pysznego arbuza. Wchodzi Zbyszek, lekarz - nie wiedziałem, że z nimi mieszka. „Blondyn” krótko opowiada o sytuacji. Robota taka sama, myślę, tylko konwojów nie mają. Motorola nie daje zapomnieć, że pora wracać - zbiórkę do wyjazdu zarządzają Słowacy. Trzeba pamiętać o korkach w Mosulu. Robimy niedźwiedzia, zapraszam do siebie.

Deptak

Wyszliśmy z domu mając w planach kebab zamiast kolacji w domu. Nocą nigdy nie zapuszczaliśmy się daleko, jakie więc było nasze zdziwienie, gdy zobaczyliśmy tłumy przechadzających się młodych ludzi - chłopaków w wyglansowanych butach i pary dziewcząt trzymających się za ręce. Spacerowali ulicą, zerkając na siebie. Wybraliśmy dość zatłoczony „lokal”, ale nie czekaliśmy nawet chwili. Obsługa wyłuskała nas spośród gości i zostaliśmy posadzeni przy stoliku obok kręcącego się mięsiwa. Za chwilę już się nim zjadaliśmy, popijając herbatą. Na talerzykach podano też cebulę i paprykę, ale z wiadomych względów nie skosztowaliśmy. Przegryzając kebab pitą z ciekawością się rozglądaliśmy, sami pewnie też stanowiąc niemałą atrakcję. Ulica okazała się popularnym deptakiem. Zrozumieliśmy znaczenie tego spacerniaka, pamiętając Astiego, który zapytany dzień wcześniej o powód podróżowania z siostrą osobnymi taksówkami, odpowiedział - *w Ankawie moglibyśmy jeździć jedną, tu nas znają, ale byliśmy dalej i mogłbym popsuć siostrze reputację*. Pary zakręcały przy naszej knajpce i mieliśmy przegląd sytuacji. Wszystko działo się ot tak sobie, od niechcienia i było raczej pewne, że wszyscy się tu znają.

Z sąsiedniego stolika hipnotyzował mnie wzrokiem gościu, którego znałem, ale nie mogłem skojarzyć skąd. Chętnie skorzystał z zaproszenia. Gdy się przysiadł, już wiedziałem - to ten od sauny - pracuje jako menedżer w niemieckiej organizacji pomocowej, poznałem go podczas inspekcji. Nie rozpoznałem go, gdyż „zrobił się” na wyjściowo. Na piętrze domu, w którym ma biuro, znajdują się dwie małe sauny. Pokazywał mi je, zapraszając jednocześnie do skorzystania. Był jedynym spośród znanych mi szefów troszczących się o pilnujących jego dobytku peszmergów. Kiedy częstował mnie herbatą widziałem, że dbał również o nich. Rozmowa zeszła na historie rodzinne i jego brata pracującego w Niemczech. Wybierał się do niego za parę miesięcy, gdyż kończył mu się kontrakt. Przesiedzieliśmy rozmawiając do późna i wypiliśmy niezliczoną liczbę herbatek. Wracaliśmy do domu mając przed i za sobą dwie pary dziewcząt. *A jednak ze sobą rozmawiają* - zauważył Andrzej - gdy usłyszeliśmy pytanie chłopaka idącego pod prąd z drugiej strony ulicy i odpowiedź dziewczyny idącej przed nami. W zaułku przed naszą bramą stał chłopak z dziewczyną, byli blisko siebie.

Herbata spowodowała, że nie spałem tej nocy. Rano na odprawie sensacja. Na deptaku w starej Ładzie znaleziono 150 kilogramów materiałów wybuchowych. Przechodzień usłyszał podejrzany odgłos z bagażnika pojazdu i zauważył dym. Przybyli na miejsce saperzy ustalili, że zawiódł zapalnik i tylko dlatego nie doszło do eksplozji. Poczułem się, jak na prawdziwej wojnie. Jakieś ostrzegawcze sygnały zaczęły mną telepać, ale wszystko szybko wróciło do normy.

Minaret

W centrum Erbilu, u podnóża góry, na której znajdowały się ruiny starej cytadeli, znajdował się bazar - suk. Pojechaliśmy tam zrobić zakupy przed wyjazdem do kraju na urlop. Chciałem kupić jakieś przyprawy, może kardamon do kawy, no i oczywiście czapeczki na prezenty. Prawie natychmiast zostaliśmy otoczeni czeredą żebrzących dzieci. Nie byłoby problemu, gdyby podarowane parę dinarów było końcem napastliwego zachowania, ale nie, nie odpuszczały ani na moment. Szarpanie za koszulę nie ustawało nawet na chwilę. Sprawa rozwiązała się w nieoczekiwany sposób. Dziewczynka, tak na oko dwanaście lat, chwyciła za mankiet marynarki miejscowego pięknisia, który nie wytrzymał i uderzył ją w twarz. Mała padła, lamentując. Natychmiast pojawiło się kilkanaście osób, patrząc groźnie na młodzieńca, a niektórzy coś tam nawet pokrzykiwali. Gościu, kilkakrotnie sięgał do portfela i wciskał dziecku banknoty - dała się udobruchać. No cóż, religia nakazuje wspierać potrzebujących, a on o tym wyraźnie zapomniał.

Wybór przypraw w większości mi nieznanych był imponujący. Usypane w wysokie stożki kusity magią barw i zapachem. Kupiłem kardamon i kilkanaście bajecznie kolorowych kobiecych czapecek. Jedne weselne i paradne, inne do codziennego noszenia. Te paradne były niestety sztywne, zapewne z powodu druczanych kolorowych nitek, z których były utkane, taka mała skorupa - ale jak wyglądały! Chłód tego miejsca nie zachęcał do wyjścia, ale ja po prostu musiałem do toalety. Wydawało się, że poszukiwania nie rozwiążą mojego problemu, gdy znaleźliśmy się przed minaretem. Nie wiem co mnie tknęło, że zagadnąłem do przechodzącego duchownego. *Nie wie pan, gdzie mógłbym skorzystać z toalety?* Skinął dłonią, żeby iść za nim i tak znalazłem się wewnątrz ogrodzenia. Mój wybawca zaprowadził mnie na rodzaj podwórza wyłożonego marmurowymi płytami. Przed sobą widziałem z podobnego materiału niewysoki murek, a w nim dużo ciekących kranów umieszczonych tak na oko na wysokości 30 centymetrów. Po co te krany? I czemu tak nisko? Widząc moje niezdecydowanie, mężczyzna stanął na podwyższeniu lekko oddalonym od ściany i biegnącym wzdłuż niej, przysiadł, wyjął swój „majestat”, zrobił siusiu i przyrodzenie umył wodą. Genialne, no kuźwa, genialne. W tym upale tylko tak da się zachować higienę - i te ich szarawary są do tego przystosowane. Bładość lic moich musiała zniknąć, tak mi się poprawiło. Uścisnąłem dłoń mojego nauczyciela, który wyraźnie też był zadowolony. Rozstaliśmy się, uśmiechając do siebie. *Co tam?* - zapytał Jurek. *Kuźwa nic, nie mogłeś mi powiedzieć, jak to się tutaj robi?* Opowiedziałem im moją przygodę i do dzisiaj nie wiem, czy słyszeli o tym po raz pierwszy, czy też dyplomacja nie pozwoliła im na przyznanie się do tego.

Pierwszy urlop

Dojeżdżamy z „Długim” i „Blondynem” do Bagdadu. Trochę to trwało, ale dograliśmy nasze urlopy tak, że do kraju lecimy razem. Andrzej wybrał inny termin. Tę noc spędzamy w czymś, co trudno nazwać nawet hotelikiem. Jakaś prywatna inicjatywa, na którą chłopcy dostali namiar. Kasa nie za wysoka, to i czego oczekiwać. Dom „kwadraciak” z widokiem na sąsiada hodującego kurczaki na drugim piętrze. Podziwiam ich akrobatyczne umiejętności. Niektóre siedzą na trzepakach dywanów o centymetry od krawędzi domu - dla nich to przepaść, ale czy ja wiem? Może taki kurczak zdmuchnięty z dachu by pofrunął? Nasz kierowca zabiera nas na wycieczkę po mieście. Przechadzamy się Karrada Road. Jest tu wiele pracowni malarskich. Zamawiam obrazy moich „Uszastych”. Zostawiam zdjęcia, będą do odebrania następnym razem - zadatek, nic bardziej mylnego, nie jest potrzebny. Decyduję się na „słoneczniki Vincenta van Gogha”. Wracamy. Opici herbatą potrzebujemy czegoś solidniejszego do zjedzenia. Po drodze kupujemy kurczaki z rożna, nie jest źle. Rano coaster zabiera nas do Habbanii. Ukraińska załoga jest ta sama. Tym razem dziękujemy za kanapeczki i napitki - już wiedzą, że „starzy” lecą i numer nie przejdzie.

Na Cyprze w tranzycie za obmacywanie mnie wziął się mało uprzejmy stary cap, popisujący się zapewne przed młodszymi kolegami. Na jego mundurze widniały rzędy baretek. Wykrzykiwał coś przy tym i gestykulował mi przed twarzą. Gdy poczułem na policzku kroplę śliny, odepchnąłem go i gość poleciał do tyłu. Podnosząc tyłek, pokazał mi na krzesło obok. Wszyscy przeszli odprawę, a ja zostałem. Rzuciłem się do telefonu na ścianie i - wachlując się dyplomatycznym paszportem - zadzwoniłem do informacji prosząc o numer do polskiej ambasady. Młoda kadra, chyba celników przysłuchiwała się. Po wykręceniu numeru ambasady przeszedłem na polski. Tłumacząc pomagałem sobie wskazując na przyglądającą mi się młodzież. Za chwilę byłem wolny. Tego nadgorliwca już nigdy nie widziałem.

W Larnace spędziliśmy trzy dni. Bilety przez Pragę w tym terminie były o jedną trzecią tańsze niż gdybyśmy lecieli dzisiaj - warto poczekać. Hotel „miodzio”. Z jego basenu nie korzystamy, wybieramy morze. Wędrujemy, spacerujemy, zwiedzamy, jeździmy do Limasol. Pora roku jak dla nas - turystów brak. Nasza kąpiel wzbudza zainteresowanie, ktoś nam robi zdjęcie - temperatura wody jak w Bałtyku, a słońca w bród. „Długi” zauważa pozłacane łańcuchy na wagę chyba. Wybieramy interesujące nas wzory i dostajemy certyfikaty z dożywotnią gwarancją. Miałem ten szajs parę razy na sobie. Powiedzenie, że nie wszystko złoto, co się świeci, miało tu uzasadnienie. To gówno brudziło szyję do tego stopnia, że nie można było jej domyc. W Pradze pięć godzin czekania na lot do Warszawy. Mamy autobus z lotniska na Stare Miasto. Korzystamy z okazji i w pośpiechu zwiedzamy. Refleksja przychodzi sama. Są narody, które walczą, potem z mozołem odbudowują i nic z tego nie mają. Są też takie, które się poddają i potem robią kasę z turystyki. Może trochę uprościłem, Starej Pragi ze Starym Miastem nawet nie można

porównać, to straszne. Warszawo, jakże cię lubię! Już na studiach, gdy ekspres Odra hamował na Wschodnim, ja spacerkiem szedłem na Dworzec Gdański - odpoczywałem. Raz nawet nie zdążyłem na ostatni pociąg i do Legionowa dotarłem pieszo.

Co można zrobić w domu, gdy jest się przelotem? Przed wyjazdem rozpocząłem budowę domu na działce. Niedokończony stan surowy wzięła na siebie Hania, moja siostra. Zośka nie chciała nawet o tym słyszeć. Po latach nie dziwię jej się, ale było mi przykro. Fakt, zdobyła się na wysiłek i kupiła srebrne świerki. Chciała kupić kilkadziesiąt, ale okazyjnie wciśnięto jej sto. Gdy były małe, cieszyłem się jak dziecko. Później stanowiły pokusę dla złodziei, zapewne niekatolików. Swoją drogą to zastanawiające, że ten jeden czy dwa procent naszego społeczeństwa uwziął się na mnie i ciągle mnie okradał i wycinał świerki... moje świerki.

Rozmowy z Rodzicami zawsze były dla mnie trudne. Mama trzęsąc się usiłowała dociec, jak mi tam jest i czy bezpiecznie, a Tata zawsze przypominał: *no wiesz, gdyby coś ze mną, to masz nie przyjeżdżać*. Dwa tygodnie minęły, nie wiadomo kiedy. Byłem ciekawostką przyrodniczą i ta rola mi odpowiadała. Już wtedy powinienem zauważyć, że Zośka nie akceptuje moich wyjazdów - nie zauważyłem.

W Pradze osiem godzin czekania na samolot spędziliśmy, gdzie? - oczywiście, na Starym Mieście. Do dzisiaj wspominam piękny skórzany kapelusz w stylu country. Czy zdarza się Tobie, że widząc jakąś rzecz, czujesz, że chcesz ją mieć? - tu i teraz? - mnie często. Do kapelusza przymierzałem się kilka razy, ale trzeźwo kalkulując wybrałem opcję zakupu „w drodze do Polski”. Podczas następnego urlopu już go nie było. W Larnace witaliśmy się z Ukraińcami, jak ze starymi znajomymi. Przez Canal Hotel tylko przemknęliśmy. Dohuk wysiadł wcześniej i ani się obejrzałem, jak w Erbilu siedzieliśmy przy kolacji w komplecie. Polskie wiktuały kusity, a chleb smakował chłopakom jakby był prosto z piekarni. Następnego dnia po patrolu spałem do rana jak zabity. Zazdrościłem Andrzejowi, że urlop ma przed sobą. Samo życie.

Dzień po dniu... ciąg dalszy

Na targ jeździliśmy przynajmniej dwa razy w tygodniu. Kupowaliśmy świeże mięso, warzywa i owoce. Pozostałe żarciowe zakupy robiliśmy w sklepikach obok nas. Gotowanie było moją domeną, chociaż Andrzej wcale nie był gorszy. Sklepy rzeźników były na jednej ulicy i wpadaliśmy tu już z warzywami, żeby z tym mięsem *szybciej do gara*. Póltusze krówek były sprawiane najczęściej na naszych oczach i zawsze odnosiłem wrażenie, że zwierzęta były... jakies takie małe. Nawet na patrolach, patrząc przez szyby samochodu zwróciłem uwagę, że pasące się krowy wyglądały, jak jakieś większe wychudzone bernardyny. Zgodnie z radami Jerzego - żadnych tatarów, krwistych kotletów itp. - *gotować, gotować, długo gotować, żeby wykończyć brucelozę*. Z tego też powodu popularną, żeby nie powiedzieć stałą potrawą, był gulasz z dużą ilością warzyw oraz kurczak we wszystkich możliwych postaciach. Wszystko to z ziemniakami posypanymi dostatnio kminkiem - *bo wiecie, te wiatry* - rada naszych południowych sąsiadów spodobała nam się, zawsze to też inny smak. Parę razy Filipińczycy pokazali mi, jak z kury zedrzeć skórę z piórami, *bo wiesz Marek, skóry się nie je*. Trzeba do tego dwóch osób, jednej do trzymania głowy, a drugiej do ściągania skóry, zaczynając od nacięć na szyi. Po Kurdystanie już nigdy tego nie robiłem, chociaż z Fidżyjczykami piekłem kurczaki w glinie. Także za radą mojego słowackiego kolegi, przygotowując placki ziemniaczane zamiast trzeć je na jednorodną masę, tarłem na wiórki. W smaku były takie same, a szybciej się tarło i nie trzeba było tak uważać na palce. Śniadanie często jedliśmy na stacji. Do wyboru była jajecznica i naleśniki z dżemem. Kuchnia znajdowała się na parterze obok pokoju z kolekcją resztek urządzeń zapalających, znajdowanych w miejscach zniszczonych ciężarówek. Kucharzem był sprzątac. To znaczy rano kucharzył tym, co zamówili śniadanie dzień wcześniej, mając z tego jakieś drobne pieniądze, a później sprzątał w ramach podpisanego kontraktu. Lubiłem obserwować, jak rozkładał się z półproduktami pociętymi w domu (pewnie przez żonę) równiutko w kostkę. Na gorącym oleju przysmażał paprykę i cebulę, wbijał jajka, dodawał pomidory i fetę.

Podróbki smaku tej jajeczniczy nie udało mi się uzyskać w Polsce pomimo wielu prób. Prawda jest też taka, że jajecznica według irackiego przepisu nie odpowiadała moim „Uszastym”. Jak któreś decydowało się w końcu na „z papryką”, to inne: „*ale dla mnie bez sera*”. Kończyło się jak łatwo przewidzieć powrotem do jedynie słusznej, naszej, tradycyjnej wersji. Do stacyjnego ceremoniału śniadaniowego należało picie herbaty i kawy, co było celebrowane przez „personel” niewyjeżdżający na patrole, a nieodłączny papieros stanowił dopełnienie całości.

Mieliśmy w domu termę, która sprawdzała się doskonale, gdy był prąd, no i oczywiście dostatek wody. Jeśli nie, pozostawała niezaduża miska, w której generalnie się stało. Miało to wiele zalet. Najważniejszą było to, że nie stało się na zimnym betonie i chociaż przez chwilę było ciepło w stopy. W chłodne dni do ogrzewania służyły piecyki naftowe obsługiwane przez housekeepera. Oprócz ciepła wydzielały one charakterystyczny zapach, do którego trzeba było się przyzwyczaić. Śmiem przypuszczać, że byłoby tu fajnie wszelakiej maści wąchaczom klejów, lakierów i innych paskudztw.

Jasna cholera

Wiadomość o wybuchu w Sulejmanii epidemii cholery zmroziła wszystkich. Nasze zaniepokojenie nie było spowodowane wystąpieniem tej gangreny, ale raczej świadomością nieuchronności zdarzeń, w których braliśmy, bierzemy i może będziemy brali udział. Cóż jeszcze może nas tu spotkać? Jedną z pierwszych decyzji dowództwa był zakaz podróżowania do tego sektora, a biedacy z Sulejmanii - tak nam się wydawało - mieli zakaz podróżowania do nas. Jerzy miał mnóstwo pracy. Jako lekarz chorób tropikalnych uczestniczył w spotkaniach i naradach szefów wszystkich organizacji działających tu, jak również wydawał zalecenia medyczne mające uchronić nas przed tą zarazą. Jednym z nich było codzienne wypicie dwóch butelek piwa. Ucieszyło to naszych kolegów wierzących w Allacha, a my niejako przy okazji dowiedzieliśmy się, że jak doktor zaleca, to oni i owszem - mogą. Mycie owoców, woda ze sprawdzonych źródeł, to wszystko już znaliśmy. Wprawdzie choroba nie dotknęła jeszcze naszego kontyngentu, ale z każdym dniem liczba chorych w Sulejmanii wzrastała. Propozycja Jurka, żeby miasto otoczyć kordonem sanitarnym, nie została zaakceptowana. Chorych umieszczano w miasteczku namiotowym. Przez parę tygodni „cholerne” informacje otrzymywaliśmy codziennie i zaczęły nam one powszednieć. W klubie przybyło piwoszy przychodzących tu jak do apteki, ale poza tym sytuacja już nas nie niepokoiła. Wiedzieliśmy o kilkudziesięciu przypadkach, w tym chyba dwóch śmiertelnych, ale ostatnie wieści były krzepiące. Nie zdziwiłem się więc widząc u nas patrol z Sulejmanii. Gdy miałem pojechać do nich „z kwitami”, przyjąłem zadanie z ciekawością. Pod miastem zobaczyłem miejsce kwarantanny - kilkanaście namiotów. Nie widziałem, żeby teren był szczególnie izolowany. Po powrocie zastałem zafrasowanego Jerzego. Wg WHO *Sulejmanija jest miejscem endemicznym i cholera występuje tam prawie co roku. Miejscowi traktują tę chorobę tak, jak każdą inną. Tylko nam tego nie powiedziano.* Jurek kontynuował - *2, góra 3 przypadki śmiertelne w 100-tysięcznym mieście, to nic nie znaczy. Grypa zbiera większe żniwo, a ja proponowałem kordon sanitarny.* Rozumiałem mojego kolegę. W Europie jak słyszymy o cholery, przypominają nam się wszystkie nieszczęścia, jakie tu spowodowała. Jerzy - wrocławianin - na pewno miał w pamięci powojenną epidemię czarnej ospy w tym mieście - kordony sanitarne, całkowitą izolację miasta i żniwo kilkadziesiąt ofiar, jakie zebrała. Zapewne na studiach przypadek Wrocławia był omawiany na dziesiątki sposobów. No cóż, mój kolego, jak już operować, to po całości, nie ma się co rozdrabniać.

Przyjazd dziewczyn

O tym, że przyjeżdża nowy personel medyczny, dowiedziałem się od Jurka miesiąc wcześniej. Miała to być planowa rotacja za Wiesię, której nie wyrażono kolejnej zgody na przedłużenie pobytu. Wracając z urlopu w kraju, podczas odprawy paszportowej w Larnace, skojarzyłem ten fakt z nadwiślańskim akcentem angielskiego, jakim posługiwały się dwie dziewczyny oraz informacją udzieloną urzędnikowi, że są w tranzycie do Bagdadu. Podeszedłem oferując pomoc. Tak poznałem Beatę i Elę. Tylko trochę porozmawialiśmy. UN-owski AN 24, którym za chwilę podróżowaliśmy, z racji hałasu nie nadawał się do konwersacji. Także coaster z Habbanii okazał się być bez klimatyzacji, więc to my kleiliśmy się, nie rozmowa. Rozstaliśmy się przed hotelem Palestyna. Dziewczyny miały pozostać parę dni w Bagdadzie, ja prawie natychmiast miałem podwózkę do sektora, więc po paru godzinach zdałem relację Jurkowi. Uśmiechnął się z zadowoleniem słysząc, że są młode, po studiach i najważniejsze, że swobodnie porozumiewają się angielskim. Przyjechały po tygodniu. Żeby przywitanie wyglądało jak należy, w dwa samochody wyjechaliśmy do Mosulu w ramach eskorty. Wieczorem przy kolacji, którą przygotowali Jurek z Romkiem snuliśmy plany na przyszłość. Już wiedzieliśmy, że Ela dostała przydział do Sulejmanii. Jerzy, znawca miejscowej kuchni i specjałów wszelakich, przygotował niespodziankę. Był to miejscowy przysmak, czyli rosół wróblowy. Chociaż byliśmy z Andrzejem uprzedzeni, z zaciekawieniem obserwowałem towarzystwo. Mój współmieszkaniec, widząc na talerzu malutki kadłubek zrobił tak nieszczęśliwą minę, że przeszła mi ochota na eksperymenty kulinarne, a dziewczyny? Patrzyłem, jak Beata trzyma za nóżki już drugiego fruującego, a Ela - chociaż jej wyraźnie mięsko „nie szło” - skupiła się podobnie jak ja na smacznym rosole z kluseczkami. Nadszedł w końcu moment, kiedy wszyscy wybuchliśmy śmiechem, dając Jerzemu sposobność do objaśnienia, że wróbelki są sprzedawane po 12 sztuk i że jedliśmy stwory latające na polach, nie miejskie. Kawa z kardamonem była wspaniała, a ciasteczka tak słodkie, że „uszy darło”. Azad, kucharz i housekeeper w jednej osobie, zebrał zasłużone oklaski. Był dorabiającym nauczycielem. Pichcił z przygotowanych przez żonę półproduktów, które przynosił z domu. Bardzo się lubiliśmy.

Na drugi dzień po Elę przyjechała „Sulejmanija”, a my rozpoczęliśmy poszukiwania domu dla Beaty - bezowocne, jak się wkrótce okazało. W rezultacie zamieszkała w moim i Andrzeja za zgodą właściciela, który swoją akceptację wyraził podnosząc nam opłatę za wynajem. Beata szybko zdobyła sympatię nas wszystkich. Energiczna „dziewczyna z jajem”, stanowiła przeciwieństwo swojej poprzedniczki. Wkrótce dało się zauważyć wśród Czechów i Słowaków pierwsze objawy zauroczenia piękną Polką. Tak się jakoś dziwnie składało, że gdzie by nie przysiadła lub się zatrzymała, otaczał ją wianuszek chętnych do pogawędki. Nie było to czymś nadzwyczajnym - była przecież jedyną kobietą na trzydziestu chłopów pełniących tu służbę. Zauważyliśmy z Andrzejem, że to podobno „do nas” przychodzili w odwiedziny koledzy, którzy do tej pory jakoś nie przejawiali inicjatywy w tym względzie. Gdy wydawało nam się, że sytuacja

staje się uciążliwa, wszystko wróciło do normy. Jak później spuentowała to Beata - *koleżeństwo koleżeństwem, ale porządek być musi* i wzięła chłopców na dystans. Od tej pory to my we trójkę chodziliśmy w odwiedziny, na przyjęcia, przyjętka i do klubu. Jeździliśmy na party organizowane przez Dohuk i Sulejmaniję, a oni przyjeżdżali do nas. Mówi się, że kobiety łagodzą obyczaje. Nie całkiem się z tym zgadzam, ale coś w tym musi być, skoro w klubie oprócz grania w bilard można było potaćzyć.

Sauna

Lekarze od tygodnia organizowali wyjście do sauny, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. Właśnie miałem „posiedzenie egzekutywy” i w stanie błogiego spełnienia patrzyłem na plastikowe wiaderko, gdy Andrzej zaczął mnie wołać. Już myślałem, że coś się stało, ale nie, *sauna, sauna* - dał się wniebogłosy - chłopaki czekają. Faktycznie, samochód stał przed bramą, a w ogródku kręcił się Romek. Coś tam zacząłem marudzić, że nie jesteśmy przygotowani, ale ten, pokazując wzrokiem na siatki z piwem, poinformował *mamy wszystko, co trzeba*. W drodze okazało się, że nie mogli dogadać się z „saunowym”. W dogodnych dla nas terminach były dni babskie i odwrotnie. Zaraz, zaraz, skąd my to znamy...? Budynek z zewnątrz okazał się całkiem do rzeczy. W środku była sauna parowa i sucha oraz wykuty w skale basen z wodą wątpliwej czystości. Po pierwszej, „suchej” sesji Jerzy zakomenderował - *Marek do wody!* - Do jakiej wody? Ociągałem się z wyraźną niechęcią, *a jak mi serducho wysiądzie?* - broniłem się. Takiej eksplozji śmiechu nie słyszałem od lat. Chłopcy prawie tarzali się na skalistej podłodze. *A w której saunie w Polsce będziesz miał taką opiekę medyczną? Wskakuj*. Woda była przepysznie lodowata, rozgrzane ciało jakoś się nie zbuntowało, chłodne piwo jak eliksir... no mówię wam, miodzio, kuźwa, miodzio. Gdzieś tak po godzinie gdy wsiadaliśmy do rozgrzanego upałem samochodu, już marzyłem o powtórce z rozrywki. Już nigdy tu nie wróciliśmy.

Sulejmanija

Jadąc tam nie korzystaliśmy z możliwości wygodniejszej jazdy przez Kirkuk, gdyż trzeba by wjechać na saddamowskie terytoria. Kierowaliśmy się na Koi Senjak, za którym czekała wspaniała wspinaczka ostrym zygzakiem na szczyt, po pokonaniu którego zwykło się mówić, że Sulejmanija jest na wyciągnięcie ręki. Na szczyt próbowali się też wdrapać przeładowane ciężarówki. Pracujące w upale na najwyższych obrotach silniki i chmury spalin towarzyszyły ich ciężkiej pracy. Widok zepsutego pojazdu nie był rzadkością. Wtedy dopiero zaczynała się jazda. Jadący pod górę musieli kombinować, żeby bez zatrzymania się ominąć zawałidrogę. Nie zawsze się to udawało, gdyż ruch z góry w dół też był znaczny. Po latach, pisząc te słowa, jestem ciągle pod wrażeniem umiejętności kierowców i ich odwagi. Tak, trzeba było być odważnym i bardzo zdeterminowanym, żeby jeździć tą drogą - ale z innej nie mogli korzystać, był tam Saddam. Na szczycie zwykle zatrzymywałem pojazd, żeby napić się herbaty, czasem zjeść małego szaszłyka i popatrzeć z góry na wspaniały widok, który wynagradzał trudy podjazdu. Szaszłykarnia, to wielkie słowo, a raczej hołd dla chłopca, który obsługiwał małego blaszanego grilla. Nie wiem dlaczego, ale jakoś zawsze wolałem jego biznes niż większy wyglądający profesjonalnie interes z daszkiem i miejscami do siedzenia.

Dzisiaj jechaliśmy z Romkiem. Miał do pogadania z Elą o złożeniu zamówienia na leki. Medycy musieli to robić z dużym wyprzedzeniem. Na podstawie kwitu Jurka, ktoś tam na zewnątrz robił przetarg i po paru miesiącach towar spływał do Kurdystanu. Było więc ważne, żeby wszystko dokładnie przemyśleć. Dojeżdżając do miasta, widziałem smutne wraki czołgów. Robiły przygnębiające wrażenie. Myślałem o ich załogach i o tym, że nawet nie wiem, do której ze stron należały - lufy były skierowane na miasto. HQ sektora mieściła się w ładnym, położonym na pagórku i otoczonym zielenią budynku. Sprawy służbowe załatwiliśmy szybko, gdyż Ela przygotowała wszystkie możliwe wykazy. Zaprosiła nas do domu - była pora lunchu. Wychodząc, popatrzyłem na wrak śmigłowca leżący obok. Parę tygodni wcześniej pilot uciekł z Iranu i lądując zahaczył ogonem o słup wysokiego napięcia. W ucieczce podobno brało udział kilka śmigłowców. Przed granicą piloci usłyszeli - *wasze rodziny już mamy* i zawrócili - biedacy.

Ela wynajmowała część dużego domu. Patrząc na duże połacie szkła - osadzone w stalowych ramach - od razu pomyślałem o zimie i ogrzewaniu. Jak to ogrzać piecykami naftowymi? Była szczupłą, drobną blondynką. Patrzyłem, jak się krząta w kuchni, wesoło tłumacząc nam, co robi. Gdybym nie wiedział, że jest wegetarianką, nie szybko zorientowałbym się, że to co za chwilę jadłem, nie ma nic wspólnego z mięsem. Do tego sałatka z warzyw. Coś z niczego w 15 minut, a smaczne... Przy kawie trochę się skarżyła na samotność po pracy. *Fakt, zapraszają mnie na party, jakieś spotkania, ale i tak trzeba wrócić do pustego domu.* Żegnając się, obiecaliśmy zorganizować imprezę w klubie i zaprosić wszystkie stacje - będziecie miały okazję sobie zrobić babski wieczór. Wyraźnie się ucieszyła. Wracając, w Dukan skręciliśmy nad sztuczny zalew o tej samej

nazwie. Wybraliśmy - jak nam się wydawało ustronne miejsce i chociaż nie byłem przygotowany na kąpiel... co tam, raz kozie śmierć. Woda była przeraźliwie zimna. Nie zdążyliśmy wyjść, gdy pojawił się sprzedawca ryb, oferując swój towar. Okazało się, że ryby w Erbilu pochodzą z tego zbiornika. Szkoda, że nie miał do nich lodu, musieliśmy podziękować. Jadąc zjadaliśmy suszone daktyle od Eli. Skutek był taki, że nie mogłem się doczekać herbatki u chłopca na szczycie, pod który pięliśmy się za kopczą ciężarówką bez możliwości wyprzedzenia. Chłopak się tylko uśmiechnął, gdy pijąc pierwszą szklaneczkę „z pianką”, zamówiłem dla nas dwie następne. Erbil witał nas zachodzącym słońcem.



Gdzieś w interiorze - kurdyjskie dzieci - zdjęcie ze zbiorów autora

Spotkanie

Zgodnie z obietnicą daną Eli, słysząc „Długiego” „na radiu”, ot tak, na spontanie, zaprosiłem Dohuk do nas na sobotę. Jurek przyklasnął pomysłowi i po swojej linii zarządził „stawienie się komponentu medycznego”. Zanosilo się, że pierwszy raz polski kontyngent spotka się razem. Był poniedziałek, tak więc nie powinno być problemu z ewentualną zamianą służb. Wieść, że Polacy coś organizują, rozeszła się błyskawicznie. Dla dobra sprawy o spotkaniu uprzedziłem „władze” klubu. W sobotę, późnym popołudniem byliśmy już w komplecie, ale jeszcze podzieleni na dwie grupy. Gdy nadciągnęli medycy, radości było co niemiara. Siedzieliśmy u nas w kuchni, sącząc burbona, podczas gdy dziewczyny poszły robić się na bóstwa. Gdy wróciły, nie tylko mnie przytknęło. No cóż, te mundury na pewno im uroku nie dodawały - bez nich widzieliśmy je po raz pierwszy. Ela wyglądała delikatnie dziewczęco, a Beata ze swoimi nogami po same niebo zachwycała figurą. Lekki makijaż, jaki panie sobie zafundowały, to była kropka nad i. Gdy Andrzej coś tam bąknął, że nie będziemy się z innymi dzielić i zostajemy z dziewczynami w domu - były zachwycone. Do klubu mieliśmy nie więcej niż 100 metrów i gdy się tam w końcu pojawiliśmy, było to prawdziwe wejście smoka. Tylu ludzi w życiu tu nie widziałem, było gęsto. Nasi koledzy zezowali tylko na dziewczyny, nasze dziewczyny i to było miłe. Wiesia i Cza - Cza nie pojawiły się. Romek był świetnym bilardzistą. Z przyjemnością przyglądałem się, jak roztrząskuje innych, przyjmując przy tym nieprawdopodobne figury. Nie byłem dla niego poważnym partnerem, ale był wyrozumiały. W sali bilardowej było gęsto od dymu papierosowego przemieszanego z zapachem whisky. Nie wiem, kiedy zorientowałem się, że rozluźniło się i mamy przy stole większe pole manewru. Dostrzegłem chłopaków tłoczących się w drzwiach do innej sali. Ciekawość sprawiła, że odłożyłem na chwilę kij i - przeciskając głowę między nimi - zobaczyłem tańczącą Beatę. Jej solówka była niesamowita. Nie trwało długo, gdy zauważyła kilkanaście, „wlampiających się” w nią głów. Musieliśmy wyglądać dziwnie. Natychmiast przerwała, zrobiła raka i odpłynęła pod ścianę. Na sali słyszeć było jęk zawodu. O 20 „radio” zaczęło nas wywoływać. Trwało to bardzo długo. Oprócz naszej stacji zgłaszali się goście z Dohuku i Sulejmanii. Po „radio check” wszyscy ruszyli do tańca. Po raz pierwszy poczułem się na luzie, było przyjemnie. W wolnej chwili złożyłem u Stefana zamówienie na skorpiona. Był młodym Duńczykiem, fascynatem węży, żmij i skorpionów. Preparował je i zalewał formaliną.

Nie dokończyliśmy rozmowy, gdy zostałem wywołany do bramy. Asti krzyczał, że pożar, że nasz dom się pali. Biegliśmy, dziewczyny chyba jakoś szybciej. Z daleka nie widać było ognia, ale pod domem wyraźnie czuć było dym. Właściciele domu płci męskiej głośno lamentowali. Nie jest źle, pomyślałem, to samo głośno wypowiedział Andrzej. W pokoju Beaty, na środku stał drewniany stół, a w nim dziura o kształcie żelazka, które leżało na wypalonym dywaniku. No cóż, nie jest łatwo piękną być i nie tanio, jak się wkrótce okazało. Nasza oczywista deklaracja pokrycia wszelkich wydatków była wstępem do negocjacji w dniu jutrzejszym. Powróciliśmy do

klubu, ale to już nie był ten klimat. O północy byliśmy w domu. Atmosfera się rozluźniła, bo tak naprawdę to nic się nie stało. Dohuk podkpiwał sobie z Beaty, a ta nie była dłużna. Do rana mieliśmy niezły ubaw, śpiąc w siódmkę na trzech łóżkach. Po śniadaniu, gdy goście rozjechali się w swoje kierunki, rozpoczęliśmy rozmowy zmierzające do wyrównania gospodarzowi strat. Wymiękliśmy, gdy okazało się, że pokój musi być odmalowany, że farba do tego to nie ta z Erbilu, *musi być z Iranu, bo jest najlepsza*. Koniec końców Beata stała się lżejsza o kilkaset dolarów, a ja nie pamiętam, żeby pokój przy nas pomalowano, ale może się mylę. Oczywiście stolik zakupiono nowy i dywanik, i żelazko także.

Mosul

Na jednej z porannych odpraw Lars niespodziewanie awansował mnie i Andrzeja na dowódców zespołów. Jakby na to nie patrzeć, była to nobilitacja i nowe obowiązki. Wystąpiliśmy przed szysk i dostaliśmy naramienniki z jednym paskiem. Chłopaki klaskali i buczeli z aprobatą. Było mi po prostu miło. Wieczorem w klubie dzwon nie był tylko rekwizytem - wszyscy byli zadowoleni. Zaczęły się nowe obowiązki. Już nie „woziliśmy się”, ale planowaliśmy zadania, składaliśmy meldunki radiowe i pisaliśmy raporty. Skład patroli był ustalany z jednodniowym wyprzedzeniem ze względu na urlopy. Dni miały szybko i często ze zmęczenia nie zawsze chciało mi się wyjść z domu. Gdy więc Lars zapytał, czy bym nie pojechał z nim i kilkoma oficerami na towarzyskie spotkanie z iracką bezpieką, chętnie na to przystałem. Chodziło o kontakt z ludźmi mającymi wpływ na przepuszczanie konwojów z Kurdystanu do Iraku. Utrzymanie dobrych relacji leżało w naszym interesie. Spotkanie odbyło się w restauracji położonej nad Tygrysem, specjalizującej się w rybnych potrawach. Po krótkim przywitaniu z trzema panami wspólnie uzgodniliśmy zamówienie. Miała to być ryba z grilla. Decyzja o wyborze potrawy nie była specjalnie wyszukana zważywszy na miejsce, w którym się znajdowaliśmy, ale sposób realizacji... Podeszliśmy do okrągłego basenu (dopiero teraz zwróciłem na niego uwagę), w którym pływały ryby. To nie były ryby, rybki czy coś podobnego znanego mi z Polski. To były pływające U-Booty. Irakijczycy wskazywali chyba właścicielowi restauracji pojedyncze sztuki, ten wydawał polecenie i za chwilę wyłowioną rybę prezentowano nam, trzymając ją w rękach. Po obejrzeniu wracała do wody. Trwało chyba z dziesięć minut, zanim wybitni znawcy tematu dokonali wyboru dwóch interesujących ich sztuk. Wzbudziło to mój szacunek dla ich profesjonalizmu, o czym nie omieszkalem powiedzieć. Słyszając moje kadzenie, nie można było nie zauważyć, że panowie byli w siódmym niebie. Tak na oko mieliśmy z 10 kilogramów mięsiwa. Zapowiadała się niezła uczta. Ryby znalazły się wkrótce na olbrzymim grillu, natomiast my przenieśliśmy się na znajdujący się na palach zadaszony trzcina pomost. Chłód od wody i wiaterek czyniły to miejsce nad wyraz komfortowym. Mniej więcej po pół godzinie, które Lars wykorzystał na rozmowę o naszych problemach związanych z tłokiem na granicy i sugestiiach dotyczących sposobu ich rozwiązania, wniesiono cztery olbrzymie metalowe tace z parującym przysmakiem. Jak się wkrótce okazało, warto było czekać. Podano pokrojone pomidory, cebulę i oczywiście *pitę*. W ruch poszły dłonie. Porcje ryby zawijane w porcyjki chleba szybko znikwały w naszych żołądkach. Po zaspokojeniu pierwszego głodu można się było rozkoszować walorami smakowymi specjału i oczywiście gorącej herbaty. Nie wiem, jaką rybę podano, ale jej smak mam zawsze na podniebieniu, gdy zamawiam nad polskim morzem rybę „prosto z kutra”, mając nieodparte wrażenie, że jem mrożonkę. Aby nie popijać tylko wodą, opróżniona została przywieziona przez nas butelczyna - tego dnia robiłem niestety za kierowcę. Później konwersacja dotyczyła już tylko bezpiecznych tematów. Przewodnim były kulinaria. Rozstając się, uzyskaliśmy obietnicę wszechstronnej pomocy - i o to chodziło.

Powrót z urlopu

Co robić, gdy ma się w Pradze osiem godzin czekania na lot do Larnaki? Odpowiedź jest prosta - Stare Miasto. Gościa od kapeluszy nie ma, może to i dobrze, oszczędzę sobie przemyśleń - kupić czy nie kupić. Jest luty, zimno jak diabli. Sytuację ratują, tak mi się na początku wydawało, budki z grzany winem. Po pierwszej dostatniej szklaneczce zimno wstępnie mi odpuściło. Zapuściłem się więc w uliczki z kramami takimi dla turystów. Można je znaleźć na całym świecie, różnica jest w zasadzie jedna. Tutaj malowidła, malunki, rysunki i szkice przedstawiają Starą Pragę, a nie np. fontannę di Trevi. Chcesz swój portret, proszę bardzo. Tutaj, w Rzymie czy w Warszawie portreciści są stałym elementem pejzażu miasta. Szukałem piwiarni, no bo być w Czechach i nie spróbować piwa? Odnalazłem lokal, który - jak mi się wydawało - powinien spełnić moje oczekiwania - nie „pod turystów” a taki, gdzie miejscowi lubią wpaść na browarka. Robił wrażenie „przechodzonego” co nieco. Pan za szynkasem swoją aparycją, a szczególnie brzuchem piwnym, był żywą reklamą tego miejsca. Przecierając blat ścierką, wysłuchał mojego zamówienia i uwagi: *czy to piwo jest aby dobrej jakości?* Napełnił kufel złocistym napojem, postawił nie za blisko mnie, wyjął z szuflady chyba monetę? i delikatnie położył na pianie. *Może być?* Przytaknąłem zaskoczony. Sięgałem po kufel, gdy go chwycił i wylał zawartość do zlewu. Napełnił kolejny i dopiero ten mi podał. Byłem gotowy zamówić jeszcze jeden, żeby wykazać się znawstwem tematu i w najprostszy sposób wyrazić swoje zadowolenie, ale nie chciałem zamienić zwiedzania w spacer „śladami toalet”. Wychodząc uściśnąłem barmanowi dłoń. Po mniej więcej trzech godzinach zauważyłem, że kręcę się tymi samymi uliczkami, a kolejne rundy różnią się tym, że gdzie indziej kupowałem grzańca. Gdy kolejny raz zaliczyłem lilipucią uliczkę i most Karola, uznałem, że pora wracać. Na lotnisko dotarłem dobrze mi znaną linią autobusową.

W samolocie moimi sąsiadami była starsza grecka para. On, mały, żwawy człowieczek, ona nie odzywała się wcale. Ubrana na czarno wyglądała, jakby zeszła z planu „Greka Zorby”. Przypadliśmy sobie do gustu, gdy obaj jak na komendę rzuciliśmy fuckami, słysząc głos z głośników wypraszający nas z samolotu z powodu nic nieznaczącej usterki technicznej. Po pół godzinie gdy siedzieliśmy ponownie na swoich miejscach, Grek zerknął na mnie porozumiewawczo dotykając ucha, też usłyszałem... silniki ucichły. Głos z głośników ponownie zapraszał do wyjścia. Mieliśmy już dwie godziny spóźnienia. Moje obawy związane z wylotem nasiliły się, jak usłyszałem, że do samolotu będziemy wchodzić inną bramką. Z tego powodu będziemy poddani ponownej kontroli. Stałem „nasty” w kolejce, szukając w kieszeni gumy do żucia. Moje palce już dłuższą chwilę bawiły się czymś, co - gdyby było prawdziwe - powinno postawić moje włosy dęba. Ostrożnie otworzyłem dłoń - mieniący się nabój był jak najbardziej prawdziwy. Tyle granic, tyle kontroli, a ja sobie wożę w szwie kieszeni przedmiot pożądania każdego służbisty. Podobno przed śmiercią stają w oczach obrazy z przeszłości. W myślach widziałem całą tę procedurę, te kwity... No i zatrzymanie do wyjaśnienia. Smarknąłem w chusteczkę i kontrabanda wylądowała w koszu. Moje ucho nie wyłowiło metalicznego stuknięcia. Udało się.

Siedziałem obok Greka. Atmosfera była napięta. Cichnące silniki tym razem poprzedziła informacja - spóźniony pasażer. Gdy poszliśmy w górę, mój sąsiad wywołał stewardesę i poprosił o przekazanie kapitanowi, że oczekuje wyjaśnień. Za chwilę otrzymaliśmy krótki komunikat. Tym razem ja wywołałem stewardesę. Oczekiwałem od kapitana przepaszającej kolejki - nie była zaskoczona. Grek przyglądał się z niedowierzaniem. Pan kapitan, dziękując wszystkim pasażerom za wyrozumiałość, zakończył: *stawia kapitan*. Mój towarzysz był wniebowzięty. Po dwóch drineczkach wydawało mi się, że najwyższa pora na odpoczynek, ale nie, uśmiechnięty Grek coś tam zagadał do żony i ta spod fotela wyjęła butlę charakterystycznie oplecioną wikliną. Pokazał mi, jak się to przechyla. Pociągnęliśmy. Nieopatrznie życzyłem nam: *tylko startów, ile lądowań*, mówiłem też coś o kole zapasowym na wypadek, wiadomo, złapania gumy. Rozbawiony gościu tłumaczył wszystko żonie i ta dołączyła do dyskusji.

W tak zwanym międzyczasie obserwowaliśmy głowę pasażera siedzącego przede mną. Niewątpliwie zafundował sobie przeszczep włosów. Widok był mało zachęcający. Od czoła do tyłu biegły rzadkie rowki, w których również z rzadka „na rzodkiewkę” posadzono liche kępki włosów. Grek wymownie postukał palcem w czoło, pokazując na modnisia. Jak można się tak zeszpecić? Ta operacja na pewno nie należała do udanych, a może się czepiam? Może końcowy efekt miał tu znaczenie drugorzędne? Może to był protoplasta tych obnoszących się z drutami na zębach, plastrami nikotynowymi, przeciwciażowymi itp. Jest gatunek ludzi, dla których „mieć” nic nie znaczy, jeśli nie można tym się pochwalić, a że ja tego nie akceptuję?

Żegnałem się z Grekami jak ze starymi przyjaciółmi. I oni, i ja bawiliśmy się chwilą, jaką dał nam w darze los - łapmy takie szanse garściami.

Straszliwa biegunka, czyli krótka opowieść o źródlanej wodzie

Wiadomość o chorobie „Blondyna”, przejawiającej się ustawiczną sraczką, z którą się borykał, w pierwszej chwili nie zrobiła na mnie wrażenia. Gdy przypadłość w kolejne dni dopadła również „Długiego” i „Marudę”, sprawa zaczęła wyglądać poważniej. Jurek wiedzę medyczną w tym zakresie czerpał od Zbyszka, który przekazywał mu codziennie raporty medyczne. Wieczorem - rozmawiając z moim zacnym kolegą - usłyszałem, że wybiera się tam służbowo: *po jaką cholere tam jedziesz, chce Ci się, musisz?* Pytając, myślałem, że może chce zadzwonić do kraju. *Muszę, sraczkę ma również Zbyszek.* Szybko zamieniłem się służbą i pojechaliśmy razem. Na widok „Długiego” osłupiałem. Zobaczyłem cień człowieka. Opierał się o ścianę, z widoczną trudnością stojąc na nogach. Pozostali wyglądali podobnie. *Co jest grane, co zżarliście ?* - przepytawałem, gdy Jurek prowadził wywiad ze swoim cierpiącym kolegą po fachu. *No nie, nie żarliśmy, ale wypiliśmy.* Okazało się, że pomysłodawcą przywożenia „źródlanej” wody z gór był „Maruda”, który w ramach własnej inicjatywy aprowizacyjnej wyczał również tańsze arbuzy wiele kilometrów od Dohuku. Pierwsza dostawa krystalicznie czystej wody osłabiła czujność moich kolegów, ale już drugiej „nie dopili”. Z relacji „Blondyna” wynikało, że na czterech facetów jeden kibel to mało w sytuacji, gdy trzeba tam siedzieć, a nie bywać. A było to tak. Będąc na patrolu, „Maruda” zapuścił się wysoko w góry w cudowne pustkowię z malowniczymi widokami. W tej bajkowej scenerii odkrył tryskające ze skały źródło. Miejsce okazało się jednak znane pasterzom. Załatwiali tam potrzeby fizjologiczne, a tu przecież nie używa się papieru...

Posiedzieliśmy z chłopakami parę godzin, podtrzymując ich na duchu, ale śmiać też mi się chciało. Pamiętaliśmy wszyscy ostrzeżenia Jurka i jego metody na amebę. Zakupione owoce kąpał w roztworze jodyny i później wkładał na co najmniej godzinę do lodówki. Tak przygotowane winogrona wprawdzie ciut „jechały”, ale można było je jeść w miarę bezpiecznie. Cała czwórka przebywała trzy tygodnie na zwolnieniu lekarskim wystawionym też przez chorego, któremu z kolei stosowny dokument wypisał kolega po fachu z Erbilu. Jeszcze dwa razy odwiedziliśmy chorych. Za każdym razem myślałem, że bardziej już nie da się schudnąć - to straszna choroba.

Branislav

Bronek był naszym oficerem transportowym (MTO). Swoje obowiązki traktował na równi poważnie, co grę na gitarze, ze wskazaniem na to drugie. Z tego powodu był duszą towarzystwa i czołowym zapiewajką na wszelkich imprezach. Chłop z niego był potężny. Gdy szliśmy we trójkę na kolację do „czeskiego” domu, z daleka słychać było jego śpiew. Otworzył nam drzwi i szlacheckim ukłonem zaprosił do środka - widać było, że co nieco już wypił. Nie przywiązywałem więc uwagi do tego, że mijając go zostałem potrącony. Andrzej z Beatą dołączyli do rozbawionego grona dyskutujących o wszystkim i o niczym, natomiast mnie przechwycił Tom, Szwajcar. Był instruktorem strzeleckim w jakiejś organizacji ochroniarskiej. Pojawił się w Erbilu na dwa tygodnie i tak naprawdę nie wiedzieliśmy, co on tu robi. Jak się dowiedział, że też uczę strzelać, od paru dni nie mogłem przejść obok niego spokojnie. Był pasjonatem broni i wystarczyło mu nie przeszkadzać, a sam rozwijał temat. Także dzisiaj zauważył mnie wchodzącego i już - siedząc przy nim - wiedziałem, że wieczór mam z głowy. Gdy opowiadał mi historię saddamowskiego pistoletu Tarik - a tak naprawdę włoskiej Beretty - drugim uchem słuchałem, jak Otto daje wycisk Bronkowi za uszkodzony samochód. Faktycznie, gdy MTO wracał z Sulejmanii, zjeżdżając w dół zygzakiem przegrzał hamulce i uderzył w kamienną barierę. W raporcie napisał, że zawiodły hamulce - każde zawiodą, gdy je przegrzejesz, tłumaczył Otto - za szybko jechałeś. Bronek, sącząc szklaneczkę, pozwalał sobie nie zgadzać się z nim, przekonując do swojej wersji zdarzenia.

Siedzieliśmy już z godzinę, śpiewając znany już wszystkim refren piosenki, gdy wybrał sobie mnie na cel. Przysiadł się i zaczął mnie zaczepiać. Początkowo jakoś tak pudło gitary nie mogło między nas się zmieścić, później zaczął mnie poszarpywać, wszystko oczywiście w żartach. Widziałem, że wzrokiem szukał wśród zebranych aprobaty dla swoich żartów. Skojarzyłem to z kukuśnikiem w wejściu. Miałem szczerą ochotę przetrzymać zaczepki, ale w końcu nie wytrzymałem. Wyjęcie pistoletu, przeładowanie i przyłożenie do czoła było chwilą. Bronek pozostał w bezruchu ze skamieniałą w głupawym uśmiechu twarzą. Tylko poruszająca się grdyka sygnalizowała, że prowadzi spowolnioną alkoholem pracę myślową. Rozładowałem i schowałem broń. Nie miałem już ochoty na siedzenie tutaj. Wychodząc zauważyłem podniesiony kciuk Toma i przyglądającego mi się Otto. Wracaliśmy z Andrzejem. Beatę odprowadzili po małej godzinie. Z tego co pamiętam, to nigdy o tym zdarzeniu nie rozmawialiśmy więcej, a Bronek zachowywał się jakby do niczego nie doszło. Po paru dniach wracając z patrolu, zauważyłem na parkingu grupkę naszych przy dziwnie przekoszonym land - roverze. Jego buda była przechylona pod kątem 45 stopni od wysokości drzwi w jedną stronę. Otto, prowadzący wszelkie dochodzenia, oglądał go dookoła. To był nowy pojazd, mieliśmy go dwa miesiące i stał w rezerwie. Gdy napisałem raport i wracałem do domu, samochód przykryty był już plandeką. Przy Otto stał Bronek z poobijaną twarzą i ręką na temblaku. Okazało się, że zabrał samochód na przejażdżkę, żeby doładować akumulatory. Na pasie startowym lotniska skręcił, a pojazd się przewrócił i dachował. Tak poza tym nic się nie stało. Otto szary z wściekłości wystuchiwał wyjaśnień. Było tajemnicą poliszynela, że czasem ktoś tam szalał na pasie startowym, kręcąc bączki, ale to były osobowe toyoty, nie wysoki samochód terenowy. Bronek został odsunięty od funkcji MTO.

Standby

Minęła już godzina, jak opuściliśmy Erbil. Prowadzi Peter, „w drugiej klasie” tłumacz. Już kilka razy rzucił dosadną uwagę na temat jazdy pikapem (chodziło o to, żeby jechać wolniej). Ostatnia była bardzo nieprzyjemna. *Fuck you* - mruknął pod nosem Peter i nie sposób, żeby tam z tyłu nie było tego słychać. Podczas wdrapywania się zygzakami na Salah usłyszałem, jak Duńczycy przepytывali oficera dyżurnego w Dohuku, sądząc po akcencie Polaka, o swojego kolegę, dowódcę stacji:

- *Hello Delta, is station commander somewhere around ? - over.*
- *Yes - over.*
- *We are approaching your location and I wanna talk to him - over.*
- *Message copied, standby.*
- *Roger, standby.*

Po jakimś czasie nasz patrol minął Shaqlawę. Rozglądaliśmy się za miejscem, gdzie moglibyśmy coś zjeść, gdy usłyszałem ponownie:

- *Delta, this is Delta 3 Bravo message - over.*
- *This is Delta, send your message - over.*
- *Approx half an hour ago I called you with no response - over.*
- *Delta 3 Bravo, this is Delta, standby - over.*
- *Roger, standby.*

Gdy minęło kolejne pół godziny, siedzieliśmy w przydrożnym „lokalu” u podnóża Kurraku i czekaliśmy na zamówienie. Spodobało mi się, że właściciel zaprosił nas na zaplecze i podnosząc pokrywki garnków pokazywał menu. Mówiąc o tym Peterowi, zauważyłem jego dziwną minę. Zjedliśmy smaczny rosół z kawałkami mięsa. Peter zapalając przed lokalem spowodował, że podbiegający sprzedawca papierosów obrął za cel innego gościa. Zaciągając się dymem, wskazał na krążącego nad nami orła. Wiesz, parę miesięcy temu w tym miejscu po zjedzeniu potrawy zacząłem się dopytywać kucharza, co ja tak naprawdę zjadłem i jakoś nie mogliśmy się zrozumieć. W końcu zniecierpliwiony wyprowadził mnie na zewnątrz, dokładnie tak jak dzisiaj stoimy i - pokazując ręką na krążącego ptaka - naśladował jedzenie. Wiesz, od tej pory - jeśli można - zaglądam do garnków.

Jak tylko włączyliśmy radio, w samochodzie usłyszałem:

- *Delta, Delta, Delta, this is Delta 3 Bravo, message - over.*
- *This is Delta, send your message - over.*

- *Delta, more than an hour ago I asked you to contact me with your superior. What is the matter status?*
- *This is Delta, standby.*
- *Delta, fuck you and your standby, I am at the main gate to your fucking station and see your commander at the window. Fuck you again and your duty too.*
- *This is Delta, standby.*

Załodze naszego pikapa udzielił się wesoły nastrój. Tłumacz, chociaż dwa razy grzmotnął głową w dach, jakoś nie protestował. Gdy kiedyś zapytałem chłopaków o tę historię, obruszyli się - *to nie był żaden z nas.*

Wodospady

Jadąc do Rawanduz, po minięciu skrzyżowania na Kurrak zagłębialiśmy się w malowniczą dolinę. Po obu stronach prawie pionowe zbocza. Po lewej stronie nigdy nie mogłem napatrzeć się na pasące się wysoko owce. Szły jedna za drugą ścieżkami wydeptanymi przez tysiące swoich poprzedniczek. To był ledwie zauważalny „biały wąz”. Były tak wysoko, że czasem wypatrywałem ich, wiedząc, że gdzieś tu muszą być. Z daleka wyglądało to tak, jakby jedna drugiej nos trzymała w tyłku i tylko od czasu do czasu na dosłownie sekundy przerywała pieszczotę, żeby coś skubnąć. Tłumaczyłem to sobie sposobem na lęk wysokości. Po prawej stronie dla owiec było za stromo, ale fascynowała wykuta w skale droga. Kto to zrobił i dlaczego tak wysoko? W kilku miejscach przebiegała pod łukami skalnymi. Na pewno była bardzo wąska, co sugerowało czasy, które dawno przeminęły. Jakiego wysiłku trzeba było dokonać, żeby coś takiego i to na takiej wysokości zbudować? Jakoś nigdy, gdy tędy jechałem, nie miałem tłumacza, żeby o to zapytać. Droga zbliżała się do urokliwego zakola strumienia, który w tym miejscu rozlewał się szerzej, żeby po kilkuset metrach przyspieszyć w wąskim korycie otaczających go skał. W strumieniu znajdowało się kilkanaście płaskich kamieni. Gdy przejeżdżałem tędy pierwszy raz, zastanawiałem się nad możliwościami matki natury, potrafiącej w jednym miejscu utworzyć tyle zaskakujących swoim pięknem form, np. te kamienie. Moje przemyślenia zostały brutalnie zweryfikowane, gdy pewnego razu obserwowałem pasażerów busa, którzy - opisując to słowami mojego kolegi: „gracko z niego wyskoczyli”, przemieścili się na te płaskie kamienie i w pozycji kucznej w zgodzie z naturą oddali jej dług, obmywając na końcu, co trzeba. Jadąc dalej, po prawej stronie znajduje się jeden z licznych tu wodospadów. Nie jestem pewien, ale chyba był nazywany wodospadem Alego. Na łuku drogi niski budynek zasłaniał to przepiękne miejsce i można było przejechać, ale pomagała tablica informacyjna będąca znakiem szczególnym. Schodząc po betonowych schodach, do uszu docierał huk spadającej wody. Widok był niesamowity. Z wysokości kilkudziesięciu metrów wąskim gardłem do małej zatoczki lało się mnóstwo wody. Powiecie... nic szczególnego, wodospad, też mi nowina i pewnie jeszcze woda rozpryskiwała się na dole, tworząc tęczę... Mikroklimat tego miejsca był tak orzeźwiający, że pół godziny spędzone tutaj było istnym błogosławieństwem dla płuc. Papieros po tej inhalacji po prostu nie pasował, no nie pasował, kuźwa i już. Idealne miejsce na pozbycie się nałogu. Spacerując, obserwowałem żyjące tu kraby. Małe i niesłychanie szybkie stworzonka. Zdziwiwały mnie swoją obecnością, no może nie tu, ale czasem, gdy gdzieś w górach coś takiego przemknęło po kamieniach, od razu szukałem wzrokiem wody. Jak na mój gust zwierzak nie wyglądał „przystojnie”, więc na jednej próbie jego pochwycenia się skończyło. Miejsce wyglądało na byłą atrakcję turystyczną. Czy to niezastanawiające, że tacy ludzie jak ja, rzucani po świecie w - jak to mówią - szczytnych celach, a z polskiego na nasze, szukający po prostu guza, mają okazję oglądania miejsc, w których prawdopodobnie

nigdy by się nie znaleźli, gdyby nie wojna? Aby tu być, turyści mogą tylko pomarzyć i poczekać na lepsze, spokojniejsze czasy.

Dalej asfalt drogi wije się w wąskim wąwozie, którego ściany miejscami są tuż - tuż. Docieramy do miejsca, gdzie jest szeroko. Po lewej stronie długa na kilkaset metrów skalna ściana, z której woda na różnych wysokościach cieknie, leje się, tryska, spływa, wycieka i co tam jeszcze. Ciężarówki - cysterny jak nienasycone pijawki, wykorzystują dogodne miejsca, z których spływa ona do ich zbiorników. Na dużych połaciach wododajna skała jest zielona od porostów. Patrząc w górę na palące słońce nie sposób nie docenić klimatyzacji, jaką natura zafundowała tu ludziom. Ruszamy dalej, mając na dotknięcie ręki spienioną rzekę. Chwilami jest pod nami. Widać już miasto, pora wracać - zatłoczonym ulicom dzisiaj dziękujemy.

Andrzej

Obudziłem się z poczuciem, iż w pokoju nie jestem sam. Powoli wsunąłem dłoń pod poduszkę. Chłód pistoletu podzielał uspokajająco. Podniosłem się na łokciach i z niemałym trudem dostrzegłem potężnego czarnego kocura, siedzącego na stoliku i przyglądającego mi się. W mroku zwierzę było tak duże, że w pierwszej chwili się przestraszyłem - nikt tu przecież nie trzyma psów i kotów w domu. Moje zdziwienie było tym większe, że w oknie były kraty i siatka, skąd on się tu znalazł? Sprawa szybko się wyjaśniła. Mój ruch spowodował, że kot zaczął prychać, nie wykazując chęci ucieczki. Jego zachowanie znamionowało niezłego wojownika. Nie wiedziałem, czy zaskoczony zamierzał walczyć, czy też kalkulował, jak się stąd wydostać - rzucona poduszka wyraźnie pomogła w podjęciu decyzji. Skoczył na parapet, wydając odgłos raczej hieni niż koci. Chwilę się tam miotał, nie bardzo chyba wiedząc, co zrobić, odwrócił się do mnie i sprężył do skoku. Tego było już za wiele, druga rzucona poduszka spowodowała, że zaczął wspinać się po siatce do małego otworu, którym z niemałym trudem zaczął się przeciskać. Za chwilę siedział już na zewnątrz, patrząc na mnie. Bezgłośnie miauczał, pokazując braki w uzębieniu. Cholera, do skorpionów doszły jeszcze koty. O spaniu nie było już mowy. Zwlokłem się z łóżka. W kuchni siedział już Andrzej i jak każdego poranka zjadał zupkę mleczną. Wstawiłem wodę na herbatę. Mijając mojego towarzysza w drodze do kibelka, dostrzegłem jego uśmiech - no cóż, ciągle nie mogliśmy się przyzwyczaić do arabskich toalet. Szybko ogoliłem się i umyłem zęby. Patrząc na zapas wody w plastikowych butelkach, przypomniałem sobie o potrzebie jego uzupełnienia. Wróciłem do kuchni. Andrzej siedział już w mundurze, wydając z butów gazety. Nadepnąłem na czerwony koralik, no tak, już zaliczył dzień. Ten jego zwyczaj odliczania mijających dni koralikami, które zabrał z kraju, był przedmiotem dochodzenia Astiego. Sprzątając nie mógł zrozumieć, skąd się one biorą. Szybko ubrałem się, mieliśmy piętnaście minut na dojście do dowództwa.

Wychodząc z domu, pozdrowiliśmy właściciela. Jak zwykle nie narzucał się, dyskretnie nas obserwując, pewnie Asti zaraz przyjdzie sprzątać. Sklepiarz Aram zaczął nas ot tak sobie, informując, że ma już mrożone irańskie kurczaki z pewnego źródła. Nie mogliśmy pogadać, bo motorola przypominała o służbie. Duńczycy nawoływali się na apel poranny - pewnie wczorajsze spotkanie w klubie przeciągnęło się. Przyspieszyliśmy kroku, mijając żebrzących. Jedni boso, inni w klapkach. Bordowo - fioletowe stopy przypominały, że to zima. W bramie pozdrowił nas mocno znudzony peszmerg z zardzewiałym AK na ramieniu. Dostawali dolara dziennie za pilnowanie dobytku UN, a na pierwszą plotkę, że Saddam nadchodzi od strony Mosulu, rzucili swoje karabiny i zniknęli, chyba na dwa dni. Stało się to w ubiegłym tygodniu i wszyscy myśleliśmy, że - gdy wrócą - to będą jakoś onieśmieleni tą sytuacją, ale nie. Pojawili się ponownie tak, jakby nic się nie stało. Przy samochodach krzątało się kilku chłopaków. Zgodnie z wczorajszym grafikiem zadań miałem dostarczyć peszmergom na Kurrak ich miesięczną daninę. To była taka

niepisana umowa Larsa z ich dowódcą. Dolar dziennie nie wystarczał. Oczekiwali, że dostaną od nas naftę, koce, olej, mąkę i co tylko się da - ale my tego nie mieliśmy. Tak więc Lars, dla dobrej sprawy negocjował z Czerwonym Krzyżem i najczęściej udawało się uzyskać z ich magazynów co trzeba.

Przed odprawą wodzu bez słowa omiatał nas wzrokiem. Słowacy i Czesi dowcipkowali, byli w liczebnej przewadze. Duńczycy starali się wywnioskować, czy żarty nie dotyczą ich przypadkiem, ale nie mogąc nic zrozumieć, stroili tylko miny. Jak zwykle onieśmienieli byli Pakistańczycy. Byłem pełen podziwu dla Filipińczyków. Trzech z nich ukończyło studia Amerykańskiej Marynarki Wojennej - byli specami od łączności. Tym samym skazali się na permanentną służbę „na radiu” i na patrolach wyjeżdżali rzadko. Po patrolach, jak kogoś dopadli, to maglowali na wszystkie tematy. To im meldowaliśmy się przez radio po przekroczeniu wskazanych punktów. Rudzielec skinął głową. Franciszek, oficer operacyjny, rozpoczął odprawę od sprawdzenia obecności. Z Andrzejem staliśmy w pierwszym szeregu tak jak wszyscy dowódcy zespołów. Za nami nasi podwładni. Wiedziałem od Andrzeja, że będzie miał ciężki dzień. Przy kolacji mówił, że jedzie na patrol dwoma samochodami i że z braku ludzi (urlopy) sam w swoim pojeździe będzie dowódcą patrolu, kierowcą i patrolmenem. Moje zadanie było mało skomplikowane. Przed miastem Shaqlawah ze składu Czerwonego Krzyża miałem zabrać na pikapa, „co dadzą” i zawieźć na Kurrak. Cieszyła mnie perspektywa wspinania się wysoko w góry i czekających tam widoków. Gdy czytano skład patrolu Andrzeja, ścisnęło mnie za gardło. Jakiś wewnętrzny głos grzmiał: *Andrzej nie jedź, Andrzej nie jedź*. Podałem się temu nieoczekiwanemu dla mnie doznaniu, ze zdumieniem odkrywając ciekącą łzę i fakt, że nie mogłem słowa z siebie wydusić. Stałem jak słup, wpatrując się w Larsa. Trwało to dobrą chwilę. Nasze trasy się pokrywały. Andrzej miał jechać prawie na samą granicę pod Balinda Bridge, ciągle wysadzany i odbudowywany. Moje chłopaki przed odprawą sprawdzili pojazdy i po nawiązaniu łączności mogliśmy ruszyć. Andrzej machnął mi ręką, drugą podnosząc maskę samochodu. Jadąc, jeszcze parę razy zastanawiałem się nad dziwnym stanem, jaki mnie dopadł.

Do Shaqlawy było około godziny jazdy - dużo czasu zajmowało opuszczenie Erbilu. Jak zwykle wyjeżdżając z miasta zwolniłem, oglądając betonowe straszdyło szpitala. Był darem rządu japońskiego i został zniszczony przez wycofujące się wojska irackie. Na dwupasmówce oddzielonej pasem niby zieleni jakiś ubrany na biało mężczyzna robił kupę i nie wyglądało, żeby się specjalnie przejął naszym widokiem. Parę kilometrów dalej przekraczaliśmy granice rozgraniczenia wpływów partii politycznych: PUK, PKK, PDK, kurczę, kto się w tym wszystkim połapie? Na pierwszym piętrze z pozołu glinianej wieży dostrzegłem zamontowany wielkokalibrowy karabin maszynowy (KPWT). Jak pamiętałem jeszcze ze „Zmchu”, to cholerstwo sporo waży i ma duży odrzut. Jak ta budowla to wytrzymuje? Mijamy kolejne punktowe umocnienia. To wszystko wygląda trochę tak jakby „na niby”. Czy to oznacza, że są tu minowe pola? Kilka kadłubów spalonych czołgów daje do myślenia.

Dojeżdżamy na miejsce. Już z daleka widać znaki Czerwonego Krzyża i Zielonego Półksiężyca. W magazynie rzędami stoi kilkadziesiąt nowych suzuki samurai. Zakurzone sprawiają wrażenie zapomnianych. Widzę, że machają do mnie z innego magazynu. Na dwa pikapy ładują nam skarby. Dostajemy dodatkowo koce. Nasi strażnicy powinni być zadowoleni. Czy to ich aby nie rozbewstwi? - wiadomości rozchodzą się piorunem - inni też by tak chcieli - ale martwił się tym będę za miesiąc. Podpisując kwity, widzę jak przemknęły dwa białe nissany, czy to Andrzej mnie przegonił?

Wsiadamy i po raz kolejny odkrywam wspaniałą metamorfozę pikapa. Po dociążeniu jest miękki, wręcz komfortowy. Nie ma mowy o waleniu głową w podsufitkę na każdym kamieniu. Nabieramy prędkości, pnać się lekko pod górę. Zjeżdżając w dół muszę pamiętać o usoku asfaltu w tym miejscu. Przy większej prędkości często wyrzuca tu pojazd... Nagle gruchnęło przed nami, dopiero teraz widzę chmurę czarnego dymu, tak na oko - dwa kilometry dalej. Po dobrej chwili kojarzę poranek i wybuch. Czy to może mieć związek z Andrzejem? Czy to nasz patrol, a może to gdzieś z boku? Zwalniam. Mój drugi samochód przykleił się do mnie wbrew przepisom. Nie mam jakoś ochoty nakazać zachowanie dystansu.

Podjeżdżamy do głównego skrzyżowania w Shaqlavie, raczej domyślając się, że tu jest. Tłum ludzi nie pozwala nic dostrzec, nacieram więc pojazdem, ustępują bardzo powoli. Wsiadam, dalej nie da się jechać. Brodzę w jakiejś brunatno krwistej mazi, patrząc chyba na szczątki ludzkie, ale nie, to przecież ośli zad, kuźwa, skąd tego tu się tyle nazbierało? I ten specyficzny zapach. Tłum trzyma się z daleka. Zerkając na to, po czym stąpam, widzę, że moje „buty skoczka” są ubabrane w tym czymś po kostki. Z trudem orientuję się, że to coś przede mną to tył pikapa, czy to nasz? Podchodzę od strony kierowcy, karoseria jak sito, tak, to Rabaja, Filipińczyk. Skulony za kierownicą nie żyje - nie sprawdzam pulsu, nie ma po co. Za nim Shah, Nepalczyk, też nie żyje, to widać. Obok kierowcy na siedzeniu kołysze się drugi Nepalczyk. Widzę ciekącą z szyi strużkę krwi, którą dociska ręką. Rozerwałem opatrunek osobisty i mu przekazałem. Chłopak uśmiechał się niepewnie i drżącą ręką pokazywał na coś z przodu. Faktycznie, gdzie drugi samochód, a raczej pierwszy, dowódcy patrolu? Brnę do przodu. Czerwono-czarnej galarety jakby coraz mniej. Szukam Andrzeja. Zauważyłem parę osób na poboczu odwróconych do mnie tyłem. Podeszedłem bliżej. Tak, tam w dole to nasz pikap. Przednie koła próbują wdrapać się z powrotem po poboczu na drogę. Zszedłem niżej i już wiedziałem. Przez uchylone okno patrzyłem na otwarte usta i szarą twarz. Nacisnąłem na tętnicę szyjną raczej z obowiązku niż z nadzieją - pulsu nie było. Z trudem otworzyłem posiekane odłamkami drzwi. Widok olbrzymiej rany w boku kierowcy łączył mnie z niesamowicie. Wróciłem tą samą drogą do mojego samochodu i wywołałem Larsa. Gdy się nie zgłosił, nawiązałem łączność ze stanowiskiem dowodzenia. Niezawodni Filipińczycy odebrali natychmiast. Chciałem przekazać, co się stało, ale już wiedzieli. Moi patrolmeni nie tracili czasu - uściśliłem tylko informacje i przeszedłem na kanał 01 - w sytuacjach kryzysowych można było mówić w narodowym języku. Jurek z Jensem już jechali sanitarką. Prosiłem Jurka, żeby się nie śpieszyli, żeby bezpiecznie dojechali. Rozmawiając, widziałem moich chłopaków odsuwających zdecydowanie gapiów. Nepalczyk dociskał opatrunek, ciągle się uśmiechając.



Bez komentarza... - zdjęcie płk. Jerzego Banacha

Wróciłem do Andrzeja i... zeszło ze mnie powietrze. Przykucnąłem przy tylnym kole samochodu i przyjąłem podanego papierosa. Przez motorolę słyszałem rozmowy z sanitarką, to Lars. Wstałem i jeszcze raz obejrzałem Andrzeja. Nie mogłem znaleźć jego plecaka - pistoletu też nie było - kurwa mać, już go obrobili? Dostrzegłem kilku ludzi z kamerą na tle białej terenówki. Mówili po angielsku i nagrywali - nigdy o nich więcej nie słyszałem. Przy drugim papierosie raczej obojętnie analizowałem to, co się stało. Widok Jurka i Jensa na krótko mnie otrzeźwił - jak oni szybko jechali... Zdążyliśmy zamienić kilka słów i land-rover z rannym na sygnałach popędził w stronę Erbilu. Mną zajął się Peter. Siedząc w samochodzie walczyłem z kłębiącymi się myślami. Z sektora kilkanaście razy łączyłem się ze służbą dyżurną Komendy Głównej Policji, ale telefon był przełączony na faks. Zadzwoiłem więc do Centrum Szkolenia Policji. Na centrali pracowała moja sąsiadka, może ona... Asia stanęła na wysokości zadania i podała mi inny numer telefonu. Od dyżurnego usłyszałem, że... nie może przyjąć ode mnie takiej informacji - tylko na piśmie. W tle, bardzo wyraźnie usłyszałem drugi męski głos - *kurwa, to my mamy w Iraku policjantów?* W tym czasie Jurek był już „na sztywno” z konsulem naszej ambasady w Bagdadzie. Andrzeja umieścić w chłodni prosektorium „japońskiego szpitala” - jedyne sprawne pomieszczenia tego przybytku.

Pusty dom

Wróciłem do pustego domu - Beata wraca dzisiaj z urlopu. Szybko pojawił się Jens i zaoferował pomoc. Nie miałem na nic ochoty. Moje nastroje falowały - coś pomiędzy euforią i totalnym tumiwizmem. Jens delikatnie zaproponował, że zaopiekuje się bronią - odmówiłem. Umówiliśmy się na poranek. Całą noc przesiedziałem przy stole, rozmyślając o wszystkim i o niczym. Rano zadzwoniłem do domu. Nie potrafiłem zapanować nad głosem, gdy informowałem, co się stało. Zośka zachowała zimną krew. Dopiero po paru miesiącach dowiedziałem się, że informację o wydarzeniu za radiem duńskim podało Polskie Radio. Sąsiadka - widząc żonę idącą ze szkrabami na spacer - nie mogła się nadziwić, że taka spokojna, a mąż zginął. Skąd mogła wiedzieć, że było nas tam pięciu. Ja... miałem farta.

Przyszedł Jens. Pokazałem, które rzeczy należą do Andrzeja. Zaczęliśmy pakować, a raczej on to robił. Patrzyłem jak metodycznie układał ciuchy w kupki. Osobno mundurowe, osobno cywilne. Wszystko zapisywał na liście. Znalezione pieniądze wrzucaliśmy do plastikowego pojemnika. Odnalazłem niewysłane listy do Małgosi. Odłożyłem je na bok obok pokrwawionego, który znalazłem przy Andrzeju - a takie mieli plany... W wolnym czasie sporo o nich opowiadał. Przyszedł Otto. Mówił o szczegółach eksplozji. Ze wstępnych ustaleń wynikało, że razem z patrolem Andrzeja wysadzili autobus pełen ludzi, nie mniej niż 30 - 40 osób, ponadto przechodnie i zwierzęta. Ładunek wybuchowy był umieszczony w zbiorniku paliwa przydrożnej stacji benzynowej - taka cysterna na pustakach. Przez głowę przebiegła mi szybka myśl o cudownych ogrodach Allacha.

Pogrzeb

Pogrzeb miał się odbyć jutro w miejscowym kościele katolickim. Do końca dnia odwiedzali mnie koledzy, ale rozmowa się nie kleiła. Przyjechał „Długi” z „Blondynem” z Dohuku. Wspólnie pojechaliśmy do szpitala - trzeba było przygotować ciało i trumnę. Gdy przywieziono aluminiową okazało się, że... Andrzej jakoś do niej nie pasował... to był kawał chłopa. Zacząłem z nim rozmawiać, delikatnie naciskając - wystuchał niemal natychmiast - coś tam jeszcze Jurek warczał na Cza-Czę - nie miała plastra czy też nożyczek w swojej walizce medycznej. Późną nocą wróciliśmy do domu. Po raz pierwszy byłem w katolickim kościele w Iraku. Ceremoniał ten sam. Chłopaکی zrobili szpaler. Po raz pierwszy poleciały łzy. Nie mogłem ich opanować.

Po południu z „Blondynem” wieźliśmy Andrzeja do Bagdadu. Czekano nas parę godzin jazdy drogą być może zbudowaną przez polskie firmy. Na stacji benzynowej siadłem na trumnie i prowadziłem monolog. Miałem jeszcze tyle rzeczy do powiedzenia... tyle niedokończonych tematów... „Blondyn” wrócił, popatrzył i - pokazując na siedzenie obok siebie - łagodnie warknął - złaź. Za paliwo jak zwykle puszka coli. Gdy ruszaliśmy, Bagdad wywołał nas przez radio. Mieliśmy poczekać w Tikricie na Słowaka, jadącego na urlop. Czekaliśmy w upale 40 minut i nasza cierpliwość się kończyła. Już mieliśmy ruszać, gdy przyjechali. Jan ściszoną głosem poinformował, że jedzie na pogrzeb syna, który zginął na poligonie wojskowym.

W Hotelu Canal małe zaskoczenie. Niemal z marszu rozpoczęła się druga ceremonia pogrzebowa. Flagi, mnóstwo mundurów, przemowy i śpiew tęgiej Amerykanki, która nie mogąc wydobyć z siebie wysokiego tonu, co chwilę przerywała z przepaszającym uśmiechem, łapiąc się na przemian za gardło i pierś - nic się nie stało, dobrze wyszło, liczy się przecież intencja. Informacja o problemie z chłodnią zaskoczyła nas. Polski konsul dwoił się i troił, próbując rozwiązać problem. Negocjacje z Irakijczykami udały się. Pod wieczór zawieźliśmy Andrzeja do chłodni Akademii Medycznej. Lodówek było kilka, każda wielkości małego garażu z wielkimi stalowymi drzwiami. Widok setek nagich ciał, ułożonych pod sufit jedno na drugich był przygnębiający. Czy panujący tu smród miał związek z wyłączeniami prądu? Ułożyliśmy ciało na białym kocu, owinęliśmy drugim - do zobaczenia jutro.

Z Kwatery Głównej przestałem do Polski faks ze szczegółami jutrzejszego lotu. Rano afera. Zastępca dowódcy misji, potężny chłop, zaczął domagać się od Jurka, żeby Andrzeja potraktować formaliną, ponoć zgodnie z lotniczymi przepisami. Musimy też mieć dokument potwierdzający przeprowadzenie tej czynności. Jurek był na najwyższych obrotach. Uwijali się z konsulem jak w ukropie - tu wszyscy przecież oczekiwali na bakszysz. Pojechaliśmy po Andrzeja, po południu wylot do kraju. W momencie przekładania ciała niespodziewanie pojawił się Amerykanin i zażądał dokumentu, o którym mówił rano. Nie wytrzymałem i rzuciłem się mu do gardła - odciągali mnie, a zbaraniały facet nie mógł wydusić z siebie słowa.

Z lotniska Habbanija poleciliśmy UN-em do Kuwejtu. Przedstawiciel MOVCON poinformował, że mamy się nie przejmować kolegą - pojechał do miasta „tam, gdzie trzeba”. Macie lot za pięć godzin *via* Paryż i jest tylko jeden problem - personel naziemny Air France strajkuje. Jan ma lecieć wcześniej prosto do Pragi. Po paru godzinach siedzenia, obserwowania zakwefionych kobiet i gęstniejącego tłumu ubranych na biało ludzi, „Blondyn” wyciągnął butelkę wędrowniczka. Piliśmy z gwinta. Po drugiej kolejce odnotowuję, że Janowi wyraźnie się poprawiło oraz biegnącego w naszą stronę gościa z MOVCON-u. Przerażony facet machając rękoma mówi coś o policji religijnej czy też obyczajowej, że alkohol, że zabronione, że pątnicy do Mekki i więzienie. Oddajemy połowę butelki. Odlatujemy o czasie. Jana nigdy więcej nie widziałem. W Paryżu chwilę przed odlotem LOT-owskiego samolotu poderwałem się i popędziłem do stewarda. Ten spojrzał na mundur i niepytany powiedział - *panów kolega leci z nami*. Po starcie dodał - *Francuzi puścili tylko nasz samolot - Vive la France*.

Na Okęciu tak pracownicy rozbijali skrzynię transportową, że uszkodzona została zewnętrzna trumna. Wpatrywałem się potem w tę „niedoskonałość” w Słupsku na pogrzebie. Na płycie wojskowego lotniska kompania honorowa. Podeszła do mnie Małgosia, bladyszara, w oczach pustka. Uściskaliśmy się bez słów. Chwilę później zbliżył się wysoki gość w długim skórzanym płaszczu - o takim opowiadał mi Andrzej, że kupił przed wyjazdem. Przedstawił się - jestem bratem Andrzeja - kurczę, Andrzej nigdy nie opowiadał, że ma brata. Ceremonia miała szybki przebieg. Był duży mróz. Samolot przyleciał spóźniony. Wszyscy byli zziębnięci, a nas z „Blondynem” wręcz telepało w tropikalnych mundurach. Komendant Główny powiedział parę słów, a później poprosił, żeby do niego wpaść za dwa dni. „Blondyn” tylko jęknął - był z Wrocławia i dawno nie widział rodziny. Szaleta policyjnych samochodów przewiozła trumnę do Słupska, gdzie następnego dnia odbył się pogrzeb. Przed uroczystością wpadłem do komendy wojewódzkiej i przekazałem prawie wszystkie zdjęcia z Iraku. Teraz się dziwię mojej głupocie - nic z tym nie zrobili, a ja straciłem pamiątki. Na pogrzebie patrzyłem na byłą żonę Andrzeja wystrojoną w dostatnie futro i obwieszoną złotem - coś wspominał o niemieckim chirurgu. Smutek Małgosi wcale nie odebrał jej urody. Były tak odmienne, że nie oparłem się pokusie przyglądania się, uciekając wzrokiem od meritum ceremonii. Zostaliśmy zaproszeni na stypę. Później siedzieliśmy z Małgosią w ich mieszkaniu. Andrzej nie pił alkoholu. Zdziwiłem się więc, widząc potężną kolekcję zacnych trunków, które przywiózł z Bałkanów. Rozmawialiśmy do rana.

Powrót

W domu zasadniczy powód mojej obecności był omijany. Dzieci cieszyły się, że jestem, czuć było zbliżające się święta. Jakie więc było moje zdziwienie, gdy pani z biura ONZ w Warszawie powiadomiła mnie, że bilety powrotne mamy w przeddzień Wigilii. Wracaliśmy tą samą trasą. W Kuwejcie spaliśmy w komórce tranzytowej armii amerykańskiej. Byliśmy tam trzy dni. Łóżka bez materaców i pościeli, same sprężyny i brak możliwości zakupu jedzenia - to przecież Boże Narodzenie, wszystkich tutaj puścili na urlopy. My mieliśmy pecha - „UN się uparł”, żeby wracać w tym terminie - pewnie najtańsze bilety, samo życie. Leciliśmy na Habbaniję, stamtąd do Bagdadu. W dowództwie na parkingu podszedłem do samochodu Andrzeja - już go ściągnęli z Erbilu. Siadłem na miejscu kierowcy, czując pod tyłkiem odłamki szkła. Od środka przyglądałem się zniszczeniom. Wysiadając podparłem się ręką. Spod oparcia wytoczył się patyczek. Machinalnie wziąłem go i trzymając w dłoni obszedłem pikapa. Nie wiem, co spowodowało, że przyjrzałem się bliżej temu, co trzymałem. To był palec. Mnóstwo myśli... Co robić, co teraz? Czubkiem buta wykopałem dołek - wybacz przyjacielu!

Pojechaliśmy do rządowej dzielnicy, był tam sklep dla korpusu dyplomatycznego. Po krótkim błądzeniu znaleźliśmy nowoczesny pawilon. Na olbrzymiej przestrzeni kilkunastu zaciekawionych nami sprzedawców. Towaru jak na lekarstwo. Na środku sterta kartonów z Jasiem Wędrowniczkiem. Wziąłem siedem kartonów za jakieś śmieszne pieniądze. Wracając do Erbilu, przed oczami miałem obrazy sprzed dwóch tygodni. Mój powrót wywołał małą sensację. Podobno Jiżi, zawsze dobrze poinformowany ogłosił, że nie wrócę z Polski. Alkohol zawiozłem do klubu. To za pamięć o Andrzeju - Kris, robiący w tym miesiącu za barmana, kiwnął głową ze zrozumieniem.

Chłopiec

Przez kolejne dni nie byłem „wystawiany” na służby - zawsze jakieś bzdetne zadania, a to do szpitala po coś, a to na spotkanie z szefem *peszmergów*. Zapytałem Otto, co jest grane - masz się aklimatyzować, usłyszałem. W końcu w czwartek wystawiono mnie na dowódcę eskorty konwoju ciężarówek wracających do Turcji. Ciężarówek było kilkanaście - od w miarę nowoczesnych po gruchoty. Już po odprawie z kierowcami okazało się, że dołączą następne kończące rozładunek. Po upływie godziny przyjechały. Konwój liczył już ponad dwadzieścia pojazdów. Odprawę rozpocząłem od początku - nowi oddali paszporty z oporami. Wyścig tureckich kierowców rozpoczął się niemal natychmiast, każdy chciał się ustawić na początku kolumny. Wyjazd z placu zablokował mój prowadzący. Używając klaksonów kierowcy próbowali wymusić wyjazd. Na pokaz obojętny, wskazałem najbliższemu, aby podeszli - długo trwało zanim opuścili kabiny. Poinformowałem, że my możemy tak czekać do wieczora, ruszymy natychmiast, jak zastosują się do wcześniejszych poleceń. Wrócili do swoich i zaczęło się. Myślałem, że dojdzie do bijatyki, ale nie. Krzycząc, gestykulując i trąbiąc kolumna zaczęła się formować ponownie. Jak zawsze, dwa samochody eskorty miały zabezpieczać przód i tył, a dowódca eskorty „omiatał” całość. Opuszczając Erbil, wywołałem stację i zgłosiłem rozpoczęcie zadania. Na „wylotówce” na Mosul dojeżdżaliśmy do miejsca, w którym po obu stronach drogi odbywał się targ. Byłem w środku kolumny, gdy lewym pasem wyprzedziła mnie z dużą prędkością „moja” ciężarówka. Ruszyłem za nią. Po chwili zobaczyłem w powietrzu człowieka. Ostre hamowanie. Podbiegam do leżącego - kilkunastoletni chłopiec. Zderzak olbrzymiego *trucka* z jego miednicy zrobił miazgę. Nieprzytomny mały porusza ręką. Tłum gęstnieje, chyba cały targ się zbiegł. Przez motorolę wołałem dowództwo, proszę o szybką pomoc. Miejscowi pokazują mi, żebym zabrał chłopca do samochodu, nie mogę tego zrobić, jest zakaz. Przedziera się do mnie sprawca zdarzenia, którego wyciągnęli już z kabiny, dostał chyba od kogoś w twarz, bo jest zakrwawiona. Pod chłopcem jest już kałuża. Ponownie wywołuję dowództwo. Turek klęczy przy mnie, wznosząc ręce do nieba. Nakazuję moim chłopakom pozostanie w samochodach. Pojawia się przy nas dwóch chyba policjantów, tu nigdy nie wiadomo, kto kim jest. Także oni zachęcają mnie, żeby zabrać ранego, a przecież nie wolno mi. Tłum tak nas ścisnął, że prawie nie mogę się ruszać. Zgłasza się Petra, mam się trzymać, dojeżdżają. Nagle zadziwiająca cisza, nie ma już wrzasku, krzyków. Pojawił się mężczyzna, który samą swoją obecnością tak podzielał na ludzi, kurczę, któż to taki, na myślenie nie ma czasu, najważniejsze, że jest skuteczny. Małego przenoszą do starego volkswagena, dobrze, że jest nieprzytomny. Nadjechały posiłki. Petra informuje, że przejmuje sprawę, my mamy ruszać dalej. Sprawcę zabiera policja, w konwoju o jeden pojazd mniej. Ruszamy w trasę, gdy słyszę wywołującego mnie Larsa. Komendy są krótkie i zdecydowane. Konwój ma jechać dalej, dowódcą zostaje... - przekazuję następcy moją toyotę. Lars przyjeżdża po mnie z Otto. W drodze powrotnej do stacji informuję o przebiegu całego zajścia. Z małym zdziwieniem widzę, że hamujemy przed pustym o tej porze klubem. Siedzimy do późnego wieczora.

Wracamy do kraju

Przez najbliższe dni nie chodziłem na służbę. Tak postanowił Lars. Jestem przekonany, iż był przekonany, że mam dość. Trochę dużo wrażeń jak na jeden miesiąc. Coś w tym musiało być, gdyż coraz częściej łapałem się na przemyśleniach egzystencjalnych. Beata była prawie niewidoczna. Czasem czułem jej obecność, gdy zaszyty w śpiwór leżałem na tarasie. O dziwo, odprężenie przynosiły harlequiny, których kilkadziesiąt odziedziczyliśmy po naszych poprzednikach. Czytając te roztkliwiające, zawsze kończące się pozytywnie opowiadki, nie przeszkadzało mi, że ten nierzeczywisty stan to ułuda i było mi z tym dobrze. Trwało to kilka tygodni, gdy przyszło otrzeźwienie.

Na sobotę zwołałem spotkanie naszej czwórki. Z Dohuku przyjechali „Długi”, „Blondyn” i „Maruda”. Poinformowałem, że jako ich dowódca nie chcę brać dalej odpowiedzialności za to, co się tu dzieje. Za bezsensowne patrole sprawdzające przejezdność dróg, za ładunki wybuchowe pod naszymi domami, saddamowskie polowania na nas, za amebę, brucelozę i inne cholery, po prostu nie chcę być w to wszystko dalej umoczony. Chłopcy wysłuchali i kiwali głowami. Wprawdzie „Maruda” zaczął coś nieśmiało, że buduje dom i coś tam jeszcze, że mnie w pełni rozumie, ale ta budowa... Odezwał się „Długi”. Mówił i mówił, i mówił, wylewając z siebie potok gorzkich opinii o misji i bezsensie całej tej naszej roboty. „Blondyn” przytakiwał. Dotarło do mnie, że oni tu trwali, ale tak naprawdę każdy z osobna myślał o zjeździe. Postanowiliśmy, że napiszę *Letter of Protest* do Nowego Jorku. Na postanowieniu się nie skończyło. „Blondyn” wyjął kartkę papieru (jego angielski był świetny) i zaczął tworzyć. Rano siadłem do kompa i w południe przekazałem list Larsowi. Wyglądał na oszołomionego jego treścią. Zapytał, czy naprawdę chcemy zakończyć naszą przygodę z Kurdystanem, mówił bez przekonania. W końcu machnął ręką i poszedł do swojego biura nadać bieg sprawie. Przez radio poinformowałem chłopaków, że machina ruszyła.

Przez dwa tygodnie nic się nie działo, ale pewnego poranka wezwał mnie do siebie szef kontyngentu. Zaczął argumentować, żeby zostać. Dowiedziałem się, jak wysoko ocenia nas Polaków i naszą pracę, że do końca pozostało nam kilka miesięcy, żeby przemyśleć jeszcze raz i że... - wytaczał coraz cięższe działa. W zasadzie nie odzywałem się. Po paru minutach ucichł. Przechadzał się po pokoju i rzucał na mnie krótkie spojrzenia, by w końcu stwierdzić: zrobię, co się da, żeby wasza czwórka znalazła się na misji UNTAES w Chorwacji, pasuje? - uścisnęliśmy sobie dłonie.

Chłopaki byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy, szczególnie „Maruda”. Po dwóch tygodniach przyszła odpowiedź z Nowego Jorku. Departament Operacji Pokojowych ONZ informował o przerzuceniu nas do dalszej służby w Chorwacji. Rozpoczęliśmy przygotowania do wyjazdu. Zrobiłem pożegnalne party. Tradycyjnie, na stole znalazł się „snajperski” dzik. Aram dostarczył całą resztę. Długo siedzieliśmy w klubie, rozmowom nie było końca. Rano okazało się, że do Bagdadu jedziemy dopiero za dwa dni. Cóż począć z takim bonusem? Nie wiem, skąd mi

przyszedł do głowy pomysł jazdy nad Dokan. Czy ze „Zmechu”? Tam, kąpiąc się w jezioru treningowym, celebrowaliśmy udane sesje, nie patrząc na porę roku. Przecież nigdy tu nie wrócę, tłumaczyłem sobie. Jak postanowiłem, tak zrobiłem. Po drodze była herbatka u chłopca „na szczycie” i kąpiel, której nigdy nie zapomnę. Przygodny rybak zabrał mnie na swoją łódkę i tak na oko 50 metrów od brzegu z niej wyskoczyłem. Dotarło do mnie błyskawicznie, że muszę walczyć o utrzymanie się na powierzchni, bo z pływania przy tej temperaturze wody nic nie będzie. Mundur nasiąkł jak skorupa, zacząłem walczyć, patrząc na oddalającą się z wolna łódkę. Józek, który robił za kierowcę widząc, co się dzieje, gestykulując zmusił rybaka do odwrócenia się. Ten trzeźwo ocenił sytuację i szybko zawrócił. Wracając przejechaliśmy przez Shaqlawę. W miejscu śmierci Andrzeja klakson chyba się zagrzał. Zwyczajowo już nasze patrole trąbiły w tym miejscu - ja po raz ostatni.

Drugiego dnia Otto zorganizował spotkanie w domu Arama. Nie wiem, czy gościnność sklepikarza wynikała z przywiązania się do nas czy też z kupieckiej przebiegłości - a może jedno i drugie? Siedzieliśmy sącząc arak z wodą. Zakończenie dnia pamiętam jakoś tak niewyraźnie. Rano po odprawie, na której przemowom i niedźwiedzim nie było końca, wsiałem do tego samego postrzelanego coastera, który kiedyś przywiózł nas z Bagdadu. Gdy ruszyliśmy, jeszcze długo przez radio leciały życzenia powodzenia na nowej drodze życia. Pod Mosulem dołączyli chłopaki z Dohuku. Drogę do Bagdadu pamiętam jako niemający końca dramat suchego gardła - nie wiem, jak to się stało, ale nie miałem kropli płynu, inni też. W Canal Hotel ostatnie rozliczenia finansowe, zdaliśmy umundurowanie i dwa dni do wylotu. Dla nas koloryt miasta to przede wszystkim sklepiki i galerie malarzy, u których zamawialiśmy obrazy naszych bliskich - tworzyli na podstawie zdjęć. Wchodzącym oferowano poczęstunek herbatą i natychmiast proponowano następną. Faktycznie, w tym upale łagodziła pragnienie. Odebrałem trzy „dziełka” moich „Uszastych” i parę widoczków - zamówienia złożyłem parę miesięcy wcześniej. „Nasz kierowca” obwioził nas po raz ostatni po mieście Saddama. Władca Iraku nie pozwalał zapomnieć o sobie. Spoglądał na nas na najważniejszych skrzyżowaniach i placach. Raz dobrotliwie - „ludzki Pan”, innym razem władczo - „Pan życia i śmierci”. Na Habbanii nic nowego, ruiny, zgliszcza i te same wraki dziesiątków samolotów. Oficerowie irackiej bezpieki trzepali nasze bagaże metodycznie, ale bez przesady. Mój „Kurd” (dywanik) został odłożony na bok. Niezrażony, przesunąłem w stronę służbisty moją apteczkę pierwszej pomocy, sięgnąłem po dywanik i z powrotem zacząłem pakować do torby - nie protestował. UN przyleciał o czasie. Myślałem, że na irackiej ziemi jestem po raz ostatni. Myliłem się. Starłem się zapamiętać ostatnie widoki, ale ostatnimi były piaski pustyni, gdy poszliśmy w górę. Za godzinę Larnaka, inny świat.

Tymczasowa Administracja ONZ dla Wschodniej Slavonii, Baranii i Zachodniego Sirmium (UNTAES) - Chorwacja (1996 - 1997)

Zagrzeb

Po przylocie z Larnaki do Warszawy wyglądało na to, że nikt nas nie chce i nie interesuje się nami. Nasz nowy kolega z KGP - „od misji”, mieniący się koordynatorem, nie bardzo wiedział, co ma robić. Tłumaczyłem, jak umiałem, że wszystko „zorganizował UN”, że potrzebujemy biletów, które zostały przesłane - masz je tylko odnaleźć - wprowadzało go to w widoczne zakłopotanie. Widać było, że poprzednik nie wprowadził go w temat. Chłopcy już tydzień siedzieli w domach i mieli ochotę na jazdę do Zagrzebia wynajętym busem. W końcu zadzwoniłem do LOT-u. Sympatyczny głos poinformował, że bilety czekają. Kiedy panowie chcecie lecieć? - choćby jutro rano - nie ma sprawy, wylot o 7.30. Chłopcy do północy zameldowali się u mnie w domu w komplecie. Rano, antykiem sąsiada - tak ciepło nazywał on swojego „Mercedesa 300” - ledwie mieszcząc się do niego, dotarliśmy na lotnisko. Gdy z Zagrzebia zadzwoniłem do „koordynatora”, informując, gdzie jesteśmy, tylko jęknął. Na lotnisku Pleso mieściła się infrastruktura logistyczna misji ONZ w Bośni i Hercegowinie z siedzibą dowództwa w Sarajewie (UNMIBH) i naszej UNTAES - z siedzibą dowództwa w Vukovarze. Gdy oficer rotacyjny przywiózł nas do *Support Unitu*, w drzwiach przywitał mnie kto? - Bodeczek. Był tu oficerem do spraw transportu. Nie mogliśmy nawet porozmawiać, bo od razu wzięto nas do galopu, czyli na egzamin z języka angielskiego - o taryfie ulgowej nie było mowy. Stało się tak, gdyż parę dni wcześniej na angielskim padł Rosjanin. Szef *Support Unitu*, też Rosjanin, nie mógł tego przeboleć i stał się bardzo pryncypialny. W przepisach (SOP) nie było mowy o *redeployment* z innych misji - było o „nowo przybyłych”. Przez egzaminy przeszliśmy jak burza. Sprawdzian z jazdy samochodami terenowymi był po Iraku czystą formalnością. Czekał nas teraz tygodniowy kurs wprowadzający. Po jego zakończeniu chłopcy pojechali do Vukovaru, gdzie znajdowało się dowództwo misji UNTAES, a ja nie bez pomocy Bodka zostałem w Zagrzebiu jako oficer rotacyjny. Polak w Zagrzebiu był potrzebny. Tu zbiegały się interesy wyjeżdżających i powracających z urlopów rodaków. Tymczasem od Bodeczka łykałem wiedzę na temat panujących tu zwyczajów. Ze zdziwieniem dostrzegłem na mojej ID, że roczny okres służby rozpoczął mi się od nowa - cóż, nowa misja. Początkowo spałem u Bodka, później wynająłem pokój u apodyktycznej właścicielki, która wtrącała się, jak mogła do mojego życia - widok mojej bielizny ułożonej w kostkę doprowadzał mnie do furii. Gdy zaczęła po swojemu słać moją pościel, wyniosłem się stamtąd przy pierwszej okazji. W Velikej Goricy tuż obok lotniska znalazłem mieszkanie w domu wspaniałej rodziny pochodzącej z Daruvaru. Szybko stało się ono punktem kontaktowym przed podróżami kolegów samochodami do kraju. Często też zdarzało mi się jeździć w nocy po chłopaków na dworzec - a że pociągi przyjeżdżały różnie, czasem przejawiałem oznaki niewyspania. Można było się u mnie przespać, wrzucić coś na ruszt i odświeżyć przed lotem do Sarajewa następnego dnia. Oprócz mnie mieszkali tu też Bułgar Dimitar i Portugalczyk Alberto - wszyscy pracowaliśmy w jednostce wsparcia.

Służba na lotnisku

Do moich obowiązków należało przyjęcie nowo przybyłych na lotnisku, zakwaterowanie ich w hotelu Novogradnia, opieka podczas tygodniowego szkolenia, wypłata pierwszej należności finansowej, wykład wprowadzający i ekspedycja do miejsc pełnienia służby. Policjantom powracającym do swoich krajów po zakończeniu misji zapewniałem niezbędny transport, przewóz bagaży na lotnisko i ich odprawę. Do sprawnego realizacji wszystkich tych czynności potrzebna była współpraca ze służbami lotniskowymi. Wprawdzie miałem stosowne przepustki, ale najważniejszy był codzienny kontakt i przyjazne kontakty z ludźmi rozumiejącymi, że czasem ważniejsze od oficjalnych i papierowych uzgodnień są życzliwe relacje. Podczas mojej prawie rocznej służby na zagrzebskim lotnisku nie zdarzyło mi się nigdy, żeby nie została załatwiona pozytywnie sprawa, nawet ta z rodzaju beznadziejnych.

A wierzcie mi, że czasem moi koledzy mieli kłopoty, ale o tym później. W „robotę” wprowadził mnie Hasim, Turek. Z miejsca przypadliśmy sobie do gustu. Był to przebojowy gość. Kobiety Ignęły do niego jak przysłówiowe pszczoły do miodu. Po jednej czy dwóch rotacjach, kiedy był moim mentorem, przyszła kolej na mnie - Hasim pojechał na urlop. Osiemdziesięciu Amerykanów wylądowało „silnym” popołudniem. Na lotnisku dostało mi się od bardzo, ale to bardzo tęgiej Amerykanki, której chciałem pomóc z bagażami - *I am a police officer like you, what are you doing, I don't want any help!!!* - wykrzyczała wściekle, a ja Bogu ducha winny chciałem się zapaść pod ziemię, nie wiedząc za co to grube babsko na mnie wrzeszczało. Rano, gdy pojawiłem się, żeby ich przewieźć na Pleso, inna pani oficer złożyła oficjalne zażalenie na swoich dwóch kolegów, którzy zaproszeni przez nią do pokoju za dużo wypili, a jeden z nich *was looking at me... and in my opinion it seemed to be a sexual harassment*. Poprosiłem do siebie dowódcę grupy i w obecności pani oficer poinformowałem, że nie jest mi przyjemnie słuchać jak Amerykanie, którzy przyjechali tutaj „to spread democratic standards”, nie mogą załatwić we własnym gronie tak błahych spraw i mnie „obcego” człowieka, nie mającego nad nimi władzy dyscyplinarnej, angażują w wewnętrzne sprawy swojego kontyngentu. Jeżeli jednak chcecie, to możemy w tej sprawie zadzwonić do amerykańskiej ambasady. Zaczęli mnie przeproszać, a skala kajania się przekroczyła europejskie standardy i z tego powodu było mi po prostu głupio, wszak byliśmy *police officers* - dobrze to zapamiętałem z poprzedniego dnia.

Pieniądze

Gdy „moim” Amerykanom wyrabiano ID, pojechałem do kwatery UN po pieniądze dla nich. Pani z drugiej strony kontuaru przepuściła banknoty przez maszynkę i położyła przede mną 240 tysięcy USD i - zerkając na kolejną osobę - powiedziała krótko *next one* - że niby co? - a ochrona? Jakaś torba? Próba upchnięcia powiązanych gumkami plików do zniszczonej reklamówki nie powiodła się. Pozostałe pieniądze wciskałem do kieszeni munduru. Do Pleso wracałem przez cały Zagrzeb i bingo!!! Dotarło do mnie. Przyczyną „niestandardowego” zachowania koleżanek i kolegów przed moim wyjazdem mogły być właśnie pieniądze. Każdy przez to przechodził i pewnie zastanawiali się, jak ja sobie poradzę. Pamiętam jak Asa i A, Finka i Norweżka, żegnały się ze mną żartobliwie, a faceci nosy mieli niby to w kwitach, ale te porozumiewawcze spojrzenia... Poczekać, ja was załatwię. Podjechałem pod blok, gdzie w sali wykładowej męczyli się moi podopieczni i rozpocząłem wydawanie pieniędzy. I tu kowboje znowu mnie zadziwili. Pierwszy przeliczył banknoty i rozpoczął badanie każdego z osobna, przyglądając się mu pod światło. Dopiero po tym podpisał listę. Jak tak każdy z nich będzie sprawdzał, to ciemna noc mnie tu zastanie, pomyślałem z przerażeniem, a co będzie jak znajdą fałszywkę? Musiałem minę mieć nietęgą. Wyglądałem chyba na klienta w stanie przedzawałowym, bo przyspieszyli. Po dwóch godzinach miałem już podpisaną listę i byłem po wykładzie dotyczącym płatności misyjnych. Gdy zakończyłem moją przemowę, wszyscy wstali i zaczęli klaskać. Dowódca Amerykanów podszedł i ściskając mi dłoń, gratulował świetnego „amerykańskiego”. A mnie pot spływał po twarzy (i nie tylko). Ci to potrafią docenić człowieka - pomyślałem nieskromnie. Gdy wszedłem do naszego pokoju, pierwszy nie wytrzymał Nils - *what's up?* - *nothing* - *any problem?* - *what do you mean?* - *problem with money* - *no problem*. *Were you scared?* - *no, why?* - *Huge amount of money and you alone...* *I wasn't alone* - *how come?* - *I've taken guards from Jordanian battalion*. Aaa... Następnego dnia Nils jechał po kasę. Oczywiście pojechał po żołnierzy. Podobno, gdy próbowali się zapakować do peugeota ze swoimi długimi karabinami, śmiechu było co niemiara - w końcu ich nie zabrał. Boczył się na mnie parę dni, by w końcu zapytać - *Did you joke about Jordanian guards yesterday?* - *of course, my friend*. *I thought so but I wasn't sure* - *good joke, good joke*.

Pułkownik B.

Pierwsze miesiące pamiętam jako niekończącą się orkę. Rotacje kontyngentów następowały jedna za drugą. Do domu często wracałem po północy, by poranek witać na lotnisku. Każda rotacja była inna. Te wydawałoby się uporządkowane od początku do końca (niemiecka) potrafiły niespodziewanie zaskoczyć. Niemcy przylatywali, mając duże zielone metalowe skrzynie na swoje wyposażenie. Zapewne ich rozmiar był przewidziany do efektywnego przewozu na ciężarówkach wojskowych, lecz tu sprawiały kłopot. W Zagrzebiu mieliśmy jednego trucka - „Mitsubishi”, ale w sektorach takich pojazdów już nie było i mogłem chłopakom tylko współczuć. Pamiętam jak pułkownik B., dowódca niemieckiego kontyngentu, z groźną miną patrzył na „skrzyniowe” manewry swoich podwładnych. A tak w ogóle to miałem z nim na małym pieńku, gdyż będąc dowódcą sektora ukarał (słusznie) Polaka, przenosząc go w inne miejsce. „Zainteresowany” przekazał mi tę informację w innym świetle i prawdy dowiedziałem się od samego pułkownika, gdy zadzwoniłem do niego (biją naszych) z protestem. Nieinformowanie mnie, dowódcy kontyngentu przez moich podwładnych, o sprawach istotnych, mających ważne lub „jeszcze ważniejsze” znaczenie i ukrywanie zdarzeń sprawiało sporo kłopotów.

Egzotyczne kontyngenty

Dla mnie Europejczyka rotacje egzotycznych kontyngentów, takich jak kenijski, czy nigeryjski, stanowiły duże wyzwanie. Policjanci lądowali w Europie, mając na sobie mundur, często tylko letni i reklamówkę z czymś tam w ręku. Po rocznym pobycie wracali do domów z zakupami, których ilości, rozmiar i waga stanowiły duże wyzwanie dla nas, organizatorów wylotu. Według przepisów ONZ płać za 100 kilogramów bagażu. Można go było wwieźć i wywieźć z misji. Co jednak zrobić, gdy ponad setka wylatujących meldowała się na lotnisku z lodówkami, telewizorami, antenami satelitarnymi, dywanami itp. To wszystko załadowane na kilkadziesiąt wózków, ciągnięte przez lotniskowy traktor, po kontroli rentgenowskiej podjeżdżało pod luk samolotu. Po załadunku mniej więcej połowy, reszta się nie mieściła. To proste, waga to jedno, a objętość to drugie. I tu zaczynał się teatr jednego aktora z jednej strony - to ja, i widzów - siedzących już w samolocie „weteranów” misji, którzy - walcząc chyba o dostęp do okien z jednej strony samolotu - bacznie obserwowali czy ich bagaż został umieszczony w luku. Oczywiście, że wszystko zmieścić się nie mogło. Moje wyjaśnienia na pokładzie, że popełnili błąd, że nie zastosowali się do przesłanych im instrukcji, że to co pozostało, wyślemy pierwszym możliwym samolotem, nie spotykały się ze zrozumieniem. Wściekły ryk zawiedzionej tłuszczy (to ci, których bagaż pozostał) i śmiechy szczęśliwców mieszały się, tworząc klimat mający mało wspólnego ze szczytnymi zadaniami, jakie tu przez rok panowie wykonywali. Współczułem im jednak serdecznie, rozumiejąc że tam u nich dystrybucja bagaży, które po jakimś czasie przylecą będzie obciążona ryzykiem i to tym z rodzaju *high risk* - i oni o tym wiedzieli, a okrzyki *God will punish you!!!* były wyrazem totalnej frustracji. Przegląd bagażu podręcznego wylatujących zasługuje na opis z jednego powodu - procedura i związane z nią kłopoty dotyczyły większości nacji. Pomimo tego, że w zaleceniach dotyczących przebiegu rotacji wszyscy byli informowani, czego nie można wywieźć, starcie z rentgenem dla wielu spośród moich misyjnych towarzyszy było grą do jednej bramki. Bezдушna maszyna ujawniała najczęściej bagnety, które jako część broni lub - jak kto woli - niebezpieczne narzędzie nie mogło być wniesione na pokład samolotu. Ten souvenir „z pola walki”, często z dedykacją, był najpopularniejszym fantem, jaki konfiskowano. Innym, co mnie samego zadziwiło, były poroża jeleni. Niektóre z pozwoleń na wywóz (wydanymi przez władze niemające nic wspólnego z chorwackimi), inne zaś z certyfikatami potwierdzającymi ich łowieckie miejsca medalowe, co automatycznie wywóz dyskwalifikowało. Zdarzało się więc, że miejsce odprawy zaczynało przypominać muzeum łowiectwa lub zasobną w trofea leśniczówkę. Wykorzystywała to miejscowa prasa, zamieszczając niepochlebne, ilustrowane zdjęciami artykuły.

Przed lotniskiem w Zagrzebiu jest mały park. Teraz jest tam piękny pomnik poświęcony uczestnikom misji na Bałkanach, którzy oddali życie w służbie pokoju. Ja pamiętam to miejsce z innego powodu. Solidaryzowałem się z mieszkańcami domów jednorodzinnych, którzy protestowali, że w noc poprzedzającą rotacje muszą oglądać spacerujących, śpiących, leżących pokotem panów, których dodatkowo trudno było w ciemnościach zauważyć. Patrząc na to oczyma wyjeżdżających, wydatek kwoty 80 - 130 USD na hotel był niewątpliwym marnotrawstwem w ostatni dzień misji.

Współlokatorzy

Zauważyłem napięcie pomiędzy Dimitarem i Alberto. Obaj byli wspaniałymi facetami, cóż więc mogło ich poróżnić? - kuchnia, a raczej potrawa zwana *bacalhau*. Widok Dimiego stojącego w kuchni i trzymającego się za nos był niezwykle. Drugą ręką pokazał mi garnek stojący na tarasie. Po sugestii z nosem, podchodząc do garnka, faktycznie czułem „nietypowy” zapach. Dimi podniósł pokrywkę, w środku moczyła się w wodzie ryba, chyba dorsz. Faktycznie, teraz nieźle capito. To Alberta - wyjaśnił - jak tego nie zabierze, to go stąd pogonię. Poszliśmy na kolację - co najmniej dwa razy w tygodniu był to pieczony świniak (odojak) w knajpce na wylotówce na Sisak. Porcja ciepłego mięsa, biały chleb i cebula smakowały wybornie. Z właścicielem interesu prowadziłem konsumencki spór, przypominając za każdym razem, że nie chcę tłuszczu i kości, a „chude” jest tym, co lubię najbardziej. Niby słuchał, ale jego interes był zgoła inny - musiał na talerz dać wszystkiego po trochu, żeby wyjść na swoje. Po powrocie zastałem w kuchni Alberto zjadającego swój specjał. Skorzystałem z poczęstunku i posmakowało mi. Zwykły rosół, całe ziemniaki, marchew i kawały ryby. Proste danie i smaczne. Zapach - jak ryba, nic szczególnego. Dimi nie byłby sobą, żeby nie przypomnieć, że to ostatni raz, że następnym razem wyrzuci to za okno, może razem z właścicielem. Mówiąc to otwierał metalową puchę z - najlepszym jak to mówił - bułgarskim białym serem. Jakoś mu nie szło, więc podsunąłem mojego Lathermana. Po chwili otwieracz pękł, no mówię wam, pękł otwieracz z Lathermana, dopiero co kupionego w amerykańskim PX i który miał „life guarranty”. Co to, kurde, za dożywotnia gwarancja, jak amerykański otwieracz łamie się w pierwszym starciu z bułgarską puszką? Ser był smaczny, ale po obejrzeniu puszki mogłem dostrzec, że to nie była zwykła blacha, ale chyba pancerna. Ktoś tam w Stanach nie przewidział, że są jeszcze kraje, gdzie w coś takiego pakuje się żywność. Oczywiście obsługa sklepu odmówiła mi wymiany towaru na wolny od wad, tłumacząc pokrętnie, że *life guarranty* oznacza, że coś takiego nie miało prawa się zdarzyć. Jak nie dałem się zbyć, to zauważyłem, że idą w opcje spiskowe, sugerując - tego nie powiedzieli, ale mogłem się domyśleć - że zrobiłem to specjalnie. Opuściłem więc temat. Teraz, używając czasem mojego Lathermana - inwalidę, wspominam całą tę historię.

Dowcip

Drugi z Bułgarów, Aleksandar, jeździł głównie coasterem. Był kawalarzem i duszą towarzystwa, w czym jego wyjątkowo słaby angielski nie przeszkadzał. Tego dnia wybrał sobie mnie na cel i od samego rana podpytywał w biurze, jak sobie radzę z seksem. W końcu Dalida, tłumaczka, opieprzyła go i zniknął. Wieczorem, Mirna, córka gospodarzy zapukała do mojego pokoju i z miną niewróżącą nic dobrego poinformowała, że mam gościa. Zakłopotany rozejrzałem się po pokoju - byłem tylko w podomce. Na dole stała modnie ubrana dziewczyna, która na mój widok zaczęła wspinać się po schodach, nieustannie nadając. Zrozumiałem, że jest z Czarnogóry. Moja intensywna praca myślowa nie doprowadziła do niczego - nie kojarzyłem jej z niczym i z nikim. Rezolutna osoba ominęła Mirnę, dziękując jej za pomoc i już stała w pokoju, zamykając plecami drzwi. W pełnym świetle dostrzegłem dwie rzeczy - ponadprzeciętną urodę i ostry makijaż. Zacząłem jarzyć. *Przyszłam, bo zamówiłeś sobie mnie telefonicznie, jestem do usług.* No nie, świat nie zawalił mi się na głowę, ale w oczach miałem moich zacnych gospodarzy i było mi bardzo, ale to bardzo głupio. Szukałem szybkiego wyjścia z sytuacji, ale panienka nie chciała wyjść. Mówiła coś o mafii, że zrobią jej krzywdę, że nikt jej nie uwierzy itd. Byłem wściekły na Aleksandra. Ile? - *100 zielonych.* Wyjąłem banknot - idź sobie, chciałem już to mieć z głowy, zejść do gospodarzy, przeprosić. Gdy otwierałem drzwi, musnęła mnie, przechodząc obok... to... to naprawdę była profesjonalistka.

Schodząc po schodach głośno tłumaczyłem, że to pomyłka i żeby tu już nie przychodziła. Drzwi do kuchni gospodarzy były otwarte. Wszedłem na herbatę, coś tam tłumaczyłem, ale myślę, że nie byłem przekonujący.

Wypadek

Rano Angelina zapytała mnie, czy wiem, że Polacy mieli wypadek i że jeden nie żyje. Zaprotestowałem gorąco - bo przecież coś bym wiedział. To pewne - stwierdziła i poszła załatwiać swoje sprawy. Po jakiejś chwili wróciła do tematu - zadzwoń do Polski, to ci potwierdzą. Rozwahałem już różne możliwości, skąd może wiedzieć coś, o czym to ja powinienem wiedzieć pierwszy. Wiadomość przyszła z Mostaru. To tam zadzwonił z Polski jeden z moich kolegów (nie do mnie), prosząc Amerykanina, *który jest dla mnie jak ojciec*, żeby nie robili afery na stacji - mieli wypadek, wracając z urlopu w Polsce, sam ma złamaną rękę, ktoś tam jest potłuczony, a kierowca niestety nie żyje. Dzwoniłem do żony jednego z poszkodowanych. Kobieta szła w zaparte, że nic nie wie - *mąż w szpitalu?* - *to nie może być prawda*. Żal mi „dupę ścisnąć” z niemocy. Pojechałem do Polski na pogrzeb. TIR zawracał na pasie zieleni „katowickiej”. Kierowca nie miał szans. A miało być tak pięknie.

Dwaj kolejni Polacy rozpoczęli służbę w *Support Unit*. Krzysiek wprowadzał nowo przybyłych w tajniki świata komputerów, zaś Andrzej (to popularne imię) był instruktorem „od wszystkiego”. Był chodzącą alfą i omegą ze świetnym angielskim. Słyszając salwy śmiechu, było wiadomo, że właśnie opowiedział kawał. To była jego druga misja. Na pierwszej był oficerem do nazwijmy to zleceń specjalnych szefa misji, często pełnił też funkcję jego kierowcy. Był ranny w Sarajewie. *Poznałem Zagrzeb od podszewki, jak chcesz, mogę cię oprowadzić po mieście?* - jego ofertę przyjąłem z radością. Już nie musiałem siedzieć samotnie w domu lub wałęsać się po ulicach. Wolne chwile spędzaliśmy, spacerując po starym Zagrzebiu. Pokazywał mi miejsca, w których bywał z poprzednim szefem na oficjalnych spotkaniach i opowiadał, opowiadał... Był wzrostu Michała Wołodyjowskiego i gdy otoczony wianuszkami słuchaczy opowiadał kolejną historię, trzeba było chwili, żeby go zlokalizować. Teraz właśnie „darł łacha” z naszej szefowej. Po Rosjaninie nastąpiła Amerykanka. Amerykanów przysyłała na misję *Dyncorp* - wyspecjalizowana organizacja. I wcale nie było pewne, czy stojący przed tobą niby policjant nim jest. Mógł to być np. strażak. Na szczęście większość Amerykanów, z którymi przyszło mi współpracować, było facetami z krwi i kości.

Nasza szefowa wywalczyła dla nas kuchenkę mikrofalową. Wczoraj pod moją nieobecność zarządziła zbiórkę personelu, żeby objaśnić, jak się korzysta z tak wysoce skomplikowanego urządzenia. Popęłniła jednak błąd, którego jako wybitna znawczyni tematu, nigdy nie powinna. Kupiła w PX coś tam do jedzenia w opakowaniu nie przystosowanym do tego typu urządzeń. Żarcie wybuchło i z trudem pozyskany sprzęt nie nadawał się do użytku. Mieliśmy to „cacko” raptem godzinę. Gdy zgromadzeni wokół Andrzeja śmiali się do rozpuku, nasza Angelina przemykała bokiem, uważnie taksując zgromadzonych, zapewne słusznie sądząc, że o niej mowa.

Po południu siedziałem w chałupie Andrzeja, zającąc puszkowe flaki, które właśnie przywiózł z Polski. Pucha była kształtu beczułki i zawartość smakowała wybornie. Andrzej snuł o swoich przygodach. Ta z Sarajewa ze snajperem w roli głównej zaciekała mnie najbardziej. Lotnisko było pod ostrzałem. Snajperzy robili, co chcieli i nie było początkowo na nich sposobu. Gdy więc jeden z Francuzów z Legii Cudzoziemskiej został trafiony na płycie lotniska i przewrócił się, transporter opancerzony przejechał nad nim i zasłonił, a rannego próbowano wciągnąć na pokład. Nie było tam chyba wystarczającej liczby ludzi, bo to trochę trwało. Podskoczyłem pomóc i tak mną trzepnęło, że upadłem. Wiedziałem, że to snajper, wiedziałem, że jestem ranny, ale chroniąc się rzuciłem się do transportera. To był skok i w locie wciągali mnie do środka. Po zdjęciu kamizelki okazało się, że dostałem centralnie w plecy. Były sine, później fioletowe i czarne. Bolało jak cholera. Kamizelka ochroniła, ale wiesz co najbardziej bolało? - nogi w miejscu zdartej skóry, gdy mnie wciągali do transportera. Wiesz, że długo nie mogłem się załatwić? Jak już tam się zginałem w pałąk, to tak mnie bolały plecy, że...”.



Support Unit w Zagrzebiu – od lewej: kpt. Kazimierz Godlewski, autor i ś.p. podkom. Andrzej Buler – zdjęcie ze zbiorów autora

Medale, mapy...

Marek... - Angelina dopadła mnie w przejściu - masz kontakty na lotnisku, spróbuj, może tobie uda się odebrać z Cargo przesyłkę z medalami, które dzisiaj przysłano dla Sarajewa. Mają tam jutro *Medal Paradę*, medale przyleciały w ostatniej chwili i nie ma już czasu na oficjalne procedowanie. Przerzucilibyśmy je do Sarajewa wieczornym samolotem. Byłem przejęty takim, powiedzmy to zadaniem specjalnym, bo czy takim nie było? Pojechałem do moich zaprzyjaźnionych Chorwatów. Nie musiałem długo tłumaczyć. Umowa jest taka, dzisiaj zabierzesz te medale, a papierowo obrobimy to jutro, bo nie ma już managera w pracy - Mišo jak zwykle działał zdecydowanie. Po godzinie trzy paczki leżały już w pokoju szefowej. Widziałem, że bardzo jej na tym zależało, bo cała w skowronkach z towarem osobiście poleciała do Sarajewa. Wróciła pierwszym porannym lotem i... nie wyglądała na zadowoloną. Utwierdziły mnie w tym jej pytania, których sensu początkowo nie mogłem zrozumieć. *Czy były tam jakieś inne paczki z medalami?* - nie, były trzy i wszystkie trzy zabrałem. *„Czy aby na pewno?”* - Na pewno, to możemy sprawdzić jadąc tam. W głowie zapaliło mi się czerwone światełko. *Czy mogę jechać z tobą?* - nie widzę problemu - światełko już pulsowało alarmowo. Pojechaliśmy do Mišo. Zacząłem wyłuszczać sprawę. Chłop zadzwonił, gdzie trzeba i pojechaliśmy na Cargo. Przed budynkiem czekał wczorajszy nieobecny. Nie - wyjaśnił zdecydowanie, innych przesyłek z medalami nie było, tylko te trzy dla UNTAES. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, jak ważna była ta wypowiedź, ale błysk w oczach Angeliny zmusił mnie do jej ponownej analizy. Czy ja dobrze usłyszałem - dla UNTAES, nie dla UNMIBH? Czy to oznacza, że zawiozła nie te medale do Sarajewa? Podziękowaliśmy. Jadąc do campu usłyszałem - *Marek, przywiozłeś mi nie te medale, co trzeba i najadłam się wstydu*. No cóż, wystąpił mnie po medale, które dopiero co przysłano, jak powiedziałaś, innych nie było. Nie było też gościa z Cargo, który by to sprawdził w papierach... Czy oczekujesz moich przeprosin? - unikała mnie przez parę dni.

Stasiek od dłuższego czasu molestował mnie o mapy. *Wiesz, jeździsz często do HQ, tam jest mapiarnia* - to nie problem poprosić o mapy, ale jeżeli jadę tam już kolejny raz, dostaję, co chcę, przesyłam ci to i za tydzień prosisz mnie o to samo, to nie wydaje ci się dziwna cała ta sytuacja? - *no nie, wiesz, GROM przyjeżdża i potrzebują...* Wiedziałem, że nasi będą chronili szefa UNTAES - u, ale Stanisław zaczynał z lekka przeginać. Już dwa razy będąc w Kwaterze Głównej, prosiłem innych, żeby mi te mapy załatwili, bo mi już nie chcieli dawać, co zresztą wcale mnie nie dziwiło. Niech napiszą oficjalne zapotrzebowanie, dostaną wszystko, co potrzeba, a tak wychodzi na to, że odwałam jakąś prywatę - ale Marek, ostatni raz, tym razem w skali....

Ambasada

W pewnym okresie nie było tygodnia, żebym nie odwiedził naszej ambasady. Mieściła się na wzgórzu górującym nad Zagrzebiem przy ulicy Krležin Gvozd. Aby tam dojechać, trzeba było wspiąć się wijącym asfaltem parkowej góry, gdzie prawie na szczycie zbocza pomiędzy starymi willowymi budynkami stała równie stara mała willa naszej ambasady. Zawsze był tam kłopot z parkowaniem, gdyż zakręt wąskiej nitki asfaltu znajdował się przed wejściem do pomieszczeń konsulatu. Klimat wnętrza przypominał ten panujący w ambasadzie w Brukseli*, tylko skala dużo, dużo mniejsza - obrazy wypożyczone z polskich muzeów, skrzypiąca dębowa klepka pachnąca pastą, przeszklone duże drzwi i generalnie ciasnota. Pamiętam, że w każdej z polskich ambasad, gdzie przyszło mi przebywać i w Brukseli, i tutaj, i w Bagdadzie, i w Sarajewie mówiło się o konieczności pilnej budowy nowych reprezentacyjnych siedzib naszej dyplomacji. Nie zawsze kończyło się na planach. W Bagdadzie byłem w starej i nowej ambasadzie. Leżą naprzeciw siebie - stary, ciemny i betonowo wyglądający budynek i nowy - przeszklona, lekka konstrukcja. W Brukseli też wiele się zmieniło - słowem inny świat.

Znajomość z naszą dyplomacją w Chorwacji rozpoczęła się prozaicznie - wybory. Tradycyjnie Polacy głosują w polskich placówkach dyplomatycznych. Tym razem koledzy policjanci weszli w skład komisji wyborczej. Pracując w Zagrzebiu miałem okazję „bywać”, żeby dograć szczegóły z tym związane. Późniejsza współpraca wynikała z nawiązanych przyjaźni (ze Zbyskiem - attaché wojskowym, łączy mnie szczególna więź) i potrzeb rozwiązywania naszych, kontyngentowych spraw. O niektórych nawet po latach trudno uwierzyć, że zdarzyły się - ale tak było.

Pan konsul zadzwonił do mnie z prośbą o pilny kontakt, rzucając mimochodem o kłopotach z „moim” policjantem na granicy austriackiej. W te pędy wsiadłem więc w samochód i ruszyłem na spotkanie. Słuchając siedzącego naprzeciw mnie potężnego faceta, w pierwszej chwili myślałem, że żartuje, ale minę miał jak najbardziej poważną. A rzecz się miała tak. W niedzielę ambasada austriacka w Zagrzebiu poinformowała naszą o próbie przekroczenia granicy słoweńsko - austriackiej przez polskiego dyplomatę, samochodem bez tablic rejestracyjnych. Człowiek był zdecydowany w działaniu i nie zamierzał ustąpić - uparł się, że przejedzie i już. Żadne argumenty do niego nie docierały. *Co za dyplomata? przecież takiego nazwiska u nas nie ma. Gdy dojechałem na przejście graniczne, stwierdziłem, że to polski policjant z dyplomatycznym paszportem. Był zdesperowany. Po negocjacjach z Austriakami i pożyczeniu mu kupy kasy na opłaty i tablice rejestracyjne - sam nie miał tyle pieniędzy, przepuścili gościa, ale...* Słuchając konsula moja rzadka czupryna jeżyła mi się na głowie. Kuźwa, Stasiu, tym razem przesadziłeś, tym razem przesadziłeś - myślałem gorączkowo. Konsul okazał się porządnym chłopiskiem. *Nie będę robił z tego afery, gdybyś mi tylko pomógł w odzyskaniu pieniędzy... to służbowe.* Rozstaliśmy się wierząc w szybkie zakończenie sprawy - pieniądze po moich monitach dostał z powrotem chyba po miesiącu. Było mi po prostu wstyd.

A tablice i samochód? Aby pojazd mógł zostać uznany za mienie przesiedleńcze, musiał być kupiony w drodze powrotnej do Polski lub być użytkowany co najmniej 6 miesięcy za granicą. Mój kolega kupił pojazd na Węgrzech i na jednorazowych tablicach zamiast prosto do Polski wjechał do Chorwacji. Oczywiście, że nie dokonał stosownej odprawy, bo po co? Nie mógł już wracać przez Węgry, więc wymyślił sobie Austrię, ale tam nie dali się zrobić w ciula. Jak pamiętam nie miał z tego powodu wyrzutów... no... jakich wyrzutów? - proszę o odpowiedź?

- * Przed oddaniem rękopisu do druku dowiedziałem się, że Ambasada RP w Brukseli została przeniesiona do nowej siedziby mieszczącej się przy Rue Stevin. W opinii pracownika Stałego Przedstawicielstwa RP jest to najnowocześniejszy budynek tego typu w mieście. Cieszy fakt, że nasze otwarcie na świat nabiera nowego wymiaru.

Pan ambasador

Wymyśliłem sobie, że zapytam, czy jest szansa na zorganizowanie *Medal Parady* w polskiej ambasadzie, no bo czemu nie? - miejsce zacne i zawsze to u swoich. Przeszedłem do czynów. Umówiłem się na spotkanie z panem ambasadorem. Odpowiedź była wręcz radosna - oczywiście, oczywiście panie kolego, świetny pomysł. Umówiliśmy się na drugie, już decydujące o sprawach organizacyjnych, spotkanie. Doszło do niego bardzo szybko. *Panowie za wszystko płacicie?* - nie byłem zaskoczony, oczywiście. Zawsze za wszystko płaciliśmy. Na każdą MP składaliśmy się, zapraszając naszych przełożonych z kraju, przełożonych misyjnych i przedstawicieli innych kontyngentów narodowych. Wprawdzie czasem łezka się kręciła, gdy chyba Duńczycy - opowiadając o swoich uroczystościach - mówili, że mają na to kasę reprezentacyjną, a do Norwegów przyjechał samochód z wiktuałami - potraktowali to jako promocję kraju. My wiedzieliśmy, że bieda, że nie ma itd., a że Polak nie chce być pariasem... tak więc w myśl znanej zasady: „Zastaw się, a postaw się”... nie było widać na naszych MP biedy. Pan ambasador oferował pomoc - *potrawy, kanapki - przygotują panie zaprzyjaźnione z nami. To Polki z mieszanych małżeństw. Za pracę nie wezmą dużo.* Nie pamiętam wyliczeń dyplomaty, ale mój komputer wyraźnie zaczynał się grzać. *Zaproszę też kilku ludzi z kraju, z MSZ, nie ma pan nic przeciwko temu?* - no cóż, robi się niezła impreza. Powoli docierało do mnie, że gości jest już prawie tyle, co nas, kandydatów do medali. *Wie pan, tu obok jest jeszcze ambasada... zwyczajowo wzajemnie się zapraszamy...* Chyba minę miałem nietęgą. Pan ambasador wychodząc zrobił to, co niemal zawsze przydarza się filmowemu porucznikowi Colombo. Odwrócił się i ni to zapytał, ni to stwierdził - *bo wie pan, noszenie smokingu jest ciężką pracą.* Wracając do domu, prowadziłem „intensywną pracę myślową”, co czasem mi się zdarza. Po konsultacjach z kolegami powiadomiłem pana ambasadora, że rezygnujemy z organizacji uroczystości w ambasadzie - dyplomatycznie nie dociekał powodów.

Odwiedzam Sarajewo i Daruvar

Tydzień był obfity w wydarzenia. Odwiedziłem chłopaków w Sarajewie. Poleciałem tam porannym UN-em. Samolot schodził do lądowania nisko nad górami. Wydawało się, że skrzydłami muska zbocza - to dlatego tak często odwołują loty, mała mgła i lądowanie niemożliwe. Dlatego też z taką łatwością Serbowie zestrzeliwali samoloty transportowe z pomocą dla oblężonego miasta. Wieczór spędziliśmy na Ilidży, rozmawiając o sprawach kontyngentowych. W tak zwanym międzyczasie pojechaliśmy do źródeł rzeki Bosna. Cud natury to mało powiedziane. Za plecami masyw górski *Igman*. Przed nim w miejscu zwanym *Vrelo Bosne* z kilkunastu źródeł wydobywa się masa wody tworząc na poczekaniu rwącą rzekę. Do źródeł wiedzie kilometrowa platanowa aleja. Można tam dojść lub dojechać dorożką. Wrażenia niesamowite. Lot powrotny do Zagrzebia był zagrożony. Czekałem już dwie godziny, a start opóźniał się. Zdecydowano, że ze względu na pogodę będzie to jedyny lot tego dnia. No i zaczęło się. Listę pasażerów zaczęto tworzyć od nowa. Byli ważni, ważniejsi i szczególnie ważni dla misji. Słuchając powodów, dla których to właśnie oni „musieli” być tego dnia w Zagrzebiu, można było dojść do wniosku, że jak nie polecą, to misja skończy się już jutro, chociażby z tego powodu, że zostając tu nie zmienią koszul na jutrzejsze spotkania, a wymięte koszule dyplomatom nie przystoją. Oficerem odpowiedzialnym za załadunek był znany mi z Zagrzebia Jasper, Belg o polskich korzeniach. Nieraz toczyliśmy dysputy w oczekiwaniu na nasze samoloty. W pierwszym odruchu chciałem wykorzystać naszą znajomość, też musiałem lecieć, ale - widząc tłum krawacıarzy - pomyślałem, że w polowym mundurze nie mam szans. Jakież było moje zdziwienie, gdy na wywieszonej liście pokładowej zobaczyłem moje imię. Tak, tam gdzie powinno być nazwisko, jak wół widniało moje imię, nazwiska nie było - bo nie znał - pomyślałem. Odbierając ode mnie kartę pokładową Jasper, puścił do mnie oko.

W sobotę pojechałem do Daruvaru odwiedzić moich przyjaciół. „Vasovie” nic się nie zmienili. Te same figlarne oczy Ivanki. Stepane się popłakał, a i Ivka dreptała w kuchni z wilgotnymi oczyma. Daruvar nie zdążył się zmienić. Spałem w „naszym” domu - córki moich przyjaciół akurat wyjechały.

Wakacje z rodziną

Środek lata, może by tak rodzinę zaprosić na wakacje? W podjęciu decyzji pomogła mi informacja, że siostra kolegi *udala se* za Chorwata i prowadzi interes turystyczny w miejscowości Biograd na Moru. Koordynacja zajęła chwilę. Przyjechali „okazją” z kolegą wracającym z urlopu. Razem z dziećmi siostry, sześć osób. Spędzili ze mną w Zagrzebiu cztery dni. Pomocny okazał się Aleksander i jego coaster. Jak się zorientował, że się nie wyrabiam w pracy, a sam miał wolne, zabierał towarzystwo na pobliskie kąpielisko. Zośka nienawidzi słońca. Wiedziałem, że kąpiele słoneczne to ostatnia rzecz, jaką może zaakceptować i chociaż moi gospodarze pomagali, jak mogli - przepyszne grille - była już najwyższa pora, żeby przekierować urlopowiczów nad morze. Ponieważ sam nie mogłem jechać - urlop mogłem otrzymać dopiero za tydzień - wymyśliłem podróż autobusem. Glavni Autobusni Kolodvor mieści się w centrum Zagrzebia. Żegnałem wycieczkę z łezką w oku. Po przyjeździe na miejsce wiara zameldowała, że jest OK, mają do dyspozycji całe piętro, słowem mieszkanie z osobnym wejściem ze wszystkimi wygodami. Po tygodniu ruszyłem do nich, spod PX - u. Zakupy nie mieściły się w samochodzie. Kupiłem m.in. kalifornijskie wino w pięciolitrowych kartonach. Pamiętam wyjątkowy smak różanego. Kartony miały tę zaletę, że w środku były pojemniki z folii aluminiowej, które jak się wkrótce okazało, były świetnymi pływakami dla dzieci. Po jednym na rączynę i do wody. Gdybym o tym wcześniej wiedział, to bym pewnie kupił tych kartonów więcej. Z domu do morza mieliśmy 70 metrów - tylko przejść przez pas drzew. To było dla Zośki zbawienie. W cieniu mogła jakoś egzystować. Nie do zaakceptowania była dla mnie temperatura wody - stanowczo za zimna. Kapetane - tak tytułowałem naszego gospodarza (na imię miał Tomislav) - był prawdziwym wilkiem morskim na emeryturze. Gdy poprosiłem o oprowadzenie po miejscach, gdzie z kolegami chodził na posiadówki, początkowo nie mógł mnie zrozumieć. No wiesz, nie chcę tam, gdzie szkło i chromy, chcę do prawdziwej tawerny, gdzie nie ma turystów. W ten sposób zrobiliśmy *wine&rakija tour*. Tawernami, a raczej miejscami, gdzie można w spokoju napić się domowego wina, okazały się drewniane pomieszczenia gospodarcze, do których aby się dostać, trzeba było przejść przez zarośnięte winoroślą przydomowe ogródki. Najczęściej nie było żadnej informacji, no może ta o możliwości kupienia wina własnej produkcji. W jednym z takich miejsc siedzieliśmy przy drewnianej ławie, prawie czarnej ze starości. Bardziej czarny był tylko sufit, pewnie od dymu wędzonego tu kiedyś *pršutu*. Znajomy mojego Kapetana wymieniał dzbaneczki na kolejne, a my zagryzaliśmy miejscowym przysmakiem - wędzonymi rybkami (szprotki?) wyjmowanymi z beczki, w której były sprasowane. Były słone do tego stopnia, że chociażby się chciało, nie można było przestać pić. Kupiłem tego specjału dla „wycieczki”, żeby spróbowali, ale nie było chętnych na dokończenie, więc zrobiliśmy to we dwóch już w domu, siedząc pod olbrzymim orzechem, oczywiście nie na sucho.

Z portu kursowały stateczki na pobliskie Kornati. To urokliwe wysepki. Po ich przepłynięciu od strony wyspy *Dugi Otok* przed wzrokiem był już tylko bezmiar pełnego morza. Szyper kutra podpłynął pod potężną ścianę. Wrażenie potęgi przyrody niesamowite. Na jednej z wysepek

mieliśmy obejrzeć słone jezioro, ale wybuchł pożar buszu. Szybko ewakuowano nas na stateczek. Obserwowaliśmy jak z zabudowań nad morzem wrzucano do wody butle gazowe. Na dłuższy czas nasza uwaga skupiła się na samolocie gaśniczym pobierającym tuż obok wodę z morza i zrzucającym ją na płomień.

Całodzienna wycieczka wygłodziła wszystkich niesamowicie. Gdy więc podano jedzenie w drodze powrotnej, poczułem się wspaniale. Z portu do domu mieliśmy pięć minut. Towarzystwo natychmiast pozasypiało ze zmęczenia. Nasze przygody z morzem kontynuował Kapetan, wożąc nas na leżącą naprzeciw wyspę (sami naturyści). Nie udało mi się rozebrać - Zośka była czujna, wybierając za każdym razem miejsce bez sąsiadów. Wspaniałe były zatoczki na małych wysepkach znane naszemu sternikowi. Woda była błękitna, ciepła i przezroczysta. Próby nurkowania do dna widocznego „na wyciągnięcie ręki” kończyły się najczęściej niepowodzeniem. Wszystko, co dobre musi się skończyć. Pora była najwyższa pomyśleć o powrocie. Dzieci mojej siostry wróciły do kraju z wycieczką z pobliskiego hotelu jadącą do Bydgoszczy. Mogliśmy się więc zabrać do mojego samochodu. Planowaliśmy w drodze powrotnej zwiedzić *Plitvičke Jezera*, ale ku naszemu zdumieniu, tego dnia park narodowy był zamknięty z powodu wizyty polskiego premiera czy też prezydenta. Obeszliśmy się smakiem.

„Węgierski” problem

Siedząc w biurze „wlampiałem się” w monitor i raczej wyczułem niż zauważyłem przyglądającego mi się faceta. Mundur węgierski - pewnie przyjechał do naszego Madziara. Robiłem dalej jakąś statystykę, gdy wyrósł znad monitora. *Ja do ciebie, możemy pogadać - no pewnie, w czym mogę pomóc? Wiem, że jesteś dowódcą polskiego kontyngentu, mam sprawę... to może zapalimy?* Zaciągając się dymem na schodach Support Unitu, usłyszałem, że jest zastępcą dowódcy węgierskiego kontyngentu i ma na imię Laşzlo. Razem z dowódcą kontyngentu pełnią służbę w Gradişce. *Dowódca kontyngentu jest dowódcą stacji, a ja...* przerwałem mu, niech zgadnę - ty jesteś zastępcą dowódcy stacji? Uśmiechnął się od ucha do ucha. *Bo wiesz?... rozpoczynał tak chyba ze dwa razy, widziałem, że dusi coś w sobie, ale coś nie bardzo mu szło. No mów, zachęcałem. Mamy na stacji problem...* kuźwa, to nic nowego pomyślałem, to słowo jest tu popularne... *Mamy problem z Polakiem.* O kuźwa, teraz już mi się „wymkło”. *Go ahead* - zachęciłem gromko i zaczęło się.

Na stacji mamy telefon miejski. Od wielu miesięcy ktoś regularnie dzwoni za granicę. UN nie płaci za te rozmowy, więc rachunki obciążały nas wszystkich. Robiliśmy odprawy. Prosiliśmy, groziliśmy i nic. Kolejne kwoty były coraz wyższe. Podejrzewaliśmy siebie nawzajem i atmosfera na stacji zrobiła się nie do zniesienia. Wszyscy wiedzieli, że u Serbów system bilingów nie działał, więc sprawcy czuli się bezkarnie. Na jednej z ostatnich odpraw, podczas której padła kwota, jaką należało zwrócić za „lewe” telefony, doszło prawie do rękoczynów. Najwięcej miał do powiedzenia Stanisław. Rzucił gromy, przekleństwa na złodziei i odżegnywał się od jakiegokolwiek składki... kuźwa, cóż to znowu ten mój dyplomata wymyślił, pomyślałem nie przerywając, chyba nie przypalantował komuś? *Bo wiesz...* Laşzlo patrzył mi w oczy... *my doszliśmy, kto to dzwonił - jednego jesteśmy pewni.* Patrzyłem na niego milcząc... *to Stanisław.* Czułem, jak pot mi spływał po plecach. Odpaliłem kolejnego cygarętkę, a Laşzlo kontynuował. Parę tygodni temu Stanisław zwrócił się do mnie z prośbą o namiary na hotele nad Balatonem. Chciał tam spędzić urlop z rodziną. Będąc w kraju wybrałem kilka i przekazałem mu adresy i wszelkie namiary. Pod te numery dzwoniono ze stacji, tylko on mógł dzwonić albo... my, bo to przecież na Węgry. Jak do tego doszliście? - z bilingu - przecież ich nie ma. Oficjalnie na pocztę nie ma, ale serbska bezpieka działa sprawnie. Gdy już nie mogliśmy sobie dać rady z rachunkami, dowódca pojechał do nich z roboczą wizytą... - pokazał białe zęby w szerokim uśmiechu - *i załatwił.* Co teraz? - zapytałem. I tu padło kluczowe słowo misji - *dłaczego? Po pierwsze ten biling nie może być dokumentem oficjalnym i ujrzeć światła dziennego, po drugie są to telefony na Węgry. To my wiemy, jakie telefony mu daliśmy, a jak się wyprze?* - poczekaj. Gdy szedłem po kawę, mój komputer wykonywał karkołomne operacje. Wracając z dwoma kubasami, miałem pomysł, może karkołomny, ale z szansą na złagodzenie konfliktu, wszak Polak z Węgrem... A co by było, gdybym odwiedził moich chłopaków w Gradişce i poprosił

o spotkanie kurtuazyjne z dowódcą stacji? Czy gdybym faksem przesłał prośbę o spotkanie, to... *A my wcześniej byśmy wzięli go na rozmowę, pokazujemy dowody... a ty jedziesz do nas...* Powinien zapłacić. Było mi zażebicie wstyd za mojego kolegę - że nie mogłem go chwycić za gardło, wypierdolić na zbity pysk - rozgrzeszałem sam siebie, ale przecież... przecież oprócz tych kilku telefonów nic na niego nie mają... mój kac moralny narastał z każdą chwilą.

W Gradišce spędziłem trzy dni mojego urlopu. Już pierwszego dnia pobytu widziałem się z moimi Węgami. Wymieniliśmy się gadżetami. Lašo przekazał mi, że sprawę załatwiono. Odetchnąłem, ale czy tak powinno być, takie zamiętanie pod dywan?

Miasto sprawiało dość przygnębiające wrażenie. Ale chociaż ulice były puste, a ruch minimalny, życie w kafejkach kwitło: kawa, piwo, kieliszek rakii, pyszne wyroby cukiernicze, zajądałem się lodami. Z pustej promenady nad rzeką patrzyłem na drugi brzeg - Chorwację. Stołowaliśmy się na barce zacumowanej przy moście granicznym. Wieczorem dobiegała stamtąd głośna muzyka. Sterty drewna ułożone pod balkonami budynków przypominały, że mieszkańcy przygotowują się do zimy. Nawet mieszkania w wieżowcach były konstrukcyjnie przygotowane do opalania drewnem. Widok drewna opałowego na korytarzu dziewiątego piętra tylko trochę mnie zaskoczył - przez chwilę zastanawiałem się jak oni to tu targają - to ciężka praca.

Do Zagrzebia wracałem z mieszanymi uczuciami. Chłopaki nawet nie znali powodu moich odwiedzin, a myśląc o Stašku zastanawiałem się, dlaczego biegał po mieście z bagnetem na pasie. Boi się czegoś, czy jak? Nie przyszło mi do głowy, żeby go za to opieprzyć.

Beli Manastir (Biały Monastyr)

Czekały mnie wieści, które mogły w krótkim czasie „przemeblować” mój misyjny żywot. Coraz częściej mówiło się, że szefostwo misji chciało być bardziej niezależne. Oznaczało to, że jako członek misji UNTAES nie będę mógł pracować w Zagrzebiu - Support Unit był przecież „sarajewski”. Ale to jakaś daleka perspektywa - pomyślałem - organizując *Contingent Meeting*. Ustaliłem z moim zastępcą, że spotkamy się w Medjugorje. Termin spotkania zatwierdził szef sztabu. Informacje z dużym wyprzedzeniem przestałem do wszystkich. Dwójka kolegów zabrała mnie niejako po drodze, jadąc z Trebinje. Nie jest źle pomyślałem, wczuwając się w rolę pasażera, trochę ciężko byłoby samemu za fajerą tyle godzin. W ten sposób mogłem przez okna potężnego *land - cruisera* podziwiać przepiękną przyrodę. Nie pojechalśmy trasą „nad morzem”. Wygrał wariant „na skróty” i zapewne z tego powodu nie jechaliśmy 5 - 6 godzin, lecz osiem. Medjugorje nie zmieniło się zbytnio od czasu, kiedy tu byłem 3 lata temu. Tylko ja jak zawsze nie mogłem trafić na moment, kiedy z krzyża miała ciec krew. Wróciwszy do Zagrzebia, dowiedziałem się, że wszyscy z misji UNTAES mają wrócić do siebie. Dostałem przydział do miejscowości Beli Manastir. Miałem się tam stawić za tydzień. W tym czasie *redeployment* do Sarajewa dostał Arek. Miał ponownie zostać asystentem Commissionera - jego angielski był bezkonkurencyjny. Kiedyś opowiadał mi, że jego wujek był pilotem w czasie wojny i latał w Wielkiej Brytanii. Jeździł tam jako dziecko - dobrze się stało, że złapał „językowego” bakcyła. Pożegnałem się z „moją chorwacką rodziną”. Wszyscy mieliśmy przecucie, że na pewno nie widzimy się ostatni raz. Przyjechał po mnie „Długi”. Jechaliśmy autostradą, mijając w Kutinie znany mi zjazd do Daruvaru, potem Osijek i Darda. Tu już czekali „Maruda” i „Blondyn”. Patrzyliśmy na siebie z nostalgią. Pamiętałem ostatni numer „Długiego”, gdy na moje wcześniejsze odwiedziny zarządził zakup flaszeczki w PX. Flaszeczka była jedna, ale najdroższa w sklepie. Jak później przyszło do oddania kasy, „Maruda” tylko jęknął... ile? - no masz, popatrz na rachunek, mieliśmy dowódcę przywitać byle czym? Chłopaki zeszli ze służby, więc po krótkich uprzejmościach przesiadłem się do samochodu „Rudego” i pojechalśmy do Białego Monastyru. „Ja Ryży Koń” razem ze Zbyszkim mieszkali w wielkim domu. Przyhołubili mnie do siebie i tak już zostało do końca misji.

Zauważyłem, że region wyglądał na mlekiem i miodem płynący. Ludzie mieszkający tu przed wojną musieli opływać w dostatki. Piękne, obszerne domy, ogrody i ta soczysta zieleń. W Zagrzebiu jej nie brakowało, ale tu... czuło się swobodę, przestrzeń i nawet powietrze było inne. Na stacji dostałem wolne na zagospodarowanie się. Przyglądałem się wszystkiemu i już wiedziałem, że to jest to, że wpadłem po uszy - byłem oczarowany. Potwierdziły to kolejne dni, gdy po patrolach wracałem do domu. Żadnych niespodzianek ze spóźnionymi samolotami, zagubionymi bagażami i tym pędem za czasem, którego i tak nie można dogonić. Życie tutaj wyglądało na uporządkowane i toczące się własnym, utartym trybem. Dom miał wygląd kostki.

Wchodząc, tuż za drzwiami trzeba było wejść po schodach na górę. Były tam trzy pokoje (mieszkałem w living roomie), kuchnia i łazienka z olbrzymią wanną. Parter to pomieszczenia gospodarcze, z których nie korzystaliśmy. W głębi podwórza stał domek gospodarczy. Pamiętam stertę drewna, którego właściciele nie zdążyli wykorzystać przed wojną. Dom był własnością Chorwatów, a zarządzał nim mający z nimi koligacje rodzinne, nobliwie wyglądający pan.

Pierwsze tygodnie to jak zawsze zapoznanie z rejonem. Kierunek na Kneževo do granicy z Węgrami to porośnięte w większości pszenicą i kukurydzą pola. Tutaj też zjeżdżając z Knežewa w prawo, można było kupić Vilijamovkę, doskonałą rakiję z gruszką w środku. Jadąc na Luć czy też Petlovac i Novi Beždan, jechało się wśród pól często pozostawionych odłogiem. Im bliżej granicy węgierskiej i Drawy - pól, ale takich - zaminowanych, było więcej. Odnosiło się wrażenie, że cała granica na tych kierunkach została zamieniona w pola minowe. Pół biedy, jeśli można było dostrzec czerwone trójkątne tabliczki z napisem *Mine*. Zatrzymując się na siusiu wśród bezkresnych nieuprawianych połaci (pewnie byłych państwowych gospodarstw) bardzo się pilnowaliśmy, żeby w coś nie wdepnąć. Gdy podjeżdżałem do opuszczonego budynku byłej strażnicy granicznej, wśród wysuszonej trawy można było dostrzec miejsca, gdzie umieszczono miny. Teren był opisany i oznakowany jako zaminowany i nikt jeszcze tej spuścizny po niedawnych działaniach wojennych nawet nie próbował usuwać - było na to jeszcze za wcześnie. Pisząc o strażnicy granicznej nie sposób nie wspomnieć, że w Białym Monastyrze znajdował się, jeśli nie jedyny, to największy w byłej Jugosławii ośrodek szkolenia psów służbowych.

Kierunek na Kozarac, Kneževi Vinogradi i Batinę był *lajtowy*, jeśli słowo to w ogóle można tu użyć. Ponad Batiną (z drugiej strony rzeki znajdowała się już Serbia) góruje wzgórze z olbrzymim pomnikiem upamiętniającym zdobywających to miejsce żołnierzy Armii Czerwonej i wspierających ich Jugosłowian. Wzgórze opada stromo do Dunaju. Patrząc na płaski teren po drugiej stronie rzeki nie mogłem jakoś sobie wyobrazić żołnierzy przepływających się na prowizorycznych środkach przeprawowych, żeby zdobyć to umocnione przez Niemców miejsce - to jakby druga Przełęcz Dukielska. Bardzo lubiłem tu przyjeżdżać. Miejsce to skłaniało do zadumy. Myśląc o wcale nie tak odległych czasach i obserwując manewrujące w dole rzeki wycieczkowce, wyciszałem się.

Nie dojeżdżając do Batiny, w Zmajevacu, skręcając na wał przeciwpowodziowy (pewnie dawniej zamknięty, bo widać bramę) dojeżdżaliśmy do domku myśliwskiego generalissimusa Tito. Były i inne takie miejsca, ale dużo skromniejsze. Domek był przytulony do wału z jednej strony, a z drugiej posiadał wspaniały widok na zarośla. Zawsze, gdy tu byłem, widziałem sarny lub jelenie. Było ich tu zatrzęsienie. Zarządzający tym miejscem mężczyzna chętnie pokazywał wnętrze. Nie było najmniejszego śladu zniszczeń. Na piętrze w pokoju gościnnym była pachnąca pościel. Wszystko ułożone w najlepszym porządku, oczekując na gościa, który już nigdy tego miejsca nie odwiedzi. Na pewno po śmierci marszałka inni możni tego świata tu bywali, ale ten domek był wyjątkowy - czekał, a wraz z nim wierny sprawie mężczyzna, który zapewne go ocalił przed zniszczeniem.

Jadąc wałem, można obserwować, jak przyroda pokazuje swoje zmienne oblicza. Nic dziwnego, zagłębiam się w park przyrody Kopački Rit. Bliskość Dunaju i Drawy sprawia, że wilgotny klimat i bagna są ostoją ptaków. Kormorany i czaple mają tu pod dostatkiem pożywienia. Z dala od oczu osób postronnych za murem drzew znajdujemy właściwe miejsce wypoczynku Tity. Chodzę po jego domu. Patrzę na mały pokój oficera ochrony z mnóstwem kabli telefonicznych wystających z wyprutych ścian i małą centralkę telefoniczną. Gdy patrzę na zniszczoną glazurę i wyrwaną armaturę, mój szacunek dla mężczyzny z myśliwskiego domku wzrasta. Spotykamy człowieka, który prowadzi nas do oszklonego przejścia - stąd strzelał Tito - słyszymy. Patrzę przed siebie - w oddali pasące się sarny. Wychodzimy. Teren jest rozległy. Widzę domki, zapewne dla obsługi, stajnie i pomieszczenia gospodarcze. *Miał tu jeszcze lotnisko* - informuje nieznajomy. *Jest z drugiej strony bramy wjazdowej, ale sam nigdy tu nie wylądował* - może bał się latać, przemknęła mi szybka myśl. Spacerując ogarnia mnie uczucie pustki tego miejsca. Ten nieznajomy o niczym nie świadczy. Spadamy stąd - mówię i uważnie patrzę pod nogi - czy aby nie za późno na te ostrożności? Brendan - mój towarzysz - jest Irlandczykiem. Przypadliśmy sobie do gustu. Później często przyjeżdżaliśmy do położonej niedaleko restauracji. Z racji położenia powinna się specjalizować w rybach, ale wszystko tu było pyszne. Rachunki były słone, zważywszy na fakt, że w tej głuszy gości było jak na lekarstwo. Towarzyszyła nam Pia, Finka. Odnosiłem wrażenie, że razem mogliśmy konie kraść.



Taki sobie widok - zdjęcie autora

Ela

Jadę do Dardy na wódkę. Spotkanie „ustawialiśmy” od wielu dni, ale zawsze „coś tam, coś tam”. Tym razem postanowiliśmy, że „na pewno”. Wieczór spędzaliśmy, śpiewając piosenki z repertuaru biwakowego. Śpiewniki przejechały z nami tysiące kilometrów. Gdy przebrzmiały *Sokoły*, *Góralu*, *czy ci nie żal* i inne nie mniej ambitne utwory, zrobiliśmy przerwę. W radiu leciały nasze polskie wiadomości. W chwili ciszy usłyszeliśmy - *w Iraku w misji ONZ zginęła polska pielęgniarka...* - słyszeliście!!! Ela nie żyje. Dzwoniło w uszach, taka cisza zapanowała. Patrzyliśmy na siebie, jakby nie dowierzając w to, co usłyszeliśmy, ale wątpliwości nie było - TO usłyszeliśmy wszyscy. Poszła za Andrzejem! Jak długo ten dla nas przekłety „Kurwystan” będzie nas prześladował? Cały drżałem i nie spowodował tego alkohol.



Ela, zawsze życzliwa i uśmiechnięta – zdjęcie ze zbiorów autora

Nowe stanowisko

Hinduski dowódca stacji - uśmiechając się - zapytał, czy nie przejąłbym po nim dowodzenia. *Wiesz, wkrótce mój pobyt tutaj kończy się - co ty na to?* Takim propozycjom się nie odmawia. I tak oto po upływie dwóch tygodni miałem prawie 50 oficerów „pod sobą”, majątek warty około miliona dolców na stanie i sporo obowiązków, w tym reprezentacyjnych. O zakończeniu pracy o godzinie 16 mogłem zapomnieć. Ponieważ inne stanowiska też miały być rotowane, wkrótce Brendan został moim zastępcą, a Pia oficerem administracyjnym. Nasza trójka „ciągnęła” stację przez kolejne miesiące. Oprócz przedstawicieli krajów europejskich miałem honor dowodzić oficerami z Fidżi, Tunezji, Nepalu i Pakistanu. Z Fidżyjczykami połączyła mnie przyjaźń, która trwa do dziś. Oprócz świątecznej korespondencji przesyłamy sobie kartki z naszych podróży po świecie. Tak więc na bieżąco wiemy sporo o sobie. Pierwszy osobisty kontakt z Ratanem miałem, gdy odkryliśmy, że ma doświadczenie, pracując na Suva w drogówce. Zapytałem więc, czyby nie zajął się „działką” z tym związaną - *a czy mógłbym razem z Samuelem?* Samuel, drugi z Fidżyjczyków, był potężnie zbudowanym facetem - nie widziałem przeszkód. Tak więc od jutra obaj moi koledzy mieli monitorować pracę miejscowej policji drogowej, uczestniczyć w czynnościach na miejscach zdarzeń, prowadzić statystykę dotyczącą wymiany tablic rejestracyjnych na nowe - chorwackie, a także prowadzić sprawy związane z udziałem pojazdów ONZ w wypadkach i kolizjach. Moją ideą było powierzenie im całości spraw związanych z drogówką, gdyż często policjanci będący akurat na dyżurze nie mieli potrzebnego doświadczenia.

Kontyngent fidżyjski liczył chyba ze trzydziestu policjantów i zdecydowana większość była członkami policyjnej orkiestry oraz zespołu tanecznego w jednym. Wyglądało na to, że szef policji wpadł na pomysł, aby całą orkiestrę wystać na misję. Dowódca kontyngentu był oczywiście kapelmistrzem i kilkakrotnie pisał do mnie, żeby zwalniać „moich” Bula Bula na próby orkiestry. Dlaczego Bula Bula? Otóż po wypiciu porcji *kavy* - napoju sporządzonego ze sproszkowanego korzenia (zapewne krzewów kavowych) rozpuszczonego w wodzie, siedzący wokół miski z ciecżą klaszczą, wołając bula - bula. Naraziłem się kapelmistrzowi, bo przestałem zwalniać moich „bulików” - jak chcą, to mogą jechać w godzinach wolnych od służby, ale w takim wypadku to z kolei oni nie bardzo chcieli.

Pomiędzy Osijekiem i Vukovarem znajdowała się Klisa. Była tam baza logistyczna misji i oczywiście PX - spożywczy. Nie mogłem opędzić się od chętnych do wyjazdu na zakupy. Wiedząc już, że tylko tam można było kupić *taki ryż jak trzeba*, produkty i przyprawy niezbędne w egzotycznej dla mnie - kuchni, np. imbir - niedostępny w sklepach, nie robiłem chłopakom z wyjazdami kłopotów. Stawiałem jeden warunek - miały być łączone i wpisane do rozkazu dziennego. Jeżdżąc do Vukovaru na odprawy dowódców stacji, widziałem czasem moje samochody przekradające się bez pozwolenia, ale nie miałem serca robić z tego afer. Sprawa musiała jednak być poważna w skali misji, bo zaczęto wprowadzać *Carlog-i*. Nie trwało to dłużej niż miesiąc, gdy wszystkie pojazdy wyposażono w te elektroniczne urządzenia.

Rejestrowały parametry takie jak: prędkość, zużycie paliwa, trasy przejazdu i zdalnie je przesyłały. „Nielegalne” wyjazdy wkrótce zanikły.

Vukovar robił przygnębiające wrażenie. Nigdy nie poznałem całego miasta. W tych rejonach, w których byłem, nie było tylu ruin, co w zniszczonej Warszawie, ale budynki były niesamowicie postrzelane. Ślady pocisków widać było wszędzie. Największe wrażenie robiły na mnie platany rosnące wzdłuż drogi dojazdowej z Osijeka. Nieludzko postrzelane olbrzymie drzewa żyły, dając świadectwo toczącym się tu walkom. W niektórych wciąż sterczały pociski dużych kalibrów i odłamki. Te drzewa, przyjmując na siebie wrogi ogień, ocaliły na pewno wiele istnień.

Nasza współpraca z wojskiem była nieodłącznie związana z Kanadyjczykami, dla których Biały Monastyr i okolice były obszarem odpowiedzialności. Gościłem u nich wielokrotnie przy okazji koordynacji wspólnych działań związanych najczęściej z powrotem ludności chorwackiej do miejsc, które opuściła w wyniku działań wojennych. My jako policja eskortowaliśmy autobusy i zabezpieczaliśmy miejsca spotkań, a oni robili to samo niejako „z dystansu”. Na początku nie było mowy o powrotach na stałe. Zaczynano od prób jednodniowych odwiedzin miejsc rodzinnych. Przybyli - w wioskach przy stołach zastawionych przywiezionymi wiktuałami - dyskutowali o mających nastąpić powrotach. Obserwowali ich zza firanek nieliczni już Serbowie - większość z nich, gdy obszar Baranii - leżącej w widłach Dunaju i Drawy - społeczność międzynarodowa oddała Chorwacji, przeniosła się (czasem z trumnami bliskich) za Dunaj. Ci, co nie mieli dokąd się udać, oczekiwali z obawą na mających wkrótce powrócić dawno tu niewidzianych chorwackich sąsiadów. Normalne życie wracało bardzo powoli. Były tu już słabe, bo słabe, ale chorwackie siły policyjne, działały już urzędy pocztowe i administracja - przygotowywano grunt pod wielki powrót.

Ach te Polki

Na zakupy jeździliśmy często na Węgry - do granicy było kilkanaście kilometrów. Te mniejsze, robiliśmy na przejściu granicznym w Udvar lub Mohacs. Jestem wielbicielem paprykowych kiełbas (*kulen*) - tych zwykłych, za normalne pieniądze. Salami lubię, ale „kosztuję” od czasu do czasu - jest po prostu zbyt tłuste. Po większe zakupy jeździliśmy do METRO w Peću. Przy dużych zakupach warto było odzyskać na granicy zwrot podatku. Także i tym razem po napełnieniu bagażnika żarciem i chemią, co powinno wystarczyć do końca miesiąca, znaleźliśmy wolny stolik przed jednym z wielu lokali w wąskiej uliczce biegnącej do Starego Rynku w Peću. Zbyszek powoził, więc w trójkę z Brendanem i „Ja Ryży Koń” byliśmy na etapie odreagowywania szafu zakupów. Testując piwo, chyba wszyscy pomyśleliśmy o tym samym, widząc niesłychanie atrakcyjną Węgierkę siadającą przy stoliku obok. *Dzień mógłby pięknie się zakończyć* - westchnął Brendan, patrząc niby to w całkiem inną stronę. *Chyba są smaczne* - ni to pytając, ni to twierdząc rzekł „Rudy” na widok pucharka lodów, jaki wylądował przed blond pięknnością. *Zapytaj, może da ci liznąć*, rzuciłem po polsku. Pani zjadła lody i starannie przeglądała menu - *widać, że głodna*, wyraził swoje zdanie Zbychu. Przerwaliśmy wymianę uwag - widząc, że wzbudziliśmy zainteresowanie sąsiadki - wyraźnie się uśmiechała, chyba do nas. *Nie będę Panów dłużej męczyła* - piękną polszczyzną odezwała się nieznajoma. Jestem z Warszawy. Przyjechałam na spotkanie historyków. Jutro wracam do Polski. Wiem, że płonąłem buraczasto. Pozostali nie wyglądali lepiej, oprócz Brendana proszącego o tłumaczenie - po czym też był jak burak. Rozmawialiśmy na luzie przez 10 - 15 minut, jakbyśmy się długo znali. Żegnaliśmy się z przekonaniem, że świat jest coraz mniejszy.

Wizyta prezydenta Chorwacji

Już od paru dni przygotowywaliśmy się do wizyty prezydenta Chorwacji w Białym Monastyrze. Wizyta była na tyle ważna z propagandowego punktu widzenia, że doszło do niej mimo pewnych wątpliwości związanych z zapewnieniem pełnego bezpieczeństwa. Stałem w szpalerze zabezpieczającym przejazd i zanim ujrzałem głowę państwa chorwackiego, przyszło mi postać w słońcu około godziny. Z zaciekawieniem przyglądałem się, jak Pia dreptała w miejscu. Nie zauważyłem wcześniej, żeby przytyła - wyglądała okrągłutko - wyraźnie jej służyły wypady „na rybkę”, a i pewnie szyncl „*karadjordje*” popijany ciemnym winkiem zrobił swoje. Patrzyłem na koleżankę, zastanawiając się jednocześnie czy o czymś nie zapomnieliśmy, ale chyba nie. Wczorajsza koordynacja u mojego chorwackiego kolegi uspokajała. Zawodowo, szukałem funkcjonariuszy „w cywilu” zabezpieczających wizytę, ale nie widziałem znajomych twarzy - jeśli są, a w to nie wątpię, to przyjechali z zewnątrz. Tylko na narożnym budynku mieszkalnym, już na samym placu dojrzałem „klientów” omiatających otoczenie lornetkami. *Priedsjednik Franjo Tuđman* przejechał szybko, ale to nie jego zapamiętałem najbardziej. W pamięci pozostaje mi wzrok ochroniarza, który - gdyby mógł - to by zabił. Z tego wszystkiego nie zrobiłem nawet zdjęcia, bo najzwyczajniej obawiałem się sięgnąć po aparat. Zanotowałem kątem oka, że takich obaw nie miała moja koleżanka. Wizyta trwała krótko, może 20 minut. Słyszałem przemówienie, oklaski i było po wszystkim. Ludzie rozeszli się, a my podeszliśmy do samochodu. Pia otworzyła drzwi i za ich osłoną zaczęła ściągać z siebie ciuchy. Z wypiekami na twarzy pozbyła się swetra i koszuli, pod którą ujrzałem... kamizelkę kuloodporną - nie model „na ciało”, a najzwyczajszą pod słońcem. Cisnęła nią na tylne siedzenie i w jednej chwili stała się szczupłą osobką - kobieta nieodgadniona jest, to wiemy wszyscy, ale żeby aż tak?

Do kolejnej wizyty prezydenta doszło w Vukovarze. Na jej zabezpieczenie ściągnięto wszystkie ONZ - owskie siły policyjne. Mój rejon był daleko od miejsca, gdzie przemawiał, tak więc skupiłem się na pomocy mojemu amerykańskiemu koledze, który wyraźnie nie dawał sobie rady ze swoją tuszą w tym upale. Spotkałem się z „Długim”, „Marudą” i „Blondynem”. Nasza konwersacja rwała się, gdyż naprzeciw usiadły młodziutkie hostessy, które przyjechały tu pociągiem z prezydentem. Co młodość - to młodość. Wydedukowaliśmy z rozmowy dziewczyn, że były chyba z agencji modelek czy coś koło tego. Gdy po raz kolejny zapaliłem papierosa „Długiego”, ten najzwyczajniej w świecie zwrócił mi uwagę, że go opalam. No faktycznie. Nie musi się innym podobać moje przekonanie, że dopóki nie kupuję, to nie jestem jeszcze palaczem. A gdy dodał, że mam ksywę „Fajeczka”, to dobił mnie całkowicie. Moje rozmyślenia egzystencjalne o tym, co usłyszałem, zakłóciło pytanie - *pan Marek?* Przede mną stał żołnierz w polskim mundurze. Dojrzałem Glocka na udzie i mającą się typiarsko smycz. *Nazywam się X. To pan mnie i Y przenosił z Nadwiślańskich, gdy tworzyli*

GRÓM, pamięta pan? Pewnie, że pamiętałem - dowódca pułku był wkurzony, że mu młode wilki chcą uciekać. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Wypatrzył Pana Y, mamy stanowisko na tamtym wieżowcu. Podał mi lornetkę. Po chwili zobaczyłem Y, ale uwagę zwróciłem na karabin wyborowy. To on przez lunetę mnie, że tak powiem, czy przez lornetkę? - przez lunetę, jest dużo lepsza.



Brendan Sheehan (IRE) i Pia Holm (FIN) - zdjęcie ze zbiorów autora

Rozbrojenie

Kanadyjczycy realizowali program wykupu uzbrojenia od ludności. Na wszystko był cennik i pieniądze wypłacano „od ręki”. Na początku efekty były mizerne. Rozkręciło się trochę, gdy ludność zorientowała się, że nie ma co przynosić fantów w dzień, żeby sąsiedzi widzieli. Lepiej to robić nocą, a jeszcze lepiej przez pośredników. Wtedy to już prawie na pewno nikt nikogo nie zobaczy w bramie wojskowego *campu* lub podchodzącego z towarem do jeepa. Broń i granaty przynoszono więc do domów UN - owskich policjantów. Tylko raz miałem do czynienia z workiem pełnym granatów, ale nie podjąłem się pośrednictwa. Miałem w pamięci przygodę Amerykanina z Dardy, który „miał wyniki” na tym polu. Skończyło się na trwałym kalectwie i tak naprawdę nie ustalono, czy sam się bawił tym, co dostał, czy też towar był spreparowany „pod niego”.

Wynajem domu - wątpliwości

Słyszeliście, że mówią o was w radiu Osijek? - Jak to o nas? - zapytałem tłumaczki. No chorwacka rodzina skarży się na antenie, że nie mogą wrócić, bo Polacy pracujący w UNTAES mieszkają w ich domu - to o was, innych Polaków tu nie ma. Siedliśmy z „Rudym” i Zbyszkciem do stołu. Wiadomość była o tyle intrygująca, że zazwyczaj ludzie byli wdzięczni chociażby za to, że być może dom został ocalony tylko dlatego, że mieszkali w nim pracownicy misji, a tu... Dom stoi, całe wyposażenie w komplecie, w zimie ogrzewany, żadnej pleśni, a że trawa nie do końca skoszona? Może jest jakieś inne tło tego wystąpienia. Czy kiedykolwiek ktoś tu przychodził, pytał o coś? Takie i inne pytania zadawaliśmy sobie, ale odpowiedzi nie było - po prostu nic takiego nie nastąpiło. A może ten nobliwy pan nie dzieli się z nimi kasą? Może ta rodzina, jeśli to rzeczywiście rodzina, nic nie wie o wynajmującym? Innego znaczenia nabrał teraz przepis misyjny nakazujący podpisywanie umów wynajmu. Tylko jak sprawdzić, czy wynajmujący jest właścicielem lub ma stosowne pełnomocnictwa? Te i inne wątpliwości pozostały. Czekaliśmy na kolejny ruch „naszych gospodarzy”, ale do końca mojego pobytu w Białym nie skontaktowali się.

Serbskie wesele

Możliwość zakłócenia przebiegu serbskiego wesela sygnalizowali nam i Chorwaci, i Kanadyjczycy. Parędziesiąt metrów od nas słychać było głośną muzykę. Było już ciemno, a my byliśmy ciągle na stacji. Na weselu bawiono się w najlepsze. Pojedyncze strzały z tego kierunku zwabiły Kanadyjczyków. Trzema terenowymi cadillacami zaparkowali na naszym parkingu. Umowa była taka, że w razie czego pojedziemy z nimi. Tym razem to była już seria z pistoletu maszynowego - ruszyliśmy. Na salę weszliśmy kilkanaście sekund za żołnierzami, którzy z wielkim animuszem z bronią wycelowaną w weselników przez tłumacza zażądali wydania broni. Biesiadnik w podeszłym wieku tłumaczył podniesionym głosem, że nie mają broni, że to ktoś strzela na zewnątrz i że oni nie mają z tym nic wspólnego. Dwóch czy trzech krewkich mężczyzn zaczęło przesuwac się w kierunku żołnierzy, a ci bez komendy przeładowali broń. I stało się to, co mi się czasem przytrafia, tak najnormalniej na spontanie. Wyszedłem na środek i zacząłem przemawiać, a raczej wykrzykiwać w kierunku Serbów, że w czasie wojny straciłem dziadka, że nie ma w Polsce rodziny, która nie straciłaby w wojnie bliskiej osoby i że przez to rozumiem ich problemy - stanęli i zaczęli mi się przyglądać, starając się zapewne zrozumieć, co ten facet do nich mówi. Gdy skonsternowani biesiadnicy zastanawiali się, co począć, huknąłem na Kanadyjczyków, aby opuścili broń - mój rozkazujący ton chyba nie był odpowiedni, chociaż widziałem już ich zwątpienie, ale nie, nie opuścili. Za cel wybrałem ich dowódcę. Opuść lufy, opuść lufy, gdy odwracałem się ponownie do Serbów - ci protestowali. *Patrz, co robisz, z bronią do cywili, my broni nie mamy* - tumult narastał. Zaczynało być gorąco, gdy dostrzegłem opadającą broń. Najpierw jeden żołnierz, później następni. Przystąpiłem do ataku na Serbów - widzicie, opuścili broń, musimy się dogadać, jesteśmy w centrum Europy, nie musiałem już się wysilać... starszy gość wziął ze stołu szklankę, nalał do połowy i podał mi. Dobry kierunek - pomyślałem - przyjmując poczęstunek. Popatrzyłem na dowódcę patrolu. Wiedziałem, że mają rozkazy, przepisy, byli szkoleni - ale chłopak poczęstunek przyjął. Z Serbami wypilem „po calaku” - wodzu ledwie umoczył usta, ale czy to było najważniejsze? Sytuacja się uspokoiła. Dowódca patrolu spisał moje dane z ID - do raportu - jak zaznaczył. Podałem dłoń „tym krewkim”. *Good job, good job* - to Pia. Mówiła coś jeszcze, ale byłem tak nakręcony, że nie docierało do mnie.

Drugi Andrzej

Na stacji gruchnęła wiadomość o katastrofie śmigłowca pod Sarajewem. Ofiar miało być kilkanaście, w tym Polak. Nieprecyzyjne informacje zgadzały się co do jednego, tym Polakiem był Andrzej - nogi mi się ugięły. Jeszcze niedawno razem pracowaliśmy, spacerowały po Zagrzebiu, a teraz... jak to tak? Kolejne dni przynoszą więcej szczegółów - oni tam spłonęli - co? Jak to spłonęli? Minęło parę dni. Już wiemy, że ceremonia pogrzebowa odbędzie się w Sarajewie pojutrze. Piszę prośbę do szefa misji o zgodę na przejazd do Sarajewa. Odpowiedź przychodzi w ostatniej chwili - zgoda tak, ale pod warunkiem przejazdu w hełmach i kamizelkach oraz zapewnionej eskorty... w każdym z sektorów misji w Bośni i Hercegowinie. Kamizelki, hełmy, nie ma sprawy, ale eskorta? - nie ma już czasu na jakiegokolwiek uzgodnienia. Wyjście z sytuacji podpowiada „Blondyn” - a może by tak zadzwonić do naszego A.S., jest zastępcą dowódcy dystryktu, przecież nam pomoże... Zamiast dzwonić, wysyłam faks - odpowiedź ma być „podkładką” dla naszego dowództwa. Tego się nie spodziewaliśmy - nie mogą nam zapewnić eskorty, mają swoje zadania, jest niebezpiecznie, jakieś walki... Brendan pomaga, pisząc do dowództwa w moim imieniu, że wszystko dogadane, eskorta będzie i że Polacy jadą. W ostatniej chwili kupujemy mały wieniec - po co wieniec? - przecież tam na miejscu chłopaki kupią - te kwiaty padną w drodze - takie i inne rozterki miały nam towarzyszyć w drodze.

Wyjechaliśmy rano w przeddzień ceremonii. Nasza podróż mało co nie skończyła się już na początku. Zjazd z promu po przeptynięciu Sawy wymagał podjazdu pod stromą ścianę. Jak się okazało w cheeroke nie trzymał ręczny - ale Andrzej nad nami czuwał. Na sarajewskie lotnisko dotarliśmy pod wieczór. Zanim jeszcze odezwali się nasi koledzy, wpadliśmy na Amerykanina odpowiedzialnego za jutrzejszą ceremonię. *Dobrze się stało, że was widzę - potrenujemy trochę?* - zamiast trumny nosiliśmy metalową szafę i ćwiczyliśmy składanie polskiej flagi w „amerykańskiego rogała” - miało się to przydać jutro. Po nocy spędzonej w domu kolegi przed południem byliśmy na lotnisku. To był mój pierwszy kontakt ze zmarłym. Patrzyłem na trumnę i widziałem dwie (obaj Andrzeje) - Irak prześladował mnie nieustannie. Chłopaki zjeżdżali się do ostatniej chwili - pełniącym służbę w Sarajewie nie udało się załatwić kwiatów. Nasz wieniec położyłem na trumnę, którą z honorami wnieśliśmy na pokład samolotu. Poleciał z Andrzejem do Polski. W katastrofie pod Fojnicą zginęło 12 osób. Śmigłowiec w górzystym terenie „wychodząc” z gęstej mgły zahaczył brzuchem o zbocze. Świadek z pobliskiej wioski widział czterech mężczyzn w mundurach wyciągających z wraku piątego, gdy seria eksplozji uniemożliwiła dalszą ewakuację. We wraku znaleziono 11 spalonych ciał - pięciu Amerykanów, czterech Niemców, Brytyjczyka i Polaka. Czterech ukraińskich pilotów uratowało się. Jeden z rannych zmarł później w szpitalu.

Po paru latach będąc na kursie w Szwecji, dowiedziałem się, że zajęcia przygotowujące kandydatów do wyjazdów na misje, w ograniczonym zakresie prowadzi emeryt policyjny - oficer, który nie został wpuszczony na pokład śmigłowca, w którym zginęło 12 osób. Przeżył dlatego, że pierwszeństwo dano ochroniarzom niemieckiego dyplomaty. *Po tej traumie stan zdrowia nie pozwolił mu na pozostanie w służbie. Te zajęcia są dla niego terapią...* Wiele musimy się od

Szwedów uczyć, oj wiele - ale czy to o naukę chodzi, czy też o zwykłe ludzkie odruchy? A może to, że nadal pracuję w policji jest moją terapią, tylko ja głupi o tym nie wiem?

Bula Bula zaprosili mnie do siebie. *Wpadnij po południu - posiedzimy, popijemy whisky.* Oferta była kusząca. Pojawiłem się o umówionej porze i zastałem gości w łózkach. Tak w ogóle to chłopaki kochali spać. Nie pierwszy raz zauważyłem, że sen o każdej porze dnia i pewnie nocy jest ich sposobem na życie. Z zaciekawieniem przyglądałem się, jak Ratan przygotowywał kurczaka. Na olej wrzucił czosnek, imbir (*ginger*), *curry* - tnąc w tym czasie tasakiem mięso wraz z kośćmi na drobne porcje. Robił to z niesamowitą wprawą. Oczywiście dostrzegłem, że skórę wcześniej usunął. Egzotyczny zapach drażnił moje podniebienie i chyba nie tylko moje, bo Samuel polewał trunek dostatnio, niejako przy okazji stwierdzając, że muszą pić, bo u nich whisky jest trzy razy droższa, gdyż sprowadzają z Australii - a to ciekawe - pomyślałem. Gdy już głód został zaspokojony, Ratan przyniósł z łazienki małą plastikową miskę używaną chyba do prania, napełnił ją wodą z kranu, a Samuel wsypał z woreczka proszek, koloru bladoszarej pasteli. To *kava* - oznajmili panowie niemal jednocześnie. Siedliśmy w kucki na środku pokoju wokół miski. Ratan mieszał napój skorupą kokosa - widać było, że miał ją od dawna. Chyba trzeba było chwilę poczekać - może żeby się „przegryzło” - pomyślałem, bo whisky była nadal w użyciu. Na co to pomaga? Jak to działa? - pytałem zaciekawiony. *Giving good shit* - tylko? A może działa halucynogennie, może to narkotyk? - *no, giving good shit only.* I pewnie pomaga w spaniu, pomyślałem wcale niezłośliwie. Ratan skosztował, ale tylko ciut i podał mi skorupę z *kavą*. Napój miał smak w zasadzie obojętny z nutką goryczki. Panowie zaklaskali, gdy zbliżyłem skorupę do ust, a gdy wychyliłem jej zawartość, ryknęli gromko Bula Bula - wypiliśmy wspólnie parę kolejek napitku. Ratan i Samuel mieszały w misce na przemian. Gdy wychodziłem od miłych gospodarzy, układałem menu, oczywiście polskie, myśląc o spotkaniu u mnie - a może ich tak flaczkami z pieprzem potraktować?

Jadąc do Klisy czy też Vukovaru na obrzeżu Osijeku był fragment ciągu komunikacyjnego, który nie mógł być właściwie wykorzystany z powodu wysadzonego fragmentu estakady. Widząc pracującą tu dzisiaj koparkę, nie wiem dlaczego, ale pomyślałem o dwóch sprawach: czy siedzący w szklanej kabinie człowiek ma klimatyzację? - sprzęt był nowy - i o tym, że odbudowa dowodzi jednego - życie powoli wraca do normy. Po południu dowiedzieliśmy się, że w trakcie prac przy odbudowie wiaduktu w wyniku wybuchu zginął operator koparki. Rozmyślałem nie o gościu, którego życia nikt już nie wskrzesi, ale o inwencji tych, którzy zakładali pułapkę i jak to zrobili, skoro rozminowujący jej nie znaleźli. Sposobów było wiele, ale wymagało to sporego wysiłku, że też im się chciało...



Sarajewo, chwilę przed odlotem samolotu specjalnego do Polski. Na zdjęciu autor w towarzystwie podinsp. Wiktora Wąsowskiego – Szefa Sztabu Misji – zdjęcie ze zbiorów autora

Powrót

Minęły już dwa lata jak za dobre pieniądze „tułam się” poza domem. Ostatnie dwa przedłużenia pobytu (UNTAES się kończył, pozostawała OBWE) wpłynęły raczej niekorzystnie na mój kontakt z koleżanką małżonką. Na wiadomość o możliwości kolejnego przedłużenia o 3 miesiące zareagowała tak gwałtownie, że zacząłem myśleć o powrocie. Moje wątpliwości dotyczyły jednego. Byłbym pierwszym dowódcą kontyngentu wracającym do kraju bez swoich ludzi, a tyle razem przeszliśmy, Andrzej, Ela... może jednak spróbować jeszcze raz? Do października były dwa miesiące, ale tu na misji chciano od nas naszych decyzji już teraz, bo procedury, cała ta papierologia... rozmawiałem z chłopakami. „Blondyn” i „Długi” doradzali pozostanie. Chyba po rozmowie z „Ja Ryży Koń” podjąłem decyzję. Wracam, kurde, wracam, niech się dzieje, co chce. Ulżyło mi. Jeszcze tylko HQ „zapytało”, czy aby nie przez pomyłkę nie ma mojego nazwiska na liście i klamka zapadła. Ile można, ile można, dopytywałem sam siebie. Teraz aby bezpiecznie, aby udało się jeszcze raz. Końcówka zawsze jest taka sama. Dużo chce się jednocześnie. Chce się zapamiętać jak najwięcej.

Na pożegnalne party przyszła cała stacja. Lokalu użyczyła tłumaczka. Było gęsto, bo mieszkanie, które wynajmowała nie było duże. Dym papierosowy mieszał się z oparami trunków. *Marek, I will miss you, we will miss you* - było najczęściej powtarzanym zwrotem. Było mi miło. Niektóre prezenty mam do dzisiaj. Pia podarowała mi pojemniczek z rogu renifera z tajemniczym proszkiem na „te męskie sprawy”. Nie miałem jeszcze potrzeby sprawdzenia skuteczności działania tego medykamentu i niech tak dalej będzie, chociaż pewnie już zwietrzył. Rano mam jechać do Vukovaru przekazać bagaż. Odbiorę go na Cargo na Okęciu. Razem ze mną jadą Bula Bula. Rotują się tego samego dnia. Bus wiozący nas do Zagrzebia zatrzymuje się na autostradowym parkingu. *Marek, last cola with us?* Ratan nie czekając na odpowiedź zniknął za grupą wysiadających z autobusu turystów. Faktycznie, jest gorąco. Cola z lodem powinna przynieść ulgę. Czekamy już 10 minut, a nasz kolega nie wraca. Kierowca wierci się, nerwowo patrząc na zegarek. Jest. Dźwiga trzy potężne kubasy. Czuję znajomy zapach. Whisky było więcej niż coli - porządne chłopaki. W Zagrzebiu rozstajemy się. Nie wstydzimy się mokrych oczu.

Międzynarodowe Siły Policyjne ONZ w Bośni i Hercegowinie (2001 - 2002)

Następny wyjazd

W domu wyraźnie nam nie szło. Kolejny miesiąc odzywania się do siebie służbowymi półstówkami zaczynał mnie wkurzać. A może tak na misję? Myśl, początkowo kiełkująca, przerodziła się w wolę wyzwolenia z sytuacji, w której nie potrafiłem się odnaleźć. Powiecie - ucieczka, to najłatwiejsze, co facet mógł zrobić. Nie, to nie była ucieczka, potrzebowałem tlenu, dusiłem się, to była wola życia, a sytuacja, którą opisuję, to kolejna z cyklicznie następujących po sobie. Ciepło, rodzinie i po domowemu - to coś, co wiem, że istnieje - gdzieś istnieje.

Moje podchody w sprawie wyjazdu zakończyły się sukcesem. Gdy bezpośredni przełożony na moje pytanie o wyjazd warknął - *chyba cię pojebało* (okazało się, że sam załatwił już sobie pracę za granicą), to jego zwierzchnik podszedł do sprawy po ludzku. Koleżankę małżonkę poinformowałem o moim wyjeździe, tłumacząc zgodnie z prawdą, że to nie po kasę i przygodę, ale „opuszczam dom” - chyba ucieszyła się. W hotelu Hollywood zakwaterowano całą grupę. Najgorsze było tachanie worów i bagaży na górę. Wszystko wydawało się jakieś takie malutkie - i te korytarzyki i zakręty. Było to chyba budowane na chybcika. Do sarajewskiego lotniska był przysłowiowy rzut beretem. Nie traciłem więc czasu i obserwowałem podchodzące do lądowania maszyny - lubię odgłos wyjących silników lotniczych. Wysokie obroty, prędkość redukowana klapami i zniżanie. Teraz pilot musi pokazać swój kunszt. Przypominałem sobie moje lądowanie tutaj UN - em sprzed paru lat. Cywilnych lotów chyba jeszcze wtedy nie było, a na lotnisku stał potężny Rustan. Terminal nosił ślady ostrzału, wokół worki, umocnienia i drut kolczasty. Namioty, kontenery, generatory, wszędzie jakieś kable. Przyglądając się teraz lotnisku, dostrzegłem coś, co długo było tu deficytowe - normalność.

Rano szkolenie wprowadzające. Niebieskie gmaszysko ONZ swoim „uporządkowanym” wyglądem wyraźnie odcinało się od stojącego obok wielopiętrowego bloku mieszkalnego, w którym postrzelane ściany i zamurowane dziury po pociskach wyglądały przygnębiająco. Szkolenie trwało do końca tygodnia i jak tysiące moich poprzedników siedziałem w jednej z dwóch klimatyzowanych sal wykładowych na poziomie sutereny, wystuchując, co mnie czeka.

Gdy jeden z pierwszych „trenerów” porównał to, co dotychczas tu zrobiono do domu budowanego nie od fundamentów, lecz od komina w dół, zrozumiałem, że do normalności, tej prawdziwej, droga jest daleka i... że jeszcze wiele pokoleń peacekeeperów będzie miało co robić.

Badania lekarskie, a raczej kontrolne czy - jak kto woli - sprawdzające to, za co był odpowiedzialny kraj wysyłający, sprowadziły się do kontroli parametru ciśnienia. I tu pierwsza niespodzianka.

Bodeczek miał problem. Te 150 mmHg nijak nie chciało mu się obniżyć. Tłumaczenie, że to rodzinne i wszyscy u nich z dziada pradziada takie mają, nie uspokoiło pani pielęgniarki. To jak ty przeszedłeś te badania w Warszawie? - *a normalnie „tośle” jeden - tam się nie stresowałem i było OK.* Pod koniec tygodnia zaczęły się pierwsze przymiarki do stacji. Wiadomo, każdy chciał bliżej Polski - urlopy i związane z tym podróże samochodami powodowały, że każdy kilometr mniej, był ważny. Wieczorem, czytając wspólnie książkę Bodek zapytał - *a co gdybyśmy spier..., gdzie diabeł mówi dobranoc i nikt by mnie tam nie znalazł?*

Tu słowo wyjaśnienia. Mój przyjaciel został dopuszczony do misji niejako warunkowo. Po trzech miesiącach miał mieć to cholerne ciśnienie ponownie sprawdzone. *Wiesz, zaszyjemy się w jakiejś dziurze, gdzie nie ma prądu, wody i niech sobie szukają.* Bodek coś tam jeszcze monologował, ale nie zastanawiałem się ani chwili, a moje „wchodzę w temat” zostało przyjęte życzliwie. Drugiego dnia nasi koledzy podejrzliwie patrzyli na nas, gdy zgłosiliśmy się do służby w miejscowości Čapljina - stacji, o którą nikt nie zabiegał - a my tak tu oto na ochotnika - musiał w tym być jakiś podstęp. To przecież aż za Mostarem, ni to pytając, ni twierdząc, sondowali nas. *Bo mi się tak podoba i już, a inne stacje mam po prostu w życiu.* Odpowiedź Bodka przecięła dalsze spekulacje i tak już zostało.

Zameldowaliśmy się w kwaterze dowództwa sektora Mostar. Dojeżdżając z zaciekawieniem oglądałem miasto, które pamiętałem z czasu walk i poprzedniej misji. Na wzgórzu królował olbrzymi krzyż, a wieża kościoła, na który patrzyłem, przewyższała wysokością „raketę” minaretu. Dowódcą był Niemiec. Wspólnie z drugim rodakiem i Argentyńczykiem, oficerem administracyjnym byliśmy przepytywani „na okoliczność”. Bardzo szybko sytuacja się wyklarowała - *potrzebuję dowódcy stacji, czy podejmiesz się tego zadania?* Dowodzenie to nie problem - pomyślałem, ale chciałbym wcześniej złapać orient, lecz nie dane mi było... *Trwa tam akurat rotacja, odchodzi zastępca admin., a Hindus dowódca za dwa miesiące, mógłbyś sobie wszystko ułożyć po swojemu. Masz moje i nas wszystkich poparcie i pomoc - bierz w ciemno,* przez zaciśnięte zęby szepnął Bodek. I stało się.

Čapljina

Do Čapliny - to od czapli, które tu kiedyś licznie występowały - było 40 minut jazdy drogą, która była główną arterią wiodącą nad Adriatyk. Na stacji przywitał nas Kuval, jej dowódca. Dostaliśmy dzień na znalezienie chałupy, ale jak zwykle, szczególnie pomocni okazali się tłumacze. Oczywiście pierwszeństwo miały domy ich rodzin i znajomych. Zdecydowaliśmy się już na drugą ofertę. Położenie domu nie było ciekawe, ale ujął nas standard. Mieliśmy do dyspozycji piętro z całym zapleczem. Z tarasu był widok na wiadukt i w tle potężne wzgórze, słowem widokowa kaszana z tą zaletą, że wszędzie blisko. Jako przyszły dowódca wdrażałem się w obowiązki, przeglądając kwity. Jednocześnie zapoznawałem się z terenem. Čapljina miała „pod sobą” Medjugorje i *sub - stations* w Stolac i Neum. Medjugorje - wiadomo, miejsce święte, zatłoczone pątnikami, turystami, pełne spalin i samochodów. Stolac zaś to miasto z historią w tle z królującą nad nim starą twierdzą, pamiętającym czasy rzymskie cmentarzem i systemem zaopatrującym mieszkańców w wodę, w którym do perfekcji wykorzystano warunki terenowe i spadek rzeki. Służbę pełniło tu trzech Francuzów i dwóch Egipcjan. W Neum, trzech Skandynawów, podobno moich przyszłych podwładnych, urządziło swoje biuro w hotelu nad brzegiem morza pełnym turystów. Wizytując ich, zastałem panów w bermudach, a rozpoznałem tylko dzięki pomocy miejscowej policji. Rejon, w którym przyszło nam pełnić służbę, był kotłem etnicznym, w którym mieszał się chorwacki katolicyzm z bośniackim islamem i serbskim prawosławiem. To, że muzułmanie przypomnieli sobie po setkach lat, że w Stolacu był kiedyś meczet (*džamija*), a potrzeba jego odbudowania stała się nagle priorytetowa, nie mogło z oczywistych względów podobać się zamieszkującym miasto Chorwatom. Również obsada stanowisk w administracji publicznej wiązała się z konotacjami etnicznymi. Moje spotkania z szefami policji wspomnianych miejscowości, początkowo jako zapoznawcze, później były ściśle związane z „dniem powszednim”, np. organizacją zabezpieczenia budowy meczetu, redukcją etatów policyjnych czy też akcją zbiórki broni i amunicji, którą przejmowało wojsko.

Z każdym tygodniem pewniej stąpałem po ziemi i zaczynało do mnie docierać, w jakie to gówno wdepnąłem. Przyroda i Adriatyk to jedno, a sytuacja na stacji to zawrót głowy na wszystkich możliwych poziomach. „Do roboty” byłem ja z Bodkiem, Rumun i Ukrainiec. Pozostałe nacje miały się świetnie. Nocne szychty opanowali Kenijczycy i Egipcjanie. Było ich łącznie dziewięciu. Gdy o siódmej przyjeżdżaliśmy do pracy, oni rolowali koce i bardzo „zmęczeni” wracali odpocząć do swoich domów. Jak coś w nocy się działo, to dzwoniли o pomoc, sami nie robiąc nic. Kłopotem dla wszystkich i siebie nawzajem byli tłumacze. Studia i mnóstwo bonusów z tego powodu, małe dzieci i związana z tym potrzeba karmienia, dojazdy z dalszych miejscowości oraz zapewne różnice etniczne powodowały, że wyglądali na skonfliktowanych. Dla mnie zagwozdką było to, że nie mieli czasu na pracę. Ciągłe odbierali wolne, godziny itp. Ułożenie im grafiku pracy granoczyło z cudem. Wszyscy chcieli pracować od rana, a o sobocie i niedzieli nie chcieli słyszeć. Towarzystwo było tak rozpasane, że patrząc jak się panoszą za wysokie wynagrodzenie, nie mogłem uwierzyć w to, co widzę.

Mój niepokój budziły pojazdy. Mieliśmy ich chyba z dziesięć, z tego na stacji cztery. Po jednym miały Stolac i Neum, a gdzie reszta? Nie mogłem o nie dopytać się nawet w HQ. Ktoś

tam podpowiadał, że nasze samochody mogą być na stacji Ljubuški, ale tam nie chcieli się przyznać, jak mi powiedział Kuval. Jako ich „właściciel”, co miesiąc miałem raportować do HQ ich stan liczników. Było to potrzebne do przeglądów technicznych, ale ja ich nie widziałem na oczy, to niby jak mogłem rzetelnie podać te dane? Podobnie było ze sprzętem komputerowym. Znacznym obciążeniem w sensie papierologii była mobilna stacja benzynowa będąca na stanie stacji. O każdej porze dnia i nocy tankowały u nas służbowe pojazdy zmierzające nad Adriatyk, a ważne było, co mi nieustannie przypominano, żeby paliwa nie zabrakło. Moje rozterki narastały. Miałem jednego fachowca mniej, gdy Radu, który - jak się okazało - od dawna asystował zespołowi poszukującemu zaginionego księdza i kobiety, teraz gdy ten wznowił prace, musiał w nich uczestniczyć. Sprawa była prestiżowa. Bodek, który robił bokami jako administracyjny, z utęsknieniem oczekiwał na mające nadejść posiłki - Malezyjczycy byli naszą nadzieją.

Przekazanie dowództwa Stacji

Kuval zaprosił nas do siebie na pożegnalną kolację, na której oznajmił, że do końca ma jeszcze tydzień, ale w związku z procedurą *check out* chętnie zacznie mi przekazywać obowiązki. Dowódca był bardzo uprzejmy. Spożywając kęsy kulek ryżowych z mięsem, obserwowaliśmy pożar buszu na wzgórzu. Zadymienie było już tak duże, że z trudem widać było przejeżdżające drogą pojazdy. Serdeczność gospodarza przejawiająca się wkładaniem mi porcji do ust była mi znana z Iraku, ale nie mogłem się jakoś przekonać do odwzajemniania tych uprzejmości. Hindus delikatnie zaczął mi doradzać, jak personalnie „ustawić” stację. Sprawy związane z *national balance* itd. były mi znane, ale nijak nie widziałem na kluczowych stanowiskach ludzi, których zdążyłem poznać. Wiedziałem już, że wskazywani kandydaci preferują to, co robią dotychczas, czyli absolutne minimum. Rano zaprosiłem do siebie Danylo. Nasza luźna rozmowa była kubłem zimnej wody na moje gorące problemy. Chłop był tutaj od dawna, do końca mu zostało parę miesięcy i bez ogródek oświadczył, że wkrótce ucieka na inną stację i nowe stanowisko go nie interesuje. Siedząc w trójkę z Bodkiem rozważaliśmy możliwe rozwiązania, ale - jakby nie robił - mocnej struktury dowódczej nie udawało się wymyślić. Sytuację poprawiło przybycie długo oczekiwanych kolegów z Malezji. Syed był wyższym oficerem i z marszu zaczął pomagać Bodkowi w sprawach administracyjnych. Siedzieli przy kompach układając, planując, zapisując, raportując - chciałoby się powiedzieć, że z głów im się dymiło, ale to nie to. Obaj jako zagorzali palacze ćmili bez opamiętania - aromat malezyjskich papierosów był wspaniały. Gdzieś tak po tygodniu jak stałem się faktycznym dowódcą stacji, a po Kuvalu pozostały tylko papiery, na uzupełnienie dostaliśmy Amerykanina. Bob po paru dniach zniknął razem z samochodem. Wcześniej nie było ani sygnału, ani jakiegokolwiek informacji o zmianie jego miejsca pełnienia służby. Dobiło mnie to, że straciłem kolejny samochód. W HQ powiedziano mi, że został przeniesiony. Amerykanin z HQ nie lubił, gdy dopytywałem się o jego rodaka. Był wyraźnie rozdrażniony i chyba żeby mi dopiec - „podał” mi dyskietkę z miesięcznym sprawozdaniem za samochody - kilometry i zużycie paliwa. To było jego sprawozdanie za sektor. Nie dostałem wycinka, mojej działki - dostałem całość. Dyskietkę miałem zwrócić za parę dni. Wymyślił sobie zapewne, że każda stacja wpisze mu swoje dane i zbiorczy raport ma gotowy - genialne.

Zaprzyjaźniłem się z szefami policji w Medjugorje i Neum. To wspaniali faceci. Rozmawiając z nimi czułem, że mamy wspólny język i wiedziałem, że „oni wiedzą”, iż przekazywane przeze mnie zalecenia wynikają z ustaleń politycznych, a ja jestem tylko drobnym trybikiem niemającym na nie większego wpływu. Pamiętam jeden z moich pierwszych wyjazdów do Medjugorje (Międzygórze, jak kto woli). Miałem poinformować szefa miejscowej policji o konieczności redukcji etatów policyjnych, podając jako przykład „pauka”. Pauk (pająk) to nic innego jak samochód przystosowany do ściągania z drogi pojazdów źle zaparkowanych czy też uszkodzonych w wyniku kolizji drogowych. Czterech policjantów na etacie jako załoga tego specjalnego (ale nie policyjnego) samochodu to było przegięcie. Patrząc na to z punktu widzenia szefa policji, który dawał pracę ludziom, zapewne zasłużonym, może byłym wojskowym, chciał mieć etatów policyjnych jak najwięcej, ja go rozumiałem, ale byłem po drugiej stronie barykady.

Z Medjugorje mam wiele wspomnień, także tych z pogranicza śmiechu i satyry. Gdy Amerykanka, oficer do spraw praw człowieka, skądinąd bardzo porządna babka, miała stłuczkę na parkingu przed kościołem, zostałem o tym natychmiast poinformowany. Dziewczyna w oficjalnym raporcie ze zdarzenia stwierdziła, iż *zapewne powodem stłuczki było to, że właśnie wyszła z kościoła i jeszcze rozmawiała z Bogiem*. Innym razem Francuz zapytał mnie, czybym nie pojechał zrobić kejsa, bo to na pewno dotyczy Polaka, bo was jest tam tylu... - i tu zawiesił głos. Cóż się dzieje? *Nagi Polak biega po ulicy - coś ma chyba z głową...* Z niemałą satysfakcją oddzwoniłem do niego, proponując, żeby to on przejął sprawę - tym biegającym nago pątnikiem okazał się... Francuz.

Wokół Čapliny jest wiele wspaniałych miejsc do odpoczynku i wartych zwiedzania. Dojeżdżając do miasta, po lewej stronie widać na wzgórzu osiedle małych domków z czasów tureckich. Wieżyczki, na których kiedyś pełnili służbę obserwatorzy, wciąż patrzą w niebo (a może nadal strzegą tego miejsca?) - pomimo upływu czasu nie widać tu wielkich zniszczeń. Jeden z tych maleńkich domków, został przygotowany dla pani Margaret Thatcher, która będąc w Bośni z wizytą państwową, spędziła tu noc. Musiało to być przeżycie - nie Hilton, nie jakieś szkło i marmury, ale spotkanie z historią. To musiało zrobić wrażenie. Takie ciekawe miejsca - o czym się przekonałem - znane są polskim turystom. Jedni się tylko modlą, inni zaś - będąc tu zapewne nie po raz pierwszy - korzystają z darów przyrody pełnymi garściami. Przeptywająca przez Čaplinę Neretva jest dużą rzeką, ale mnie ujęła malownicza, dużo mniejsza Trebižat z wodospadami Kravica. Leżąc kiedyś na kawałku piasku w potężnym zagłębieniu, otoczony wodospadami porośniętymi roślinnością, rozmyślałem czy, a jeżeli już, to kiedy wejść do tej lodowatej wody. Szukałem pretekstu, bo zimnej wody nie lubię, a lodowatej w szczególności. Moje rozmyślenia zakłóciła para wcale, ale to wcale niekryjąca się z niedwuznacznymi zamiarami. Była to przewodniczka i kierowca autobusu z Polski. Zachowywali się bardzo swobodnie, a mnie chodził „gul”. Wysłuchałem plotek autobusowych, historię księdza, który z wycieczek zrobił sobie niezły biznes, a w oczach miałem Węgry i panią historyk z Warszawy. Teraz role się odmieniły. To ja byłem nierozpoznany i przez to lekceważony. Mogli wybrać inne miejsce, byliśmy tu przecież sami, ale nie, bez krępacji gruchali, traktując mnie jak powietrze. Ten obcy im nie przeszkadzał, bo przecież tak daleko od stron ojczystych. Odchodząc nie odezwałem się, pozostawiając flirtujących w błogiej nieświadomości. Tak chyba było lepiej. Ta kraina pięknej surowej i nieskażonej przyrody kryła zbrodnie popełnione na ludzkości w skali niewyobrażalnej. Niedaleko stąd mieściło się w 1993 r. chorwackie więzienie wojskowe Gabela, gdzie w niehumanitarnych warunkach przetrzymywano ludzi. Wielu tego nie przeżyło. A tu... rzeka płynie, wodospady szumią - jak jodły na gór szczycie.

Parę razy pojechałem specjalnie do Medjugorje, aby przyjrzeć się miejscom, w których byłem lata wcześniej. Hotel, w którym mieszkałem w czasie walk w Mostarze, wyglądał przytulnie. Nie wszedłem, bo z właścicielami nic mnie nie łączyło. Tylko widok żmij pełzających na drugą stronę jezdni przywracał wspomnienia.

Niepokojący objaw

Do Neretvy chodziliśmy, a raczej jeździliśmy co najmniej dwa razy w tygodniu. Lokal znajdował się nad brzegiem rzeki o tej samej nazwie, prawie w centrum Čapliny. Lokalizacja ze względu na dojazd nie była szczęśliwa. Manewrując w ciasnej zabudowie, podjeżdżało się na miejsce. Nad wejściem w kilku grubych dechach połączonych w całość wycięto jego nazwę. Wystrój wnętrza nawiązywał do tradycji regionu, było cicho i przytulnie - nigdy nie było tłoczno. Potrawy, jakie serwowano, były doskonałe pod każdym względem. Wybór mięs, przystawek i przekąsek przyprawiał o zawrót głowy. Ciasta, doskonałe *palačinke* i lody mogły spełnić oczekiwania znawców tematu. Wychodzących, właścicielka częstowała kieliszeczkim zmrożonej rakii - wiadomo, doskonałej. Piszę o tym miejscu z dwóch powodów. Po raz pierwszy jadłem tu udka żabie, najpierw dla próby, „żeby zaliczyć”, później już jako smakosz - towar pochodził z neretwiańskich łąk. A drugi powód - dotknęło mnie w tym miejscu chyba sygnałnie „coś” trudnego wtedy do zdefiniowania, nad czym przeszedłem do porządku dziennego. To coś - jak się wkrótce okazało - znacznie odmieniło moje życie.

A było to tak. Jedząc lunch, Egipcjanin w żartach zapytał mnie, czy wiem, jak nazywa się stolica Egiptu - ja... ja nie mogłem sobie przypomnieć, a raczej wypowiedzieć tego, co miałem na końcu języka. Moje wysiłki pogarszały tylko sytuację. Myślałem, że głowa mi pęknie. Dostałem od kogoś zdjęcie z tego dnia, na którym widać wychodzące towarzystwo, a ja trzymam się oburącz za głowę - bardzo mnie bolała. Wychodząc, potknąłem się kilka razy i to wszystko.

Neum to miasto w Bośni i Hercegowinie leżące na kilku kilometrach wybrzeża Adriatyku pomiędzy chorwackimi miejscowościami. Ten mały punkcik na mapie „zakłóca” ciągłość wybrzeża chorwackiego. Przez Neum wiedzie droga do Dubrownika, który „...set” lat temu oddał ten pasek skały Turkom, żeby się bronić przed Republiką Wenecką. To, co było może dobre dawniej, teraz zapewne spędza sen z oczu Chorwatom. Jadąc służbowo do Neum, wybierałem drogę przez przejście graniczne w mieście Metkovici, zamiast przez Stolac. Pierwsze złe doświadczenia związane z czekaniem w kolejkach zaowocowały znalezieniem innej, mniej znanej turystom drogi (a może nie jest to przejście międzynarodowe?). Jadąc trasą E - 73 z Sarajewa, trzeba wjechać do Čapliny przez jeden z mostów i kierować się prawym brzegiem Neretvy, na Gabelę. Tam skręcić w prawo (nie prosto przez mostek), wdrapać się na pagórek miasta, przejechać wąską uliczką przez malutkie centrum i to już prawie koniec Bośni i Hercegowiny. Za chwilę machnięcie ręką funkcjonariuszy służb granicznych i jesteśmy w Chorwacji. Tak nawiasem mówiąc zaraz po lewej stronie można kupić dobre wino „od producenta”. Jazda do Neum to widoki mieniące się w słońcu Adriatyku i możliwość zjechania do mało widocznych z drogi kamienistych zatoczek. W tej, którą odwiedzałem, był wykuty w skale hangar dla łodzi podwodnej. W Neum najważniejsza jest droga przelotowa do Dubrownika. Wiodą z niej zjazdy do największych hoteli - Neum i Suncce. W tym pierwszym mieliśmy *contingent meeting*, który zapamiętałem szczególnie. To tu otrzymałem od syna wiadomość, że mój Rekin, wspaniały pies, zginął bohaterską śmiercią w pogoni za kotem osiedlowym...

Z hotelu nad morze idzie się wykutym w skale długim tunelem. Patrząc na potężne stalowe drzwi - zasuwę przychodzi mi na myśl jedno - przygotowano to na czas „W”. Nad samym morzem jest budynek policji, w którym spędziłem sporo chwil. Mišo, czy mnie jeszcze pamiętasz, drogi przyjacielu?



Neum - spotkanie po latach (2013 r.). Od lewej: Mišo Bjelopera, Szef Stacji Policyjnej w Neum - zdjęcie Katarzyny Górnickiej

Urlop

Na urlop pojechaliśmy z Bodkiem moim samochodem, który przywiózł mi niejako przy okazji kolega wracający z Polski. Przygotowywaliśmy się od paru dni. Patrzyłem na smażący się w słońcu pojazd i mu autentycznie współczułem. Wczoraj, próbując usiąść na plastikowym krzesetku, wylądowałem na betonie, bo od gorąca rozjechały się nogi, a co mają „powiedzieć” wystawione na skwar opony? Takie i inne przemyślenia dotyczące wysiłku, jaki czeka moją „Polówkę” w trasie, przerwał mi nasz gospodarz, informując, że założy nam na górze telefon. Po kiego diabła nam telefon? - to tylko kłopoty. Czyżby te parę razy, gdy zadzwoniła do mnie Zośka i zszedłem na dół, spowodowały, że zakłóciłem im spokój? On jest po prostu zazdrosny o swoją babę, skwitował nowinę Bodek i chyba miał rację. Wyjechaliśmy po południu mając przed sobą 1600 km. W Sarajewie wpadliśmy w korek, z którego wydostaliśmy się po zmroku. Zaczęło lać. Deszcz, ciemno, coraz trudniej, a my do przodu. Chorwacja, jakieś wichurki, to samo Węgry. Już nigdy, już nigdy na skróty - tylko autostrady. Który to już raz mieliśmy takie postanowienie? W Bielsku - Białej Jasia zrobiła mi mocną kawę i w drogę. Trasa „katowicka” bez zmian - jak zwykle w przebudowie.

Do domu dotarłem po 23 godzinach jazdy non stop. Człowiek był młody i głupi, a może bardzo chciał do domu? Dwa tygodnie przeleciały nie wiadomo kiedy i bardzo, ale to bardzo nie chciało mi się wracać. Byłem zły na siebie, że nie znalazłem czasu na oddanie „Polówki” do serwisu - coś się działo ze sprzęgiem, często mi zgrzytało przy zmianie biegów.

Nostalgia

Na misję wracałem jakoś tak... niechętnie. Czasem dopada mnie nostalgia. Epizody dnia codziennego, które normalnie nie miałyby większego znaczenia, w pewnych sytuacjach inicjują wspomnienia z przeszłości, od których czasem długo nie mogę się uwolnić - znacie ten stan?

Wiersz Thomasa Hardy'ego mam od lat w pamięci... chociaż muszę przyznać, że czasem zamieniają mi się dale na żale oraz czasowi na czarowi. Zawsze wprowadza mnie w nastrój melancholii i jest powodem niekończących się przemyśleń. W moim przypadku teoria o leczniczej właściwości czasu jakoś nie ma zastosowania. Czytałem i recytowałem go setki razy, próbując zrozumieć, co autor miał na myśli. Moje badania doprowadziły mnie na molo w Lyme Regis. Cóż za wspaniałą kobietą musiała być kochanica Francuza? Czy takie jeszcze się zdarzają? Jak Ona musiała kochać? Siedziałem na tarasie i z kapitanem Morganem nurzałem się w przeszłości - tak zastał mnie Bodeczek. Wystuchawszy... prawie duszkiem „przeczytał” szklaneczkę i głosem nieprzewidującym sprzeciwu rzucił - *na kolację idziemy do miasta, „tośle” jeden*.

Wstałem bardzo wcześnie. Bodek prawie natychmiast przysiadł się do mnie. Niemal jednocześnie wypowiedzieliśmy „nie mogę spać”. Patrząc na budzące się do życia miasto zaciągaliśmy się dymem. *Co nic nie mówisz?* - zapytał. Wiesz, zastanawiam się, czy to działa na molo wciąż tam jest - *jeszcze ci mało kuźwa, jeszcze ci mało?*

Ucieczka z Čapljiny

Na stacji zaczął się pojawiać ot tak sobie przejazdem kolega dowódcy sektora Mostar. Uśmiechnięty rozmawiał z nami na luzie - *węszy*, ocenił Bodek, co zgadzało się z moimi odczuciami. Żeby chociaż pomogli, wyjaśnili sprawę z samochodami, a tu co? cicha kontrola? Informacja, jaką przestano faksem, była jednoznaczna - mam się przygotować do przyjęcia „staff”. Żeby mi pomóc, przesyłają kopie dokumentów. Oryginały przywiezie komisja w terminie, o którym zostanę powiadomiony wkrótce. Przeglądając szczegółowe zestawienia, nigdy bym się nawet nie domyślił, ile tu tego jest, a raczej powinno być. *Dlaczego nie zrobili przekazania, gdy odchodził Kuval? Przecież to wy między sobą powinniście dokonać przekazania i wtedy mogli przysłać komisję do pomocy.* Pytanie Bodka podziało na mnie elektryzująco. Wieczorem, siedząc na tarasie, przeprowadziliśmy burzę mózgów. *Trza spier...* - co? gdzie? *Nie wiem, ale trza spier...* Przez noc nie zmrzyłem oka. Rano zadzwoniłem do dowódcy kontyngentu - *zorientuję się, co można zrobić.* Na Tomku można było polegać. Dni biegły, a ja zagłębiałem się w kwity. Liczyłem, ustalałem. Cała inna robota poszła w kąt - przygotowywałem się do przejęcia majątku stacji. Jakże inaczej wyglądało to w Białym Monastyrze - było na spokojnie, bez nerwozy. Po prostu wszystko się zgadzało i było wiadomo, gdzie co jest. Administracyjny z sektora informował - komisja inwentaryzacyjna przyjeżdża jutro. Stojącego ze smętną miną przed stacją zastał mnie Danylo. *Czym się martwisz?* - znasz sytuację - popatrz, podałem faks. Przeczytał - *nic się nie przejmuj, popatrz, napisali „staff”, a to różnica. Powinni napisać „stuff”.* Ta subtelność umknęła mojej uwadze. Od początku wiedziałem, że chodzi o przejęcie sprzętu i tej jednej litery nigdy bym się nie czepiał, nawet gdybym to ja odkrył ten błąd - nie było powodu. Wszyscy tutaj nie byliśmy *native speakerami* i błędy były na porządku dziennym, ale w moim przypadku każda zwłoka dawała szansę na finalizację przeniesienia. Gdybym podpisał kwity na majątek warty parę milionów dolców, nie mógłbym ot tak sobie wyjechać. Komisja pojawiła się skoro świt w liczbie „znacznej” - sami „lokalcy” na kontraktach. Gdy poinformowałem przewodniczącego, że nie mogę przejąć sprzętu, bo w piśmie jest mowa o przejęciu ludzi, „a to stało się już dawno”, był zdziwiony tylko przez chwilę. *Nie ma sprawy, przyjedziemy za parę dni, gdy dowódca sektora wróci z urlopu* - a kiedy wyjechał? - *zaczął od dzisiaj.* Patrzyłem na Danylo z wdzięcznością. Rozmawiając z koleżanką z Komendy Głównej Policji, którą informowałem o sytuacji, dowiedziałem się, że sprawy idą pomyślnie. I tak było. Rozkaz przenoszący nas do Gradiški w trybie natychmiastowym, „wszedł” następnego dnia rano. Stację z marszu przejął Radu i jak mi się wydawało - z zadowoleniem. Wiedzieliśmy, że Rumuni mają w kraju bonusy po powrocie z misji. Awanse czy też mianowania na wyższe stanowiska w dużej mierze zależały od stanowisk zajmowanych na misji - a dowódca stacji to było już coś.

Pożegnałem się w Medjugorje i Neum. Problem mieliśmy z rozliczeniem się z telefonu. Nie korzystaliśmy z niego nigdy, ale nasz zawsze czujny gospodarz nie wierzył. Musiał pójść do „telefonii” i sprawdzić. Po latach myśląc o epizodzie mojego życia w Čaplinie, mam w oczach widok żegnającego się ze mną Syeda, który powiedział - *Marek, it is not fair, it is not fair.* Jego twarz przypominam sobie na zawołanie i jest mi potwornie głupio.

Gradiška

Mieliśmy się zgłosić po rozkazy do dowództwa sektora Banja Luka. Przejeżdżając przez Mostar, czułem ulgę, opuszczając to miejsce. „Polówka” gnała ku nowej przygodzie. Banja Luka przywitała nas w słońcu. Z Robertem, zastępcą dowódcy sektora, zdążyliśmy zamienić tylko parę słów w progu Kwatery Głównej - musiał pędzić na odprawę. Budynek był dawnym hotelem. Otaczały go potężne namioty, w których ulokowała się logistyka. Dochodził stamtąd zapach paliwa i smarów. Ruch był jak w ulu. Pojazdy, pojazdy, pojazdy - jedno tankowano, inne naprawiano. Oficer personalny zaproponował nam pozostanie w Banja Luce, ale jak uzgodniliśmy w drodze - żadnych wygłupów tym razem. Spokój, spokój i jeszcze raz spokój. Podtrzymaliśmy więc chęć dalszej służby w Gradišce leżącej na granicy z Chorwacją, o kolejną godzinę jazdy bliżej Polski. Przed Gradišką byliśmy umówieni z Waldkiem. Był jedynym Polakiem na stacji. Zjedliśmy w knajpce obiad, słuchając nowin. Zanosiło się, że będzie dobrze. Stacja mieściła się w jednopiętrowym domu jednorodzinnym. Budynek wynajęto z umeblowaniem i wyposażeniem. Patrząc na skóry foteli i kanap czuło się, że właściciele są nieźle sytuowani. Jeszcze tego samego dnia zamieszkaliśmy w domu, który - jak pamiętałem z czasów mojej pracy w Zagrzebiu - wynajmowali nasi koledzy. Wszystko było maleńkie. Dwa pokoiki, kuchnia, a raczej kuchenka i równie miniaturowa łazienka. Było to zagospodarowane poddasze. Właścicielka twierdziła, że kocha Polaków i mówiła do nas pieszczotliwie - *moji momci*. Nie zamierzaliśmy tutaj pozostać dłużej. Jej sentyment do nas nie przekładał się jakoś na opłaty. Pani kazała sobie słono płacić za wynajem - spędziliśmy tu chyba ze dwa miesiące.

Ekspert, jak sama nazwa wskazuje, to człowiek wykonujący pracę, do której jest wszechstronnie przygotowany, czyli ma stosowne wykształcenie i doświadczenie. Jeżeli policjant ma wykonywać funkcje „monitora”, oznacza to - najogólniej rzecz biorąc - patrzeć na ręce miejscowej policji, towarzysząc w wykonywanych przez nią czynnościach. To, co przyszło mi wykonywać, było kompilacją obu funkcji. Stacja liczyła ponad czterdziestu oficerów i kilkunastu tłumaczy. Dowódcą był Amerykanin - Timothy, czyli Tim, a zastępcą Rumun, który jak zauważyliśmy, miał problem z własnym ego, gdyż na drzwiach do pokoju swoje imię i nazwisko oraz funkcję miał napisane po francusku - czyli *zna francuski*, „*łosiel*” jeden - skwitował Bodeczek.

Niełatwe powroty

Strony konfliktu prowadziły politykę etnicznych czystek, co oznaczało wysiedlenia, ucieczki i morderstwa ludności innych nacji. Teraz do Gradiški wracali bośniaccy Muzułmanie, tylko do czego? Ich domy przecież były zajęte przez Serbów. ONZ monitorowała przebieg eksmisji. Na wiele tygodni stało się to moim zajęciem. Widok rozpaczy ludzi, niemających wiele, którzy musieli teraz zwrócić domy prawnym właścicielom, początkowo również mnie przyprawiał o to uczucie. Z upływem dni było mi już tylko smutno. Jak mi tłumaczyli, uciekli ze swoich domów, bo nie mieli wyjścia - zostali do tego zmuszeni, a teraz co? *Kako mogu se vratiti kući kada Bošnjak/Srbin u njoj živi?* Na te i inne pytania nie znałem odpowiedzi. Wkraczaliśmy „do akcji” po tym, jak organizacyjnie sprawa została ogarnięta przez UNHCR. Pracownicy Urzędu Wysokiego Komisarza do spraw Uchodźców zajmowali się ochroną uchodźców i pomocą w repatriacji. Dzień wcześniej z miejscową policją uzgadniane były szczegóły eksmisji i na miejscu pojawialiśmy się razem. Najczęściej ludzie byli przygotowani do opuszczenia domów, ale były też przypadki konieczności użycia siły - wtedy wkraczała policja. Przykładem drastycznego przebiegu takiej interwencji było oblanie się eksmitowanego benzyną i objęcie dwóch niespodziewających się tego policjantów. Całą trójkę podpaliła żona. Skończyło się to jego śmiercią i ciężkimi oparzeniami interweniujących - to nie stało się podczas mojej eksmisji, na szczęście.

Powroty bośniackich Muzułmanów łączyły się z odbudową zniszczonych przez Serbów meczetów. Przebiegało to niesłychanie szybko - fundusze płynęły szerokim strumieniem z krajów arabskich. Będąc na miejscu powracających, starałbym się nie narzucać, nie kłuć w oczy sąsiadów, pokazując wszem wobec, że „byliśmy, jesteśmy, będziemy” - chciałoby się powiedzieć - *delikatniej kuźwa, delikatniej*. Ale nie, dopiero co odbudowany meczet rozbłysnął nocą dużą liczbą świateł. Nie tylko tych podświetlających budowlę, ale umieszczonych w samej, mam nadzieję, że muzulmanie się nie obrażą - „rakiecie” (minaret). Skutkowało to łatwymi do przewidzenia protestami. Nasze wyjazdy na zabezpieczenia ceremonii otwarcia obiektów sakralnych były niepotrzebnym pokazem siły. W tych, w których uczestniczyłem, nigdy nie doszło do prób ich zakłócenia.

Dochodzenia

System dochodzeń prowadzonych na stacji działał na podstawie programu komputerowego. Oficerowie kierunkowi w sektorze mieli do nich wgląd. Przeglądając kiedyś dochodzenia, zauważyłem kilka prowadzonych przez Polaków. Z ciekawości zapoznałem się z nimi i zauważyłem, że oficerowie zakończyli służbę i nikt ich po nich nie przejął. Niektóre „wisały” jako *pending* od dwóch lat tylko dlatego, że przypuszczalny sprawca uciekł do Serbii, z którą nie mieliśmy wymiany informacji kryminalnych. To, czego my nie mogliśmy zrobić, mogło się udać „sektorowi”. Niejako na próbę kliknąłem w rubrykę *transfer for further action* i poszedłem na lunch. Po powrocie miałem zwrotną informację *accepted*. Hurra, o jedną sprawę mniej. Do końca tygodnia zmniejszyliśmy nasze konto o kilkadziesiąt dochodzeń. Moją - tę rozpoczętą i zakończoną tego samego dnia - opiszę tak. Stałem przed stacją, gdy obok zatrzymał się starszy pan na motorowerze. Wyraźnie na kogoś czekał. Po chwili pojawił się inny, w podobnym wieku, chwilę rozmawiali, uścisnęli sobie dłonie i się rozstali. Zapamiętałem, że nie miał problemu z odpaleniem swojej wyglądającej wiekowo „maszyny” - po prostu „z pierwszego kopnięcia”. Pół godziny później, akurat ja przyjąłem telefon z policji o samobójstwie - tu adres itp. Na miejscu, przed furtką czekali policjant i policjantka. Oboje byli bardzo młodzi. Od razu dostrzegłem znajomy motorower. W środku na łóżku leżał jego właściciel. Mnóstwo krwi, pistolet CZ. Wspomniałem, że widziałem denata nie tak dawno z innym gościem... w tym momencie zaskrzypiała furtka i oto ten, o którym mówiłem, stał przed nami. Opowiedział, że byli kolegami i chwilę wcześniej Mirko mu powiedział, że jedzie do domu zadzwonić do syna do Szwecji. Będąc już w domu, odebrał od niego telefon, że próba kontaktu nie udała się, że nie widzi już sensu życia, że choroba, cukrzyca i pora odejść. *To dlatego tu jestem* - nie zdążył. Młoda dziewczyna przez motorolę zapytała, czy z tego numeru dzwonił... po paru minutach uzyskała potwierdzenie. Wróciłem na stację, napisałem kilkanaście zdań z propozycją *close the file* - za chwilę otrzymałem zwrotnie - *accepted*.

Przenieśliśmy się do nowego domu. Opłaty prawie o połowę mniejsze i mieliśmy do dyspozycji segment. Na dole *living room* i kuchnia, za którą było wyjście na przytulny taras. Mieszkaliśmy w pokojach na górze. Było intymnie i swojsko, odetchnęliśmy. Po raz pierwszy słuchałem tu żabich chórów w bajorku corocznie powstającym na miejscu boiska piłki nożnej, gdy podnosił się poziom Sawy.

Nasi niemieccy koledzy zapraszając nas do *German Embassy* wprowadzili zwyczaj przywożenia z urlopu piwa - ot tak, żeby mieć opinię. Ponieważ Niemców było na stacji kilku, gatunków piwa z rejonów, z których pochodzili, kosztowaliśmy do woli. Oczywiście, rewizyta w *Polish Embassy* nastąpiła wkrótce. Z przykrością odnotowuję, że przejeżdżając przez Żywiec w sklepie firmowym nigdy nie było czegoś, czym można by błysnąć, a tak chcieliśmy. Zwyczaj spędzania razem wolnego czasu w ramach *social beer* bardzo nam się podobał. Mieliśmy jedno stałe miejsce przy skwerku i jak się wkrótce okazało międzynarodowa ekipa smakoszy piwa „z kija” stworzyła pakę, którą śmiało można by nazwać *koneser team*.

Nowe stanowisko

Służbę kończył zastępca dowódcy stacji. Na wakujące stanowisko aplikację złożyła jego koleżanka z rumuńskiego kontyngentu - na stacji zawrzało. Nikt jej tu nie chciał, bo tym, co ją znali, dała się poznać z nie najlepszej strony, a poza tym człowiek z sektora? To my już nie mamy swojego kandydata? Takie i inne wątpliwości targały „ambitnymi”. Żeby aplikować, zaczęli, początkowo delikatnie, molestować mnie bracia Madziarzy. Byli zorientowani we wszystkich możliwych konfiguracjach personalnych. Przycisnęli mocniej, przynosząc nowinę, że kwit napisał już Reinhold. Bardzo go lubiłem. To był w porządku gość. Żeby nie przynudzać - nasze dwie aplikacje spotkały się w HQ. Konkurs wygrałem ja bez krzywdy dla mojego niemieckiego kolegi. Został szefem na lotnisku w Banja Luce. Miał swój *office* w kontenerze, trzech czy czterech ludzi i odpowiedzialną robotę. Wynik postępowania nie bardzo spodobał się innemu Niemcowi, który zresztą od początku odstawał od piwnej paczki. Już wcześniej wyraźnie mnie się czepiał. Był rudy, raczej okrągły na twarzy i oczywiście zarost też miał rudy. Będąc „po piwie” wspominał czasy swojej służby w ambasadzie niemieckiej w Moskwie. Czy z racji moich słowiańskich korzeni coś miał „naprzeciw”? - tego nie dowiedziałem się nigdy. Jestem przekonany, że o moim wyborze zdecydował *national balance*, chociaż „Rudy” coś tam chyba kiedyś wspomniał o lobbingu Roberta za moją kandydaturą.

Tim wydawał się luzakiem, ale myślę, że widok wiecznie uśmiechniętej facjaty skrywał nieustanną czujność. Szefem stacji został po swoim amerykańskim koledze, który podobno zachorował. Tajemnicą poliszynela była biznesowa żyłka jego poprzednika, który zakupił tu kilkanaście rasowych koni i wyekspediował je do USA. Jadąc kiedyś po mieście, zatrzymaliśmy się przy domu, z którego wyszedł - jak wywnioskowałem z rozmowy - były dowódca stacji. Zamienili kilka słów. Było to chyba z dwa miesiące po przybyciu do Gradiški. To ten chory wciąż tu jest? - przemknęło mi przez głowę. Robotę ciągnęliśmy razem. Rostery służb wkrótce były moją specjalnością, ale poza tym chodziliśmy na spotkania z szefami policji, jeździliśmy na odprawy do Banja Luki i przyjmowaliśmy interesantów żądających naszej interwencji. Dość często uczestniczyliśmy w „wydarzeniach integracyjnych”, na które nas zapraszali nasi lokalni partnerzy. Jeden z serbskich oficerów miał pod miastem domek, przy którym było miejsce do gry w bule. Byłem tam kilka razy, ale zasad gry nie poznałem. Daleko mi było do wprawy, jaką mieli grający i z tego powodu nie chciałem psuć chłopakom dobrej zabawy.

Timothy starał się, jak mógł, nie ingerować w pracę skonfliktowanych stacyjnych tłumaczy. Skąd się to do cholery bierze, często zastanawiałem się, patrząc na rozwalonego na sofie Nebojšę, który - oglądając TV - ostentacyjnie odmawiał Timowi zrobienia tłumaczenia. Widziałem to kilka razy i narastał we mnie gniew. Zapytałem Tima, o co chodzi, ale tylko machnął ręką. Minę miał przy tym jak zbity pies. Wymóg *national balance* miał swoje zastosowanie do tłumaczy - tłumaczyłem to sobie, a oni się po prostu nienawidzą. Parę razy wybuchały wśród nich afery.

A to z wynoszeniem środków czystości - sprzątacze zrobiono sprawdzenie w domu, a to z magazynem broni na działce Nebojšy - wojsko zrobiło mu nalot. Donosili na siebie nawzajem, próbując wykopać z pracy jeden drugiego. W tej sytuacji stacyjne party organizowane mniej więcej raz w miesiącu miały raczej chłodny, grzecznościowy przebieg i o integracji nie było mowy.

Analizując kiedyś moją bałkańską przygodę, „twórczo” odkryłem, że cała działka związana z pracą „lokalców” dla organizacji międzynarodowych w dużej części związana była z miejscowymi służbami, które umieszczały wśród nas swoich ludzi. Ponieważ mieliśmy do czynienia z Chorwatami, bośniackimi Chorwatami, Bośniakami, Serbami, Serbami z Republiki Serbskiej, każda ze stron chciała mieć nas „na uchu”. Przemiany organizacyjne wymuszone na części służb przez ONZ, a następnie UE, spowodowały ich wymieszanie etniczne i jeszcze większą potrzebę sprawdzania każdy każdego. Przyjeżdżając na Bałkany, kolejny raz spotykałem i spotykam wśród tłumaczy tych samych ludzi. Organizacje zaangażowane w stabilizację tego regionu zmieniają się, realizowane są nowe programy, projekty, zmieniają się ich prowadzący, natomiast miejscowi tłumacze i „tłumacze” mają się dobrze.



Od lewej autor i podinsp. Rober Żółkiewski, zastępca dowódcy sektora Banja Luka w Gradišće - zdjęcie ze zbiorów insp. Roberta Żółkiewskiego

Przyjazd koleżanki małżonki

Niespodziewany telefon - chcę do ciebie przyjechać. Tąpnęło mną dokumentnie. *Bo wiesz, zrozumiałam, że nie byłam dla ciebie dobra.* Wyraźnie się plątała w zeznaniach. Była zakłopotana i nawet myślałam, że dla kurażu coś tyknęła - to przyjeźdź. I już wiedziałem, że jestem załatwiony. Bodek zareagował spontanicznie - *no to będziemy mieli kobietę.* Napisałem stosowne kwity, dostałem zgodę na przejazd przez Chorwację i odebrałem koleżankę małżonkę z lotniska w Zagrzebiu. *Dzień dobry, dzień dobry.* Nasze przywitanie było służbowe. Przez prawie trzy godziny jazdy nie odzywaliśmy się do siebie, jedynie cherokee mruczał diselkiem. Bogdan przygotował - zaraz, zaraz, jak on to mówił? - aha, już wiem - *wystawną kolację* (jedzenie w jego wykonaniu zawsze określał jako wystawne). Faktycznie, przypominam sobie, że podobnie jak ja lubił kucharyć i często mnie wyprzedzał swoimi inicjatywami. Siedzieliśmy na tarasie, sącząc kolejne już wino. Rozmawiali Bogdan i Zośka. Ja - jakoś nie miałem o czym. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Powoli opadały mi powieki. Idę spać, poinformowałem towarzystwo, bo i faktycznie, jak na mnie pora była najwyższa. Przewracałem się, nie mogąc zasnąć. Z dołu dobiegały odgłosy rozmowy. Gdy się ocknąłem, leżała przy mnie. Patrzyłem na nagie ciało z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach. Gdy zobaczyła moje otwarte oczy, powiedziała - *rób, co chcesz.*

Po paru dniach odwiozłem żonę na lotnisko - LOT miał jeszcze wtedy bezpośrednie połączenie z Zagrzebiem. Żegnaliśmy się jakoś dziwnie. Chyba nie była przekonana, co do słuszności tego, co robiła. Z drugiej strony wiedziałem, że z jej charakterkiem, był to wyczyn tonącego chwytającego się brzytwy - wietrzyłem podstęp. Pas startowy lotniska widać z autostrady. Gdy wracałem, samolot wciąż tam stał.

Wokół Gradiški

Jeżdżąc na patrole i monitorując stację milicji w Gornji Podgradci zauważyłem wspaniały pomnik, inny niż wszystko, co do tej pory oglądałem, a co miało związek z wojną, walkami i martyrologią przez wielkie „M”. Pomnik zbudowano z broni, jakiej używano w walkach toczonych z hitlerowskim najeźdźcą na Górze Kozara. Są tu niemieckie karabiny maszynowe, pistolety, pistolety maszynowe, granaty, bazooki, karabiny i karabinki, broń ze zrzutów i maski przeciwgazowe. Zespawane patrzą w niebo, kłując je zardzewiałymi lufami i ostrzami bagnetów. Cały ten, teraz już złom, jest świadectwem tragedii, jakie się tu rozegrały w 1942 roku. Trzytysięczne zgrupowanie partyzanckie wspierane przez cywilów zostało okrążone przez „przeważające”... i tu mam kaca. Bo przeważające to ile? Dwukrotnie, trzykrotnie... bliżej prawdy jest trzydziestokrotnie je przeważające siły niemieckie i ich miejscowych sprzymierzeńców, oczywiście dobrze uzbrojonych i sytych.

Dojeżdżając do masywu górskiego, mijam kolejne wioski z pomnikami - trzysta osób, czterysta - jednego dnia. To najeźdźcy, podchodząc pod Kozarę, palili i mordowali cywilów, stosując taktykę spalonej ziemi. Tych wiosek jest wokół kilkadziesiąt. Na miejsce pomnika położonego na szczycie góry - to nie jest jakaś wysoka góra, to masyw wyrastający z równiny, pocięty wąwozami, jarami i porośnięty lasem (coraz mniej dębów) można dojechać „lajtowo”, asfaltem od strony Banja Luki. Ja, korzystając ze stacyjnych terenówek, jeździłem drogą leśną i drogą górską używaną przez specjalistyczne pojazdy do zrywki drzew w ramach rabunkowej gospodarki leśnej. Pomnikiem jest strzelista wysoka konstrukcja, obok której mieści się mauzoleum z tablicami, na których wyryto nazwiska chyba sześćdziesięciu tysięcy zamordowanych i muzeum, przed którym stoi niemiecki transporter i armata. Znajdujemy się w centrum czegoś, co jest krzykiem rozpacz i świadectwem niemieckiego zezwierzęcenia. Niedaleko przecież jest Stara Gradiška ze słynnym więzieniem i Jasenovac - „bałkański Oświęcim”. Kto nie zginął wokół Kozary, właśnie tam został wysłany na śmierć. Przyjeżdżałem tu kilkanaście razy. Zawsze zadziwiał mnie panujący tu spokój. To były chwile zadumy nad kruchością naszego żywota. Jestem przekonany, że umiejscowienie tu hotelu, zresztą o nazwie Monument to pomyłka.

Od paru dni chciałem jechać do Banja Luki. Mój nissan patrol coś miał ze skrzynią biegów i wizyta w serwisie była koniecznością. Nie chciałem tam jechać tylko w tym celu. Okazja nadarzyła się wkrótce. Mieliśmy spotkanie dowódców stacji. Tematem była współpraca z wojskiem. Zapowiadała się dłuższa nasiadówka. Przyjechaliśmy z Timem wcześniej. On poszedł coś załatwiać, a ja zostawiłem samochód znanemu z widzenia mechanikowi. Spotkanie zakończyło się grubo przed czasem, była więc chwila na polskie plotki z Robertem. Przymierzał się do aplikowania na dowódcę sektora. Po chwili dołączyli do nas Miro i Zibi - nasi weterani misyjni - chłopaki, z którymi konie można kraść i Mariusz - HR officer - pamiętacie go w roli MTO (później oficer dochodzeniowy) z Pakraca? Stało już nas tu pięciu, co przechodzący

komentowali, uśmiechając się - *Polish mafia*. Tak w ogóle - to określenie z odpowiednim przymiotnikiem stosowane było powszechnie wobec przedstawicieli wszystkich narodowości będących przez chwilę w przewadze liczebnej. Zdążyliśmy umówić się na popołudnie u Miro, przyjechała jego żona i córki. Mechanik odnalazł mnie mówiąc, że wszystko OK - to czemu zgrzyta? - *za mene, sve je u redu*. Wraciałem niepokieszony. Zaczęła mi świtać myśl podmiany samochodu na inny - od czego jest się zastępcą dowódcy stacji?

Przyjazd dzieci

Przyjechali do nas dzieci. Grzesiek z Michałem dojechali do Bielska - Białej. Tam już czekali na nich Majka z chłopakiem. Mazdeczką Bodka dotarli do Gradiški. Podróż przeciągnęła im się niemiłosiernie, bo samochód nie chciał „ciągnąć” więcej jak 80 - 90 km na godzinę. Zezłościło to mojego kolegę dokumentnie. Samochód był prawie nowy, a tu taka kaszana. Nie kracz, nie jest źle. Jechali przez to bezpiecznie, próbowałem łagodzić. Przez tydzień pobytu wiara chodziła po knajpkach i licznych kafejkach, a my z Bogdanem organizowaliśmy wycieczki. Na Kozarę pojechaliśmy już drugiego dnia, później zwiedzanie Banja Luki, zupa rybna w restauracji na stawach hodowlanych i wyjazd do Sarajewa. Nie mogliśmy wszyscy zabrać się do „Polówki”, Bodek pożyczył więc od Tima jego sprzęt. Była to stara sierra, kupiona za parę groszy. Już w pierwszym tunelu pod Maglajem zauważyłem, że ma problemy ze światłami. Jechał albo bez albo na długich. Oczywiście kierowcy ciężarówek trąbili. Tak w ogóle to w tunelach robili to z upodobaniem, szczególnie gdy widzieli samochód z obcą rejestracją. Tym razem uznali chyba, że są zwolnieni z wszelkich ograniczeń - mieli powód. Ryczące klaksony trucków robiły przerażające wrażenie. Długi, ciemny tunel wzmacniał sygnały. Ciarki przechodziły po plecach. Po pierwszym tunelu kolejny - nie ma gdzie się zatrzymać, a oni trąbią. Zatrzymaliśmy się przy pierwszej nadarzającej się okazji - co się stało? - *Kuźwa, nic się nie stało, po prostu nie wiem, gdzie się włącza światła w fordzie.*

Stare Miasto - zwiedzanie, zdjęcia i przekąski. W tym miejscu wspañiale smakuje *pita* i *burek*. *Pita* jest ciepłym okrągłym plackiem - pieczywem wypełnionym *čevapčičma* i posypanym cebulą. To wszystko je się z majonezem i popija jogurtem. *Burek* zaś jest tłustym, wielowarstwowym, cienko rozwałkowanym ciastem (podobne do francuskiego) - może być z serem lub mielonym mięsem. Wiercie mi, że obie potrawy smakują wyśmienicie na sarajewskim rynku. Nawet ja, któremu zapach *čevapčiči* nie do końca odpowiada (jagnięcina), opychałem się ze smakiem. Wracaliśmy inną drogą - żeby uniknąć tuneli - przez Travnik. Już kilkadziesiąt kilometrów przed Banja Luką droga wiedzie wzdłuż rzeki. Przed celem podróży wije się wykutą w skale półką. Prowadząc samochód, nie sposób nie docenić piękna przyrody i obaw przed runięciem w dół.

Jak to mówią, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Dzieci eskortowaliśmy do Nowej Gradiški leżącej po chorwackiej stronie. Przed wjazdem na autostradę żegnałem chłopaków, patrząc jak wydorosleli. Jak ten czas zaszuwa - *zapierdala, zapierdala, drogi kolego* - Bodek walił prosto z mostu. Mazdę zdiagnozowano dopiero po paru miesiącach. Szwankował moduł elektroniczny wielkości paczki papierosów Marlboro. Była akcja serwisowa, ale ponieważ była kupiona na Słowacji, nikt w Polsce nie zaprosił Bodeczka do serwisu.



Na tarasie „naszego” domu w Gradišće – Grześ, Michał,
Bodek i Jurek – zdjęcie autora

Kłopoty ze zdrowiem

Na czole zaczął mi rosnąć róg, no nie dosłownie - tłuszczak. Był już tak duży, że postanowiłem pozbyć się tej wątpliwej ozdoby. EUROMEDIC to klinika w Banja Luce. Przy okazji jakiegoś spotkania pojechałem tam i umówiłem się na zabieg. Operujący profesor miał przyjechać z Belgradu. Już raz usuwałem tę przypadłość w Polsce, dokładnie w tym samym miejscu, o czym nie omieszkalem poinformować „operatora”. Chyba skrobał dokładnie, bo znieczulenie zaczęło przechodzić, a jeszcze zszywał. Wychodząc usłyszałem, że trauma może być spora. Następnego dnia na swój widok w lustrze przestraszyłem się. Patrzył na mnie koleś, który dzień wcześniej zaliczył prosty sierpowy. „Oko” mieniło się barwami fioletu przechodzącego w czerń. Poszedłem do pracy, wzbudzając niemałą sensację. Aby poprawić sobie humor, zdjęcie mojej skromnej facjaty przesałem „emilem” do Warszawy z komentarzem, że wiadomo, wojna to wojna. Trzymało mnie tak przez tydzień.

Podczas urlopu spędzanego w domu poszedłem w Legionowie do Polikliniki - mój „zmechowski” kręgosłup dawał o sobie znać. Potykam się, boli mnie - ćwiczyc, ćwiczyc i jeszcze raz ćwiczyc. Dostałem kolorową książeczkę z figurami. Jak to jednak bywa, wróciłem do Gradiški, zapominając ją zabrać. Przypomniała mi o niej Zośka w pierwszej rozmowie telefonicznej. Obiecałem, że będę pływał. Z mocnym postanowieniem zacząłem się rozglądać za basenem. W drodze powrotnej na misję prowadził Bodek - na sprawdzenie skrzyni biegów znowu nie znalazłem czasu.

Konflikt z tłumaczem

Tim był na urlopie. Dowodziłem ja. Rozmawiając po południu z oficerem dyżurnym, patrzyłem na Khana. Wyraźnie strapiiony stał w przejściu rzucając ukradkowe, nieśmiałe spojrzenia. Co jest Khan, jakiś problem? Nie, problemu nie ma, tylko potrzebuję tłumaczenia. Mówiąc to pokazał jakieś pismo. No to, dlaczego nie dasz tego Nebojšy? - jest dzisiaj tłumaczem dyżurnym. Prosiłem, ale ogląda TV. Poczułem, jakby mi ktoś wbił w tyłek szpilę. I faktycznie, tłumacza zastałem przed telewizorem. *Could you be so kind to translate this for Khan - no, I am watching TV right now. It will be done by...* I tu rzucił nazwiskiem innego tłumacza. Ten zresztą pojawił się nie wiadomo skąd i wyraził szczerą ochotę zrobienia tego za kolegę. *No, I am asking you to do it.* Mówiąc to gotowało się we mnie. Bezsilność, mieszała się z wściekłością - nie odpuszczę, nie odpuszczę, powtarzałem sobie. Widziałem Tima kulącego ogon w podobnych sytuacjach. *Later, I will do it later. OK? No, you refuse what I order you. I have to report it to the HQ and I will do it immediately.* Nie zdążyłem się odwrócić, gdy usłyszałem - *Just try, you will see what happens.* No nie, on mi jeszcze grozi. Końcówkę rozmowy słyszał Bogdan. Chodź, pomogę ci pisać. W kilkunastu zdaniach opisałem sytuację. Bodzio dokonał korekt. Przycisk faksu dokończył dzieła. Na dzisiaj koniec - pomyślałem. Nie zdążyliśmy wypalić po drugim papierosie, gdy w drzwiach stanął Nebojša, trzymając w dłoni mój raport, który zwrótnie przestał mu kolega z HQ. *You really did it, why did you do it Marek? I could not accept your behavior. So, you'll see my report.*

Odwrócił się i wyszedł. Po dwóch dniach zostałem wezwany do HQ. Tam zapoznałem się z raportem Nebojšy na mój temat. To, co czytałem, było kompilacją zdarzeń przedstawionych w jedynie słusznej z punktu widzenia piszącego formie, za czas mojej służby w Gradišće. On prowadził na każdego z nas rejestr wydarzeń - dotarło do mnie. A jeśli nie, to zebrał „swoich” tłumaczy i te „łajzy” wypowiadały się, co wiedziały, żeby mu dać wsad - szczególnie jeden. Przed oczami stawały mi obrazy Tima i jego przydupasa, którego ciągał ze sobą. Teraz ta wredota pociągnęła „po całości”. To, że byliśmy u szefa policji i wypiliśmy po kieliszku rakii, było faktem, ale w raporcie zapomniano o szefie, byłem tylko ja. To, że wracaliśmy z otwarcia sezonu koła łowieckiego i zamieniliśmy się z Timem miejscami, było prawdą, ale nie byłem pijany. Najbardziej wkurzył mnie opis, jak to się podobno napiłem w domu i w efekcie uderzyłem głową w stół, chodząc przez tydzień z krwakiem wokół oka - i jeszcze mi za to rachunek wystawili w klinice - pomyślałem.

Sprawa ciągnęła się długo. Została powołana komisja, której przewodniczący po jej zbadaniu i przesłuchaniach innych policjantów ze stacji nie mógł wyjść ze zdumienia, że coś takiego można było napisać. A dla mnie była to nauczka. Naruszyłem układ, którego nie ważył się ruszyć nikt dotąd, po co mi to było? Pytałem sam siebie, myśląc o tym, co przeszedłem, a przecież mogłem mieć spokój. W końcu zrozumiałem Khana, który jako główny sprawca „zamieszania”

jako jedyny oficer na stacji, nie chciał się wypowiadać na mój temat i żaden inny. Po czasie podszedł do mnie i strapiony jak zwykle powiedział: *I was afraid that if I say anything they would kick me out from the mission. I can't be kicked out. The whole village collected money for my trip.*

Nebojša dostał wypowiedzenie w „białych rękawiczkach”. Nikt tu nie chciał nikogo urazić. UN to bardzo, ale to bardzo demokratyczna organizacja i standardy muszą być i są respektowane. Także w takich sytuacjach jak opisana.

Mecz

Na stacyjny mecz piłki nożnej przygotowałem się odpowiednio. Zrobiłem zakupy w jedynym tu markowym sklepie. Koszulka i spodenki Nike'a, buty kupiłem wcześniej. Musiałem być dobrym klientem, bo gratis dołożono mi klapki tej samej firmy. Boisko było na granicy miasta w kierunku na Kozarę. W piłkę grałem nieźle, jednakże teraz moja niemrawość na płycie przez chwilę zastanowiła mnie, gdy raz po raz plątały mi się własne nogi. Biegając za wykopaną w aut piłką, nie mogłem się nadziwić swojej nieporadności. Po pierwszej połowie zszedłem z boiska. Idąc rano na stację, usłyszałem wołającego mnie Attilę. Węgry mieszkali za nami i często do i z pracy chodziliśmy razem. *Marek, zagaił, ty tak dziwnie chodzisz, nigdy wcześniej takiego cię nie widziałem* - to po meczu, wczoraj grałem w piłkę, poza tym od pewnego czasu boli mnie głowa i tyle. *Przywiozę ci z urlopu wino z winnicy mojego dziadka. Po nim głowa cię nie będzie bolała.*

Kolejny urlop

Wypoczynek cyrklowaliśmy tak, żeby w kraju być na dziesięciolecie udziału polskiej policji w misjach pokojowych. Uroczystość miała być kameralna. Misjonarze i zaproszeni goście mieli spotkać się w ośrodku szkoleniowym celników w Świdrze - żadnych możliwych tego świata. Liczba uczestników przeszła oczekiwania. Byłem pełen podziwu dla Halinki, która w zasadzie sama wszystko to zorganizowała. Było dostojnie i przyjaźnie. Fakt, znalazł się klient, którego nikt nie zapraszał. Nawet wygłosił mowę. Na jego miejscu nie zabierałbym głosu i nie pokazywałbym się światu - chyba nie wiedział o swojej ksywie. Zorientowani kiwali głowami z politowaniem. A przecież można próbować starzeć się godnie... Drugiego dnia nasz dyrektor zaprosił nas na koniak. Idąc po schodach, potknąłem się, co mi się ostatnio często zdarzało i ratując się przed upadkiem wsparłem się na dyrektorskim barku. Wiara zaśmiewała się z mojej śmiałości.

U Attili i Jeno

Już parę razy bratankowie byli u nas. Tym razem to my zostaliśmy zaproszeni. Ciekawiły mnie węgierskie potrawy. Przedsmak tego, co nas zapewne czekało, dawały jedzonka, jakie zamawialiśmy, przejeżdżając przez Węgry. Wstęp był typowy. Zaczęliśmy od Palinki (*Palinkoo*) - poprawiali naszą wymowę, by po chwili kosztować wino z rodzinnych winnic. W tak zwanym międzyczasie Attila pracowicie mieszał w garze. Przyglądałem się temu oczywiście, że zaciekawiony, ale nijak mi to nie pasowało do słynnego gulaszu. Miałem w oczach gulasz z przydrożnych knajpek, który różnił się od naszego rosółu tym, że był rzadszy, a oczka tłuszczu można było policzyć na palcach jednej ręki. Gulasz w moim wydaniu był majstersztykiem mięsnym w sosie własnym, do spożycia z ziemniaczkami, a tu... Chłop mieszał zawzięcie. Za chwilę złamię tę łychę - pomyślałem z niepokojem. Gdy już zaczęło się przypalać, obaj panowie zdecydowali, że potrawa jest gotowa. Na talerzach wylądowały góry kitu, pachnącego, a jakże i oczywiście - smacznego. Z miny naszych kolegów wywnioskowałem, że chyba to nie było to, co zamierzali ugotować. Dotarło do mnie, że... chłopaki mieli chęci, ale... po prostu nie umieli gotować. Wyszliśmy obdarowani butelkami wina i Palinki. W domu poprawiliśmy smakowitą kiełbasą węgierską, którą kupiliśmy na Węgrzech - *no, co kuźwa? mamy węgierski wieczór czy nie?* - zagaił Bodek, polewając.

Tumor w głowie

Całą noc łąziłem wyjadając Bodkowi tabletki od bólu głowy - ten cholerny kręgosłup. Muszę w końcu zacząć ćwiczyć. Basen, basen, basen... - powtarzałem sobie do rana. Poranek na stacji był tego dnia nerwowy. Było kilka „ewikcji”, a samochodów mało. Uparłem się. Nie dam, kuźwa, nie dam mojego samochodu. Jeśli nie teraz, to kiedy? Pojechałem niby to do HQ, lecz tak naprawdę do Laktaši. Był tam olbrzymi, odkryty basen. Wejście było zamknięte, ale wszedłem jakimiś bocznymi drzwiami. W wodzie było kilka osób. Chyba kierownik wystartował do mnie, mając zapewne zamiar pogonienia intruza, ale widok munduru ostudził jego zapały. Zrzuciłem ciuchy i do wody. A tu... - niespodzianka panie, no mówię, niespodzianka. To jak to? Zapomniałem, jak się pływa? Ja do przodu, a płynę w lewo. Próbuję ponownie, a ja w lewo. Ściąga mnie niczym statek trafiony torpedą U - Boota. Nic to. Wybrałem stojące daleko drzewo, ale nawet jego widok, nie pomógł mi w utrzymaniu kierunku. Miałem jeszcze kilka pomysłów na odzyskanie sprawności, ale „kierownik” zaczął krzyczeć. *Iz bazena, iz bazena, oluja ide.* Słuchałem z niedowierzaniem. *Prije nekoliko godina grom ubio je dvoje ljudi ovdje.* Towarzystwo dziarsko wyskoczyło z wody, a ja, gdy już w końcu dopłynąłem do drabinki, nie mogłem na nią się wspiąć. Olśniło mnie. No bracie, coś z tobą nie tak. Wywołałem Bodka i poprosiłem, żeby czekał przed stacją. Dojeżdżając widziałem Khana, dziarsko biegnącego w moją stronę i Bodka z papierosem. Khan chciał samochód na „ewikcję”. Oczywiście Bodek miał pierwszeństwo.

W Banja Luce śliczna pani doktor po kilku podstawowych badaniach - ciepło, zimno, ułucia, przejść się na wprost, młoteczkami w kolana, co trwało może dwie minuty, zakomenderowała - ambulans i na rezonans głowy. Co, głowy? Miałem ostatnio rezonans kręgosłupa - protestowałem bez przekonania. Dołączył do nas Robert. Kontrast - przyglądam się „wlampionym” w monitor sylwetkom w białych fartuchach. Widzę ożywienie. Podchodzi lekarz. *Imate tumor - što imam?* - *imate veliki tumor.* Widząc, że nie jarzę, przeszedł na angielski. *You have a tumor, a large tumor.* Co mi z tego, skoro w żadnym ze znanych mi języków nie znam znaczenia słówka *tumor*. Orientuję się, że to poważna sprawa. Podchodzi Liljana i łagodnie coś tłumaczy. Pomaga Robert, wyjaśniając - *masz guza, prijacielu.* Dotarło, nogi się pode mną ugięły. Siadamy w cieniu przed budynkiem, palimy. Po czym poznałaś - zapytałem lekarkę? Miałeś wyraźnie opuszczony lewy kącik ust. Sprawy nabrały tempa, ale ja byłem już tylko statystą. Zero ruchu, zero słońca. Leżenie do czasu dalszych decyzji. Do Gradiški już nie wróciłem. Mariusz zabiera mnie do siebie. Taszczy skądś klimatyzator. Chcesz kielicha? - no pewnie, odpowiadam. Drugiego dnia Liljana pyta, gdzie chcę być operowany. A jakie są opcje? - Banja Luka, której nie polecam, Belgrad i Wiedeń. Ja chcę do domu, Liljana, ja chcę do Warszawy. Myśl, że mają moją trumnę tachać i nią ciskać ze mną w środku, nie opuszczała mnie. Jak to tak, samotny bez rodziny, w tej skrzyni wśród obcych?

Wieści rozchodzą się szybko. Już wiem, że Warszawa, to Halinka jest w temacie, że organizuje szpital. Dowódca kontyngentu działa. Po trzech dniach ambulans zawozi mnie na lotnisko w Zagrzebiu. W podróży do kraju asystuje mi Bodek. Mamy bilety VIP. W saloniku alkohol jest *free*. Bodzio obrócił dwa razy. Może teraz ja? Zapytałem i popędziłem do barku. Po paru krokach potknąłem się i wyłożyłem jak długi. Niezrażony poszedłem dalej. Drinki niosłem ostrożnie,

ale potknięcia nie ustrzegłem się. Teraz już wiedziałem, skąd te moje dysfunkcje ruchowe i to cholerne sprzęgło. Przecież ja mogłem ludzi pozabijać, prowadząc samochód. Nikt by wtedy nie powiedział - bo chory - tylko, że to zrobił Polak. Na Okęciu spod trapu samolotu do szpitala na ulicę Szaserów. Tam widzę Zośkę z dziećmi i psem - kuźwa - pomyślałem (przejąłem od Bodka), zostaną bez ojca. Nie ma czasu na długie powitania. Podpisuję zgodę na operację, bo nad czym tu się zastanawiać? Rano rezonans - guzy są dwa, ten drugi pod pierwszym. Wtedy po raz pierwszy widzę profesora Podgórskiego. Operują mnie Grześ Zieliński i profesor. Operacja trwała około pięć godzin. Drugiego nie ruszyli, bo byłem już „cienki Bolek”. Ze szpitala do domu odwiozła mnie Halinka z mężem, z domu jakoś nie mogli.

Moje wrażenia z rekonwalescencji sprowadzały się do niesamowitego zdziwienia faktem, iż żyję oraz że nigdy, ale to nigdy nie poczułem bólu. Dlaczego więc taki pikuś (Bodka) jak ząb potrafi tak dać w kość? Cały czas czułem opiekę kontyngentu. Tomek przekazywał mi dary od chłopaków. Byłem autentycznie wzruszony. Po kilku tygodniach od operacji na rowerze pojechałem na działkę - to 45 kilometrów w jedną stronę. Nosiło mnie niesamowicie. Drugą operację przeszedłem trzy miesiące po pierwszej. Wybudziwszy się na pooperacyjnej uporczywie szukałem źródła bólu, pamiętając, że go nie powinno być. Dochodził z okolicy pęcherza. Odruchowo wyciągnąłem spod tyłka rurkę cewnika, na której mnie położono - takiej radości z ulgi dawno nie miałem, prawie orgazm. Ręką sięgnąłem do szuflady, wyczułem komórkę. Telefon odebrał Gregor - mamó, mamó, tata dzwoni! - ścisnęło mnie za gardło. *To znaczy, że będzie żył, usłyszałem Zośkę w chwili, gdy pielęgniarka zabierała mi telefon - godzinę po operacji głowy dzwonić mu się chce?* - zapytała z wyrzutem. Po dwóch tygodniach do domu.

Tramwaj, potem pociąg. Przyglądałem się światu, jakbym wrócił z dalekiej drogi, bo czy tak nie było? W białym czepku na głowie wyglądałem jak kosmita. Nosiło mnie.

Tak mnie nosiło, że pojechałem na działkę. Palilem w kominku, a wierny Jurek/Jerzy/Bazyli/Generał/Juhas/Bzik sygnalizował przez szybę sarny stojące na skraju horyzontu - a mówi się, że psy mają słaby wzrok. Czytałem, leżałem, słuchałem odgłosów płonącego w kominku drewna. Pojechałem pociągami do siostry. *Co? - w domu znowu coś nie tak?* Przywitała mnie pytaniem. Ano nie tak. Próbowiałem chronić swoją poharataną czaszkę przed kolizjami, jakie mi się przytrafiały. Wszystko było tam miękkie i pulsujące.

Do pracy wróciłem po dwóch miesiącach - zawsze byłem w gorącej wodzie kąpany. Robota wciągała, dni nabierały tempa. Coraz mniej użalałem się nad sobą. Tylko pasażerowie w metrze przypominali, co zaszło. Przyglądali się mojej „zharatanej” czaszce, uciekając wzrokiem, gdy nasze spojrzenia krzyżowały się. Ale to samo widziałem w szybie naprzeciw. Usiłowali odgadnąć, co też mi się przytrafiło. Gdy pytali znajomi, żartowałem, że statystowałem pod Grunwaldem.

Bodek

Wieloletnia znajomość zaowocowała przyjaźnią między naszymi rodzinami, tak więc parę akapitów poświęconych mojemu przyjacielowi i jego rodzinie należy się bez zbędnych wyjaśnień. Pierwszy raz o tym, jak martwił się trójką swoich dzieci (Łukasz i dwie bliźniaczki Maja i Natalia) dostrzegłem, gdy - będąc na misji - dowiedział się, że syna zatrzymała policja za huśtanie się na łańcuchu między słupkami... chyba przy przejściu dla pieszych. Bzdet, no ewidentny bzdet. Pewnie chłopaki sobie jaja robili, wiadomo, była to klasa maturalna, a tu trzeba zdawać na studia. Martwił się o Łukasza i to było widać - będąc za granicą informacje z kraju zawsze należą do tych z gatunku wrażliwych. Bodek ukończył z wyróżnieniem Politechnikę Śląską i jak każdy rodzic miał wobec dzieci jakieś oczekiwania. Jak się wkrótce okazało, chłopak dostał się na studia bez najmniejszego problemu. Bliźniaczki szły jak burza i oprócz ochów i achów, nie za częstych, ale jednak, mniej o nich słyszałem, za to widziałem, że panny się z nich robiły, że aż miło było popatrzeć. Zmartwienia ojca były bezpodstawne. Łukasz ukończył politechnikę. Realizuje się naukowo - pracuje w Katedrze Inżynierii Komputerowej.

Wiadomość o tragicznej śmierci Majki dopadła mnie, czyniąc spustoszenie w resztkach mojej wiary w sprawiedliwość na tym padole łez i nieszczęść wszelakich. Wsiedliśmy z Zośką i chłopakami w pociąg, pojechaliśmy do Bielska-Białej i uczestniczyliśmy w pożegnaniu cudnej dziewczyny, dopiero co rozpoczynającej dorosłe życie. Z Jasią i Bodkiem przytulaliśmy się, płacząc jak bobry. Mnóstwo młodzieży i zapłakana, żegnająca siostrę Natalia.

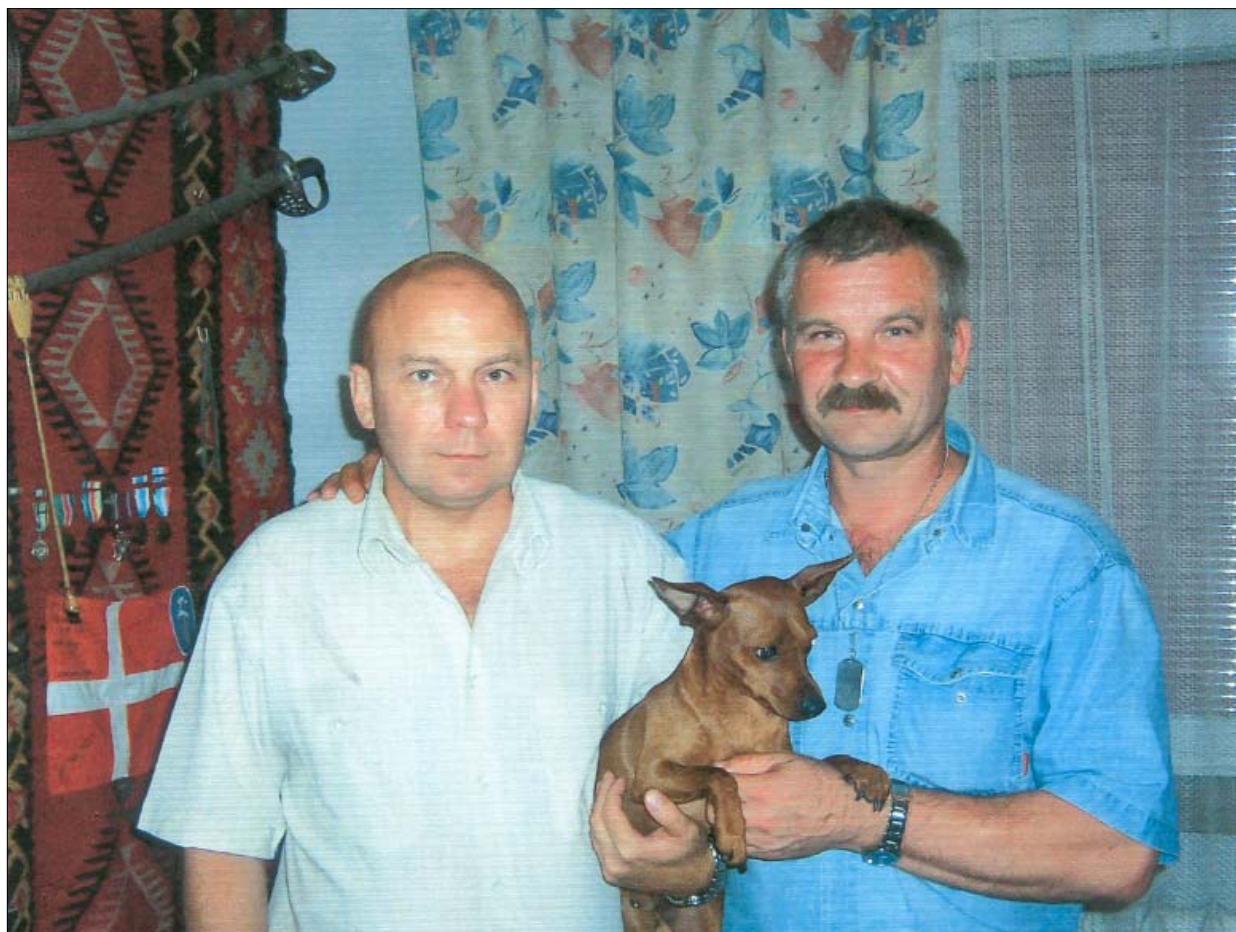
Minęły dwa lata, Bodeczek przystąpił do postępowania kwalifikacyjnego, przeszedł je bez problemu - *no, bo jak nie ja, to kto, kuźwa?* - i wyjechał do Liberii - był dowódcą policyjnego kontyngentu. Okres rocznej służby w misji kończył mu się za miesiąc. Był na ostatnim urlopie w kraju. W przeddzień wylotu nocował u nas. Z rozrzewnieniem wspominam jego brudne okulary. Tym razem ich zapomniał. Dużą część wieczoru poświęciliśmy na odwiedzanie aptek, żeby kupić właściwe jednorazówki. Cieszył się nimi jak dziecko. Wspólne zdjęcie z tego wieczoru ukazuje nas dwóch z Jurkiem, moim wiernym psem, Serbem z Nowego Sadu. Rano odwiozłem Bodka na lotnisko. Odleciał do „*moja Afryka*”. Gdzieś tak po dwóch tygodniach dostaliśmy z Liberii informację, że Bogdan chory na malarię leży w jordańskim szpitalu polowym. Zadzwoiłem do Jasi, informując ją o tym, co wiedzieliśmy. Nic nie zapowiadało tragedii, wszak Liberia nie jest krajem uznanym przez WHO za malaryczny. Śmierć mojego przyjaciela ścięła mnie z nóg, tak po prostu. Do kraju przyleciał swoim ostatnim lotem. Na warszawskim Cargo klepałem trumnę - rozmawialiśmy sobie. Dotarło do mnie, że mam w tym już jakąś wprawę. Znowu przytulałem Jasię. Ta postawna kobieta była cieniem. Do Bielska-Białej jechałem razem z Bodziem. Na pogrzebie nie zawiodła misyjna gwardia. Żegnając się z Jasią usłyszałem, że żyje już tylko dla Natalii. *Marek, ja już nie mogę, nie mogę...*

Wiadomość o śmierci Naty, drugiej bliźniaczki, również w wypadku drogowym wydała mi się kpina. Podtrzymywałem Jasię w kościele i za trumną. Tragedią tej jednej rodziny można by obdzielić scenariusze kilku filmów. *Marku, ja nie mogę, nie mogę, już więcej nie mogę...*

Podczas ostatniej unijnej misji przejeżdżałem przez Bielsko-Białą. Byłem chyba pod specjalnym nadzorem pani sprzedającej kwiaty i znicze, bo relacje z moich wizyt szybko docierały do Jasi. Z drugiej strony - wiedziała, że byłem, bo cmentarz stał się jej drugim domem. *Iz dana u dan* (powiedzonko Bodka) o godzinie 13 wychodziła z pracy i pędziła na cmentarz. Gdy wróciłem do kraju, byliśmy w stałym kontakcie telefonicznym. Była na środkach uspokajających. Gdy dzwoniła i czułem, że miała wyjątkowego doła, proponowałem pomoc psychologa. Panią policyjną psycholog z Bielska poznałem przy okazji pogrzebów - w tym okresie często do siebie dzwoniliśmy. Wystarczył jeden telefon i była przy Jasi. Kilkakrotnie wsiadałem w pociąg i jechałem do Bielska. Spędzaliśmy dzień na rozmowach. Byłem słuchaczem i w zasadzie nie musiałem się odzywać. W słoneczną niedzielę leżakowałem na działce, gdy zadzwoniła Jasia. Mówiła cicho - ostatnio bardzo cicho mówiła, jakby ważąc każde słowo. Zapytałem, czy chce pomocy - *nie, nie chcę, może jutro* - na pewno nie chcesz? - *na pewno*. Rozmawialiśmy kilkanaście minut. W poniedziałek zadzwoniła psycholog - czy pan już wie, że pani Jasia nie żyje... Pierwsze chwile, wiadomo... ale później... Jasiu, ja Cię, kuźwa, rozumiem, bardzo, ale to bardzo Cię rozumiem. Rozmawiałem z Łukaszem, czekałem na informację o pogrzebie. Zadzwonił o godzinie 10. Pogrzeb miał się odbyć o godzinie 13. Choćbym miał się zes... to z Warszawy nie dojadę. Tylko na przejazd przez Raszyn trzeba godziny. Nie dawałem jednak za wygraną. Przez myśl przelatywały kombinacje wszelakich możliwości. Może na kogutach!!! Podpowiadała koleżanka - powoli schodziło ze mnie powietrze - wystarczy, nie jadę, to szaleństwo, to nie ma sensu. Łukaszu, pewnie byłeś zajęty i zapomniałeś. Ale było mi zajębiście przykro i przykro jest mi nadal.

Ostatnie wspólne zdjęcie z Bodkiem wisi nade mną w pracy. Mam je też na kominku w domu. Podjąłem próbę upamiętnienia przyjaciela. W Komendzie Głównej Policji znajduje się tablica z nazwiskami policjantów poległych na służbie. Okazało się jednak, że jego śmierć nie spełnia jakiegoś tam kryterium. A przecież nikt inny oprócz mnie nie wie, jaki miałś szacunek dla munduru. Pamiętasz Twój przejazd przez Węgry w mundurze? Pamiętasz jaja, jakie z tego wynikły? Dużo myślę o moim przyjacielu i zadaję sobie mnóstwo pytań. Zawsze sprowadzają się do jednego... dlaczego?

PS Wspominałem, że dobrze gotował? Jego specjalnością była faszerowana papryka (*punjena paprika*).



U mnie w domu przed wylotem do Liberii - zdjęcie Katarzyny Górnickiej

Małgosia

Po powrocie z pracy znalazłem na stole nietypową kopertę. Pobieźnie spojrzałem na nadawcę. To z Holandii, pewnie od Małgosi. Od lat przesyłaliśmy sobie kartki świąteczne - trochę wcześniej w tym roku, pomyślałem i odłożyłem kopertę „na potem”. Pisałem już, że w Słupsku po pogrzebie Andrzeja do bladego świtu wspominaliśmy zmarłego. Pytała - mnóstwo pytań. Chłoneła każde moje słowo. To była zakochana kobieta, niekryjąca się ze swoim uczuciem - reagowała bardzo spontanicznie. Nie, nie było łez... to były raczej zaszkłone oczy widzące to, o czym właśnie mówiłem. Gdy zaspokoila pierwszy głód wiedzy, cicho poprosiła... opowiadaj, opowiadaj od początku, od chwili jak wylądowaliście w Iraku. Kapitan Morgan czuwał nad nami. Snując moją opowieść, starałem się nie przeoczyć niczego... Żegnaliśmy się płacząc jak bobry.

Po mniej więcej dwóch latach zadzwoniła - wiesz, jestem w Warszawie u koleżanki, może wpadniesz? Jadąc na Madalińskiego, myślałem intensywnie o jej problemach zdrowotnych. Z tego, co mi ostatnio pisała - szczęśliwie zażegnanych. Gdy zobaczyłem ją w drzwiach - w oczach stanął mi Andrzej. Ścisnęło mi gardło okrutnie. Przy okazji niedźwiedzia nie umknęła mojej uwadze jej chudość - *dalibóg, sama kość* - wymknęło mi się. Roześmiała się. Teraz już tylko będzie lepiej - pośpieszyła z wyjaśnieniami, po raku nie ma już chyba śladu - został usunięty. Ucieszyłem się. Pisała mi o czekającej ją operacji - kibicowałem na odległość, jak mogłem. Teraz, gdy koleżanka poszła przygotować herbatę, przyjrzałem jej się bez krępacji - zauważyła. I jak, może być? Oczywiście, wyglądasz świetnie. Uśmiechnęła się ponownie, ale jakoś tak, chyba bez przekonania. Co tam u ciebie? - Opowiadaj, poprosiła. Ucichłem, gdy podano do stołu. Ciasteczka... Zauważyłem, że szklanki były w metalowych uchwytach - takich jak na rosyjskich filmach.

- *Checiałam ci powiedzieć, że wychodzę za mąż.* - Brakowało tylko samowaru.
- *Jest Holendrem.* Chociaż u nas też widuje się takie uchwyty - te wyglądały na starą robotę, może jakieś zabytkowe?
- *To dobry człowiek i tam będę miała lepszą opiekę medyczną.* - Metalowa taca też wygląda na starą, pewnie to komplet. - *Wyjeżdżam w przyszłym miesiącu.*

Przepraszam, zamyśliłem się, co mówiłaś? Mój procesor z opóźnieniem analizował to, co usłyszałem.

- *Mówiłam, że...*

To było ponad moje siły. Nie byłem przygotowany na coś takiego. Wstałem i zacząłem się ubierać, a Ona mówiła, cały czas coś tam mówiła, nie pamiętam...

Idąc do drzwi spłynął na mnie Thomas Hardy.

*Patrzyła stale
Ku zachodowi
W słońcu czy we mgle,
Jakby wzrok łowił
Nieznane dale
W zamorskim tle;
Stała wytrwale*... Jak? Wytrwale? - to chyba jakieś jaja...*

Miotłem się z zamkiem drzwi - pomogła mi właścicielka mieszkania. Po schodach zszedłem na miękkich nogach. Nie mogłem się zebrać do kupy - czułem się po prostu źle. Już nie pisaliśmy do siebie listów. Pozostały świąteczne kartki. Koperta leżała parę dni, zanim ją otworzyłem. W środku była mała drukowana kartka. Zawiadamiamy, że w dniu... w miejscowości... o godzinie... odbędzie się pogrzeb... Ścięto mnie. Coś się stało? - córka przyglądała mi się uważnie. Tak... - odeszła znajoma. Pojedziesz na pogrzeb? Chciałbym, ale to w Holandii. Za późno żebym zdążył dojechać.

Mam kaca, takiego wielkiego moralniaka. I pewnie będę go miał do końca życia. Małgosiu, zachowałem się wobec Ciebie jak ostatni krety... i nie liczę na przebaczenie, a Ty... pamiętałaś, żeby mnie umieścić na liście... tej ostatniej liście i... kuźwa... krety to mało!

* Thomas Hardy, *The Riddle*.

Rekonesans w Jordanii (marzec 2004 r.)

Przelot

Połykające w dole światła Stambułu rozdzielała wstęga cieśniny Bosfor. Nocny widok miasta utrzymywał się przez dobrą chwilę, przypominając o jego wielkości oraz o tym, że umowna granica Europy pozostaje za nami. Samolot przesunął się w ciemnościach nocy ku swemu przeznaczeniu - naszym celem była Jordania. Na pokładzie wojskowego transportowca pomimo głośniejszej pracy silników panował senny nastrój. Wiara leżała pokotem, gdzie się dało. Chociaż miejsca było pod dostatkiem, mój ministerialny kolega rozłożył się na rampie desantowej. Początkowo, gdy temu się przyglądałem, czułem niepokój. Uczucie to jednak szybko minęło, no bo co to w końcu za różnica - przecież jej do cholery nie otworzą. Do lotu byłem wyjątkowo nieprzygotowany. Niby pamiętałem o stoperach, ale gdy przyszło co do czego, to ich nie miałem. Napchałem do uszu czegoś tam, ale z marnym skutkiem. Z każdą godziną lotu huk doskwierał mi coraz bardziej. Po paru godzinach dyskomfort powiększył się o potrzebę siusiania. Za oknami było już widno, gdy zaczęliśmy się zniżać - w samą porę.

Lotnisko w Konya to mały budynek portu lotniczego i dostatnie pasy startowe. Gdy tylko opadła rampa, tęgim kłusem ruszyliśmy do toalety. W maleńkim sklepiku za ladą leżały jakieś łakocie. Moje przemyślenia kupić, nie kupić, przerwał grzmot silników lotniczych. Nad nami kręciły ewolucje dwa F-16. Widok był niesamowity. Zniżały się kilkaset metrów nad lotniskiem, by po chwili pójść pionowo w górę. Chyba do czegoś trenują, bo figury wyglądały na synchroniczne. Wszyscy pomyśleliśmy o tym samym. W ruch poszły aparaty fotograficzne i kamery. Miałem kłopot z uchwyceniem celu w obiektywie swojej kamery - wszystko odbywało się przecież tak szybko. To mnie zniechęciło. Obserwowałem chłopaków i zbliżających się dwóch tureckich żołnierzy. Jeden gdzieś tam dzwonił. Stali z nami, uśmiechając się, gdy podjechał wojskowy łazik. Z twarzy żołnierzy zniknęły uśmiechy - coś mi zaczęło świtać w głowie... czerwona lampka pulsowała alarmowo. Przybyły podoficer wysłuchał pewnie swoich podwładnych i oświadczył, że rekwiruje aparaty i kamery. Gdy chłopaki „szły w zaparte”, ja rozglądałem się za oznakami wojskowego lotniska - nie widziałem. Pewnie to cywilno - wojskowe, cóż, mieliśmy pecha. Wymiana poglądów stała się bardzo głośnie - podjechał drugi jeep. Patrzyłem na panią oficer. Taksowała mnie wzrokiem, słuchając mojej wersji zdarzenia. Nie jest źle - pomyślałem - widząc w jej oczach chochliki. Przyjęła zaproszenie na pokład Antonowa, żeby obejrzeć moje nagranie. Wchodząc po pochyłym trapie podałem dłoń. Na taśmie miałem imprezę rodzinną. Oglądając nagranie, zapewne zastanawiała się, jak wyjść z tej sytuacji. Uśmiechała się. Nijak nie można było zakwalifikować zdarzenia jako incydent międzynarodowy. Żołnierze zachowali czujność, tego ich przecież uczono, a my byliśmy sojusznikami z NATO. Rozmowa zeszła na nas - lecimy do Ammanu, żeby szkolić policjantów irackich w Jordańskim Międzynarodowym Centrum Szkolenia Policji, tłumaczyłem. Spotkanie zakończyliśmy pojednawczym kubeczkiem kawy i batonikiem Prince Polo. To nauczka na przyszłość, trzeba uważać, pomyślałem, gdy ponownie byliśmy w górze. Nad Ammanem krążyliśmy kilkanaście minut. W pewnym momencie

wypatrzyłem ustawione w jednym miejscu rzędami czołgi - pewnie, żeby było je łatwiej policzyć z powietrza. W końcu skierowano nas na inne lotnisko, międzynarodowe nas nie przyjęło. Zanim koła dotknęły betonu, nieźle nas „wykołysało” - efekt pijanej windy nie był przyjemny. Przez okno patrzyłem na stojące małe samoloty - w tle napis *Royal Aero Sports Club of Jordan*.

Już drugą godzinę czekaliśmy na lotnisku. Amerykanka - nasz kontakt z centrum - nie pojawiała się. Mojemu koledze z ministerstwa zaczęło się dłużyć. Kolejny raz dzwonił do Polski - jakby to miało w czymś pomóc. Próbuję uspokajać, ale dyrektor to dyrektor - ma prawo się niecierpliwić. Pojawiają się przy nas ciekawi goście. Za paskami pistolety, wetknięte ot tak sobie, na luzie. Przyjeżdżają, odjeżdżają, gestykulują - ciągle w ruchu. Informują, że samochód w drodze, przejmują nas i zawiozą do hotelu. To „ichnia” bezpieczeństwa, domyślamy się raczej niż jesteśmy pewni.

Tymczasem obserwujemy lądujące jeden po drugim amerykańskie C-130. Za każdym razem procedura jest identyczna. Z samolotu wybiegają „iraccy kadeci” - informują nasi jordańscy opiekunowie - druga podobna grupa wbiega na pokład. Samolot natychmiast startował. Ani chybi most powietrzny, pewnie zakończenie kursu, tłumaczymy sobie. Ale oto i koniec naszej „poniewierki”. Mnie i dyrektora zabiera konsul z naszej ambasady, a chłopaki jadą do Jawy, dzielnicy Ammanu, gdzie będą mieszkać na stałe. Pan ambasador od pierwszej chwili robi na nas pozytywne wrażenie. To dystyngowany pełen uroku dyplomata. Goszcząc u siebie, daleko od kraju, dyrektora z MSWiA i klienta z KGP sam miałbym pewne wątpliwości co do celu wizyty - nasz gospodarz, jeżeli miał takowe, to nie dał po sobie poznać. Z dyrektorem znaliśmy się z dawnych czasów, tak więc po trudach podróży „przeczytaliśmy” dwie przywiezione z kraju „książki”. Skończyło się oglądaniem gwiazdzistego nieba i konsternacją, gdy się zorientowaliśmy, że mówimy do siebie po angielsku. To był wyraźny znak, że najwyższa pora na sen.

Międzynarodowe Centrum Szkolenia Policji w Jordanii

Rano pojechaliśmy z konsulem do chłopaków. Ośrodek policyjny był nowy, a część hotelowa chyba nie była jeszcze używana. Wysoki standard robił pozytywne wrażenie. Pokoje jednoosobowe z klimą i Internetem. Przy *messie* część klubowa - całość w skórze, olbrzymiasta plazma. Pełne wyżywienie, sprzątanie i pranie, czego więcej trzeba? - w takich warunkach można się skupić na robocie. Już po południu mieli jechać do Centrum Szkolenia - obejrzeć miejsce swojej pracy. Mieściło się w mieście Muwaqqar koło Ammanu.

Amerykanki, dyrektorki centrum nie było na miejscu, tak więc - jako oficjele - musieliśmy poczekać trzy dni aż wróci skądś. Podczas gdy chłopcy wciągali się w nowe obowiązki, nasza ambasada pomagała jak mogła. Pan ambasador umówił nam spotkanie z dowódcą ochrony centrum. Gdy następnego dnia z konsulem dojeżdżaliśmy na miejsce, już z daleka widać było ogrom przedsięwzięcia. Odniosłem wrażenie, że obiekt wybudowano na środku pustyni. Całość otoczona wysokim betonowym murem lub zamiennie wysoką siatką. Przed ogrodzeniem coś jakby fosa i dodatkowo betonowe zapory na całej długości. Przed bramą główną szeroka, równa droga chyba z betonu. Tu przecież mogą lądować samoloty - pomyślałem. Wita nas oficer w stopniu pułkownika. Po pierwszych uprzejmościach szybko przeszedł do konkretów. To największa akademicka policyjna na świecie. Na ośmiotygodniowych kursach szkolimy jednorazowo ponad 3 tysiące kadetów dla organizowanych na nowo sił policyjnych Iraku - nadawał jak karabin maszynowy - za bezpieczeństwo odpowiada batalion ochrony, obiekt jest podzielony na..., laserowym wskaźnikiem pokazywał na mapie - a może tak w teren?

Ruszyliśmy potężnym Dodge RAM. Moją uwagę zwrócił sektor mieszkalny, w którym budynki były oddzielone od siebie równie wysoką siatką. Na moje pytanie, po co to? - dla bezpieczeństwa kadetów, często nie lubią się nawzajem. Podjeżdżamy pod ciąg strzelnic - to chyba właściwa nazwa. Strzelnica to tak na oko pięćdziesiąt stanowisk, obok widzę następną. Plac do nauki jazdy. Olbrzymia asfaltowa płaszczyzna - Francuzi w ramach donacji przekazali nam sto samochodów. Faktycznie, kilkadziesiąt peugeotów lśniących nowością i bez tablic rejestracyjnych stoi opodal. Wyjmuję kamerę. Widząc moje niezdecydowanie, gospodarz zachęca przyzwalającym gestem i dobrotliwym uśmiechem. Może popatrzymy na sale wykładowe? Wchodzimy do pierwszej, potem drugiej i kolejnej. W każdej czarne głowy irackich kandydatów na policjantów. Nie decyduję się na nagrywanie - to nie zoo.

Słyszymy, że przybyszów po wylądowaniu czeka test z czytania i pisania - musimy, dodaje. To obowiązkowe kryterium dla wszystkich w czasie testów kwalifikacyjnych organizowanych jeszcze w Iraku, a mimo to trafiają się tu nam analfabeci - pewnie bakszysz robi swoje, pomyślałem. Mamy tu ponad trzystu międzynarodowych instruktorów. Liczby, liczby i ta skala przedsięwzięcia - to robi wrażenie.

Oddech historii

Być w Jordanii i nie widzieć Morza Martwego i góry Nebo? Pytanie ambasadora było oczywistym zaproszeniem do wycieczki. Po dłużej niż godzinnej jeździe dotarliśmy nad morze. Widok miejsca - podobno chętnie odwiedzanego przez ammańczyków - nie zrobił na mnie wrażenia. Kilka restauracji otoczonych piaskami i kamieniami. Ich oddalone od wody, wzmacniane palami fundamenty robiły smutne wrażenie. Kierowca z ambasady (Jordańczyk) jakby wyczuwając zawód, jaki sprawiło mi to miejsce, pośpieszył z wyjaśnieniami - bo wiesz Żydzi czerpią wodę z Jordanu bez opamiętania. Nawadniają farmy warzywne i poziom morza nieustannie opada - to dlatego miejsca takie jak to oddalają się od brzegu. Jedziemy kilkaset metrów dalej i na pustkowiu wyskakujemy z ciuchów. Przedzieramy się do wody po skalistym brzegu - kierowca robi zdjęcia. Woda nie zachęca do kąpieli. Brodzę po kolana pomny doświadczeń z kąpielą w Adriatyku - tu też nie miałbym jak się opłukać w słodkiej wodzie. Jedziemy na słynną górę. Volvo jakby traci moc, wspinając się górską serpentyną. Pewnie klimatyzacja też swoje robi. Nasz przewodnik dobrą polszczyzną objaśnia. Góra Nebo znajduje się w pobliżu ujścia rzeki Jordan do Morza Martwego. To stąd Mojżesz zobaczył Ziemię Obiecaną - tu zmarł i został pochowany. Miejsce to czczą wyznawcy religii żydowskiej, chrześcijaństwa i islamu. Słuchając, czułem narastające napięcie. Dotarło do mnie, że za chwilę będę w miejscu uznanym za jedną z kolebek religii - i że to się stąd tak rozprzestrzeniło... A tu ja, malusi, w takim miejscu? Podjeżdżamy do kamiennych schodków. Na zewnątrz gorąco, ale bez przesady - daje się wytrzymać. Wspinamy się po kamiennych stopniach. Przed werandą domu wita nas polski franciszkanin. Sam opiekuje się tym miejscem. Dobrze się znają z naszym kierowcą. Nie przywieźliście czasem polskiej kiełbasy albo chleba? - zapytał z rozbijającą szczerością. Nie pomyślałem, zganiłem sam siebie - kabanosy i chleb zjedliśmy wczoraj. Siedliśmy przy jednej z kilku ław zrobionych z grubych desek - było przewiewnie. Na stole pojawiło się wino, woda i świeża chałwa. Krój! - zakomenderował naszemu kierowcy. Ten niemrawo wziął się do rzeczy - na palec, grubo na palec! - i pokazując palucha ukroił spory kawał. Chałwa była wyborna, a jako że słodka, płukaliśmy gardła winem - nie pamiętam już czy produkcji franciszkanina, czy też było „kupne”. Znajdujecie się w sanktuarium Mojżesza, to może pójdziemy je obejrzeć? - no faktycznie pomyślałem, przecież tu gdzie siedzieliśmy, chociaż było miło i czuło się historię, tej prawdziwej nie było widać.

Przez furtę przeszliśmy na drugą stronę. Teren był dosyć rozległy. Znajdował się tu klasztor i ruiny starożytnej bazyliki. Wrażenie robił duży krzyż z brązu o żmijowatym kształcie. Miał on symbolizować kij Mojżesza, na który ten nadział węża. W bazylice znajdowały się pozostałości jej fundamentów. Niesamowite wrażenie robiła jej podłoga wyłożona mozaiką. Widać na niej było ludzi, zwierzęta i sceny polowań. Tak naprawdę, w jakim miejscu się znajduję, uzmysłowiła mi tablica wskazująca kierunki i odległości do znanych miejsc Ziemi Świętej. Betlejem, Jerycho, Jerozolima, którą stąd widać przy dobrej pogodzie, były oddalone o kilkadziesiąt kilometrów. Patrzyłem na daleki Izrael leżący po drugiej stronie Morza Martwego. Spytacie - historia na wyciągnięcie ręki? - nie, ona była ze mną, stąpałem po niej, czułem ją i czułem aurę spokoju tego miejsca.

W końcu spotkaliśmy się z przedstawicielką kierownictwa akademii. Nasza partnerka nie wniosła nic nowego ponad to, co widzieliśmy i usłyszeliśmy od jordańskiego szefa ochrony. Kurtuazja, kurtuazja i jeszcze raz kurtuazja. Uprzejmości, uśmiechy i pytanie, czy jesteśmy w stanie „zwiększyć naszą kontrybucję”, czytaj „liczbę naszych instruktorów”. Kuźwa, dopiero co przyjechaliśmy, a już chcą wzmocnienia, a wszystko to z naszych podatków. Wydawało się, że chłopaki zdomowili się na dobre, a cel rekonesansu został osiągnięty - będzie co przekazać przełożonym. Najważniejsze, że jest bezpiecznie, jednak widok na ulicach i przed budynkami rządowymi Ammanu wojskowych jeepów z bronią gotową do strzału dawał wiele do myślenia.

Kolacja

Jutro powrót. Odwiedzamy w hotelu załogę samolotu - konkretne chłopaki. Mamy jeszcze proszoną kolację gdzieś na przedmieściach Ammanu. Ambasador był źródłem wiedzy wszelakiej. Siedząc na siedzisku wyłożonym kobiercem wsłuchiwałem się w każde jego słowo. Opowiadał barwnie o potrawach i arabskiej kuchni. Zaczęliśmy od przystawek. Zjadałem się pitą maczaną w kolorowych pastach mięsnych i warzywnych. Najbardziej przypadła mi do gustu *Harrissa* z ostrej papryki, czosnku i oleju. Gdy inni zdecydowali się na jagnięcinę w ziołach, ja po konsultacji z ambasadorem zamówiłem tatara z baraniny.

Obserwowałem cały czas młodą jordańską rodzinę. Ojciec z widoczną miłością opiekował się małym, dopiero zaczynającym chodzić chłopcem. Wydawało mi się, że pozwalano mu na wiele - takie bezstresowe wychowanie. Kelnerzy bacznie obserwujący palących nargile zręcznie zmieniali w fajkach żarzące się węgle na świeże. Ich zapach nadawał temu miejscu specyficznego klimatu. Zakończyliśmy na słodko. Ciasteczka były potwornie słodkie. Zrezygnowałem z kawy na rzecz herbaty. Od czasu pobytu w Iraku nie piłem jej w charakterystycznym dla tego regionu wydaniu. Leciutki smak mięty był niepowtarzalny i jak zawsze powtarzałem sobie... - to po raz ostatni...

Wracamy do kraju

Byliśmy jedynymi pasażerami „Antka”. Na pokładzie panował chłód. Odkryłem ciepłe miejsce w kadłubie, przytuliłem się i robiłem rachunek sumienia - było mi żal franciszkanina i tej zjedzonej dzień wcześniej kiełbasy - może się jakoś zrehabilituję, przekazując w kraju paczkę z książkami, o co prosił. Po „Niebie” pomyślałem też, że dobrze by było jeszcze zwiedzić „do kompletu” Petrę - ale przywołałem się do porządku - „ciesz się chłopie z tego, co masz”. Łomot silników i chłód nie pozwalał na sen. Przed oczami przelatywały mi obrazy - jakieś piaski, właściciel straganu z fajkami wodnymi, sumiasty gościu w szarawarach... Poczułem dotknięcie - przede mną stał nawigator proponując kawę - chłopaki z I3. Eskadry to porządni goście.

Rekonesans w Iraku (maj 2004 r.)

Generalska kawa

Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego zwrócił się do Komendanta Głównego Policji o wsparcie przez polską policję Wielonarodowej Dywizji Centralno - Południowej (MND CS) w Iraku w procesie szkolenia irackiej policji. Na rekonesans możliwości realizacji tego przedsięwzięcia wybrano mnie.

Siedząc teraz w samolocie, z zaciekawieniem przyglądaliśmy się sobie. Towarzystwo było międzynarodowe. Sztab kolejnej zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego, Ukraińcy z generałem na czele i Salwadorczyk. Tylko nieliczni Polacy wiedzieli, po co lecę, dla pozostałych stanowiłem zagadkę. Wyposażono mnie w typowy wojskowy mundur pustynny. Odróżniałem się, gdy się odwróciłem. Na plecach miałem naszyty wielki odblaskowy napis POLICJA. Przed wylotem przesłano mi plan podróży. Wynikało z niego, że wojsko na pokładzie samolotu zapewnia catering w postaci kawy i kanapek. Tak na oko po godzinie lotu, gdy już zaprzyjaźniłem się z sąsiadami i zapytałem, czy coś wiedzą na temat kawy, chłopcy zdziwili się okrutnie. *Kawy, czego jeszcze, może herbatki?* Zapytał żartowniś. Najbliżsi ryknęli śmiechem. *Wiesz co? Widziałem tam z przodu termos, może o tym mówisz* - wyraźnie próbował mnie wspomóc siedzący naprzeciw pułkownik.

Przedzierając się przez siedzących, z niemałym trudem dotarłem do pierwszej klasy CASY - z przodu były dwa rzędy foteli ustawionych zgodnie z kierunkiem lotu - my siedzieliśmy upakowani pod ścianami. Od razu zauważyłem spory termos stojący między naszym generałem a siedzącym obok pułkownikiem. Pozdrowiłem panów naszym dzień dobry i niezwłocznie zacząłem napełniać mój kubek transporter zakupiony w amerykańskim PX w Sarajewie. Pomyślałem, że ten gadżet zapewne podkreśla moją bojową wartość, obaj panowie bowiem wyraźnie poruszeni przenosili wzrok z kubka na mnie i odwrotnie. Gdy odchodziłem, pułkownik rzucił za mną - smacznego. Odwracając się, żeby podziękować, zauważyłem, że nie wyglądał na człowieka zadowolonego, powiedziałbym nawet... że był lekko wkurwiony. No cóż, pełen pułkownik, pewnie ważna figura. Mój powrót na miejsce uciszył kawalarza. Kawa była świetna i to zapewne jej zapach zmotywował chłopca do działania. Poderwał się z ławki i podążył moim śladem z równie wielkim kubasem w dłoni. Wstuchiwałem się w kolejną wesołą opowieść, gdy usłyszeliśmy ryk z przodu samolotu. W miejscu „poboru” kawy stał mój kawalarz. Wyglądał z daleka na wyprężonego w postawie na baczność. Pojawił się za chwilę blady i czerwony na przemian. *Kurwa, ta kawa to jest tego ch... Ty policjant, co ty za jaja odpierdalasz?* Przyglądaliśmy się ofierze początkowo ze współczuciem, aby za chwilę ryknąć śmiechem. W tym towarzystwie nie trzeba było tłumaczyć znaczenia zdecydowanego, niespodziewanego ataku. Mnie się udało przez przypadek. Ale drugi raz w tym samym miejscu i w taki sam sposób atakować nie należy, obrona jest w gotowości.

Na ziemi irackiej

Ładowaliśmy w bazie amerykańskiej w Tallil. Samolot gwałtownie wytracił wysokość.

I dobrze, nie ma co tu krążyć. Zbliżał się wieczór. Stojąc przed polem namiotowym wysłuchałem pana pułkownika, chyba logistyka, bo jak sam stwierdził: *jestem odpowiedzialny za wasze rozlokowanie*. Mówił po angielsku. Rozumieliśmy go z trudem. Gdy Ukraińcy zabrali swoich, przeszedł na polski. Pójdziecie do Amerykanów - tu wskazał daleki namiot, po sprzęt do spania. Nasze namioty to... U Amerykanów usłyszałem, że wszystko muszą nam dać Polacy. Zgarnęliśmy jakoś po poduszce i w zapadającym mroku odnaleźliśmy nasz namiot. Zimno jak diabli - klimatyzator na full, bez możliwości wyłączenia. Próbowałem znaleźć logistyka, jakiś koc by się przydał - ale bezskutecznie. W namiocie (hali) oprócz nas znalazł się jeszcze klient ze Straży Granicznej. Reszta w cudowny sposób rozpułynęła się do sobie znanych miejsc i kanciap. Część spała w namiocie obok. Do poranka dotrwałem, dygocąc z zimna. Telepało mną niesamowicie. No cóż, nikt nie mówił, że będzie łatwo. Droga do kantyny była długa. Idąc tam pieszo na śniadanie, podziwiałem rozległość bazy i rozmach, z jakim ją zbudowano. Służący tu na stałe mieli bardziej niż znośne warunki mieszkaniowe. My należeliśmy do tysięcy, dla których to miejsce było tylko punktem przerzutowym w inne rejony Iraku.

Po śniadaniu (żadna rewelacja) w drodze powrotnej do namiotu - informacja: za pół godziny spotykamy się w tym miejscu, pobierzecie broń, kamizelki... Zakładając kamizelkę kuloodporną na chwilę mignął mi w oczach Mostar - kuźwa, jak ten czas leci - a broń i amunicja przypomniła, że nie jestem na wycieczce. Ładujemy się na trzy stary 266. Eskorta jest na honkerach. Samochody są obłożone siatkami maskującymi. Żołnierze mają na szyjach „cywilne” arafatki. To na pewno praktyczne rozwiązanie. Wyglądają na prawdziwe lisy pustyni. Ruszamy. Szybko się okazuje, że jeden ze starów nie jest sprawny technicznie. Z rury wydechowej wali czarny dym. Pojazd wyraźnie „nie trzyma prędkości” kolumny. Musimy zwolnić. Mijamy jedną za drugą kolumny cystern. Może to dziwne, ale w kraju, gdzie ropa jest tańsza od wody, brakuje benzyny na stacjach benzynowych. Koalicja musi więc zapewnić ciągłość jej dostaw. Wraki wypalonych cystern są częstym widokiem. Przed nami widać dym. Im jesteśmy bliżej, tym się powiększa. Na poboczu widać płonącą cysternę. Z drugiej tryska cienka struga płonącego paliwa. Pewnie snajper trafił zapalającym. Podjeżdża humvee. Amerykanin długą serią przeciąga po zbiorniku. No tak, teraz to się pali, duży kaliber robi swoje. Dla mnie to niesamowity widok. Notuję w pamięci, że nasza kolumna specjalnie nie zwolniła. Próbowałem robić zdjęcia. Ale nie bardzo mi szło. Trzeba było odłożyć beryla, zdjąć okulary, wyjąć aparat. Aparat wyjąłem, zrobiłem kilka zdjęć, ale w tym kurzu bezpowrotnie zacięła mi się przysłona. Po kilku godzinach dojeżdżamy do Camp Babilon. Jak sama nazwa wskazuje, mieści się w miejscu starożytnego miasta. Ostatnie „dziesiąt” kilometrów to nieustanne myszkowanie pod wiaduktami nad autostradą. Zygzakowanie przy dużej prędkości nawet zaczęło mi się podobać. Warunki bytowe w obozie są nieporównanie lepsze niż poprzedniej nocy. Ze strażnikiem dostajemy swój kontener, chłopak jest OK, słowem nie jest źle.

Kilkusetkilometrowa podróż otwartym pojazdem w kurzu zamieniła mój nowusieńki mundur w brudną skorupę. Ten stan należało natychmiast zmienić. Zakupiłem więc w sklepiku najmniejszy z możliwych proszków i załadowałem do jednej z chyba trzydziestu pralek stojących w pralni. Błąd odkryłem prawie natychmiast. Proszek należał do tych z gatunku wysoko pieniących się. Jak ta pralka to wytrzymała, nie wiem do dziś. Jedyne wytłumaczenie jest chyba takie, że to była „wojskowa” pralka, przystosowana do warunków wojennych. Momentami się nawet kamuflowała (na białą) i nie było jej widać - a myślałem, że pralki to szczelne urządzenia.

Mój program przewidywał wizytę w Akademii Policyjnej w mieście Al Hillah i spotkanie z szefem policji prowincji Babil. Toczące się walki w Karbali i Nadjaf, śmierć dowódcy kompanii specjalnej i polskich dziennikarzy spowodowały jednak, że wszystkie przedsięwzięcia poza obozem odwołano. Moje spotkania siłą rzeczy ograniczone zostały do tych na miejscu. Rozmawiałem ze sfrustrowanymi raczej amerykańskimi policjantami, którzy przyjechali tu miesiąc temu i jak dotąd nie wyszli poza obóz ze względów bezpieczeństwa, a także z dowódcą III zmiany MND CS. Pan generał nie wyobrażał sobie, aby wśród międzynarodowych doradców policyjnych zabrakło naszych policjantów. Ich zadaniem miało być doradztwo i szkolenie lokalnej policji, a także współpraca cywilno - wojskowa w ramach CIMIC.

Stojąc w międzynarodowej kolejce po papu na stołówce, widziałem Amerykanów z bronią i w hełmach na głowie pomimo upału. Gdy jeden z „amerykanów” zagadnął do mnie w najczystszej polszczyźnie, zapytałem, czemu się tak męczy w tym hełmie - zdejmij. Nie da rady. Gdyby coś mi się stało, nie dostanę ubezpieczenia. Pieniądze, pieniądze to najlepszy motywator. Dlaczego zrozumienie tego tak trudno przychodzi naszym decydom?

To już kolejny dzień w obozie - wzbudzałem zaciekawienie w dzień i w nocy. Zwykli żołnierze pytali mnie, kiedy my policja tu wejdziemy - miałem bardzo mieszane uczucia, co do potrzeby naszej tu obecności. Moje wątpliwości narastały z każdym dniem. W nocy z kolei ciekawiłem żołnierzy wszystkich narodowości moim mundurem. W warunkach panującego tu zaciemnienia - mój odbłask na plecach oznaczał dla nich skrajną głupotę, bo na pewno nie odwagę. Żółty odbłask POLICJA był doskonałym celem. Żeby chociaż można go było odpiąć, żeby na rzepe - nic z tego, przyszyty był na stałe.

Nocą chodziłem na lądowisko helikopterów. Lubiałem obserwować jak obciążone uzbrojeniem śmigłowce startują do walki ze zwolennikami tak zwanej armii Mahdiego. Gdy po mniej więcej godzinie startowały kolejne, wiadomo było, że za chwilę siądą te pierwsze - już bez rakiet. Starty i lądowania odbywały się w absolutnych ciemnościach. Cóż, noktowizja i termowizja dają przewagę. Nie wiem dlaczego, ale myślałem wtedy o polskich sarnach i dzikach. W starciu z myśliwymi wyposażonymi w celowniki noktowizyjne nie mają szans. Tu zwierzyną są ludzie.

Pamiątki

Na skraju obozu był pałac. Pałac Saddama na usypanej specjalnie w tym celu górze. Potężna kubatura. Jeździłem tam z ciekawości. Przy wejściu wisały ostrzeżenia przypominające o zakazie wynoszenia z niego „pamiątek”. W pomieszczeniach nie było nic - puste ściany, żadnych mebli czy wyposażenia. Można było jednak dostrzec ubytki mozaiki, którą były wyłożone podłogi i ściany - zapewne takie „pamiątki” autor ostrzeżeń miał na myśli. Na jednym z tarasów stało gotowe do walki działko ZU, żołnierzy obsługi nigdy nie widziałem. Lufa wpatrywała się w bezkres palm ciągnących się po drugiej stronie odgałęzienia Eufratu. Celownik optyczny przybliżał obrazy. Spacerując po pałacu nie mogłem oprzeć się wrażeniu... jak to zdefiniować... chyba tandety. Mozaika, po której stąpałem, nie była położona równo. Jeśli była to ręczna robota, mam na myśli mozaikę, to ludzie ją kładący nie przyłożyli się.

Niedaleko znajdowały się częściowo zrekonstruowane pozostałości słynnego Babilonu, od którego wzięta się nazwa obozu. Pojechałem tam przyjrzeć się temu, o czym przypomniałem sobie wyjeżdżając z Polski - ze szkolnych czasów nie pamiętałem wiele. Patrząc na bramę Isztar zbudowaną z glazurowanych na niebiesko cegieł i mury miasta, próbowałem sobie wyobrazić jego ogrom. Było przecież swego czasu największym miastem świata. Czy z tego powodu wybrał to miejsce na zakończenie swego życia Aleksander Macedoński, czy też stało się tak przez przypadek? Jeżeli mieszkało tutaj 200 tysięcy ludzi w 1770 roku p.n.e., to jego rozległość nie pozwalała na objęcie go wzrokiem. Ta uwaga nasunęła mi się na widok ogrodzonych przed „turystami” resztek miasta. Prowizoryczne zabezpieczenia może częściowo powstrzymują przed małymi rabusiami, ale nie są skuteczne przed rabunkiem w majestacie prawa i mecenatu państwa, szczególnie obcego - ta brama jest kopią - prawdziwa Isztar znajduje się w berlińskim muzeum.



Na tarasie saddamowskiego pałacu - zdjęcie ze zbiorów autora

Proza dnia codziennego

Moje „wrodzone” zahamowania do nieznanych mi toalet powodowały, że prowadziłem obserwację wysoce specjalistycznego pojazdu, którego załoga złożona z lokalnych pracowników czyściła w zasadzie na okrągło TOI TOI, zgrupowane w newralgicznych miejscach obozu po sztuk kilkanaście. Zawartość toalet należała do gatunku łatwo psującego się i szczególnie wrażliwego na upał. Obijać się więc nie mogli. Czując wolę bożą rozglądałem się za czyścicielami. Gdy już zassali towar, a następnie pianą pod ciśnieniem traktowali całościowo wnętrze, było wiadomo, że góra za pięć minut będzie tam sucho i pachnąco. Nie miałem nigdy zastrzeżeń do pracy tych dzielnych ludzi. Działo się tak wtedy, gdy to ja pierwszy zajmowałem, nazwijmy to - wcześniej upatrzone stanowisko, przyjmując pozycję, którą określiłbym jako regulaminową. Chętnych do sprawdzenia wyników pracy czyścicieli było wielu. To był rodzaj rywalizacji, sportu. Odkryłem to, gdy kilkakrotnie nie zdołałem dojść, bo zostałem uprzedzony przez niby to obojętnie stojących lub całkiem przypadkowo przechodzących „oficerów inspekcyjnych”, pewnie też z wrodzonymi zahamowaniami. W jednym przypadku gość nie powinien być oficerem, bo przecież oficer nie biega. No chyba, że był to przypadek alarmowy, jeżeli tak, to zwracam koledze honor.

Kończył się tydzień mojego pobytu. Odwiedziłem ponownie moich amerykańskich kolegów po fachu. Byli w ponurych nastrojach. Jeden przebąkiwał o powrocie - *nie tak to sobie wyobrażałem*. Inny, potężny chłop dociekał, ilu Polaków przyjedzie i kiedy ich wesprzemy. W czym? - zapytałem - w grze w brydża - odpowiedział inny. No tak, humory chłopaki mieli wisielcze. Wojskową pocztą polową wysłałem do kraju kilka kartek. Taka pieczętka to pamiątka. Przechodząc obok samochodów, dojrzałem „mojego” dymiącego stara. To jeszcze niezrobiony? Nie ma części - no tak, nie ma części. Zdałem sobie sprawę, że będąc tu zaledwie parę dni, rozpoznaję wielu ludzi. Ja wyjeżdżam, a oni tu zostają. Obóz już nie wydawał mi się tak wielki jak po przyjeździe. Rozrywek wiele nie widziałem, no może dostęp do polskiej TV, a tak poza tym...

Chłopaki z żandarmerii zaoferowali mi wizytę na targu. Może chcesz kupić parę pamiątek? Jedziemy. „Targ” mieści się za bramą. To nie to, co widziałem w Erbilu. To kilkadziesiąt kramów z towarem „pod wojsko”. Miejscowi tu nie kupują - oni tu robią biznesy. Kupuję kilkanaście arafatek. Okazały się tanimi podróbkami. Wzory były zapewne odbijane czymś w rodzaju pieczętki, bo po kilku praniach trudno było się domyślić, „co wytwórca miał na myśli”. Przed jednym ze straganów widzę kilku Amerykanów. Oglądają kamienne figurki - odchodzę. Jeśli to oryginały, to ich pochodzenie jest wiadome.

Wygląd mojego kontenera mieszkalnego przypomina, że pora wracać. Pod łóżkiem karabinek ze szmatką w lufie. Obok w hełmie magazynki. Mój szacunek do broni podpowiada, żeby to jakoś uporządkować, ale stojaka na broń nie mamy. Nie mamy nawet wieszaka. Ciuchy ułożone na dwóch kupkach i dwa łóżka podpowiadają ewentualnemu gościowi, że to mieszkanie

dwóch osób. Człowiek może do wszystkiego się przyzwyczaić. Jednym to zajmuje chwilę, a inni potrzebują czasu. Nie chcę się przyzwyczajać, pora wracać.

O wyjeździe za bramę nie było mowy. Rekonesans zamienił się w wizytę w głównej bazie PKW w Iraku. Praca policji międzynarodowej w rejonach po konfliktach zbrojnych to bezpośrednia współpraca z miejscową policją. Mamy być razem, wspólnie rozwiązywać problemy. Tego nie można robić pod osłoną bagnetów.

Powrót

Trzy honkery i trzy stary 266 tworzą kolumnę. Pierwszy star nadaje tempo, dymiąc jak cholera - już nie jestem zdziwiony. Na trasie mijamy długie kolumny amerykańskich transporterów opancerzonych. Sprzęt widać nowiutki, wyposażony w kratownice przeciwko pociskom z granatników. Mam nieodparte wrażenie, że to przerost formy nad treścią. Przeciwnik już nie ma takiego uzbrojenia. Czy skończy się to podobnie jak walka Dawida z Goliatem? - no nie, chyba się zagalopowałem. W Tallil CASA już grzała silniki. Przy pasie startowym stała wyglądająca na zapomnianą paleta z butelkowaną wodą. Okazała się pomocna do obmycia z kurzu. Na chwilę moją uwagę przykuł startujący F-16. Z perspektywy około 100 metrów myśliwiec nie wyglądał imponująco. Poszedł do góry na dopalaczach tak szybko, że po chwili był już tylko punkcikiem na niebie. My też kołujemy. CASA zatrzymuje się. Silniki wyją najwyższą mocą. Pilot trzyma samolot na hamulcach. Kadłub drży. I już... zaczyna się jazda, krótka jazda. Takiego startu jeszcze nie miałem. W górę poszliśmy błyskawicznie. Ciśnienie w uszach i żołądek dają znać o sobie. Czy powożący zapatrzył się na kolegę z F-a? To żart, wiem przecież, że to względy bezpieczeństwa. Nikt nie chce dostać rakiety z ziemi. Dziewięć godzin lotu. Międzylądowanie w Turcji i Warszawa. Fajnie jest znowu stąpać po polskiej ziemi.

Policjanci, instruktorzy nie wyjechali do Iraku. Na mundurach polowych wyjeżdżających na misje odblaskowe napisy POLICJA mimo upływu lat „urzepione” nie zostały.

Misja policyjna Unii Europejskiej w Bośni i Hercegowinie (2005 r.)

Znowu w Sarajewie

Postępowanie kwalifikacyjne na unijną misję policyjną (EUPM) w Bośni i Hercegowinie przeszedłem pozytywnie. Ze starej gwardii - do Banja Luki przydział dostał „Długi”. Już w kraju postanowiliśmy, że zamieszkamy razem. W Sarajewie zgodnie ze zwyczajem przeszliśmy szkolenie wstępne. Budynek ONZ przejęty przez UE. Każdy kąt znajomy. Stołując się w znajdującej się tu mesie, spotkałem znajomych tłumaczy - ciągle w służbie. Nawet sale wykładowe te same, pizzeria przed wejściem głównym bez zmian, słowem, stare dobre „śmiecie”. Po południu z hotelu pędziłem w znajome miejsca. Stare Miasto, most Ferdynanda, źródła rzeki Bosna, *čevapčići*, *burek* - smaki nie zmieniły się. Nowością dla mnie była restauracja „Pivnica” z doskonałym jedzonkiem, o piwie nie wspomnę. Razem z „Długim” odwiedzaliśmy przyjaciół, pamiętając, że z Banja Luki będziemy tu przyjeżdżali służbowo i na spotkania po latach może po prostu nie być czasu.



**Vera Lucič (Sarajewo 2014 r.) osoba życzliwa Polakom -
zdjęcie Zbigniewa Wojdyły**

Banja Luka - praca w Departamencie Szkolenia

Aplikowałem na stanowisko doradcy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Republiki Serbskiej i wariantowo na Program Managera w Departamencie szkolenia tegoż ministerstwa. „Klepnięto” wariant drugi. Mieszkanie załatwił nam, a raczej przekazał swoje, nasz kontyngentowy kolega, który powrócił już do kraju. Wracając z Polski z ostatniego urlopu, zabrał mój wór z wyposażeniem. Z Sarajewa do Banja Luki dotarliśmy w nocy i - wchodząc na piętro naszego lokum - z zadowoleniem odnotowałem, że bambetle czekały. Do dyspozycji mieliśmy pokój dzienny z aneksem kuchennym i tarasem, olbrzymi pokój (sypialnię małżeńską), mały pokój oraz łazienkę. Patrząc na „Długiego”, bez wahania wybrałem mały pokój z kawalerskim łóżkiem - co mi tam, niech się pławi w przestrzeni, tu by miał ciasno. Parter domu od ulicy zajmował *Salon Ljepote*, salon piękności - po naszymu. Córka właścicielki prowadziła tu swój biznesik.

Pracowaliśmy od poniedziałku do piątku. Soboty i niedziele były wolne. Nie byliśmy przyzwyczajeni do takiego systemu. W ONZ pracowaliśmy w świętek i piątek. Oczywiście system unijny bardzo, ale to bardzo nam odpowiadał. Jak się wkrótce przekonaliśmy, Niemcy, Austriacy, Węgrzy, słowem, nacje sąsiadujące z Bośnią i Hercegowiną, na weekendy jeździły do domów. Ponieważ były też dyżury niedzielne (pod telefonem), za które oddawano dni wolne, staliśmy się fanami tych służb. W ten sposób mogliśmy jeździć do kraju na dłuższe urlopy.

Misyjne biuro w Banja Luce mieściło się w eleganckim domu - w „poprzednim wcieleniu” zapewne przytulnym hotelu. Dom stał nad brzegiem rzeki Vrbas. Pierwsza odprawa to wzajemne przedstawienie się sobie. Nowi, czyli my, musieliśmy powiedzieć o sobie trochę więcej. Gdy skończyłem „mowę”, jeden z Finów zapytał o „te dziwne ślady na mojej głowie” - tak po prostu szczerze i bez krępacji. Odpowiedziałem równie szczerze, że w polskiej policji przechodzimy okresowe przeglądy. Tym razem zalano mi MOBILE ONE, pełen syntetyk i „robiący” przegląd trochę się pośpieszył ze zszywaniem - stąd mój wygląd. Mówiąc, widziałem jak towarzystwo spontanicznie reagowało. Jednym policzki drgały nerwowo, inni zasłaniali twarze rękoma, próbując powstrzymać śmiech. Do końca poważny został Ole, ten od pytania. Gdy w końcu wszyscy ryknęli śmiechem, włącznie z Niemcem, szefem stacji, wiedziałem, że lody zostały przełamane. Po odprawie Ole podszedł do mnie i częstując papierosem, klepał mnie po ramieniu. Nie wiedziałem tylko, czy był rozbawiony całą tą sytuacją, czy też skonfundowany raczej. Zostaliśmy dobrymi kumplami.

Zgodnie ze zwyczajem poranna kawa obowiązywała od ósmej do dziewiątej i jeżeli nie było odprawy (zawsze w poniedziałek i piątek rano), to bractwo rozchodziło się lub rozjeżdżało „na kierunki” - ja do Akademii Policyjnej. Na mój program składało się kilka projektów. Jednym z Project Officers był Francuz Thierry, dusza człowiek, niesłychanie energiczny i w przeciwieństwie do mnie, niemający najmniejszych problemów w nawiązywaniu kontaktów. W akademii mieliśmy swój pokój. Dwa komputery, tłumaczka, klima, słowem bajka. Ponieważ każdy został wyposażony w służbową komórkę, nie było potrzeby organizowania spędów na jakieś dodatkowe spotkania. Big Boss mógł mieć kontakt z każdym z nas w zależności od potrzeb - nie korzystał z tej możliwości często.

Pierwsze tygodnie poświęciłem na opanowanie tematu, za który odpowiadałem. Czytałem, porównywałem, spotykałem się z szefem akademii. Rozmawialiśmy o stanie realizowanych projektów, również o głupotach z tym związanych. Dowiedziałem się np. o projekcie dotyczącym korzystania z materiałów biurowych. Skoroszyty, zszywki, dziurkacze itp. Szkolenie było jednodniowe. Problemem było jednak to, że musieli w nim uczestniczyć oficerowie średniej kadry kierowniczej policji z całej Republiki Serbskiej (RS) i żeby tylko dojechać i wrócić - tracili dodatkowy dzień. Razem dwa dni poza służbą. *Što ste mislijeli da ovdje je Afrika? Staples ni ste vidjeli ili što?* To porównanie z Afryką przypomniało mi pierwszą misję i polecenie wydane tłumaczcze przez nigeryjskiego kolegę, aby zapytała na miejscu zabójstwa, czy świadek jest pewny, że nie zrobił tego lew z lasu. Niedocenianie „miejscowych” przez zapominanie, że jest się w centrum Europy było częstym zjawiskiem.

Każdy program szkoleniowy i oczywiście projekty, były monitorowane przez *Program managera* w Sarajewie. Służył do tego system *benchmarking*, do którego na bieżąco wprowadzane były dane umożliwiające analizę postępu prac. Moim „nadzorcą” był mój kontyngentowy „podwładny”, chłop, że go do rany przyłóż, Mirosławem zwany. System działał sprawnie. Sęk w tym, że obserwując w nim moje projekty, byłem zadziwiony dobrym, chyba, humorem mojego poprzednika, który nie wiem dlaczego, ich realizację wywindował wirtualnie na „prawie ukończone”. Nie zgadzało mi się to całkowicie ze stanem faktycznym. Wprawiało mnie to w stan pomiędzy zakłopotaniem a obawą, że może się mylę, może czegoś nie rozumiem i stąd moja błędna ocena. Moje pytania kierowane do *managera* programu, również jego wprowadzały w zakłopotanie. Na gruncie misyjnej szkoleniówki był równie świeży co ja. Aby wyprowadzić tematy na prostą, organizowałem spotkania z moimi Serbami jedno po drugim. Przekazywałem dokumenty i materiały - „gotowce”, których wcześniej na oczy nie widzieli. Chciałem jak najszybciej nadrobić - moim zdaniem - stracony czas. Byli cierpliwi i moje tempo znosili z godną podziwu wytrwałością.

Wizytacja

Zastępcą Mirka był Włoch Juliano. Gdy dostałem cynk, że jedzie na kontrolę, szalałem przez dwa dni, nie dając moim serbskim kolegom chwili odpoczynku. Zdwoiłem wysiłki. Tłumaczka drukowała, foliowała, zszywała i na przyjazd Julia byliśmy gotowi. W drzwiach stanął *Carabinieri* w galowym mundurze. Srebro przeplatało się ze złotem. Na patkach tłące się granaty, tak samo na czapce, o liczbie baretek nie wspomnę. Widok robił wrażenie. Ale to był mój Julio. Spotkałem go w Rzymie na ćwiczeniach w 2003 r., a przynajmniej tak mi się wydawało. Mój kurtuazyjny atak i niedźwiedź z niewidzianym od dwóch lat kolegą wprowadził go w osłupienie. Stał jak słup, coś tam mrucząc w bardzo niezrozumiałym angielskim. Tak, to on, gość, z którym nie mogę się dogadać, jak dzwonię do Mirka. Facet stał, pewnie myśląc, że ma przed sobą wariata albo też usiłował mnie sobie przypomnieć. Thierry zaczął się śmiać nerwowo. Wyskoczył zza biurka i - wskazując palcem na gościa - odezwał się mniej więcej w ten sposób: *you, you are the person with very bad English. How did you get your position in HQ? When I call your office I can't understand what you are talking about.* Mój francuski kolega we właściwy dla siebie sposób przemówił do gościa bardzo bezpośrednio. Gwoli wyjaśnienia, muszę wspomnieć, że angielski Thierry'ego też nie był najwyższych lotów. To było już za dużo dla szanownej inspekcji. Wyraźnie łypał na leżącą na półce swoją piękną czapkę. Podałem ją niezwłocznie i chyba trafiłem bezbłędnie, bo zaczął się żegnać i skierował się do wyjścia. W drodze na parking to raczej ja mówiłem. Natychmiast zadzwoniłem do Mirka, zdając relację. Następnego dnia usłyszałem o wynikach kontroli - bez uwag.

Przebieżki

Thierry dbał o kondycję fizyczną. Załatwił sobie w akademiku pokój, gdzie się przebiegał i odświeżał po biegu. Może pobiegasz ze mną? Sam byłem ciekaw reakcji mojego organizmu. Wsłuchiwałem się w każde skrzypienie mojej skołatannej czaszki. Moja głowa reaguje na wszelkie zmiany ciśnienia. Gdy wiązę sznurowadło, po wyprostowaniu wyglądam jak burak. Pierwsze były zwykłe przebieżki, ot kilometr, góra dwa. Później zacząłem biegać parę kilometrów pod górę, pod monument. Olbrzymi pomnik, upamiętniający II wojnę światową, góruje nad miastem, ale jakoś tak delikatnie. Trzeba wiedzieć, gdzie szukać, żeby go dostrzec. Z pewnym niedowierzaniem dotarło do mnie, że mogę, że biegam i coś z tego może być. Gdy Thierry był na urlopie, nie opuszczałem żadnej możliwości przebiegnięcia się. Kilka razy zagłębiłem się ścieżkami w lasy otaczające Banja Lukę. Gdy gubiłem drogę, szedłem na przysłowiową szagę odnajdując miejsca, w których pewnie jako *stranac* znaleźć się nie powinienem. W odnalezionym w leśnej głuszy obozowisku, a raczej miejscu gdzie mogło ono w każdej chwili zostać zorganizowane, było obficie źródło. Woda przepływała przez drewniane koryta i żeliwne wanny. W leśnych ostępach widziałem bardzo dużo wraków samochodów osobowych. Raz natknąłem się na chatynkę z widokiem na leżące poniżej miasto. Kurtuazyjnej rakii z nieodłącznymi muszkami - bo *sue to je prirodno*, nie mogłem odmówić.

Że coś muszę zrobić, wiedziałem od razu. Wszelkie przeglądy, naprawy, wymiana wątpliwych plomb, to się robi przed misją, ale jak na jakiejś kostce ząbek się uszkodzi - rada jest jedna - szybko do stomatologa. Za pół godziny siedziałem więc w fotelu, a gościu widząc białe - czerwone na mundurze zaczął snuć opowieść. *Tuż po studiach „za chlebem” znalazłem się w Niemczech. Wiesz, chciałem zarobić na gabinet, bo ani ja, ani rodzina pieniędzy nie mieliśmy. Stałem na zmywaku bez szans na poważny zarobek. Pomogła mi Polka - miała legalny gabinet. Pozwoliła mi leczyć swoich, no wiesz, Bałkańców. Wieczory były moje. Mieliśmy „dogovor”. Zwracałem jej za zużyte materiały, no wiesz, było tego sporo. Po dwóch latach, gdy musiałem wracać, byłem już ustawiony. I wiesz, co się stało? Ostatniego dnia zwróciła mi całe te pieniądze. Powiedziała coś, co zapamiętałem do końca życia...- kibicowałam ci i teraz z prawdziwą przyjemnością dołożę się do gabinetu - tylko nie kupuj byle czego. Gdy sięgałem po pieniądze, chwycił mnie za przedramię. Poljak kod mene neće platiti.*

Przyjazd syna

Kumpel wracał z Tarnowa z urlopu. Zadzzwoniłem do Gregora, czyby nie miał ochoty odwiedzić starego ojca. „Mały Grześ” miał ochotę. Odebrałem chłopaka w Sarajewie, gdzie dojechał po przesiadce w Tuzli. Stamtąd zabrał go drugi kumpel z Nowego Targu. To dobrze, gdy w potrzebie pomogą ci dobrzy ludzie, a z misjonarzami tak już jest. Przyglądałem się synowi kątem oka. Wysoki - prawie 190 centymetrów wzrostu (bez centymetra) robiło swoje, a miał dopiero 17 lat. Był wyraźnie zmęczony podróżą. Przed Banja Luką zapytał? Tato - dlaczego nie używasz szóstego biegu? - jakiego szóstego biegu? - pomyślałem - zerkając na dźwignię - no tak, faktycznie jest szóstka. Tu po górach szóstka nie była potrzebna, a *carlog* na autostradzie skutecznie zniechęcał do „rozwijania się”. VW *Variant* był świetnym samochodem, ale że nie wiedziałem, że ma szósty bieg - to prawda. Gdy Mały Grześ odespał, pokazałem mu miasto. Niezliczona liczba kafejek zrobiła chyba wrażenie na młodzianie, bo gdy byłem w pracy, przesiadywał w nich. Po południu chodziliśmy w trójkę na bilard do pobliskiej kafany. Z „Długim” sączyliśmy *Pelinkovaca* z lodem i cytrynką, a najmłodszy soki, których obfitość była tu wielka. Gdy opowiadałem w akademii o latorośli i wyszukiwaniu dla niego atrakcji, ktoś zapytał - a rafting? W Banja Luce jest prężny klub raftingowy. Pomysł przerodził się w czyn. Następnego dnia pojechaliśmy do miasteczka Krupa na Vrbasu, skąd rozpoczął się spływ. Ubrani w mokre pianki i takie same buty zajęliśmy miejsca w pontonie. Wyglądaliśmy na zaprawionych w bojach zawodowców. Spływaliśmy w dół rwącą rzeką, wyglądającą chwilami groźnie.

W spokojnych miejscach Thierry - pokazując dzikie kaczki - głaskał się po brzuchu, a jego mniem, mniem brzmiało z polska. Nasz przewodnik pokazywał nam odcinki, na których odbywają się zawody międzynarodowe. Gwoli sprawiedliwości dodam, że wtedy spuszczały też wodę z zapory. Znalazł też czas na postój. Skakaliśmy z półki skalnej. Zachęcając „małego” Grzesia do skoku, za chwilę patrzyłem na kipiel, z której się wynurzył. Gdy przyszła moja kolej, zadrżałem patrząc w dół. Przy niesamowitym dopingu zdecydowałem się. Spadając miałem czas na refleksję, że nawet z potłamanymi nogami mnie wyciągną. Na kolejny skok nie zdecydowałem się. Opowiadając o tym epizodzie w Polsce, z biegiem czasu historia zaczęła tak jakoś sama się ubarwiać. Skalna półka stała się Orlą Percią, itp., a wysokość, na jakiej się znajdowała, zrobiła się tak znaczna, że już nie przechodzi mi przez gardło.

Siedząc nad Vrbasem w restauracji Stari Mlin, można było obserwować międzynarodowe towarzystwo, które upatrzyło sobie to miejsce. Faktycznie, lokalizacja była wspaniała, a i wystrój wnętrza przypominał stare, dobre czasy. Można było siedzieć we wnętrzu drewnianego budynku, patrząc na żar paleniska, w którym przyrządzano mięseczko, jak też siedzieć przy stolikach tuż przy nurcie rzeki. Koło wodne mielące wodę „na niby” przypominało, że były czasy bez elektryczności. Z czasem zraziło mnie długie oczekiwanie i małe oszustwa. *Miješano meso* powinno być mieszane. Gdy kiedyś jako mieszane podano mi upozorowanego na inne mięsa kurczaka (piletina), wyraziłem dosadnie, co o tym myślę i przestałem to miejsce odwiedzać. Chłopaka odwiozłem do kraju, jadąc na urlop. Chorwacja, Węgry, Słowacja - dla mnie wszelkie możliwe kombinacje były już kiedyś „przejechane”. Gdy jadąc, wymyślałem inną opcję trasy, za chwilę odkrywałem, że tu byłem. No, bo te parę lat na Bałkanach...

Pogrzeb Stepane

Będąc w Banja Luce byłoby ciężkim grzechem nie odwiedzić przyjaciół w Daruvarze, do którego był rzut beretem, ot godzinka jazdy. Zbierałem się do tego już kilka razy. Miałem nawet dogadane z Thierryem, że wezmę jego starego peugeota. Wyjazd przyspieszyła wiadomość od Ivanki - zmarł Stepane, nasz misyjny ojciec, druh i przyjaciel. Kupiłem żywe kwiaty, nie mogąc ścierpieć panującej tutaj mody na wieńce ze sztucznych kwiatów owinięte w folię i z tą folią kładzione na groby. Przyjechałem bezpośrednio na cmentarz. Do zmroku pozostały może dwie godziny. Przed bramą powitaniom nie było końca. Był Vaso, Ivanka, Emilija z mężem i wielu innych. Na mój widok Ivka uroniła łzę, opowiadając o mężu. Stepane od dawna chorował na nerki. Wiedziałem, że bywał w szpitalu. Ceremonia pogrzebowa nie trwała długo. Jadąc na stypę odkryłem, że samochód nie ma świateł. Pobieżny przegląd instalacji nie pomógł. Do diabła ze stypą - żegnałem się błyskawicznie. Aby do granicy z Republiką Serbską. Dojechałem po ciemku. Brak świateł nie dziwił tutaj szczególnie. Takich samochodów - jak mój dzisiaj - widziałem codziennie dziesiątki.



Stepane z psem Medo - zdjęcie autora

Przepiękna okolica

W jedną z wolnych niedziel pojechaliśmy z „Długim” obejrzeć wodospady na rzece Krupa. Po wodospadach Kravica stałem się fanem takich miejsc. Miejscowość Krupa na Vrbasu nie była nam obca. Tutaj przecież rozpoczęliśmy spływ pontonem. Małe 40 kilometrów od Banja Luki wzdłuż rzeki Vrbas - to malownicza trasa, jak większość tutaj. Przyzwyczajony do nizinnego Mazowsza miałem teraz styczność z czymś całkiem odmiennym. Trasę tę pokonywałem często w drodze do Sarajewa. Co innego jednak prowadzić samochód górską drogą wzdłuż przepaści i urwisk, a co innego siedzieć obok kierowcy. Teraz mogłem oglądać i rzekę, i góry bez obawy, że spadnę w dół. Miejscowość jest nieduża i nic nie zapowiada czekających wrażeń. Z głównej drogi, w centrum miasteczka, skręca się w prawo pod górę, mija domy, po kilku minutach podjazdu, zjazd wąską nitką asfaltu w dół do miejsca nad rozlewiskiem. Tu trzeba zostawić samochód. Ścieżka prowadzi w górę. To nie rzeka, to raczej rzeczka, a może nawet silny strumień, niosący mnóstwo wody. Spieniona, roztrzaskuje się o skały, spadając w dół stromego, małego kanionu. Pokolenia zamieszkujących to miejsce ludzi, pracowały nad zaprzężeniem wody dla swoich potrzeb. Widok małych, a raczej miniaturowych młynów rozmieszczonych jeden nad drugim pozwalał snuć różne domysły - może były własnością rodzin a może tutejszej społeczności? Część wody ujarzmiono w przemysłowych korytach - może do hodowli ryb albo płukania czegoś?

Kamienna ścieżka była miejscami śliska i trzeba było bardzo uważać. W jednym miejscu jest spora drewniana kładka. Robiąc z niej zdjęcia zastanawiałem się, ilu ciekawych ludzi robiło to samo przede mną. Czy w archiwach austriackich i niemieckich mają zdjęcia robione tu przez żołnierzy w trakcie obu wojen? Czy dla walczących piękno miało jeszcze jakieś znaczenie, czy też wojna wyprała ich mózgi z tego doznania? Zastłuchany w kipiącą wodę, myśląc o historii tego miejsca, zerkąłem czasem na nasz samochód. Chociaż byliśmy jedynymi gośćmi w tej samotni, zacząłem odnosić wrażenie, że coś tu nie gra, nie pasuje. Po chwili odkryłem. Po lewej stronie zbocza, nad parkingiem „królował” dom, nowoczesny dom. Jego styl nie pasował zupełnie do tego miejsca. Widać było, że właściciel ma pieniądze, dużo pieniędzy. Czy trzeba było wiele zachodu, żeby dostać pozwolenie na zbudowanie tego „czegoś” tutaj? Przypomniałem sobie domki i domeczki wzdłuż drogi dojazdowej. Ale czego ja się czepiam? W Polsce mamy podobną sytuację. Cwaniaków i cwaniaczków jest u nas bez liku. Obchodzą przepisy, korzystając z sobie tylko znanych możliwości. Na spływie Brdą widziałem miejsce, w którym gość - skądinąd bardzo porządny facet - wrzucił do rzeki w jej pasie chronionym kilkanaście ciężarówek gładów po to tylko, żeby nie meandrowała. Chce się krzyczyć! Zostawcie przyrodę w spokoju!!! Da sobie radę bez nas, tylko wcześniej nie niszczy i nie trujemy.

Z „Długim” przemysłiwaliśmy o kupnie samochodów. Zakup na mienie przesiedleńcze wart był zachodu, ale nasz zapał studziły problemy z papierologią i ryzyko związane z ewentualnym wcześniejszym zjazdem. Nie spełniając warunku półrocznego używania zarejestrowanego za granicą pojazdu przy minimum rocznym pobycie, trzeba by zapłacić trzykrotną wartość rynkową bryczki, co było wydatkiem horrendalnym. Wolne chwile spędzaliśmy, porównując ceny,

kalkulując itp. Tutejszy dealer zachęcał do kupna jego opłi (z Gliwic), ale znajomi z Sarajewa odradzali to posunięcie. Powodem była niechęć Bośniaków z Sarajewa do zajmowania się pojazdami zakupionymi w Republice Serbskiej. To w Sarajewie wystawiano finalne dokumenty wywozowe. W końcu czas nas zaczął palić. Jeżeli kupować to już. Pozostało dwa tygodnie na kupno i rejestrację. Później nie spełnimy warunku półrocznego użytkowania. Wygrała opcja niemiecka. Rodzina „Długiego” w *Passau* pomagała jak mogła. Jeździliśmy po okolicy cały dzień, by w końcu dojść do tego, co średnio inteligentny człowiek powinien wiedzieć - nikt na świecie za pół darmo nie sprzeda samochodu, także Niemiec. Wszelakie okazje to bajki. Pod koniec dnia zdecydowaliśmy się na poflotowe fordyski w dieslu. Nasze bryczki służą nam w zasadzie bezproblemowo, no może oprócz rdzewiejących drzwi, co nie powinno się zdarzyć tak szybko, ale poza tym jest OK. W moim przypadku przy pięciu użytkownikach, z których dwójka przyuczała się na moim sprzęcie - mogę powiedzieć, że nawet bardziej niż OK.

Prywatne samochody dały nam większą niezależność. „Długi”, zapalony wędkarz, w wolnych chwilach nie tracił czasu. Znał okoliczne akweny jak mało kto. Jeździliśmy na stawy, gdzie spotykaliśmy się ze znajomymi z czasów Gradiški. My jechaliśmy z Banja Luki na Nową Topolę i w Razboj skręciliśmy w lewo, a z Gradiški można było dojechać tam wzdłuż wału przeciwpowodziowego. Nie miałem tyle samozaparcia, żeby godzinami sterczeć na pomoście. Komary cięły niemiłosiernie i zazwyczaj tak się działo, że gdy opuszczałem wędkarzy, szczęście im zaczynało dopisywać. Nieraz „Długi” wracał do domu z „wielorybem” godzinę po mnie. Moje szczególne zainteresowanie wzbudzał sum olbrzym. Czasem płynął blisko powierzchni wody i ciągnął za sobą ślad jak motorówka kilwater. Żeljko opowiadał, że rok wcześniej złapano tu suma, tak na oko około 150 kilogramów na stalową linę. Przynętą był padły kurczak. Rybę wyciągnięto z wody traktorem. Do dzisiaj nie wiem, czy Vesna (której poświęcam więcej uwagi w dalszych rozdziałach) była zadowolona z darowanych ryb, czy też stanowiły dla niej problem - uśmiechała się zawsze. Była starszą wyrozumiałą panią. Starła się pomagać „niewidocznie”. Mieszkała na parterze za Salonem Ljepote. Mąż, oficer serbski, zmarł na początku wojny. Opowiadając jak cierpiał, miała łzy w oczach. Szpital w zasadzie bez leków - i najogólniej mówiąc - bieda na oddziale powodowały, że cała opieka nad chorym spadała na nią. Byli dobrze sytuowaną rodziną. Pierwszy cios spadł na nich, gdy w wyniku trzęsienia ziemi musieli odbudować dom. Pracowała w sklepie ze złotem. Opisując, jak uciekali z niego, gdy zatrzęśto, ciepło wyraziła się o kierowniku. Zabił go przed drzwiami spadający gzyms - personel ocalał. Aha, dotarło do mnie. To dlatego biegnąc pod pomnik, mijam stację sejsmologiczną. Jakoś nikt wcześniej nie powiedział, że mieszkamy w rejonie sejsmicznym. Vesna często siadywała na krzeselku przed bocznym wejściem i popijała kawę. Do tego nieodłączny papieros. Jakoś tak naturalnie przysiadawałem się.

Z Polski przywoziliśmy kawę instant, której na Bałkanach się nie pije. Lubiła ją. Zaryzykuje stwierdzenie, że tutaj większość o takim wynalazku nie słyszała. Kawa instant to chyba produkt, który nam Polakom wciśnięto marketingowo. Pijemy niesmaczną lurę, zapominając o czymś równie ważnym - ceremonii picia. Pianka, śmietanka, ciasteczko, czekoladka. Wtedy ma to sens. Obserwowałem Włochów w Rzymie. Wpadają do swoich kafejek przed pracą na filiżankę

kawy i croissanta. Przekrzykują się między kolejnymi łykami i w drogę. Czy przystanek „kawa” spowalnia zwariowany pęd za ... No właśnie, za czym? I czy warto? Vesna była/jest zamiłowaną palaczką. Czasem podrzucaliśmy karton „takich lepszych” z Polski. Chwaliła, że smaczne. Widząc, że długo nie wracamy z podróży do Sarajewa, często przyrządzała coś ciepłego. Gdy za progiem drzwi czułem zapach gotąbków, wiedziałem, że była. Te gotąbki, a raczej coś do nich podobnego - farsz był owinięty marynowanymi liśćmi winogron, były majstersztykiem smaku. Stały na kuchence owinięte folią aluminiową, gotowe do podgrzania. Trafiła zawsze tak, że ta czynność była zbędna. Na stole, na metalowej tacy, przykryte również folią domowe ciasteczka. Takie malutkie, często z orzechami włoskimi. *A palačinki?* - poezja. Vesno, na Twoją cześć za dobroć i opiekę powinniśmy z „Długim” śpiewać peany.

Party

Jurgen, szef biura zorganizował party. Było wspaniale zaplanowane. Z miasta, chyba z jakiejś restauracji albo firmy cateringowej, przywieziono okrągłe barowe stoliki, do tego odpowiednie krzeselka, słowem *high life*. Wszystko to ustawiono na parterze sali recepcyjnej używanej na co dzień do odpraw. Ponieważ stał tu również fortepian, można uznać, że klimat był więcej niż odpowiedni do słuchania przebojów śpiewanych przez utalentowanego, jak się wkrótce zorientowałem, młodego człowieka. W wieczorze uczestniczyli nasi miejscowi partnerzy. Było kilka osób z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych RS i szefostwo Akademii Policyjnej. Towarzystwo krążyło między stolikami, prowadząc luźne rozmowy. Było przyjaźnie i na luzie. Chociaż nie lubię tego typu wydarzeń, tutaj czułem się wspaniale. Kilka rodzajów wina, piwo, cola i ciasteczka. Jak niewiele potrzeba do szczęścia. Na wstępie Jurgen przywitał wszystkich, występując „przy okazji” w roli dowódcy niemieckiego kontyngentu. Gdy po małej godzinie wpadliśmy na siebie, patrząc mi w oczy rzucił ni to twierdząc, ni to pytając - *Marek, are you going to organize similar event in a month as a chief of the Polish contingent?* O tym, co to jest fundusz reprezentacyjny, każdy wie, ale ja takiego nigdy nie miałem. Żeby nie świecić oczami, przy różnych okazjach „wykładałem” swoją kasę. Dowódca musi czasem uczestniczyć w spotkaniach, w przerwie których lub po nich cała grupa udaje się np. na obiad, czasem do lokali, na które mnie nie było stać, a odmowa stawiałaby mnie (Polaków) w złym świetle. Nie trzeba tłumaczyć, że właśnie na takich spotkaniach, w trakcie nieoficjalnych rozmów załatwia się sprawy, nawet te z gatunku trudnych. Od dowódcy kontyngentu, oczekuje się też reakcji na wydarzenia, w których on sam lub kraj, który reprezentuje, mógłby pomóc. Gdy nieszczęście dotyka miejscowych policjantów - kolegów po fachu, solidarność zawodowa w niesieniu pomocy jest „oczywistością oczywistą”. W jednym z przypadków byliśmy chyba jednym z niewielu kontyngentów policyjnych, których miejscowa prasa nie wskazała wśród nacji niosących pomoc, bo na prośbę o 200/300 USD odpowiedziano mi z Polski - NIE. Ciągle słyszę, że nas nie stać, że nie ma pieniędzy itd. Zapewne na promocję, jeśli już, to wydajemy sporą kasę, ale gdy można to zrobić małym kosztem, brakuje wyobraźni.

Vesna

„Długi” był fanem owoców. To samo zdrowie - powtarzał często, chociaż nie było to konieczne. Obżeraliśmy się winogronami. Nie były miejscowe. Identyczne można kupić w Polsce. Te lokalne były raczej przeznaczone na wino. Często razem chodziliśmy na zakupy. Te podstawowe robiliśmy w sklepach obok. Ja lubiłem się „szlajać” po sobotnim i niedzielным targu, obserwując i kupując żywność przywiezioną ze wsi. Były dwa miejsca targowe. To pierwsze: olbrzymie, na otwartej przestrzeni - mydło i powidło, giełda samochodowa, starocie, słowem, wszystko. Tutaj kupiłem sobie siekiery, siekierki, sprzęt do pieczenia prosiaków i drobiu wszelakiego. Miejscowi zaopatrywali się tu w hurtowe ilości papryki i innych warzyw na zimę. Wolałem jednak ten mniejszy. To była raczej hala targowa z żywnością, podobne, nowocześniejsze hale widziałem na Węgrzech - tylko pozazdrościć. Gdzie nam w Polsce do takich standardów? Zaopatrywaliśmy się tutaj w sery wszelakie. Domowe wędzone i te słynne białe w słonej zalewie z Travnika. Masło w ośłkach, miód, orzechy i rakija. Rakiję widziałem czasem w olbrzymiastych butelkach jak w starych rosyjskich filmach. Oczywiście, poważny klient mógł próbować. Przywożąc do Polski różne sery „na spróbowanie”, widziałem, że smakują. Niedaleko hali targowej jest muzeum. Przed nim resztki jednego z pierwszych śmigłowców niemieckich z okresu II wojny światowej, lokomotywka i tankietka. Chociaż wybierałem się obejrzeć ekspozycję w środku, jakoś nigdy nie było mi po drodze.

Jesienią zauważyłem Vesnę targającą do domu worki z papryką. Marynowana papryka to tu tradycja. Nie wzbudziło to mojego większego zainteresowania. Obudziłem się, czując wspaniały zapach. Nie przypominał mi niczego, co znałem. Jeszcze przed wyjazdem do pracy dostrzegłem Vesnę krzątającą się w letniej kuchni. Podeszedłem z ciekawości. Na rozgrzanych fajerkach gospodyni przewracała paprykę. Z przypieczonych owoców skrobała skórę. *A! to jest ta guljena paprika!* Mięiste owoce, pozbawione skórki i zawartości w środku, noszące ślady przypiekania, ubija się w stojach lub kamionkowych naczyniach i zalewa olejem. Po południu gdy odświeżony po pracy zszedłem zobaczyć, jak idzie praca, Vesna kończyła ostatni worek.

Zauważyliśmy dużą stertę desek, a raczej obrzynków w ogródku. Po dwóch dniach patrzę rano, a Vesna z siekierką coś tam łupie. Što radiš? - *spremam drva za zimu* - ostavite, vratimo se s posla to ćemo pomoći. Nasza pomoc ograniczyła się do wrzucenia obrzynków do piwnicy, co zajęło nam w trójkę małą godzinkę. Pani domu była wyraźnie zaskoczona i nie wiedziała, co powiedzieć. Moje doświadczenia z Doljani, gdzie z Bodkiem pomagaliśmy przy cięciu drewna - i te teraz z Banja Luki wskazują, że bezinteresowna pomoc nie jest tu powszechna, a jak już robią to „obcy”, to już w ogóle nie wiadomo, o co chodzi. A nam było miło. Jak skończyliśmy, siedliśmy u siebie do zacnych szklaneczek Stocka. Po drugiej kolejce usłyszeliśmy pukanie i za chwilę Vesna „wjechała” z ciasteczkami i butelką rakii w ozdobnej karafce. Wypiliśmy po kieliszku. Woda, pomyślałem w pierwszej chwili, starając się nie dać po sobie poznać, że mi „nie wchodzi” - a może już ze mną niedobrze? Może już smaków nie czuję? Takie i inne myśli targały moją biedną łepetyną. Gdy jednocześnie głośno zaprotestowaliśmy z „Długim” na propozycję: još

jedan? - odgadłem, że mój kolega poczuł to samo co ja. Żegnając gospodynię, podziękowaliśmy za ofertę pozostawienia uroczej butelki z jej mniej smaczną zawartością. Po paru tygodniach purpurowa i niesłychanie zakłopotana Vesna zaprosiła nas do siebie na niedzielny obiad. Czy coś się jej stało? - pytając, „Długi” patrzył na mnie, jakbym mógł coś wiedzieć. Po kotlecie, papryce we wszelakich postaciach - faszerowana jest wyśmienita - puściła farbę. *Poslijednim putom u boci je bila voda, unuk napravio šalu i znate...*- ryknęliśmy śmiechem. Pogroziła nam palcem, że to niby powinniśmy od razu powiedzieć, a tak dopiero elektryk wezwany do naprawy czegoś tam, zaprotestował po poczęstunku.

Kłopoty z Pawłem

Przy okazji służbowego pobytu w Banja Luce odwiedził nas Paweł, na co dzień pracujący w Brčku. Rozmawialiśmy o tym i owym. Pytałem, jaką trasą jechał - przez Chorwację autostradą. Ponieważ ostatnio na tapecie było karanie za przekroczenia prędkości (z misji wyleciał Anglik) naturalnym było, że zapytałem jak z tą prędkością na autostradzie - daję radę, odpowiedział z uśmiechem. Miałem w pamięci świeżą mordęgę, gdy - jadąc po Thierry'ego do Zagrzebia - musiałem „trzymać 90”. Nawet ciężarówki mnie wyprzedzały, a jeden z kierowców pukał się w czoło. Z tym *carlogiem* ktoś dobrze pomyślał, ale nie uwzględnił jazdy autostradowej. Tam nasze służbowe pojazdy stawały się zawalidrogami. Oczywiście, że na wyjazd z rejonu misji - Chorwacja to inny kraj - też trzeba było mieć zgodę, która była wydawana przez „Sarajewo” na specjalny *request*. Ciągłe „pipanie” urzędnika ostrzegającego kierowcę, że jedzie za szybko, doprowadzało mnie do irytacji. Funkcja kontroli prędkości *carloga* nie miała dużego znaczenia w jeździe miejskiej i po górach, gdzie trudno było się rozpędzić. Posiedzieliśmy do 16. Pamiętam, że ponownie zapytałem, czy będzie wracał autostradą, bo teraz byłem już pewien, że przed zmrokiem nie da rady dojechać do siebie. Minęły dwa tygodnie, gdy zostałem powiadomiony o wszczęciu postępowania wyjaśniającego w stosunku do polskiego policjanta za nieautoryzowany przejazd autostradą i znaczne przekroczenia prędkości. Nie muszę dodawać, kto był tym delikwentem. Po kolejnych dwóch tygodniach dostałem kopie dokumentów z postępowania. Nie było zmiłuj się. Dowody były oczywiste, a nasz kolega w zasadzie nie tłumaczył się - bo się zaciął. Jego „angielskie” wyjaśnienia były bardzo cieniutkie. Zamiast przyjąć na klatę sprawę i czekać na wyrok, zacząłem walczyć w myśl zasady „biją naszych”. Rozmawiałem z dowódcą Pawła. Pierre był moim dobrym znajomym. Pracował wcześniej w Banja Luce. Pojechałem do Sarajewa i rozmawiałem z szefem transportu i szefem sztabu misji. Dostrzegłem cień nadziei. Na bieżąco mejlowałem do Pawła, przedstawiając stan sprawy. Wszystko to nie było proste, gdyż na misji nie było etatu dla kogoś bez ID karty, którą natychmiast odbierano delikwentom. Stanowiła ona wejściówkę na bramkach i umożliwiała uruchomienie pojazdów, identyfikując użytkownika. Tak więc bez ID egzystencja na misji była niemożliwa, no... prawie. Życzliwe Sarajewo odpowiedziało rozwiązaniem - nie na telefon Marek, nie na telefon. Rozumiejąc znaczenie sprawy, wrzuciłem do teczek polskie gadżety i pojechałem do Sarajewa. Po drodze usiłowałem sobie przypomnieć, co z tego, co wiozłem, dałem w podarunku wcześniej. Chodliwe były polskie *badge*, jeden więcej, jeden mniej pomyślałem... wieści były dobre. Paweł będzie pracował w zespole oficerów dyżurnych Kwatery Głównej. Na służbę jeżdżą jednym samochodem, słowem, zawsze ktoś go podwiezie - pasuje? Mój rozmówca uśmiechał się pewnie też zadowolony, że pomógł - tu naprawdę nikt nie chciał nikomu zrobić krzywdy. Wracałem nie śpiesząc się, schodziło ze mnie napięcie - w Travniku stałem cierpliwie w korku, w Banja Luce zerknąłem na pojazdy stojące na parkingu Starego Młyna, odrzucając pokusę przepukania gardła, wiedziałem, że w domu na wieści czekał „Długi”.

Rano rzuciłem się do kompa przekazując nowinę zainteresowanemu, a w południe zadzwoniłem - u rozmówcy nie wyczułem entuzjazmu. Przeniesienie do Sarajewa miało nastąpić natychmiast. Jeszcze tylko aplikacja Pawła o przeniesienie do Sarajewa, gdy zadzwonił do mnie Pierre. Wiesz, ten twój Polak spakował się i chyba wyjechał do Polski... - co?

O sprawie powiadomiłem „Warszawę”. Zgodnie z przepisami dowódca kontyngentu jest zobowiązany do napisania oceny okresowej swoim podwładnym. Pawłowi wystawiłem opinię, na jaką zasłużył, chociaż teraz, myśląc o tym wiem, że i tak była „za delikatna”. W każdym razie nie proponowałem jego kandydatury do udziału w kolejnych misjach.

Koordinacja

Do Sarajewa na koordynację jechałem już kolejny raz. „Koordinacja” była spotkaniem przedstawicieli ministerstw spraw wewnętrznych Bośni i Hercegowiny oraz Republiki Serbskiej odpowiedzialnych za szkolenie. Aby wprowadzić program szkoleniowy w życie, trzeba było dokonać trójstronnych uzgodnień. Mogły one trwać miesiącami. Strony analizowały nasze (to znaczy EUPM) propozycje, rozważały ich zasadność, zgodność z obowiązującym strony prawem, możliwościami realizacji przez ośrodki szkolenia... słowem mnóstwo pracy bez gwarancji szybkiej realizacji. Na program składały się projekty. Zdecydowanie łatwiej było w przypadku realizacji projektu niewchodzącego w większą całość (program). Gdy już wszystko było dograne i uzgodnione, pod dokumentem podpisywali się ministrowie spraw wewnętrznych, a ministerialne komórki odpowiedzialne za szkolenie przekazywały polecenia realizacji szkolenia akademiom policji w Sarajewie i Banja Luce. Rolą doradców misji unijnej była pomoc w jego realizacji (w tym koordynacja) - to tak w dużym uproszczeniu.

Siedząc w klimatyzowanym pomieszczeniu obserwowałem zgromadzonych. Przewodniczył Mirek. Sącząc kawę, słuchałem jak omawia stan prac i rozpierała mnie duma - to tak zawsze, gdy nam Polakom się wiedzie. Z Banja Luki przyjechał mój partner z akademii. Chociaż na co dzień byliśmy na ty, tutaj obowiązywał nas protokół. Po dwóch godzinach łagodnych przepychanek dotyczących nowych zapisów w projekcie dokumentu, nasi partnerzy doszli do zgodnego wniosku, że zmiany wymagają konsultacji prawników. Na pytanie przewodniczącego - czy posiedzimy dłużej bez przerwy i zakończymy obiadem, czy też idziemy na obiad i po nim wznowimy pracę, wszyscy jak jeden opowiedzieliśmy się za wariantem pierwszym. Po pół godzinie było po wszystkim - do następnego razu. Stołówka, pamiętająca czasy UN miała dużą przepustowość. O czym można rozmawiać, połykając kęsy? - chociażby o tym, co nie zostało poruszone na oficjalnym spotkaniu. Bośniacy mieli problem z absolwentami sarajewskiego uniwersytetu, kończącymi kierunek policyjny. Studenci niby to wiedzieli, że po studiach nie ma gwarancji pracy w policji, ale mimo to kierunek był oblegany. Walka o ogień rozpoczynała się po ostatnim egzaminie. Pracę w policji niejako „z automatu” dostawali studenci akademii policyjnej, a ci z uniwersytetu... w większości zasilali szeregi bezrobotnych. Tak to ambicje polityków przejawiające się potrzebą posiadania prężnego ośrodka uniwersyteckiego przegrywały z realiami dnia powszedniego.

Amir

W drogę powrotną ruszyłem najszybciej jak się dało. Planowałem spotkać się z człowiekiem, który od dawna mnie fascynował i gdy tylko miałem sposobność tak organizowałem podróż, by ponownie go zobaczyć. Między miejscowościami Travnik i Donji Vacuf leży Komar, takie maleńkie coś - z drogi widać tylko położoną na zakręcie restaurację. Od Travnika do tego miejsca droga wiję się stromo pod górę, by potem równie stromo i z zakrętami opaść. Na zakrętach trudno wyprzedzić jakikolwiek pojazd, a ciężarówki są zmorą śpieszących się. W miejscach gdzie ewentualnie mogą zatrzymać się podróżujący, mieszczą się stragany sprzedawców miodu. W jednym z takich miejsc, z dala od wszystkich, swój biznesik prowadzi Amir. Handluje starociami, a wszystkie jego skarby mieszczą się w malutkim, podszytym wiatrem drewnianym pawilonie. Siedział na progu, przyglądając się podjeżdżającemu transporterowi. Gdy mnie rozpoznał, szybko się podniósł i zamachał na powitanie - *Dobro došli gospodine - dobar dan Amire, kako ste?*

Witaliśmy się jak starzy znajomi, chociaż widzieliśmy się wcześniej zaledwie parę razy. Zapraszającym gestem zachęcał do wejścia. Usiadł na taborecie, mnie sadzając na wiekowym, przykrytym starym bieżnikiem kufrze. Gdy zgodziłem się na oferowany kieliszek rakii, wstał i poszedł do odległej części chaty. Pachniało starociami i mysimi odchodami. Z zadowoleniem dostrzegłem podarowanego podczas poprzedniej wizyty „Polanda” wetkniętego w róg lustra. Na ścianach wisały stare końskie uprząże i chomąta. Maszyna do szycia Singera przykuwała wzrok kolorowymi, chyba emaliowanymi, zdobieniami. Liczne o różnym kształcie butelki stały na przemian pomiędzy opatulonym pajęczyną zardzewiałym żelastwem - przydatnych w pracach domowych narzędzi rolniczych: sierpów i kos, dłut, młotków i świdrów do drewna. Drewniane, ręcznie robione grabie stojące w kącie wyglądały na nowe. Amir powrócił, niosąc metalową tacę z dwoma metalowymi kieliszkami i buteleczką trunku. Z zawiniątka wyjął kawałek wędzonego sera. Krojąc go na małe porcyjki, opowiadał o wojnie. Mięśnie ramienia miał niebywale poszarpane odłamkami pocisku moździerzowego. Patrząc na to wyobrażałem sobie cierpienia, jakich doznał. Nie skarżył się. Mówił cicho i w skupieniu. Przed oczami widziałem bezmiar nieszczęść, jakich doznał i widział. Gdy nie rozumiałem, cierpliwie powtarzał. Nie był ochoczym mówcą. Musiałem pytać, wtedy kontynuował. Są miejsca, w których odpoczywam od trosk doczesnych. Zdałem sobie sprawę, że jednym z nich stało się położone w górach Bośni miejsce pracy Amira. Patrzyłem z góry na opróżniony do połowy kieliszek, mając szczerą ochotę zapomnieć się, odpłynąć, pozostać tu na dłużej. Czy mieliście kiedyś taką potrzebę? Było mi dobrze z gospodarzem. Ser był doskonały i w tej chwili było mi wszystko jedno, kto go robił i czy miał czystsze dłonie od widzianych naprzeciw. Sikając za węglem domku, wniosłem swoją „donację” do intensywnego, drażniącego nos zapachu moczu tego miejsca. Po godzinie żegnaliśmy się jak zawsze, mówiąc sobie - do następnego razu, obaj wiedząc, że ten może być tym ostatnim.

Wymarzona kurtka

Jestem fanem kurtek M-65. Mając potrzebę zakupu nowej, buszowałem w Internecie szukając tak zwanej okazji. Z pomocą przyszedł „Ja Ryży Koń”. Powinienem napisać, że jako łodzianin był zorientowany w tekstyliach, ale byłaby to krzywdząca mojego przyjaciela opinia. Po prostu też lubił *military style*, a obecnie sprowadzał sobie kurtkę amerykańskich pilotów. *Po co będziesz kupował niemiecką podróbkę? - polskie są też świetne* - co prawda to prawda. W Republice Serbskiej dało się zauważyć modę na chodzenie w „mojej” zielonej wersji. Żeby nie należeć do grona „wielu”, zdecydowałem się na wersję czarną, której w realu nigdy nie widziałem. Po dwóch tygodniach mój zacny kolega przywiózł z urlopu w kraju moją „wymarzoną”. Byłem zadowolony. Jakość bez zastrzeżeń. Rozstaliśmy się radośnie, a ja stałem teraz, przyglądając się sobie w lustrze i rękawom sięgającym prawie kolan. Po prostu mam krótkie ręce, no nie krótkie w sensie ich fizycznej niedoskonałości, bo bardzo mi się podobają i nic do nich nie mam - tylko tak dziwnie się składa, że wszystko, co przymierzę, a ma długi rękaw, jest fabrycznie nie dla mnie. Nawet przymierzając, mam trudności w zakupie. Siedzieliśmy z „Długim”, „sącząc” problem i rozważając, co by tu, kuźwa, zrobić. *Może odciąć w środku rękawów po 10 cm i zszyć?* - przyglądałem mu się podejrzliwie. *A może odciąć od dołu?* - kontynuował. Tak, a co z rzepami? *A może zamienić w sklepie myśliwskim tutaj?* Brzmiało rozsądnie.

Rano z Thierryem zrobiliśmy nalot na dwa sklepy. Przyjmowano nas z atencją do momentu wyłuszczenia problemu. W jednym odmówiono zdecydowanie, w drugim poproszono o przyjście po południu - niby to mieli uzgodnić z właścicielem. Nic z tego jednak nie wyszło. Mój francuski kolega tak starał mi się pomóc - a gadane to miał, że wciągnął się w problem do tego stopnia, że pod koniec dnia doszedł do przekonania, że ta kurtka jest stworzona dla niego. Nie wiedziałem, jak się zachować. Czy dziękować uniżenie i tak w ogóle to... Thierry był niższy ode mnie o prawie głowę, ale faktycznie, łapska to miał dostatnie, tylko ta długość... wyglądał jak... w płaszczyku, a to przecież była kurtka. No nie popadaj w skrajności, strofowałem sam siebie, może chłop właśnie tak się nosi. Wątpliwości, czy czasem nie chciał mi mój kolega na swój sposób „pomóc”, nurtowały mnie długo.

Trochę polityki

Kontrolując magazyn, w którym policja z Banja Luki przechowywała broń pochodzącą z przestępstw, w książce ewidencyjnej zwróciłem uwagę na Berettę - może taka sama, jaką miałem w Iraku? - pomyślałem patrząc na zgromadzony tu arsenał. Na odnalezienie pistoletu czekałem dość długo. Nie dla wszystkich jednostek broni znalazło się miejsce w stojakach i na półkach. Patrzyłem więc jak magazynier metodycznie przeszukiwał stertę leżących na betonie pistoletów. Odkładał je na bok, tworząc coraz większy, kolejny stos żelastwa. W tym czasie prowadziliśmy niezobowiązującą rozmowę, taką - o wszystkim i o niczym. Gdy padło pytanie - *Da li poznajes Mazoujeckog? Da li znas, tko je on ?* - byłem lekko zaskoczony - zresztą, jak zawsze gdy pytano mnie tu o byłego premiera. Tak, znam, odpowiedziałem mojemu rozmówcy - to polityk. Gościu nie próbował dalej mnie przepytować. Pewnie jakimś cudem wyczuł, że znam bałkańskie powiedzenie - *politika je kurva onda političari su kurve*.

Późno, stanowczo zbyt późno zdałem sobie sprawę, jaką negatywną postacią w opinii moich rozmówców był mój rodak - czy jednak tylko w opinii Serbów? Pobyt na Bałkanach w roli Specjalnego Sprawozdawcy Komisji Praw Człowieka ONZ i opowiedzenie się w zasadzie po jednej ze stron konfliktu powoduje, że ocena bałkańskich dokonań pana premiera nie jest jednoznaczna. Czy to, że zrezygnował z funkcji, co w Polsce próbuje się przedstawiać jako protest przeciwko braku reakcji ONZ i organizacji międzynarodowych na jego raporty, nie było przypadkiem decyzją człowieka, który w końcu zdał sobie sprawę, że skala problemu go przerosła? Bałkański kocioł to wielowątkowość - splot globalnej walki religijnej i globalnej polityki i... może dotarło do pana premiera, że tak naprawdę nic tu nie poradzi? A może zrobił, co miał zrobić... wkrótce przecież nastąpiły bombardowania...

Spór o prymat w świecie chrześcijańskim tradycyjnie zbiera na Bałkanach krwawe żniwo. To niewypowiedziana wojna ludzi, którym z mlekiem matek wpojono przekonania, za które gotowi są oddać to, co najcenniejsze. Podział Kościoła na prawosławie i katolicyzm pomimo stuleci nie został zażegnany. Dlaczego chrześcijaństwu nie udało się przywrócić jedności? Jeżeli istniejesz, widzisz i patrzysz, to powinieneś grzmieć, *wszak Tyś wszechmocny, Tyś najwyższy, Tyś jest Panem*. Powinieneś grzmieć na owieczki w wilczych skórach, które w Twoim imieniu, z Twoim imieniem na ustach zamiast dążyć do zgody, prowadzą trzody do bratobójczej walki. Wyrzwanie się pod Twoimi sztandarami budzi mój sprzeciw. Już w młodości latami miałem wątpliwości. Teraz jestem prawie pewien, moja wiara chwieje się - mleko matki przestaje działać.

Oczywiście... pan premier mógł zrezygnować. My... policjanci, żołnierze, pracownicy MSZ musieliśmy służyć, pracować dalej. Wiązało się to często z koniecznością mierzenia się z bałkańską spuścizną dyplomaty z Polski. Przyznam, że nie jestem pewien, czy chciałbym, aby kiedykolwiek ktoś ponownie zadał mi na Bałkanach pytanie - *Da li poznajes Mazoujeckog? Da li znas, tko je on?*

Zawody strzeleckie

Kadra dydaktyczna akademii miała odbyć w tym tygodniu strzelanie. Mieliśmy rzucić na nie gospodarskim okiem, gdyż nie odbywały się często. W kraju, gdzie nieoficjalnie o broń i amunicję do niej chyba nie było trudno (powojenne prywatne zapasy), zapewnienie amunicji na oficjalne strzelanie policjantów było sporym wyzwaniem. Wiedzieliśmy, że nasi koledzy mają broń służbową pochodzącą z wielu źródeł. Mogła ona pochodzić z konfiskat lub używali jej w czasie wojny. Stąd mnogość ich typów i kalibrów. Republiki nie było stać na zakup jednego typu pistoletu służbowego dla wszystkich funkcjonariuszy, były inne ważniejsze potrzeby. Stojąc teraz z Thierryem za pierwszą zmianą strzelających, obserwowałem jak amunicyjny dwoi się i troi, wyciągając z kieszeni lub torby właściwą amunicję. Przeważały pistolety CZ (Cervena Zastava - nie mylić z czeską CZ) od najstarszych (niektóre właściciele chromowali) po najnowszą CZ 99. Było kilka Berett i rewolwer. Potężnie wyglądający gościu, nie widziałem go nigdy wcześniej, dysponował Glockiem 17. Przyglądałem się organizacji zajęć i zachowaniu warunków bezpieczeństwa. Chociaż prowadzący strzelanie robił swoje na luzie - miał przed sobą kolegów w wieku „od rekruta po... wyraźnie emerytów”, wydawane komendy i zabezpieczenie miejsca strzelania nie odbiegało od tego, co robiliśmy w centrum. Strzelanie było na punkty w ograniczonym czasie. Gdy podeszliśmy do tarcz sprawdzić wyniki, doznałem rozczarowania. Były bardziej niż mizerne. Drugiej i kolejnym zmianom też nie wiodło się lepiej. Pisząc, że wyniki strzelców ośmieliły Thierry'ego, popełniłbym błąd. Mój kolega zawsze był śmiały i bez krępacji. Zaczął się rwać do strzelania. Wyraźnie chciał pokazać, że można zrobić wynik i że ten wynik robi ON.

Wiedziałem, że służbę pełnił w elitarnej jednostce Żandarmerii Francuskiej i po prostu chciał zabłysnąć. Wycofałem się i z daleka patrzyłem, jak któryś raz z rzędu dawał pokaz swoich umiejętności strzeleckich. Gdy ochy i achy zaczęły cichnąć, zaczął się rozglądać. W przekonaniu, że to ja byłem jego celem czy też ofiarą, jak kto woli, utwierdziły mnie jego dziarskie okrzyki zapraszające mnie na linię ognia. Nie chciałem dać się wciągnąć w te zawody, bo tak naprawdę nie powinniśmy nawet tej broni dotykać, ale entuzjazm mojego kolegi udzielił się pozostałym. Atmosfera była podgrzana do tego stopnia, że moje NIE mogłoby zostać uznane za „cykorię”. Poczułem „zew Somosierry” i tak zacząłem dygotać, że chociaż w normalnych warunkach nie powinienem mieć obaw o wynik, to miałem chwilkę zwątpienia. Strzelaliśmy w zmianie powtarzających strzelanie. Oczywiście wszyscy pobiegli do naszych tarcz. Na pięćdziesiąt możliwych punktów miałem 43, a mój rywal 40. Nie byłem zadowolony - to przez tę Somosierrę, powtarzałem sobie. Serdeczne podkpiwanie z Francuza odniosło odwrotny skutek. Rewanż miał nastąpić natychmiast. Thierry dostał Glocka, mnie przypadła CZ. Także tym razem byłem lepszy i to wyraźnie.

Podczas powrotu transporterem do domu (lubiłem go bardziej od stojącego pod domem VW Varianta) widziałem, że cierpi. Miał skupioną twarz i wyraźnie prowadził pracę myślową. W końcu zapytał. *Marek, my friend, why are you so good at shooting? Thierry, my friend, I have spent ten years on a shooting range. I am a shooting instructor and for your information I have graduated from French Shooting Academy too.* Twarz mojego kolegi zmieniała się. Teraz, początkowy wyraz niedowierzania zmienił się na pełen podziwu. No cóż, teraz znacznie łatwiej było mu przełknąć gorzką pigułkę. Honor uratowany. Francuska Akademia Strzelecka rozgrzeszyła wszystko.

Manjača

Poligon wojskowy Manjača znajduje się kilkanaście kilometrów od Banja Luki. Tutaj słuchacze akademii mają zajęcia z typowej wojskówki. Uczestniczyłem w nich miesiąc temu. Pamiętam z nich skwar lejący się z nieba, kilka wiat krytych blachą falistą i ze trzy czołgi służące za makiety raczej, bo na sprawne nie wyglądały. Dzisiaj z zastępcą szefa akademii jechałem na zakończenie kursu. Kilkudziesięciu słuchaczy od rana przygotowywało się do uroczystego pożegnania policyjnej Alma Mater. Na przedmieściu Banja Luki jadąc w kierunku Sarajewa - skręciliśmy w prawo i wspinając się wąską asfaltową drogą, wjechaliśmy na wzgórze o tej samej nazwie co poligon. Zjeżdżając z niego łagodnie w dół, po krótkiej jeździe oczom ukazuje się piaszczysty, z rzadka porośnięty płaskowyż. Chociaż droga prowadzi w prawo, my jedziemy prosto. Przy bramie typowe biuro przepustek, dalej po prawej stronie kilka typowych koszarowców. Można się było domyślać, że kiedyś miejsce to tętniło żołnierskim życiem, teraz w uszach dzwoniła cisza. Siedząc za „prezydialnym stołem” patrzyłem na policyjny narybek. Rzuciła się w oczy stosunkowo duża liczba przedstawicielek płci, którą często dla przekory określam jako brzydką, a tutaj wręcz przeciwnie. Co jak co, ale urody słuchaczkom akademii nie brakowało. Może przy naborze mają jakieś dodatkowe kryterium? Szukałem dziury w całym, żeby dać szansę podobno najpiękniejszym kobietom świata, ale dzisiaj te znad Wisły jakoś nie mogłyby się przebić. Po krótkiej części oficjalnej, gdy przeczytano stosowne rozkazy, rozpoczęła się część artystyczna, przygotowana przez abiturientów. Słuchając skeczy, opowiaderek i innych żartobliwych scenek, zjadłem się przygotowanymi specjałami. Ponieważ prawie zawsze mam mokre powieki, gdy ktoś śpiewa, a zawsze gdy jest to śpiew na głosy i na dodatek z Bałkanów, z niemałym trudem usiłowałem zachować nieprzeniknioną twarz twardziela, jedyne tu przedstawiciela Unii Europejskiej. Pełen podziwu dla artysty, który sam sobie akompaniując, porwał przedstawicieli wszystkich nacji Bośni i Hercegowiny do wspólnego śpiewania, słuchałem i zazdrościłem. Czego zazdrościłem? Że znają teksty, że dusza podpowiada im, jak śpiewać na głosy, że w tym składzie, bez wcześniejszych prób byłiby w nadwiślańskim kraju lepsi od 99 procent moich rodaków znających od biedy dwie zwrotki hymnu narodowego, „Górala” i parę biesiadnych.

Manjača to również miejsce, gdzie w czasie działań wojennych w 1993 i 1995 r. działało więzienie wojskowe (według innych źródeł - „obóz przesłuchań”), w którym Serbowie wzięli Bośniaków i Chorwatów - każda ze stron konfliktu miała takie „miejsca”. Według różnych danych przez „to miejsce” przeszło około 6 tysięcy ludzi. Po wielu ślad zaginął. Czy radość młodzieży, śpiew, pokaz nieskrępowanej wolności były sztuczne, na pokaz? Przecież to nie jest możliwe, żeby nie wiedzieli, co tu się działo? Śmiem twierdzić, że w Polsce podobna uroczystość w takiej samej formie nie mogłaby się odbyć na Pawiaku. Bałkany były, są i pozostaną nieodgadnione. Są po prostu nieprzewidywalne i tyle.

Wyprawa do Sarajewa

Jedziemy z „Długim” do Sarajewa na piątkowe szkolenie. A może zostaniemy na sobotę i niedzielę? Telefon do Seki. Możemy się u niej zatrzymać. Mieszka w starej mużulmańskiej części miasta. „Długi” poznał ją, gdy oboje pracowali dla ONZ w Kwaterze Głównej. Ja znałem ją tylko z widzenia. Od Starego Miasta odchodzi w górę wiele uliczek. Jedną z nich bardzo wąską o nawierzchni z bazaltowej kostki, miejscami połataną asfaltem jedziemy pod górę. Nachylenie nie mniejsze niż 35 stopni. Jedyńka, dwójka i to wszystko. Silnik pracuje na wysokich obrotach. Pytanie nasuwa się samo - jak oni dają sobie tu radę w zimie? Przypomina mi się moja przygoda z podjazdem ulicą Dolną do Puławskiej przy słabym hamulcu ręcznym. Po paru minutach jesteśmy na górze - *chyba przejechaliśmy* - mój towarzysz próbuje zawrócić na małym, też „silnie” pochyłym skrzyżowaniu, ale jadący za nami nie pozwalają - zatrzymanie się przy jeździe pod górę jest ryzykowne. Kontynuujemy wspinaczkę i zawracamy przy malutkim cmentarzu położonym na wierzchołku wzniesienia. Na tym samym pochyłym skrzyżowaniu kierujemy się w lewo i jesteśmy na miejscu. Wszystkie domy przylegają bezpośrednio do uliczek. Chodniki, przejścia dla pieszych, jeśli są - to bardzo wąskie. O rzut beretem stoi malutki meczet.

Pani domu wita nas w progu. Za chwilę pojawia się córka. Przedstawiamy się sobie. Nasze buty zostawiamy przy wejściu. Przy dopieszczonym obuwiu domowników nie wyglądają ciekawie. Przyglądam się dyskretnie domowi. Dywany, dywany, wszędzie ich pełno. Czystość wręcz razi oczy. Wszystko lśni. Sporo szkła, pamiątkowych zdjęć i drobiazgów pochodnych polskim szklanym rybom i pająkom na firankach. Nasz podarunek - słodkości w wielkim pudle - spodobał się. Pijemy kawę - przy jej przyrządzaniu obserwowałem każdy ruch. Tak samo robi to Ivanka w Daruvarze i Vesna w Banja Luce. Chorwaci mówią na nią *turska kava*, Serbowie *kafa* a w Bośni jest to *kahva*. Pomagająca matce córka dwoi się i troi. Jest urocza i ma miły, ciepły głos. Opowiadają o sobie. Druga córka nie wróciła jeszcze z pracy. Mąż zginął w wypadku tuż po wojnie. Pochowałam go niedaleko na cmentarzu - chyba tam byliśmy, przechodzi mi przez myśl. Wychodzimy zapalić. Z malutkiego tarasu widok na położone w dole miasto. Robię zdjęcia. Czy możesz nam pokazać okolicę? Schodzimy w trójkę w dół. Okazuje się, że tuż obok znajdują się pamiętające czasy tureckiego panowania schody. Zrobione z bazaltowych płyt wiją się wśród równie starych domów. Klimat tego miejsca jest niesamowity. To nie muzeum ani skansen. Te domy żyją. Malutkie okienka, schodki, przejścia, furtki i furty. Mam wrażenie, że nie jesteśmy sami, że ktoś mi się przygląda. Na dole plac, chyba jakieś miejsce przesiadkowe transportu miejskiego, taksówki. Ruch, gwar - chce mi się wracać do spokoju i ciszy panującej na górze.

W kiosku kupuję pocztówki. Bašćaršija to sarajewskie Stare Miasto - pełne turystów. Przypomina mi się Bodeczek i nasza wycieczka z dziećmi. Wspomnienia odżywają w pamięci. Wracamy. Spacer pod górę daje się we znaki. W domu czeka na nas gorąca zupa, taki nasz rosół i ciasteczka, oczywiście do kawy. Są słonawe z sezamem, ziarnami słonecznika i czymś tam jeszcze. Na chwilę zapominam o liczeniu kalorii. Zasypiam w malutkim pokoiku, film urwał mi się gwałtownie. Obudził mnie śpiew muezina i potrzeba skorzystania z toalety. „Długi” śpi jak dziecko. Chce mi się już wracać do Banja Luki. Muezin przypomniatł mi Irak, chcę do

domu już i teraz. Poranna kawa, ciasteczka, wędliny. Ustalono - wracamy po południu, ale teraz jeszcze w górę na cmentarz. Nie poznaję swoich butów. Lśnią jak lustro. „Długi” zerka na mnie, patrząc na swoje. Seka pokazuje nam grób męża. Zapożyczyła się na pomnik, ale tradycji stało się zadość. Żegnamy się jak z wszystkimi tutaj, pamiętając o tym, że może to być ostatni raz. Stojąca przede mną kobieta ma życiowy cel. Musi samotnie wychować córki. Wprawdzie obie są dorosłe i po studiach, ale ich wspólny los zależy od rodziny męża. Po jego śmierci do jego rodziny należy lwią część tego, czego się wspólnie dorobili. Jak się teraz potoczą ich losy? Powodzenia, Seko.

Chcę jeszcze się przejść po zaułkach starego Sarajewa. Od dawna poszukuję „wrednie kolorowego” materiału na kamizelki. Kiedy postawiłem zadanie krawcowej, ta rozłożyła ręce - materiał, potrzebuję materiału. Tak więc, gdzie mnie los nie rzuci, szukam, wierząc, że się uda. Kiedyś nazywano te sklepy bławatnymi, ale gdzie takie miejsce znaleźć. W Iraku byłem już blisko, ale nie znalazłem, może tu? Krążę więc teraz od sklepiku do sklepiku, od stoiska do stoiska, zaglądam do budek i straganów. Nic z tego. Patrzę na wyroby chyba kotlarza, przyglądam się zadymionemu pomieszczeniu. Czy to kuźnia? - A może to wytwórnia nowych staroci, bo stojące przy palenisku wyroby jakoś dziwnie przypominają mi stare, miedziane „konewki” na wodę. Mała przestrzeń, ciasne przejścia i ten zapach. Ten sklep wygląda na bardzo cywilizowany. Za szklanymi powierzchniami okien mienią się kolorami materiały. Wchodzę i tłumaczę, czego szukam - proszę wybierać. Już widzę, że to nie to, ale buszuję z ciekawości. Od sufitu w dół opadają delikatne, prawie przezroczyste materie kończące pokazowy lot w leżących na dywanach belach. To chyba na sari albo inne ciuchy na specjalne babskie okazje. No nie, kamizelki z tego na pewno nie da się uszyć. Wycofując się do samochodu, powstrzymuję się od zakupu fajki wodnej. Przecież już mam, przekonuję sam siebie. Wracamy Aleją Snajperów do wylotówki na Slavonski Brod.

SMS od siostry. Operacja Taty w Aninie trwała pięć godzin. Teraz trzeba czekać. Bezmyślnie patrzę na sklepiki z chińszczyzną. Obwieszone chwiejącymi się na wietrze lampionami zachęcają, prezentując w kurzu drogi swój towar. Mocno ściskam kciuki, Tato, trzymaj się.

Już kilkadziesiąt kilometrów przed Sarajewem na poboczu drogi stoją stragany. Można tu kupić typowe dla regionu wyroby rękodzielnicze: bieżniki, dywaniki, nakrycia głowy, wyroby garncarskie, skóry zwierzęce, wędzone mięso, kiełbasy i sery. Czasem zatrzymywałem się, porównując ceny kociołków. Kupiłem ich już sporo na Węgrzech, ale mi, że tak powiem, „schodziły”. Obdarowywałem nimi przyjaciół, posiadaczy działek. Moją uwagę przykuła skóra zwierzęcia o potężnych pazurach. Kuźwa, to przecież niedźwiadek. Sprzedający zauważył moje zainteresowanie. *Kao premalo, pokušať ću za više*. No nie, jeszcze tego brakowało. Kupowanie takich suvenirów nakręca im koniunkturę. Do mordowania niedźwiedzi ręki nie przyłożę. Niejako za karę wędzoną polędwicę kupiłem parę kilometrów dalej.

Tragedie ludzkie

O tym, że działania wojenne są pożywką dla tragedii ludzkich, pisać nie trzeba, to wszyscy wiedzieć powinni. Jak się ma z nimi do czynienia, niejako na dotyk, narasta frustracja. Jej przyczyn jest wiele. Mnie najdotkliwiej dokuczała bezsilność, szczególnie, gdy miałem do czynienia z dziećmi. Na misji UNTAES w jednej z wiosek, przed ufortyfikowanym posterunkiem Kanadyjczyków koczowała dziewczynka w trudnym do określenia wieku. Może miała 12 lat, a może była starsza. Siadywała w rowie przed bramą wjazdową. Uciekała przy każdej próbie nawiązania kontaktu, ale niezbyt daleko, zawsze była w zasięgu wzroku. Było oczywiste, że żołnierze ją dokarmiają. Była brudna i ładnie się uśmiechała. Co takiego przytrafiło się jej bliskim, że została sama? Cóż to musiało być, że oczywista choroba psychiczna zawładnęła jej umysłem? Zgłaszaliśmy problem do wszelkich możliwych organizacji pomocowych, do Czerwonego Krzyża - bezskutecznie.

W Banja Luce na skwerze w centrum miasta koczowała starsza pani. Jeśli zniknęła, to na parę dni. Dużo czasu poświęcała na swoją toaletę. Gazety zastępowały ręczniki. Nie zdejmując ubrania, brała prysznic i wycierała się. Oczywiście, prysznic był wyimaginowany, a ręcznik zastępowała gazeta. Była bardzo dokładna w tym, co robiła. Spała na skrawku czegoś osłaniając się parasolką, z której sterczały druty. Widziałem ją tam do chwili powrotu do Polski.

Innym przykładem wpływu wojny na umysły ludzkie był mężczyzna, przed którym w biurze byliśmy ostrzegani. Miał z głową bardzo, ale to bardzo nie w porządku i wybuchowy charakter. Wyglądał ponoć charakterystycznie - kawał chłopca. Gdy zobaczyłem przed sobą olbrzyma, wiedziałem, że to on. Na pozór normalny. Moją pewność potwierdziła nagła cisza, jaka zapanowała w sąsiednich pomieszczeniach. Jak on tu dotarł? Policjanci pełniący służbę przed budynkiem byli podobno na niego wyczuleni. Zaprosiłem, żeby usiadł. Nie chciałem wołać tłumaczki, ale dziewczyna zjawiła się sama. Przez prawie godzinę notowaliśmy opinie gościa na tematy, ogólnie powiedziawszy różne. Gdy chyba usatysfakcjonowany opuszczał biuro, przed budynkiem zobaczyłem przechadzającego się policjanta - *Odszedłem tylko na chwilę*, tłumaczył się nerwowo. Zapaliłem papierosa. Policjant rzucił spojrzenie. Nie powiedział nic, ale na 100 procent pomyślał - nerwowy palacz z niego. Takim to sposobem nasze relacje były na remis.

Polskość na Bałkanach

Każdy przejaw polskości w Banja Luce zauważaliśmy natychmiast. Uczestniczyłem kilkakrotnie w spotkaniu Polonii tu mieszkającej. Mieli swój lokal przy moście nad rzeką. Przychodziło kilkunastu polonusów w wieku można by powiedzieć słusznym. Raz młodszy ode mnie facet przedstawił nieśmiałą propozycję rozruszania działalności, ale wszystko rozbijało się jak zwykle o kasę. Ambasada... tak, przyjechał pan ambasador na spotkanie, wcześniej złożyliśmy wieniec na grobie zasłużonego Polaka, ale tak poza tym... też chodziło o fundusze. Środki zapomogowe będące w dyspozycji naszej dyplomacji wydawały mi się - osobie przyglądającej się temu z boku - na więcej niż skromne. Próbowano ratować sytuację, zapraszając naszych rodaków na święto do naszych żołnierzy w Doboju, ale darmowy autobus mający wyruszyć z Sarajewa nie zapełnił się. Nasi nie mieli pieniędzy na dojazd do miejsca zbiórki. Słyszałem o dwójce młodych studiujących w ojczyźnie przodków. Chciałem pomóc w podróży do Polski moim samochodem - zawsze były wolne miejsca, ale nie mogliśmy zgrać terminów. W byłej Jugosławii na obszarze aktualnej Republiki Serbskiej wokół Banja Luki jeszcze po II wojnie światowej były wioski etnicznie polskie. Polacy przybyli tu po I wojnie światowej, kiedy RP nawiązała stosunki dyplomatyczne z Królestwem Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Była to typowa emigracja za chlebem. Jeszcze parę lat po wojnie polskie delegacje państwowe przybywały tu, aby składać wieńce przed pomnikiem upamiętniającym polskich partyzantów walczących z Niemcami po stronie Tity. Gdy interesy polityczne naszych krajów rozeszły się, sytuacja Polaków pogorszyła się. Ich domostwa były przejmowane w bezprawny sposób, a mienie rozkradane. Jeden z Polaków, który przyszedł do mnie po pomoc, gdy pracowałem w Gradišće, opowiadał o gwałtach i grabieżach we wsi, w której mieszkał. A działo się to w 2002 r. Niestety nie chciał, abym sporządził z tego raport. Sprawie nie udało się więc nadać biegu.

Corocznie w Banja Luce odbywa się festiwal mniejszości narodowych. Do teatru - obejrzyć występy zespołów, poszedłem niejako z nudów. Z niejakim zdziwieniem zauważyłem, że udzielił mi się wspaniały nastrój widzów, żywiołowo reagujących na występy swoich pociech. Gdyż to, że lwiał część widzów stanowili rodzice, nie stanowiło wątpliwości. Gdy przyszła pora na występ Polaków, trzymałem kciuki, żeby się udało. Trójka dzieci, którym pomagała pani czytająca poezję, nie przyniosła nam wstydu. Przydałoby się jednak wsparcie z Polski takich inicjatyw. Drobnny sponsoring wzmocniłby więź młodzieży z krajem - może zaproszenie na warsztaty artystyczne w Polsce w okresie wakacyjnym?

Zadzwoił do mnie ambasador RP z informacją, że odwiedzi Banja Lukę. Spotka się z Polonią, no i oczywiście obejrzy występ Teatru Lalki i Aktora z Łomży. Co, z Łomży? Dotarło do mnie, że z tym teatrem jest związana ciocia mojej koleżanki małżonki, łomżynianki rodowitej, *ale nie Kurpianki, bo Kurpie są po drugiej stronie rzeki*. Popędziłem tęgim klusem spotkać się z aktorami. Na miejscu zastałem busa z przyczepą. Menedżer i kierowca faktycznie byli z Łomży, ale pozostała bracia aktorska w osobach chyba czterech była z całej Polski. O cioci coś tam słyszeli, ale rozmowa nie kleiła się. Dostaliśmy z ambasadorem bilety na miejsca w pierwszym rzędzie i otoczeni przez dzieci i rodziców obejrzelśmy spektakl pod tytułem „Biały Guzik”. Pomysłowa inscenizacja, rzecz dzieje się na dachach budynków, w roli głównej koty. No i ten

zagubiony biały guzik. Na wstępie otrzymaliśmy piękne gliniane guziki na rzemykach - swój przekazałem opiekującej się nami miejscowej pani. Mniej więcej do połowy występu aktorzy mówili po serbsku, później już tylko po polsku, co zaskoczyło dzieciarnię. Po paru minutach z zadowoleniem odkryłem, że ponownie reagowały żywiołowo, co jest potwierdzeniem tezy, że nasz język jest łatwy i przyjemny - od razu powiem, że nie będę się spierał z mającymi inne zdanie na ten temat.

Jeżdżąc po mieście, obserwowałem warsztat samochodowy specjalizujący się w odrestaurowywaniu garbusów. Zawsze stało ich tam kilka w różnym stadium prac. Kusiło mnie, aby tam wstąpić, ale powstrzymywałem się. Pewnie zaraz bym „wszedł w jakiś temat”. Stare VW w naszej rodzinie to jakieś wariactwo. Gdy więc zobaczyłem plakaty informujące o międzynarodowym zlocie garbusów, wiedziałem, że nie odpuszczę. Jakież było moje zdziwienie, gdy wśród kilkudziesięciu „garbich” ujrzałem pojazd z polską rejestracją. Był piękny. Wszystkie stały na placu przed domem towarowym, a dumni właściciele gdzieś w budynku mieli spotkanie. Pamiętam, że musiałem coś kupić i gdy wróciłem, już w kolumnie jechały „w miasto”. Nie miałem szczęścia porozmawiać z dzielną załogą. Zdalnie życzyłem im szerokiej drogi.

Zakończenie misji

W biurze nie robiliśmy wielkiej imprezy pożegnalnej. Kawa, ciasteczka i butelka wina, słowem, nic szczególnego. Sercem byłem z mieszkającymi tu ludźmi. Z akademią byłem związany szczególnie. I z szefostwem, i z szeregowymi pracownikami. Szefa i zastępcę zaprosiłem na obiad. Mógł przyjść tylko ten drugi. Siedząc na piętrze jednej z restauracji, zamówiłem *Karadjordjev odrezak* (kotlet Karadjordja), tutaj przyrządzali go najlepiej. Chciałem zapamiętać jego smak. Do tego *šopska salata*, *palačinke* i na koniec kawa. Rozmawialiśmy o początku mojej pracy i o tym, co osiągnęliśmy. Nie siedzieliśmy długo. Jak to zwykle bywa z szefami, terminarz mają napięty. Rozstając się, przyjąłem zaproszenie do skorzystania z bazy hotelowej akademii, gdy już jako turysta zawitam w te strony. Pożegnałem się też z bibliotekarzem Draganem i Mirą, pracownikami administracyjnymi akademii. W tak zwanym wolnym czasie siadywałem u nich, rozmawiając o problemach dnia codziennego. Dla mnie była to okazja do szlifowania języka. Oni byli ciekawi, jak żyje się w Polsce po przemianach. Poszedłem na ostatnią kawę do położonej przy akademii kafeterii. Lubilem tam zachodzić, gdy kadra i słuchacze mieli przerwę obiadową. Podawana do kawy czekoladka była nieodłącznym do niej dodatkiem. Natomiast do serwowanej jako dodatek lufki wody nie mogłem się przyzwyczaić, chociaż próbowałem zrozumieć jej znaczenie. Rozcieńczanie kawy wodą zapewne osłabiało jej moc i być może ułatwiało celebrę smaku. Dla mnie najważniejszy był kop, jaki dawał każdy łyk napoju i nie zamierzałem rozkładać tego w czasie. Vesna przygotowywała nam na drogę swoje specjały. Gdy nam o tym powiedziała, z niejakim przerażeniem obserwowałem wypełniające się słoikami kartony - całe szczęście, że kupiłem kombi.

Moja ostatnia wizyta w Daruvarze, to pasmo pochlipywań i mokrych oczu. Pojechałem tam w piątek po pracy. Zatrzymałem się u Ivanków. Zagryzając gemisza plasterkami pikantnej domowej kielbasy, rozmawialiśmy z Vaso o życiu. Najwięcej o Bodku. Przecież powinien tu z nami siedzieć. Powiedziałbym więcej. On tu, na tych meblach siedział, głaskał Ariego i z tego domu miał kota. Brakowało nam go okrutnie. Miałem ochotę na alkohol jak nigdy dotąd. W sobotę pojechałem do Ivki i Vladów. Ivka w pustym domu łuskała orzechy. Zawsze tę czynność robili wspólnie ze Stepanem. Mojego, naszego „misyjnego ojca” wśród nas już nie było, a Medo odszedł przed panem - jego buda stała pusta. Przypominał o nim zardzewiały łańcuch i łukowate zagłębienie w ziemi wyżłobione pracowicie psimi łapami. Na stole - przypominając zamierzchły czas - stało radio, przywiezione w prezencie z Polski. Odnosiłem wrażenie, że Ivka spoglądając na mnie ma wrażenie, że widzi całą naszą wesołą trójkę, która za chwilę uda się do piwniczki radośnie biesiadować. Wiedzieliśmy jednak, że tym razem gwar i śmiech nie będzie z niej dochodził. Czułem się jak relikw przesłości. Czy to sen, czy jawa, co ja tu robię i dlaczego to mi się udało? Te i inne przemyślenia targały mną na przemian. Zamiast cieszyć się widokiem przyjaciół, popadłem w smutną zadumę. W takim stanie żegnałem Daruvar. Wracając do Banja Luki po raz ostatni zatrzymałem się na leśnym parkingu przed Pakracem. Chciałem zapamiętać umieszczony tam cytat z wiersza chorwackiej poetki Ivany Brlić - Mažuranić: *Šuma je život, šuma je sreća, šuma je ljubav najveća*.^{*} Ten cytat oddawał moje uczucia. Cytowany las miał tu drugorzędne znaczenie.

Samochody wypucowane, zatankowane, wszystko spakowane. Wracamy do Polski. Ostatni rzut oka na machającą Vesnę i w trasę. Zatrzymujemy się w Gradišce. Želiko czekał. Nie chce nas puścić. Jest późna noc, a on zaprasza na kolację. Ruszamy przed północą. Nocną jazdę wymyśliliśmy dla świętego spokoju. Nie chcieliśmy odprawiać samochodów, stojąc w kolejkach. Wjeżdżaliśmy przecież w obszar celny UE, a samochody były zarejestrowane w Bośni i Hercegowinie. Na najlepiej nam znanym przejściu granicznym pomiędzy Chorwacją i Węgrami Duboševica/Udvar nie wiedzieli, co z nami zrobić. Wolny przejazd - tak, oczywiście, ale dokumentu SAD nie wystawią. Wracamy i wzdłuż granicy jedziemy na kolejne przejście. Sytuacja powtarza się. Donji Mihajlovac, Terezino Polje, wszędzie to samo. Była już trzecia nad ranem, gdy znaleźliśmy się na małym przejściu w Słowenii. Wyraźnie zaintrygowani naszymi paszportami funkcjonariusze próbowali pomóc, ale o dokumencie SAD nie było mowy. „Długi” już prawie wymusił zaświadczenie o przekroczeniu granicy, gdy dziewczyna ocknęła się i oznajmiła, że takiego druku nie ma w oficjalnych dokumentach, a odręcznie, to ona nic nam nie może napisać. Nieoczekiwanie pomoc zaoferował przedstawiciel agencji celnej. Zadzwoił do Ljubljany, coś tam uzgadniał i wspaniałomyślnie zgodził się na załatwienie papierologii po wpłaceniu kaucji. Jej wysokość miała wynieść trzykrotną wartość auta (tak na oko 24 tysięcy euro). Myślałem, że dostanę apopleksji - mam nadzieję, że przytoczyłem właściwą jednostkę chorobową. Podziękowaliśmy biznesmenowi raczej ozięble. Wjeżdżamy bez kwitu - zaproponowałem „Długiemu”. Nie będziemy przecież testowali kolejnych przejść, bo nas w końcu zatrzymają. Patrząc na liczbę pieczętek, jakie w cztery godziny wbito nam do paszportów, już budziłyśmy nadmierne „zaciekawienie”. Tak też zrobiliśmy. Pod Bratysławą, pijąc kawę na stacji benzynowej, zadzwoniłem do domu, prosząc o namiar na urząd celny. Uprzejmy pan po wysłuchaniu mojej opowieści, uspokoił mnie, doradzając zgłoszenie pojazdu bez zwłoki. Potwornie zmęczony pojawiłem się w urzędzie i załatwiłem, jak mi się wydawało sprawę. Jakże się myliłem. Gdy po kilku miesiącach otrzymałem pismo z tego samego urzędu o wszczęciu wobec mnie postępowania administracyjnego za... no właśnie, za niedopełnienie procedury związanej z wprowadzeniem towaru w unijny obszar celny bez stosownego dokumentu (SAD). Kara finansowa za to przestępstwo przekraczała moje wszelkie możliwości. To było coś około 30 tysięcy euro.

Do starszego pana nie docierały moje tłumaczenia. Bez emocji robił swoje. Pewnie nie byłem jego pierwszą „ofiara”, tak mi się wtedy wydawało. Chyba po trzeciej wizycie, złożeniu oświadczeń, zaświadczeń i już nie pamiętam czego, poprosił mnie do naczelniczki. Usiadłem naprzeciw sympatycznej pani. Była, że tak powiem w temacie. Podsumowywała mój przypadek, a ja czułem narastającą Somosierkę. Gdy już zaczęło mną telepać, usłyszałem... czy przyjmie pan karę administracyjną w wysokości - i tu usłyszałem kwotę - chyba 80 złotych? Myślałem, że śnię. Podejrzewamy, kontynuowała, że pana kłopoty na granicy wyniknęły z posiadania dyplomatycznych tablic. Mało pamiętam, co się potem działo, bo fala radości zalała moje serce. „Długi” na odległość wysłuchiwał moich relacji. Gdy powiadomiłem go o zakończeniu sprawy, chyba kamień spadł mu z serca. Jego urząd celny nigdy od niego nic nie chciał.

* Ivana Brlić - Mažuranić, *Priče iz davnine*, bajka Šuma Striborowa.

Vicenza - Włochy (2006 r.)

Seminarium

Do Ośrodka Doskonalenia Jednostek Policyjnych z lotniska w Wenecji zabrał mnie i kilku innych uczestników autobus włoskich Carabinieri. W CoESPU (angielski skrót nazwy ośrodka) oprócz Carabinieri, szkolą się policjanci z krajów rozwijających się oraz kadra dowódcza średniego i wyższego szczebla misji pokojowych ONZ. Wykładowcami są oficerowie Carabinieri i armii amerykańskiej. Na seminarium mieliśmy dyskutować o planowaniu strategicznym i operacyjnym na potrzeby jednostek specjalnych policji, nowej doktrynie ich użycia oraz zakończyć prace nad modułami szkoleniowymi dla jednostek specjalnych policji przed ich wysłaniem w rejon misji.

Ruszając z lotniska tęsknym wzrokiem szukałem tej właściwej Wenecji, no bo jak już tu się znalazłem, to chciałoby się... Podróż zajęła nam godzinę. Anne, nie traciła czasu i zanim się obejrzelśmy, wyciągnęła od każdego z nas, „kto zacz”, czym się zajmujemy w policji itd. Jak się miało wkrótce okazać, była dyrektorem organizacyjnym seminarium z ramienia Departamentu Operacji Pokojowych i w ten niewinny sposób rozgryzła towarzystwo. Vicenza - to także miejsce największej we Włoszech amerykańskiej bazy wojskowej. Dobrych kilka minut jechaliśmy wzdłuż wysokiego, chyba na osiem metrów, betonowego muru okalającego obiekt. Na nielicznych wieżyczkach nie dostrzegłem wartowników - pewnie elektronika spełnia te funkcje.

Kwaterując się, zauważyłem znajome nazwisko na drzwiach pokoju obok. I nie pomyliłem się. Wychodząc na wieczorne party powitalne, oko w oko stanąłem z Arym. Mój uśmiechnięty od ucha do ucha indonezyjski kolega oznajmił, że nic, ale to nic się nie zmieniłem i... Nie dałem mu się rozkręcić. Zrobiliśmy niedźwiedzia i - opowiadając jeden przez drugiego - pomaszerowaliśmy do pomieszczeń recepcyjnych, wymieniając po drodze szybkie informacje na temat dalszych losów znajomych z Białego Monastynu. Wiesz, że Gupta jest szefem policji w Indiach? - a niby skąd mogłem wiedzieć? - niech mu się wiedzie. Hindus był moim przełożonym - szefem stacji. Kończąc służbę, zgłosił moją kandydaturę do objęcia po nim schedy. Pamiętałem go jako stonowanego, uśmiechającego się łagodnie gościa oglądającego świat przez pryzmat okularów w złotej oprawie - wyglądał na człowieka, którego nic nie mogło wyprowadzić z równowagi.

Będąc na szkoleniu w Rzymie, uczestniczyłem w party wydanym przez szefa włoskiej policji. W pamięci pozostała mi gwiazdzista noc, obraz płynącego Tybru i przeboje śpiewane przez solistę i akompaniatora w jednej osobie. Jak będzie tutaj? Wspinając się po marmurowych schodach starałem się wyłowić interesujące mnie zapachy, ale bezskutecznie. W pomieszczeniu klubowym panował gwar. Kilkadziesiąt osób przyglądało się sobie nawzajem i nawiązywało pierwsze kontakty - typowe łamanie lodów. Zauważyłem wcale niemałą liczbę „mundurowych”, chociaż obowiązywał strój wizytowy. Gdy otworzono podwoje, ruszyliśmy, tak trochę zapominając o dyplomatycznej powściągliwości. Na srebrnych paterach, misach i wazach piętrzyło się jadło wszelakie. Rozpocząłem od gorących potraw. Opiekujący się nami oficerowie objaśniali

i doradzali. Spróbowałem pasty i różnych kiełbasek, ale ciągnęło mnie do zimnych zakąsek. Te były w kolejnym pomieszczeniu. Chociaż wędliny zachęcały do skosztowania, niezaprzeczalnie królowała szynka parmeńska i owoce morza. Na lepsze trawienie do wyboru była zmrożona wódeczka i wina - raj dla podniebienia. Drugi raz w misyjnej karierze rozmawiałem z chińskim oficerem. Jego angielski był wyborny - jak oni to robią? Po małej godzinie przeszliśmy do kolejnej sali - ciasteczka i kawa sugerowały, że to koniec przyjęcia. Ale właśnie tutaj poczuliśmy się naprawdę swobodnie. Nie miało znaczenia, kto jest skąd. Australijczyk zaśmiewał się, tłumacząc coś Senegalczykowi, Portugalczyk wyjaśniał Niemcowi proces produkcji porto, a Amerykanin ciągle nam „serując”, zabawnie opowiadał o podróży do Włoch z Liberii, gdzie był koordynatorem jednostek specjalnych. Było oczywiste, że stanowimy jedną wielką rodzinę, mamy wspólny język i bogate doświadczenia. Z takimi ludźmi sukces seminarium wydawał się oczywisty. Po śniadaniu wstąpiłem do małej kantyny dla kadry ośrodka. Zwabił mnie tam intensywny zapach parzonej kawy. Widząc małą kolejkę, zrobiłem ruch, żeby się wycofać, ale wszyscy - jak na komendę - zrobili krok do tyłu (cały czas ze sobą rozmawiając), a uśmiechnięty barman, zaprosił mnie do siebie. Cappuccino było wspaniałe.

Wenecja

W auli przeglądałem otrzymane materiały. Z wielkim zdziwieniem odkryłem, że siedzący obok mnie Ary ma stopień... generała, hm... człowiek nigdy nie wie z kim tańczy, oraz to że organizatorzy przygotowali dwa wydarzenia kulturalne. Pierwszym była wycieczka do... Wenecji. Nie będę się więc rozpisywał o pracach w grupach roboczych, burzach mózgów, studiowaniu wydarzeń itd... świadom faktu, że nie dla każdego byłaby to lektura interesująca. Ale taka Wenecja...

Vicenzę od miasta na lagunie dzieli około 50 kilometrów. Początkowo planowano, że będzie to popołudniowa wycieczka, ale „sprężyliśmy się”, debatując po godzinach i udało się. Wyjechaliśmy dużo wcześniej. Patrząc zza szyb autokaru na migający krajobraz popadłem w zadumę - tym razem nad zmienną koleją losu. W takich momentach „zawieszam się”. Odkrywam to, widząc miny osób usiłujących nawiązać ze mną kontakt. „Wróciłem”, czując szarpanie - to Ary pokazywał olbrzymi wycieczkowiec zacumowany w porcie. Głos z głośnika informował, że wszystkie służby mają obawy co do skuteczności ewentualnej akcji ratowniczej na takim kolosie. Nie czekaliśmy długo. W dużej łodzi motorowej - oczywiście karabinieri, zmieściliśmy się bez problemu. Co sprytniejsi zajęli miejsca, z których można było swobodnie fotografować. Wkrótce okazało się, że obiektów godnych uwiecznienia było tak dużo, że trzeba było się przemieszczać z jednej burty na drugą. Z portu wpłynęliśmy do kanału Grande. Jego początek, raczej nieodwiedzany przez turystów, to nabrzeża przeładunkowe materiałów budowlanych i towarów niezbędnych do funkcjonowania starej Wenecji. Podziwialiśmy słynne miasto, patrząc na nie przez panoramiczne okna naszego „wycieczkowca”, który po małej godzinie przycumował do kei przy Piazzeta San Marko. Stąd o rzut beretem był już plac świętego Marka, do którego doszliśmy z Arym porwani przez tłum turystów. Mieliśmy czas wolny do godziny 22, tak więc nie było pośpiechu. Wymieniając się aparatami uwiecznialiśmy nasz pobyt. Moje polskie baterie szybko odmówiły posłuszeństwa, priorytetem stał się więc zakup nowych. Wróciliśmy do nabrzeża, przeszukując w tym celu sklepiki z pamiątkami. Wrodzona niechęć do stania w kolejkach nic nie dała - wszędzie były dzikie tłumy. Z pokorą stanęliśmy na końcu długiego węża oczekujących. W tak zwanym międzyczasie wybrałem kilkanaście pocztówek - odrobina miejsca przy parapecie powinna wystarczyć. Gdy tylko wyjąłem długopis, wyrosła przede mną mocno umalowana wredota i kazała mi się wynosić. Nie zamierzałem się ruszyć, ale była zdeterminowana. Trzymając papierosa w jednej dłoni, drugą machała mi przed nosem, pokazując drzwi - gdybym cię przejrzał wcześniej lalunio, moja noga by tu... a tak... mocno skonfundowany ustąpiłem. Humor poprawił mi się natychmiast na widok ekipy japońskiej telewizji usiłującej nagrać jakąś scenkę rodzajową. Dwie ubrane w przepiękne kimono panie wypowiadały po raz któryś swoje kwestie - nie miały jednak szczęścia. Stały się obiektem zainteresowania turystów, w tym Japończyków, którzy przeszkadzali błyskając fleszami i głośnymi komentarzami. Jedna z aktorek machnęła w końcu ręką i przerwała tę nierówną walkę - ekipa zwinęła sprzęt.

Od paru godzin przemierzaliśmy miasto wzdłuż i wszerz. Łapczywie kodowałem panujące tu klimaty. Im dalej od turystycznych atrakcji, zabudowa z mojego punktu widzenia była ciekawsza. Wspaniale, z pietyzmem odnowione domy były jak perełki wśród większości wyglądających źle,

w liszajach łuszczącej się farby i odpadających tynków. Sklepiki z pamiątkami w takich domach kojarzyły mi się z dziuplami starych drzew. Przerzucone nad kanałami, urokliwe, maleńkie mostki, okupowała kolorowa, nie tylko z odzienia młodzież. Szukając toalety zostaliśmy dwukrotnie wyproszeni z kilkunastu hoteli. Za każdym razem służbowy uśmiech pana w liberii błyskawicznie zniknął, gdy dowiadywał się, o co chodzi. Natrętny zapach moczu w plataninie zaułków uliczek i wąskich przejść przestał dziwić - do kontenerowej toalety dotarliśmy w ostatnim momencie.

Nasz plan, aby posuwać się wzdłuż Wielkiego Kanału i obejrzeć mosty spalił na panewce z prostej przyczyny - nie wszędzie był do niego dostęp. W pamięci utrwalił mi się, zbudowany z kamienia most Rialto. Zadziwił z wielu powodów. Kamienne kramy mieściły się po obu jego stronach, zwrócone do wnętrza uliczki, która wiodła jego środkiem. Na krawędziach mostu były przejścia dla pieszych. Czy już wtedy projektant zaplanował rozdzielenie ruchu pieszego od kołowego? Stojąc na środku tego cudu inżynierii, przyglądałem się, jak tramwaje wodne podpywały pod falujący na wodzie przystanek i szybko odpływały, robiąc miejsce następnym.

Zapadający szybko zmrok uczynił zwiedzanie jeszcze ciekawszym. Podświetlone budowle wyglądały inaczej jak za dnia... Były wręcz zjawiskowe - te cienie, barwy... odgłosy muzyki. Brakowało tylko ludzi z tamtych lat. Spacerowaliśmy tymi samymi uliczkami, ale te powoli robiły się puste. Chociaż... Przed nami przemknął młody mężczyzna - długi czarny płaszcz, kapelusz, na szyi biały szal... Przekręcił klucz w drzwiach wiekowego domu. W łunie światła otwartych drzwi na moment ukazało się... nowoczesne wnętrze. Mieliśmy zamiar zatrzymać się na chwilę na mostku nad wąskim kanałem. Był to jego ślepy odcinek. Z dołu dochodził smród. Wokół „parkującej” tu gondoli woda przypominała ściek. Czyżby oni tu to wszystko wpuszczali bezpośrednio do wody? Zegarki „nakręcały” czas nieubłagane. Noga za nogą ruszyliśmy w drogę powrotną. Ostatnie spojrzenia, ostatnie nocne zdjęcia. Plac mojego imiennika świecił pustkami. Mijając Pałac Dożów, dostrzegliśmy naszą „łódkę”. Do autokaru wracaliśmy morzem. Nasz środek transportu rozwinął dużą prędkość. Płynąc w sporej odległości od brzegu, obserwowałem światła perły Adriatyku i Włoch.

Wizyta w winnicy

Po tygodniu pracy od godziny 8.30 do 18.30 z dwiema przerwami: na kawę i obiadową, zakładane cele zostały osiągnięte. Kwestie niewymagające trzymania nas tutaj miały być przedyskutowane na elektronicznej platformie wymiany informacji - to bardzo użyteczne narzędzie. Płytki CD z obfitością materiałów miały nam w tym pomóc. Jeszcze tylko „rodzinne” zdjęcie z dowództwem CoESPU i można było spakować mundury - wieczór poprzedzający nasz wyjazd z Vicenzy zapowiadał się ciekawie. Mieliśmy go spędzić w winnicy producenta znanej marki tego trunku. Podróż na miejsce zajęła nam pół godziny. Styl zabudowy winnicy podkreślał tradycje tego miejsca, ale tak subtelnie... w nowoczesnym wydaniu. Młody chłopak, syn właściciela, czynił honory gospodarza. Krótko poinformował, co nas czeka i rozpoczęło się... Spacer piwnicami, w których dojrzewało wino, był wykładem na temat jego produkcji, roczników, przechowywania w beczkach... no właśnie. Dębowe beczki kupowano gdzieś w Macedonii i wymieniano po 3 lub 4 latach. Młody człowiek nie chciał powiedzieć, komu je odsprzedają - w domyśle... producentom mniej dbającym o jakość. Ich liczba - tysiące robiło wrażenie. Korytarze i komory, w których je przechowywano, miały swoje nazwy. Co kilkadziesiąt metrów zatrzymywaliśmy się w miejscach, w których oglądaliśmy sprzęt używany dawniej w procesie produkcji oraz pamiątki rodzinne z tym związane. Patrząc na z pietyzmem eksponowane stare mapy geodezyjne, tworzone przy okazji skupowania od sąsiadów kolejnych hektarów ziemi, śledziliśmy rozwój rodzinnego interesu na przestrzeni kilkuset lat.

Zwiedzając z rodziną podobne miejsce pod Budapesztem, przy beczkach byliśmy częstowani ich zawartością. Do przełamania smaku służyły wtedy kawałeczki pieczywa posmarowane cienko smalczykiem - tutaj, nic takiego się nie zapowiadało... ale do czasu. Godzinne zwiedzanie minęło nie wiem kiedy. Gdy byliśmy już wszyscy, „spadkobierca tradycji” poprowadził nas do winoteki. Była olbrzymia. Od podłogi po sufit kilku pomieszczeń piętrzyły się butelki. Zbiór był podzielony na rodzaje trunków, te zaś na roczniki itp. Ożywiliśmy się na widok okrągłych stolików z deskami serów i wędlin. Kilku kelnerów dbało, aby szkło nie było puste. Na zakupy zdecydowało się tylko kilka osób - to skutek zaostrenia przepisów bezpieczeństwa na lotniskach. Żadnych płynów nie można było już wnieść „na odloty”. Na pokład samolotu - tylko zakupione w sklepach lotniskowych. Degustacja zmierzała powoli do końca. Patrząc na naszego przewodnika. Stojąc na schodach, wyraźnie zmierzał do pożegnania nas... jakże się pomyliliśmy. To nie była mowa pożegnalna, „On” nas zapraszał... na pożegnalną kolację.

Wspinaliśmy się po obszernych schodach na piętro. Naszym oczom ukazało się kilkanaście okrągłych stołów. Na śnieżnobiałych obrusach zastawa. Przepiękne talerze, talerzyki, widelce, widelczyki i... naliczyłem, chyba dziewięć, różnego kształtu lampek na wino. Ary zajął miejsce po mojej lewej ręce, naprzeciwko miałem dwójkę Amerykanów - pułkownika z bazy Vicenza i młodą dziewczynę z Departamentu Stanu. Po prawej stronie usiadł sympatyczny starszy pan, Włoch. Chociaż nikt nie wypowiedział tego słowa - lekcja - na temat: *Wino, sztuka picia i jedzenia* - rozpoczęła się. Potrawy serwowano z niesłychaną dbałością o każdy detal - to były kompozycje, to była sztuka przez wielkie „S”. Starszy pan czynił przy stole honory gospodarza - do każdej potrawy podawano inne wino. Ten podobno boski napój zawsze był dla mnie winem

i tylko winem. Wiedziałem czy mi smakuje lub nie, ale tutaj... jedna butelka na naszą piątkę nie wystarczała. Z upływem czasu rozkoszowałem się każdym kęsem i łykiem - czyżbym już stał się koneserem? Pułkownik proponował wsparcie szkoleniowe, że gdyby była taka potrzeba, to... zaś Blondyna z Departamentu Stanu wyraźnie nie traciła czasu. Coraz śmielej wypytywała mnie o stanowiska naszego rządu w sprawach... Ja - ja jestem tylko trybikiem, takim małym, malutkim, a ona pyta mnie...

Starszy Pan wyjaśniał pochodzenie intensywnego, grzybowego zapachu potrawy ryżowej - to z trufli. Do tego pije się... Przy każdym z nas stały jeszcze po trzy lampki. Ostatnią użyliśmy do przepysznego ciastka polanego ciepłą czekoladą. Ciastko i właściwe wino - raj w gębie. Żegnając się z przyszłym właścicielem winnicy byliśmy pewni, że z powodzeniem będzie kontynuował rodzinne tradycje. Ten ogień w oczach, zapach z jakim tłumaczył i wyjaśniał - przyszłość jest w dobrych rękach, to pewne. Przy wyjściu mały podarunek - markowy otwieracz do butelek - służy mi do dzisiaj.

Samotność

Moja koleżanka małżonka zaczęła odzywać się do mnie sporadycznie i tylko „służbowo”. Nagle i bez ostrzeżenia - jak zawsze. I chociaż w tej materii mam bogate doświadczenie, nigdy nie wiem, kiedy tryby odpowiedzialne za relacje ze mną zablokują się. Zauważam pewną cykliczność zachowań mojej życiowej partnerki. Jak jest dobrze przez parę miesięcy, to staję się podejrzliwy - oczekuję na to, co i tak nastąpi - jeszcze nigdy się nie pomyliłem - to już tyle razy... Nie wiem, ile tygodni tak minęło. Gdy doprowadzony do białości oznajmiłem - wyprowadzam się - usłyszałem bardzo, ale to bardzo niecenzuralne słowo. Trząśłem się jak galareta, pakując najbardziej potrzebne rzeczy. Patrzyłem na zaciekawionego psa. Nie mogłem go zabrać. Była późna jesień, zimny dom na działce, sam przez cały dzień - nie wytrzymałbyś - nie, nie mogę cię zabrać, mój druhu. Zrozumiał. Położył się i patrzył smutno.

Do północy uruchomiłem centralne ogrzewanie. Rozgrzany do czerwoności kominek dawał złudne wrażenie ciepła, a odgłosy pieca c.o. nie pozwalały zasnąć. Z letargu poderwał mnie dźwięk budzika w komórce - do pracy kolego, do pracy. Poranne ablucje w zimnej wodzie to mały survival. Do Warszawy mam siedemdziesiąt kilometrów. Trasa Gdańsk - Warszawa to przyszcz, ale - no właśnie, jak zawsze jest jakieś „ale”. W tym przypadku to wylotówka w Jankach - szybko się nauczyłem, że trzeba wyjeżdżać wcześniej, aby uniknąć stania w korku. Wieczorem, wracając zrobiłem w Makro duże zakupy. Miałem bardzo mieszane uczucia, myśląc o całej tej sytuacji.

Przyszła zima. Początkowo każdego ranka zastanawiałem się, czy odpali silnik. Moje obawy pogłębiały się z każdym stopniem więcej na minusie - tu w lesie nikt by mi nie pomógł, ale mój samochód nigdy nie zawiódł. Terkocząc dieslem i odgłosem skrobania szyb przez dwa miesiące zakłócałem spokój tego miejsca. Wyjeżdżałem po ciemku i wracałem po ciemku. Czasem odśnieżałem. Prawie każdego dnia przejeżdżałem 140 kilometrów. Na dłuższą nieobecność nie mogłem sobie pozwolić - w instalacji c.o. miałem wodę. Parę razy poprosiłem sąsiada, aby wpadł i „popatrzył” na piec. Za którymś razem przypomniał mi, że to mój dom i powinienem sam sobie radzić. No cóż, miał chłop rację. Odniosłem jednak wrażenie, że powiedział mi o tym zbyt „impulsywnie”.

Długie, samotne wieczory stały się dla mnie okazją do niekończących się rozmów z Bodkiem i Andrzejem. *Bodeczku, co byś zrobił na moim miejscu?* Często budziłem się przestraszony dręczącymi mnie koszmarami. Wspomnienia, wspomnienia... O tym, czy mi „wali w dekiel” zacząłem się zastanawiać, gdy odkryłem, że nie mogę sobie przypomnieć zapachu z miejsca śmierci Andrzeja. Shaqlawa... moja udręka... Czułem, że nie powinienem dłużej być sam. Tymczasem zima była w odwrocie. Byłem zmęczony dojazdami - dały mi w kość, także finansowo. Nie pamiętam, czy byłem z jakichś powodów potrzebny, czy też

jadąc od Rodziców - parę razy wpadłem do - hm, do domu? Bo czy to był jeszcze mój dom? Wiem jedno, widok dzieci spotęgował tęsknotę. Właśnie skończył się trzeci miesiąc mojej tułaczki. Zacząłem przemyślać o powrocie. Kończyły mi się wojskowe racje żywnościowe, które kupiłem na Allegro. Kupować nowe? W podjęciu decyzji pomogła mi sytuacja w pracy. Musiałem wyjechać na dłużej w Polskę.

Mój powrót pominęto milczeniem, jednak Pani wyraźnie była zadowolona. Zamianę samochodu na SKM-kę odczułem z ulgą. Kubel zimnej wody wylała na mnie po paru tygodniach - *te trzy miesiące twojej nieobecności w domu były najszczęśliwszym okresem w moim życiu* - zmroziło mnie.

Kosowo (2007 r.)

Wyprawa z 01

Polecisz z 01 na Medal Paradę do Kosowa? Mój przełożony często przekazywał swoje decyzje w formie pytania. Wiadomo, że wcześniej wszystko sobie przemyślał i dawanie klientowi cienia nadziei było... Bardzo mi ta forma komunikacji odpowiadała i pisać o tym nie wydaje mi się, żeby było to „lizanie dupy”. Dowódcą Jednostki Specjalnej Policji pełniącej służbę w Kosowie był Robert, mój dobroczyńca z czasów przygód zdrowotnych w Banja Luce i przyjaciel. Jadąc oficjalnie z komendantem, odwiedzę druha - pomyślałem z zadowoleniem - rozpoczynając przygotowania.

Salonik VIP na Okęciu był tego dnia oblegany. Szef MSWiA też leciał - do Włoch - na konferencję w Wenecji. Gryząc orzeszki, obserwowałem poczynania komendanta komisariatu lotniczego, który w obecności swoich najważniejszych przełożonych prezentował dzielnie swoje oblicze, wyraźnie usiłując być zauważony. Przez moment mu nawet współczułem, ale tylko przez moment - wiem, że wiedział, co robi, każdy jest wszak kowalem swego losu. A czy ja zachowywałem się inaczej? Sam na sam z pierwszym po Bogu - ni to jego sekretarz, ni to oficer do zadań specjalnych. Nie wiem już który raz sprawdzałem, czy nie zapomniałem biletów i kwitów. Przypominałem sobie numery „gejtów” w Wiedniu - no, bo przecież ja to musiałem wiedzieć. Do samolotu wiozł nas VIP-owski pojazd. Siedząc na skórzanych fotelach, zastanawiałem się, jakie to ważne dupy przede mną na nich siedziały. Nie wiem dlaczego, ale przypomniał mi się kawał jeszcze z ogólniaka i ogarnął mnie pusty śmiech. *Co tam, z czego się śmiesz?* - no, bo to kawał, kawał, panie komendancie. Ruchem brwi dostałem przyzwolenie. *Na środku Atlantyku zatonął statek pasażerski. Na falach kotłysz się: fortepian i nocnik. Fortepian do nocnika - wiesz, jakie ręce na mnie grały? A ty, a ty wiesz, jakie dupy na mnie...*

W samolocie dostrzegłem koperty. „Austriak” oferował przesłanie pod wskazanym adresem pozdrowień z pokładu - hm, ciekawe. Gdy kończyłem pisać do biura, szef podał mi swoje pióro - podpisz i napisz, że to komendanckim - zaczynała mi się podobać ta podróż. W tranzycie byliśmy małą godzinkę. Na lot do Priştiny podstawiono airbusa. Latałem zdecydowanie mniejszymi. Ten typ w środku przypominał małe boisko piłkarskie - gdyby jeszcze tych wrzeszczących dzieci było mniej. Od razu rzucało się w oczy, że tam gdzie lecieliśmy, preferowano inny model rodziny. Matki, niektóre w zaawansowanej ciąży, były po prostu obwieszane dziećmi. Robert przywitał nas na lotnisku z honorami, a chłopaki zabezpieczali perfekcyjnie. Chciałem się przyczepić do czegoś, ale nie mogłem. Myślałem, że chociaż z ciekawości widoku przełożonego czasem jeden czy drugi się odwróci, ale nie. Z bronią gotową do strzału, wypatrywali niebezpieczeństwa. Widziałem tylko ich plecy. Do Kosovskiej Mitrovicy przenieśliśmy się w kolumnie - w środku nasz VIP w opancerzonej toyocie.

Z hotelu Robert zrobił silnie strzeżoną warownię. Byliśmy jedynymi gośćmi - taki postawił warunek właścicielowi. Po krótkim odświeżeniu jazda do obozu. Tu zwiedzanie pomieszczeń

„wrażliwych” szybko przemieniło się w luźne rozmowy z policjantami. Widać było, że nasz OI lubi bezpośredni kontakt. „Wiara” miała taką potrzebę porozmawiania, że pryncypał zmienić „rozkład jazdy” - spotkanie z całością jednostki było zaplanowane później. Dziękowałem „dobremu duchowi”, który spowodował, że zabrałem ze sobą kwity. Można było odwoływać się do przepisów podczas rozmowy. Świetlica, w której siedzieliśmy, w zależności od potrzeb była zamieniana na kaplicę. Przypominałem sobie o tym, widząc ukryte dyskretnie elementy oprawy liturgicznej. Drugie spotkanie z kadrą dowódczą odbyło się w tak zwanym pokoju zwierzeń. Przyjechali dowódcy z ukraińskiej jednostki specjalnej i oficerowie polskiego kontyngentu wojskowego. Przewinęło się też kilku ekspertów. Zastępca Roberta znany z tego, że bez skrępowania pyta przełożonych o interesujące go sprawy, był w siódmym niebie.

Kolację zjedliśmy na tarasie hotelowej restauracji. Vješalica, ražnjići, čevapi i sery: *planinski* i *šumski* w towarzystwie zmrożonej butelczyny rakii smakowały wyśmienicie. Robert opowiadał. Dzielił się swoją wiedzą o regionie i realiach służby - czasem coś notowałem, mając na uwadze czekające mnie sprawozdanie. Nie mogłem „wrzucić na luz” - dochodzące z bliskiej odległości odgłosy motoroli przypominały, że ktoś nad nami czuwa. Dopiero opowiadane kawały - obaj panowie znali ich mnóstwo, wprowadziły mnie w lepszy nastrój. Rozeszliśmy się, gdy zapadający zmrok silnie już otulił smutnie wyglądające miasto.

Wczesnym rankiem ruszyliśmy na wycieczkę. Odwiedziliśmy znany z częstych incydentów i zamieszek mitrovicki most. Stojąc na nim odniosłem wrażenie, że jestem na popularnym deptaku. Pełno tu było żołnierzy sił międzynarodowych. Robili zdjęcia, pozdrawiali się. Śmiechy i uprzejmości odsuwały na dalszy plan nieszczęścia i tragedie, jakich ta konstrukcja była świadkiem. Na Mitrovicę spogląda wzgórze z pomnikiem górników. Jest nim górniczy wagonik, umieszczony na wysokim betonowym postumencie. Dotykając jego chropowatej struktury, patrzyłem na leżącą poniżej cerkiew. Lśniła nowością. Zeszliśmy do niej niezbyt pochyłym zboczem. O tym, ile dla miejscowych znaczy religia, utwierdził mnie widok modnie ubranej dziewczyny. Zapalała cienkie świece przed obrazami świętych z twarzą wyrażającą stan najwyższego uniesienia. Odniosłem wrażenie, że dla niej nie istnieliśmy - rozmawiała z Bogiem.

Uroczystość rozpoczęła się w południe. Przybyło na nią szefostwo misji, przedstawiciele polskiej dyplomacji na Bałkanach, dowódcy jednostek specjalnych, reprezentanci polskiego kontyngentu wojskowego, miejscowych władz cywilnych i policji. Honorowe miejsca zajęło kilkadziesiąt osób. Po przemówieniu naszego komendanta głos zabrał szef misji. Próbowałem tłumaczyć, ale OI mnie ofuknął - *rozumiem!* Jednostka prezentowała się wspaniale. Chłopaki i dziewczyny (a jakże, były cztery) wyglądali bojowo. Wielu treningami w siłowni doprowadziło swoje sylwetki do wyglądu, którego Schwarzenegger by się nie powstydział. Potwierdzało to opinie krążące wśród władz misji o szczególnie wyśrubowanych kryteriach doboru do polskiej jednostki specjalnej. Po wręczeniu medali, szczególnie „zasłużeni” zostali wyróżnieni pamiątkowymi zegarkami - świetna pamiątka, a jeszcze z dedykacją?! - sam taki chciałbym mieć.

Część oficjalną zakończył pokaz. Atak tłumy odparto zgodnie z „demokratycznymi standardami”, nie czyniąc nikomu krzywdy, a kolczatka w pościgu za przestępcami uciekającymi samochodem, zgodnie z przewidywaniami, skutecznie ostudziła ich wolę oporu. Huk wybuchających petard i serie ze ślepaków były widowiskowe. Na propozycję obejrzenia sprzętu jednostki goście

zareagowali żywiołowo - wyglądali na wniebowziętych. Z zapalonym rozkładano broń i podglądano świat przez celowniki optyczne. Powodzeniem cieszył się transporter opancerzony (Nyala). Po pewnym czasie nie sposób było jednak nie zauważyć dyskretnych spojrzeń kierowanych w stronę hangaru. Dochodzące z tego kierunku intensywne zapachy grillowanych mięs drażniły podniebienia. Nic więc dziwnego, że oferta udania się na skromny poczęstunek została przyjęta przez wszystkich niemal entuzjastycznie. „Żegnał” nas wzrok starszego mężczyzny usiłującego szybko pozbyć się sprzętu ochronnego używanego w czasie zamieszek, który „przywdział” w złym momencie. Powiedzenie: *kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi* - jak miało się za moment okazać - nie miało w tym przypadku zastosowania.

Widok olbrzymiego tortu w narodowych barwach robił wrażenie. Były też inne słodkości, ale zdecydowanie królowały specjały mięsne. Użyte do grillowania przepołowione beczki metalowe gwarantowały dużą wydajność. Przysłowiową kropką nad „i” był pieczony prosiak w jabłkach. Po zaspokojeniu pierwszego głodu - jak zwykle na tego typu imprezach - rozpoczęły się pogawędki w podgrupach, a Ol z lampką wina przechadzał się wśród radosnego towarzystwa, chętnie pozując do pamiątkowych zdjęć. Atmosfera była wspaniała i tylko widok wartowników na wieżach przypominał, że tutaj wszystko może się zmienić w każdej chwili. Przyjęcie finansowała policja - czasy się zmieniają, odkryłem to raczej ze smutkiem, dla mnie stanowczo za późno.

Kosovo (2012 r.)

Prezydencka wizyta

O tym, że jestem w składzie prezydenckiej delegacji lecącej z życzeniami świątecznymi do naszych policjantów w Kosowie, dowiedziałem się od Rysia. Wiadomość odebrałem w Centrum Szkolenia Policji, gdzie jako członek zespołu „przesłuchiwałem” kandydatów na opiekunów delegacji zagranicznych w czasie EURO 2012. Nie ukrywam, że słysząc nowinę, poczułem wdzięczność dla mojego Dyra i... satysfakcję.

Już w domu, wpatrując się w migający telewizor, przemyślałem, co by tu zabrać dla Irka na pokład samolotu - żeby chłop poczuł, że oficjałki oficjałkami, ale tak od serca dla kumpla... Pogalopowałem niezwłocznie do „Kałlandu” (to wersja moich „Uszastych”) i oprócz indyka (miałem go w planach przyrządzić od dawna) kupiłem sześciopak Żywca - co tam, niech żyje przyjaźń polsko - włoska. Już po wizycie, jak złapią oddech, to butelczyna wypita z dowódcą Carabinieri ją zacieśni. Indyk okazał się wielki. Obsypałem go „czym się dało” i wywiesiłem na noc na balkon. Nie mogłem spać i wstałem skoro świt. Monstrum nie chciało się zmieścić w rękawie do pieczenia, podzieliłem go więc na dwie porcje, szczerze podsypując żurawiną. W tym czasie mój wzrok „oceniał” sześciopak i... Dotarło do mnie, że przecież nie wpuszczą mnie na pokład. Już podczas zwykłego, rejsowego lotu nie przeszedłbym przez bramki, a... cóż dopiero podczas taaaakiego lotu?

Indyk udał się wybornie. Mięso było soczyście wyraziste. Nie dziwiło mnie więc zachowanie psa. Jerzyk dopominał się o poczęstunek. Nie zawiódł się - obrywy miał całkiem spore. Jedząc, widziałem jak wyjmują mi z plecaka te małe, malutkie buteleczki, a ja czerwony jak burak... Decyzję podjąłem pod koniec dnia - nie będzie prezentu, nie będzie zacieśniania przyjaźni polsko - włoskiej „żywczykiem”.

W poniedziałek byłem w pracy bardzo wcześnie. Czekałem na Ryśka, spóźniał się. Wszedł do pokoju w chwili, gdy dyspozytor zadzwonił z informacją, że samochód na lotnisko czeka. Mój kolega miał w nosie duży, przeciekający na czerwono tampon. Co jest grane? Rower, gałąź... - wyjaśniał, pakując się pośpiesznie. W bramie lotniska wojskowego rozdzieliliśmy się. Ja czekałem na OI i dyrektora, a Rysiek pojechał odprawić bagaże. Gdy dotarłem do terminalu, nie mogłem go znaleźć. Okazało się, że w tym czasie lekarz prezydenta zakładał mu świeży tampon - no, ten wygląda profesjonalnie, zażartowałem, widząc wystający z nosa biały korek. Przyglądając się świcie notabli, obserwowałem moich przełożonych. Pili kawę stojąc przy barku. Patrząc na nich z zadowoleniem zauważyłem, że mundury im „służyły” i że OI to... kawał chłopca.

Moja fobia w temacie noszenia munduru z „poszanowaniem” wywodzi się jeszcze z czasów podchorążackich (Chryste, kiedy to było), kiedy to wbijano nam do głów powiedzenie generała Jaruzelskiego: *sylwetka żołnierza nie jest jego osobistą własnością*. Zostało to powiedziane chyba w Szczecinie podczas wizyty w I2. Dywizji na widok jakiegoś silnie brzuchatego pułkownika.

Oficerowie dostali wtedy miesiąc na doprowadzenie swoich sylwetek „do ładu”. Później nastąpiły inspekcje po linii WF - to była jatka.

Gdy już zajęliśmy miejsca w samolocie, podjechał prezydent. Wkrótce potem byliśmy w powietrzu. Lot do Prisztiny trwał 2 godziny - minęły bardzo szybko. Prezydencka kolumna robiła wrażenie. Koguty, sygnały, słowem - standard, ale... ale w takiej kolumnie byłem pierwszy raz. Na tylnym siedzeniu autobusu lekarz kolejny już raz zmieniał mojemu koledze opatrunek, robiąc jednocześnie lekarski wywiad. Młody facet, pomyślałem. Decyzja lekarza o potrzebie natychmiastowego przewiezienia Rysia do szpitala na konsultację laryngologiczną zaskoczyła nas. Ani „teraz już chory”, ani tym bardziej ja nie sądziliśmy, że może być źle. Pod dojechaniu do włoskiej bazy, w której stacjonuje Jednostka Specjalna Polskiej Policji, „pacjent” przesiadł się do ambulansu - laryngologia czekała.

Tymczasem pod zadaszeniem, będącym odpowiednikiem naszej trybuny, zajęli miejsca „możni” naszej delegacji i policjanci - eksperci pełniący służbę w Kosowie. Stałem obok dyrektora i komendanta, patrząc na kompanię honorową wystawioną przez wojsko i pododdział policji. Hymn, meldunek, przywitanie z pododdziałami. Zieloni i niebiescy ryknęli tak, jakby trenowali nie wiadomo od jak dawna (były dwa krótkie treningi). Defilada nie była mocną stroną, szczególnie w wykonaniu wojska - ale czego ja się czepiam? Czy mamy mieć defiladowe wojsko (Rosjanie mówili o nas - *televizionnaja armija*), czy też sprawne w swoim rzemiośle? - raczej to drugie i tego się trzymajmy.

Przywitanie ze stojącymi na trybunie. Kuźwa, chyba nie powinienem długo myć swojej dłoni. Przeszliśmy do mesy na spotkanie wielkanocne. W środku gęsto od mundurów. Przedstawiciele Straży Granicznej, Służby Celnej, wojskowi i policjanci. Gdzieś tam, starający nie rzucać się w oczy Carrabinieri - wiem, że bardzo naszym pomogli w przygotowaniu uroczystości. Obserwuję naszych dziennikarzy. Wszystko dograne. Chyba jakiś ich szef, kolejny już raz przestawia flagi. Domyślam się, że mają stać w tle - za prezydentem. Ale oto i on. Uczestników spotkania przywitał Irek - Mały Rycerz. Gdy skończył, wspólnie z dowódcą kontyngentu wojskowego przekazali prezydentowi upominki, otrzymując w zamian pamiątkowe ryngrafy. Głos zabrał prezydent. W ciepłych słowach bez patosu i niepotrzebnych słów złożył żołnierzom i policjantom życzenia świąteczne. Gdzie te czasy, kiedy bez kartki żaden bonza nie śmiał wystąpić. Myśląc o tym epizodzie „po czasie”, odkryłem, że wyciągałem szyję, żeby załapać się „do kamery”. Kuźwa, człowiek jest jednak istotą próżną. Odkrycie siebie w tej roli na chwilę dało mi do myślenia. Głos zabrali dwaj biskupi polowi, poświęcili pokarmy - ich życzenia też mi się podobały. Obserwuję Małego Rycerza - z tacą świątecznego jadła podszedł do prezydenta (tego chyba nie było w planie). Prezydent, ministrowie, szef BBN - po jajeczku ruszyli „w teren”. Widać było, że najważniejszy po Bogu lubi bezpośredni kontakt. Na dwadzieścia minut zniknęli wśród zgromadzonych i tylko po błyskach fleszy można było zorientować się, gdzie jest głowa państwa.

Na spotkanie robocze z dowódcami misji szef delegacji udał się, odwiedzając po drodze kaplicę i „domek polski” oraz pozując do wspólnego zdjęcia z policjantami. Na miejsce spotkania (w ścisłym gronie) „wpadłem” przed wszystkimi, żeby zrobić kilka zdjęć. Wychodząc natknąłem się na prezydenckiego lekarza. Zapytałem o ostatnie informacje o stanie zdrowia Rysia. Z tego

co wiem, wraca z powrotem opatrzony i w dobrej kondycji. *Czy ma zaświadczenie, że może wracać samolotem ?* Zaświadczenie ma, ale czy dotyczy ono przelotu samolotem nie wiem, odparłem zgodnie z prawdą. Doktor po otrzymaniu numeru telefonu (ambulanś już wrócił) płynną angielszczyzną przepytował kolegę po fachu o stan zdrowia Rysia. Podczas rozmowy medyków pojawił się przy nas sam delikwent. Był bardzo blady. Zmartwił się, gdy usłyszał, iż jego stan zdrowia nie pozwala na podróż drogą powietrzną. *To wykluczone, nie mogę pana narażać na niebezpieczeństwo ratowania zdrowia na pokładzie samolotu i ryzyko międzylądowania. Panu potrzebny jest szpital.*

Robert - kolega z wcześniejszych misji, pracujący tu na prywatnym kontrakcie, zaproponował rozwiązanie. Jeśli do piątku wszystko będzie z tobą OK, zabiorę cię do Budapesztu, a tam wsiądziesz w pociąg do Warszawy. Pomysł zacny, pomyśleliśmy tak chyba wszyscy i zaczęła się galopka. Wpadliśmy z Ryśkiem do pokoju Irka. Ja wyskoczyłem z garnituru, a Rysiek z munduru. Całe szczęście, że swoje koszule mieliśmy białe. Już po chwili ja „cywil” stałem się podinspektorem policji, a policjant ucywilnił się. Stojąc ponownie przed budynkiem, dostrzegłem aprobujące przytaknięcie szefa ochrony prezydenta. Po nie więcej niż dziesięciu minutach dostaliśmy sygnał, że spotkanie dobiegło końca. Wsiadłem do autobusu i już po chwili patrzyłem na wsiadającego do swojego pojazdu prezydenta. Kolumna ruszyła bardzo szybko. Mknąc ulicami Prisztiny, patrzyłem na naszych policjantów zabezpieczających skrzyżowania i rozjazdy - cóż, nie wszyscy mogli być obecni na uroczystości. Powrót przebiegł bez niespodzianek, no... może oprócz jednej. Zniżanie rozpoczęło już od granicy państwowej, dużo łagodniej niż w locie rejsowym. Warszawa przywitała nas chłodem. Zadzwoił też Irek z informacją, że Ryśka przetransportowano śmigłowcem do niemieckiego szpitala wojskowego w Prizren - powrócił do kraju po tygodniu i... jak to się mówi... będzie żył długo i szczęśliwie.



Pristina – zdjęcie ze zbiorów mł. insp. Ireneusza Sieńki



Pristina – zdjęcie ze zbiorów mł. insp. Ireneusza Sieńki



Pristina – zdjęcie ze zbiorów mł. insp. Ireneusza Sieńki

Opowieści z krainy mchów i paproci

„Zegarmistrz światła purpurowy”

Butmir to osiedle na obrzeżach Sarajewa. Znajduje się tu międzynarodowy port lotniczy. Uczestnikom misji to miejsce kojarzy się przede wszystkim z bazą wojskowych sił międzynarodowych i mieszczących się tu sklepów, w tym amerykańskiego należącego do sieci PX. Sklepy przeznaczone były dla żołnierzy, ale jak to w życiu bywa, aby interes się kręcił, kupujących nigdy zbyt wielu. Zapewne z tego powodu wojsko przychyliło się do prośby szefostwa misji, aby możliwość zakupów rozszerzyć na policjantów międzynarodowych sił policyjnych. Obowiązywał system kartkowy. Palacze cieszyli się, że nie było problemu z zakupem markowych papierosów, zwolennicy trunków też mogli tu kupić co trzeba. Jeśli dodamy do tego sprzęt RTV, artykuły spożywcze, kosmetyki, ciuchy i wszystko to, co duży chłopiec chciałby mieć, to jest latarki, noże, nożyki i inne militarne gadżety - proszę bardzo, mogłeś to mieć, było na wyciągnięcie ręki.

Wejście do bazy czasem nie było możliwe z powodu wprowadzania stanów gotowości bojowej lub ograniczeń spowodowanych nietypowymi zachowaniami klientów. O każdym takim przypadku światek misyjny wiedział natychmiast - wieść gminna rozchodzi się szybko, wiemy o tym wszyscy - w środowisku międzynarodowym rozprzestrzenia się z prędkością światła.

Tego dnia kolega, nazwijmy go „D” robił zakupy. Właśnie stał przed sklepem, rozglądając się za transportem do Kwatery Głównej, w której pracował, gdy dostrzegł znajomego „Z” wsiadającego do wojskowego jeepa. Jedziecie może do kwatery, mogę się z wami zabrać? - nie ma sprawy - odpowiedział żołnierz. Ruszyli, ale rozmowa jakoś się nie kleiła. Nasz „D” dopiero teraz się zorientował, że wojsko to jedno, a żandarmeria wojskowa to drugie - siedział w towarzystwie żandarmów. Ty, zwrócił się do kolegi w ojczystym języku, co ty tak z tymi żandarmami? Na odpowiedź musiał chwilę poczekać - *bo wiesz... złapali mnie na kradzieży zegarka i właśnie mnie wiozą...* Nasz „D” człowiek pocziwy i prawy w każdym calu myślał, że się przesłyszał. Co zrobisz? - *no... zegarek, ukradłem zegarek* - usłyszał łamiący się głos. Naszego „D” zaczęła telepać kurwica torząca. Znając go dobrze, domyślam się, że stan przedzawałowy był tuż - tuż. Jak mi opowiadał, zaciągając się głęboko: *oni mogli pomyśleć, że ja i on, i że może my razem, że ja to pewnie wspólnik? Zastanawiałem się nawet, czy mnie nie zatrzymają do wyjaśnienia po dojechaniu na miejsce.* Tak to bywa. Nasz „zegarmistrz” wrócił przed czasem do kraju, a za nim dokumentacja z przeprowadzonego postępowania wyjaśniającego. To nie było jego pierwsze „przywłaszczenie”. Wcześniej kilkakrotnie został „nagrany” podczas wynoszenia towaru bez zapłaty, ale wtedy obsługa nie zdążyła zareagować. Tym razem jak tylko się pojawił, był oczkiem w głowie ochrony - nie zawiódł. Są ludzie i ludziska - może to choroba? - może takim ludziom trzeba pomagać, leczyć? Pamiętam z wcześniejszej misji, że teraz już „zegarmistrz” poprosił mnie o przewiezienie małej paczki do kraju. Miałem wątpliwość, ale tylko przez chwilę - no, bo czego się nie robi dla kumpla. Myśląc teraz o tym podejrzewam, że wtedy popełniłem błąd - a może nie? - może wcześniej nie był jeszcze chory?

Pan Tajeczko

Każdy wyjazd to przygoda, ale też okazja do dodatkowej kasy. Że pieniądze szczęścia nie dają, wszyscy wiemy, ale... no właśnie, bez nich trudniej „temu szczęściu”. Co więc zrobić, żeby pomóc fortunie? - trzeba oszczędzać. Legendarny „J” jest wybitnym specjalistą w tym zakresie. Przypominanie nam przy wielu okazjach, szczególnie podczas przemówień, że „reprezentujecie... jesteście ambasadorami” w jego przypadku ma raczej nikłe zastosowanie. Chociaż „podpadziochą” w służbie nigdy nie był, powiem więcej - firma z niego solidna, to ta szczególna cecha jego charakteru - ekstremalna oszczędność - taka za wszelką cenę, w tym własnego zdrowia, stawia go w czołówce ludzi, o których istnieniu warto przypominać.

Chorwacja - środek lata. Wspólny patrol UN i miejscowej policji. Żar leje się z nieba. W cherokee otwarte okna - nie pamiętam, żeby kiedykolwiek na Bałkanach w moim samochodzie działała klimatyzacja. W „zabitej dechami wiosce” prowadzący samochód hamuje przed restauracją. Chorwacki policjant zaprasza na kawę - czas na odpoczynek. Z ulgą opuszczamy nasz pojazd. Powietrze drga falą gorącą, ale od razu czuję chłodek na mokrej od potu koszuli. W środku jest przyjemnie. Zanim podano kawę, pijemy wodę - ulga. Przez okno widzimy drugi patrol - pewnie wpadli na ten sam pomysł. Patrzę jak Chorwaci rozmawiają ze swoim UN-em i po chwili - śmiejąc się - ruszyli w naszą stronę - z białego samochodu nikt nie wysiadł. Dosiadając się do naszego stolika, usłyszeliśmy - *Poljak ne pije kavu*. Zaciekałem się moim kontyngentowym kolegą - po mniej więcej pół godzinie przywitałem się z „J”.

Wspólne patrole były w tym czasie na porządku dziennym. Krótki odpoczynek i kawa były okazją do poznania się i rozmowy na interesujące strony tematy. Byłem pełen podziwu dla miejscowych partnerów, którzy nie pozwalali nam na płacenie rachunków. Najczęściej słyszałem - *drugom putom*. Ten drugi raz najczęściej nie następował, bo składy patroli się zmieniały. Rachunki nie były wysokie, ale widząc, jak czasem przeszukują portfele w poszukiwaniu zaskórniaków było mi nieswojo. Chłopaki wiedzieli, jakie mamy diety, ale „były honorne”.

Wkrótce dotarło do mnie, że „J” stał się znany z powodu unikania picia kawy, wody i mówiąc ogólnie „braku woli wszelakiej” w temacie uczestnictwa w przedsięwzięciach integracyjnych. Na jednym ze wspólnych wyjazdów - a podróż trwała kilkanaście godzin - podczas przerwy na obiad nie jadł z nami, napił się tylko wody z kranu. W drodze powrotnej sytuacja się powtórzyła. Gdy w gronie kumpli siadaliśmy do kolacji, nasz kolega wyjaśnił, że się odchudza, ma dietę, ćwiczy i biega, aby być w formie, no cóż, można i tak.

Jak wspomniałem na wstępie był środek lata - kury niosły się do tego stopnia, że na targu za zgrzewkę jaj „wołano” grosze. A co wymyślił nasz kolega? Otóż pojawiał się na targu i prosił o jajko - jedno jajko. Rzekomo coś z lodówką, nie ma jak przechować, a więcej nie potrzebuje itp. - słowem, skrajność w czystej postaci. No, bo jeżeli kilkanaście sztuk kosztuje grosze, to sztuka nic - dostawał za darmo. Nie wiem, ile trwał ten proceder, ale miał chłop pecha. Babina, pewnie ciągle ta sama bidula, której od jakiegoś czasu dekompletował zgrzewki, straciła

cierpliwość - wierzę, że miała dość. Gdy usłyszała ponownie prośbę o jedno jajko, poderwała się i wrzeszcząc - ja ci dam jajko, ja ci dam jedno jajko - zaczęła miażdżyć obcasem słupki stojących przed nią zgrzewek jajecznych. Tę historię poznałem z opowiadania tłumaczki, robiącej w tym czasie zakupy.

Na kolejnych misjach też „odwalał oszczędnościowe numery” - opowiada się o nich „przy ognisku”. Jak więc to się ma do ambasadorowania i godnego reprezentowania... na arenie międzynarodowej? - otóż ma się dobrze. „J” nadal jest na diecie, ćwiczy i biega, aby być w formie.

Szacunek dla przeszłości

Czy będąc za granicą zadaliście sobie kiedykolwiek pytanie: dlaczego w miasteczkach lub wsiach Austrii i Węgier pospolitym widokiem są pomniki, wystawione ku pamięci ich mieszkańców - żołnierzy poległych w czasie wojen? Zdarzają się też kapliczki, a nawet miejsca pamięci. Takie spotkałem w austriackiej miejscowości Maria Lankowitz, znanej z pielgrzymek. Tu ponure, wielkie ordery Żelaznego Krzyża, wśród tablic z nazwiskami żołnierzy poległych w I i II wojnie światowej, równają wszystkich do rangi bohaterów. Dla mnie, Polaka, pobyt w tym miejscu kłócił się z moim „ja”. Widok czarnych orderowych żelaznych krzyży przypominał o czasach okupacji, gwałtów i terroru. Dla mieszkańców Styrii jednak był to hołd złożony historii.

Odwiedzając kumpla w okolicach Eger, wyszedłem z domu zaczerpnąć powietrza. Wąska polna droga zaprowadziła mnie na rozwidlenie dróg małej wsi i co zwróciło moją uwagę? Oczywiście - kamienny krzyż, a pod nim kilkanaście imion i nazwisk żołnierzy I wojny światowej, mieszkańców tej wioski. Attila, pokazując mi okolicę, szybko zwrócił uwagę, że prosiłem, aby zatrzymywał samochód przy miejscach pamięci. Co ty w tym widzisz? Dlaczego? Ze zdziwieniem przyjął moje wyjaśnienia - wiesz, zaczął... bo ja... ja już nawet na to nie zwracam uwagi, to było tu zawsze.

Podczas pobytu na szkoleniu w Turynie w ramach popołudniowych wydarzeń kulturalnych zaproponowano nam obejrzenie całunu turyńskiego - była to podobno rzadko nadarzająca się okazja. Całun jak całun. Pamiętam bardziej gościa kierującego ruchem zwiedzających, bardzo przejętego swoją niesłychanie ważną funkcją. Jego palec na ustach, przypominający nam, 50 metrów przed wejściem, o konieczności zachowania ciszy, powinien wystarczyć za komentarz. Tego dnia pojechaliśmy jeszcze do szkoły policyjnej. Nie był to nowy, na wskroś nowoczesny budynek, choćby taki, w jakim mieściła się Szkoła Oficerska Karabinieri w Rzymie, a stary, pamiętający odległe czasy kompleks, którego front stanowił pałac. Mieściło się tu dowództwo i muzeum, które mieliśmy zwiedzać. Naszą „wycieczkę” poprowadził sam komendant - nobliwy i może tylko „dla nas” cierpliwy w udzielaniu wyjaśnień generał. Zaczęliśmy od najstarszej części. Ze ścian przyglądali nam się kolejni, najczęściej z sumiastymi wąsami, komendanci z szablami, w epoletach itp. Na moje pytanie - a co wy robiliście w Etiopii, po co ta wojna? - opowiedział o szybkoconogich Etiopczykach, wierzących, że kule ich nie dościgną, następnie o ludziach „z tej szkoły”, którzy w wojnie uczestniczyli. W części ekspozycji poświęconej drugiej wojnie światowej... kapitan X zginął na froncie wschodnim, a major Y został rozstrzelany przez Niemców na Krecie. Obaj oficerowie w mundurach galowych byli wśród nas - na portretach. Czy wśród łąg szumiących, wsi spokojnej, polskiej, wesolej, znaleźliście kiedyś „coś” upamiętniającego z imienia i nazwiska mieszkańców - żołnierzy, którzy w ramach poboru poszli do wojska i już nie wrócili? Wiem... zaraz odezwą się znawcy tematu, malkontenci i zawodowi „pianobijcy”... że zabory, że wrogie armie, że w polskich realiach... I co? - zapytam - to nie byli Polacy?

Samotność (ciąg dalszy)

Po okresie względnego spokoju, tak mniej więcej miesiąc przed końcem roku moje szczęście zamilkło, dokładnie, jak rok wcześniej. Nie zdziwiło mnie to zbytnio, ale żeby przed sylwestrem? Miałem ochotę potańczyć, słowem rozerwać się. Zośka tańczy dobrze i „pasuje mi” na parkiecie, ale cóż, nie - to nie. Wylądowałem na działce. Odwiedziłem sąsiadów, gdzie wychyliłem kilka drinków. Przed północą siedziałem samotnie przy kominku. W towarzystwie Kapitana Morgana rozmawiałem z Bodeczkiem i Andrzejem. W tle bałkańskie piosenki... chciało mi się krzyczeć... ludzie! czy wiecie jak oni śpiewają na głosy?!

Epilog

Poza krajem spędziłem z przerwami ponad pięć lat i nikt mi nie odbierze tego, co widziałem i czego doświadczyłem na własnej skórze. Nawiązane przyjaźnie na trwałe potoczyły mnie emocjonalnie z dobrymi ludźmi, a obrazy miejsc, które poznałem, wyczarowują w swej wyobraźni, gdy mam doła. Niezbyt wielu miało podobną możliwość. Czy zatem służba w kontyngentach policyjnych to tylko pasmo ciepłych, pełnych melancholii wspomnień i tęsknoty za tym, co przeminęło, jak również i korzyści dla służby wynikających z nawiązanych kontaktów? - zdecydowanie nie. To także przykra rozłąka i dramaty związków, które tego nie przetrzymały. Pomoc psychologiczna, adresowana do „misjantów” i ich rodzin to świeża sprawa - możliwość skorzystania z niej daje dopiero co wprowadzona w życie ustawa o weteranach działań poza granicami państwa - a wcześniej? - czy ktoś myślał o tym kuźwa wcześniej!!!

Nie opisywałem wszystkiego - co przeszedłem, gdzie byłem i co robiłem - bo nie widziałem takiej potrzeby. Miałem szczerzy zamiar przypomnieć, że istnieje wcale niemała liczba uczestników misji pokojowych i operacji policyjnych, którzy reprezentowali i reprezentują polską policję i nas Polaków na arenie międzynarodowej. Wyjazdy podwładnych w większości nie cieszą bezpośrednich przełożonych. Problem niewystarczającej liczby ludzi do pracy jest w tym przypadku kluczowy. Mogę mieć tylko nadzieję, że wspominając o tych co odeszli, przypominałem, że służba w kontyngentach policyjnych to nie jest wycieczka krajoznawcza i jest równie odpowiedzialna oraz niebezpieczna jak ta w kraju. Nie da się pisać o wszystkim w ciepłych barwach, bo chociaż życie kreśli scenariusze, to my wydatnie w tym pomagamy. Głęboko wierzę, że nie obraziłem nikogo „śmiertelnie”. Mam też nadzieję, że to początek misyjnej „twórczości”, gdyż temat jest dziewiczy i godny niejednego filmu.

Punkt załamania

Nie odkryję Ameryki stwierdzając, że wyjazd męża „na misję” jest dla większości kobiet stresem dużo większym niż dla samego „bohatera”. Gdy zaś mamy do czynienia z ponownymi wyjazdami i to w zapalne regiony - nieobecności mają zgubny wpływ na wzajemne relacje. No, bo kto wytrzyma samotną walkę z prozą dnia codziennego i oczekiwaniem... że coś się wydarzy, że... no nie - nie mojemu, przecież nie mogę do końca życia być sama?... a dzieci?... jak wtedy dam radę? Gdy wytrzymałaś ten rok i zbliża się termin powrotu twojego faceta, ten dzwoni i niewinnym głosem, bo wie, że się wkurzysz informuje - wiesz, dostałem przedłużenie o 3 miesiące. I szlag cię trafia, sięgasz po papierosa, biegasz z drinkiem po chałupie i przeklinając w duchu - „bo dzieci” - rzucasz pod adresem „ukochanego?” sobie wiadome życzenia. Mijają tygodnie. TV bombarduje informacjami o tych, którym się nie powiodło - i to nic, że to nie tam gdzie „Twój”. Widzisz zburzone domy, uciekających cywilów, jakieś ciała, spalone samochody i zaczyna cię telepać. Kładziesz dzieci spać i uciekasz na balkon z papierosem. Tam, schowana - no bo żeby „Uszaści” nie widzieli „popiółka”. Zaciągasz się głęboko pozostawiona sama na sam z myślami... ręka bezwiednie sięga po szklaneczkę. Rozluźnienie przychodzi powoli... płyną łzy, a ty zdajesz sobie sprawę, że tęsknisz, masz ochotę wtulić się w tors swojego mężczyzny. Z trudem zasypiasz... budzisz się zmęczona - jak zwykle.

Bohaterowie wracają czy też są zmęczeni... to tytuł filmu? Nie mogłaś się przyzwyczaić do jego obecności - przecież wszystko robiłaś sama. Euforia pierwszych dni szybko minęła. Teraz zgrzytasz zębami widząc, jak „odstresowuje” przed telewizorem, wyciskając z niego pilotem soki w czasie, gdy odkurzasz. Po miesiącach wdrażania pana i władcy w domowe obowiązki z radością zauważyłaś, że jesteście na dobrej drodze do stabilizacji. Myślałaś nawet o kolacji „przy świecach” gdy... no nie... znowu się wybiera !!! - żółte karteczki z angielskimi słówkami przyklejone do glazury w „czytelnii” były ci dobrze znane... - nie pozostawiały złudzeń. Zaczęło cię telepać. Poszukiwania papierosów nic nie dały... przecież już nie palę... nie...

Moja misja zakończona

O tym, że bezskutecznie starałem się upamiętnić Bodeczka wpisem do Księgi Pamięci i umieszczeniem tabliczki epitafijnej na Tablicy Pamięci - już pisałem. Nie ma się więc co dziwić, że pismo przesłane z Gabinetu OI o możliwości uhonorowania i wyróżnienia poległych policjantów podczas obchodów 95. rocznicy powstania Policji zaintrygowało mnie do tego stopnia, że „biegusiem” pojawiłem się w pokoju Irka – Naczelnika. Decyzja mogła być tylko jedna - pisz „Wniosek”.

Ogarnęła mnie „gorączka”. W przygotowanie niezbędnych dokumentów zaangażowali się dobrzy ludzie. Z archiwum KWP w Katowicach „na cito” otrzymałem skany niezbędnych „papierów”. Robert (kolega z pokoju) zajął się obróbką graficzną zdjęcia – powstało z fotografii na której Bodek stoi na lotnisku w Monrowii mając za sobą lwa w klatce. Po dwóch tygodniach dokumentacja była gotowa.



Oprac. Robert Cyraneck



Ze zbiorów śp. podinsp. Bogdana Laskowskiego

Zaproszenie na spotkanie Komisji proceduralnej, mającej na podstawie zgłoszonych wniosków dokonać „oceny zasadności wyróżnienia poległych policjantów” w imieniu Przewodniczącego Komisji, Pierwszego Zastępcy Komendanta Głównego Policji, przesłał Dyrektor Gabinetu KGP (pamiętacie Roberta z Banja Luki?).

Do Sali Generalskiej udałem się w bojowym nastroju. Przygotowałem powiększone zdjęcie przyjaciela, gotowy na przemowę w obronie tej jednej jedynej - ważnej tylko „dla mnie” postaci. Mając kartofla w gardle patrzyłem na przybyłych „z kraju” oficerów. Do omówienia mieliśmy 8 wniosków.

Już na wstępie Przewodniczący zaskoczył mnie/nas? „Panowie, proponuję nie dyskutować na temat śmierci – która jest ważniejsza... w obliczu tragedii... - wnoszę o zatwierdzenie wszystkich wniosków... i pierwszy podniósł rękę do góry”. Spłynął na mnie spokój, kartofel zamienił się w łzy, których opanowanie szło mi z trudem. Jeszcze tylko odczytanie wszystkich wniosków... Musiałem wyglądać niespecjalnie, bo Robert gdy wychodziliśmy klepnął mnie w ramię... spokojnie „druże”, spokojnie.

Uroczystość odbyła się w Komendzie Głównej Policji. Zaproszenie Komendanta Głównego Policji przesłałem Łukaszowi – przyjechał z żoną i córką. Przywiózł też odnalezione moje misyjne zdjęcia.

Na tym moja radosna twórczość literacka się kończy. Powiem tylko, że czuję się spełniony. To, co przez lata mnie „nakręcało”, nie dawało spokoju... jak ból zęba „ćmiło” - zrealizowałem. Czy dobrze?... nie wiem, ale... chciałbym wierzyć... - że tak.



**Przed Tablicą Pamięci. Od lewej: insp. Rafał Łysakowski –
Dyrektor BMWP KGP, Magdalena i Łukasz Laskowscy z córką Wiktoria
i autor – zdjęcie ze zbiorów autora**

Spis treści

Wstęp	5
Siły Ochronne ONZ w byłej Jugosławii (UNPROFOR) (1993 - 1994)	6
Impuls do wyjazdu	6
Wyjazd na misję	8
Doljani i Stacja	9
Pierwsze patrole	12
Malarka	14
Bezstronność a ludzkie serce	15
Ekshumacja	17
Kip	18
Urodzić kamień	19
Daruvar	20
Sąsiedzi	21
Nocna akcja	23
Przyjazd „Długiego” i Mariusza	25
Standby	27
Nowi monitorzy	33
Urlop	34
Trumna	35
Winobranie (berba)	36
Jelena, jej pies i peugeot	38
Contingent meeting	40
Holendrzy	41
Rakija factory	42
Ból zęba	43
Medal parada	44
Zima	45
Przyjazd naszych kobiet	47
Do domu	48
Kontyngent Straży ONZ w Iraku (UNGCI) (1995-1996)	50

Spotkanie przed wyjazdem	50
Podróż	51
W służbie	53
Coaster	56
Klub	57
Dzień po dniu	58
Kurrak	60
Zakho	62
Deptak	63
Minaret	64
Pierwszy urlop	65
Dzień po dniu... ciąg dalszy	67
Jasna cholera	68
Przyjazd dziewczyn	69
Sauna	71
Sulejmanija	72
Spotkanie	74
Mosul	76
Powrót z urlopu	77
Straszliwa biegunka, czyli krótka opowieść o źródlanej wodzie	79
Branislav	80
Standby	81
Wodospady	83
Andrzej	85
Pusty dom	89
Pogrzeb	90
Powrót	92
Chłopiec	93
Wracamy do kraju	94
Tymczasowa Administracja ONZ dla Wschodniej Slavonii, Baranii i Zachodniego Sirmium (UNTAES) - Chorwacja (1996 - 1997)	96
Zagrzeb	96
Służba na lotnisku	97

Pieniądze	98
Pułkownik B.	99
Egzotyczne kontyngenty	100
Współlokatorzy	101
Dowcip	102
Wypadek	103
Medale, mapy...	105
Ambasada	106
Pan ambasador	108
Odwiedzam Sarajewo i Daruvar	109
Wakacje z rodziną	110
„Węgierski” problem	112
Beli Manastir (Biały Monastyr)	114
Ela	117
Nowe stanowisko	118
Ach te Polki	120
Wizyta prezydenta Chorwacji	121
Rozbrojenie	123
Wynajem domu - wątpliwości	124
Serbskie wesele	125
Drugi Andrzej	126
Powrót	129
Międzynarodowe Siły Policyjne ONZ w Bośni i Hercegowinie (2001 - 2002)	130
Następny wyjazd	130
Čapljina	132
Przekazanie dowództwa Stacji	134
Niepokojący objaw	136
Urlop	138
Nostalgia	139
Ucieczka z Čapljiny	140
Gradiška	141
Niełatwe powroty	142

Dochodzenia	143
Nowe stanowisko	144
Przyjazd koleżanki małżonki	146
Wokół Gradiški	147
Przyjazd dzieci	149
Kłopoty ze zdrowiem	151
Konflikt z tłumaczem	152
Mecz	154
Kolejny urlop	155
U Attili i Jeno	156
Tumor w głowie	157
Bodek	159
Małgosia	162
Rekonesans w Jordanii (marzec 2004 r.)	164
Przelot	164
Międzynarodowe Centrum Szkolenia Policji w Jordanii	166
Oddech historii	167
Kolacja	169
Wracamy do kraju	170
Rekonesans w Iraku (maj 2004 r.)	171
Generalska kawa	171
Na ziemi irackiej	172
Pamiętki	174
Proza dnia codziennego	175
Powrót	177
Misja policyjna Unii Europejskiej w Bośni i Hercegowinie (2005 r.)	178
Znowu w Sarajewie	178
Banja Luka - praca w Departamencie Szkolenia	179
Wizytacja	181
Przebieżki	182
Przyjazd syna	183
Pogrzeb Stepane	184

Przepiękna okolica	185
Party	188
Vesna	189
Kłopoty z Pawłem	191
Koordynacja	193
Amir	194
Wymarzona kurtka	195
Trochę polityki	196
Zawody strzeleckie	197
Manjača	199
Wyprawa do Sarajewa	200
Tragedie ludzkie	202
Polskość na Bałkanach	203
Zakończenie misji	205
Vicenza - Włochy (2006 r.)	207
Seminarium	207
Wenecja	209
Wizyta w winnicy	211
Samotność	213
Kosowo (2007 r.)	215
Wyprawa z 01	215
Kosovo (2012 r.)	218
Prezydencka wizyta	218
Opowieści z krainy mchów i paproci	222
„Zegarmistrz światła purpurowy”	222
Pan Jajeczko	223
Szacunek dla przeszłości	225
Samotność (ciąg dalszy)	226
Epilog	227
Punkt załamania	228
Moja misja zakończona	229